

EKRANIZACJA KSIĄŻKI JUŻ W KINACH



ZNAKOMITA,
WCIĄGAJĄCA POWIEŚĆ...
NADZWYCZAJNA!

IAN MCEWAN

ZWIERZĘTA NOCY

AUSTIN WRIGHT

Austin Wright

ZWIERZĘTA NOCY

przełożył Jędrzej Polak



Tytuł oryginału: *Tony and Susan*
Copyright © Austin Wright, 1993
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI
Copyright © for the Polish translation by Jędrzej Polak, MMXVI

Wydanie II
(wydanie I ukazało się pod tytułem *Tony i Susan*)
Warszawa, MMXVI

Spis treści

Przedtem

Pierwsza sesja

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Pierwsze interludium

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Druga sesja

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Drugie interludium

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Trzecia sesja

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Potem

Jeden

DWA

Przypisy

Przedtem

To wszystko zaczęło się od listu nadesłanego we wrześniu przez Edwarda, pierwszego męża Susan Morrow. Edward napisał książkę, powieść. Może zechciałaby ją przeczytać? Susan była zdziwiona, a nawet lekko zszokowana, bo przez ostatnie dwadzieścia lat cała korespondencja z Edwardem ograniczała się do świątecznych kartek z życzeniami podpisywanych przez jego drugą żonę.

Musiała odszukać w pamięci wspomnienia o Edwardzie. Owszem, przypominała sobie, że kiedyś chciał pisać: opowiadania, wiersze, eseje – wszystko, w czym były słowa; przypominała sobie całkiem dobrze. Był to główny powód ich wzajemnych problemów. Sądziła jednak, że zrezygnował z pisania, kiedy zajął się ubezpieczeniami. Okazało się, że nie.

W zupełnie nierealnych czasach ich małżeństwa pojawiła się kwestia, czy powinna czytać to, co napisał. Był początkującym twórcą, a ona okazała się surowszym krytykiem, niżby chciała. Wzruszające wydawało się jej ówczesne zażenowanie i jego rozżalenie. Teraz w liście napisał: Cholera! Ta książka jest naprawdę dobra. Napisał, ile się nauczył o życiu i rzemiośle. Chciał jej pokazać powieść, chciał, żeby ją przeczytała, przekonała się i oceniła sama. Zawsze była jego najlepszym krytykiem, pisał. Mogła mu również pomóc, bowiem mimo ewidentnych zalet w powieści może czegoś brakować. A ona od razu się domyśli i powie mu o tym. Nie spiesz się, ale potem napisz choć kilka słów – cokolwiek ci przyjdzie do głowy. Podpisano: Twój stary Edward, który nie potrafi zapomnieć.

To zdanie ją zirytowało. Przypominało jej zbyt wiele i naruszało pokój, jaki zawarła z przeszłością. Nie lubiła wspominać, wprowadzać się z własnej woli w ten nieprzyjemny stan ducha. Ale odpisała mu, żeby przysłał książkę. Wstydziła się własnych obiekcji i swojej podejrzliwości. Sprzeciwu wobec narzucanych warunków, jakby to, co przyjdzie jej do głowy, wszystko upraszczało, nawet to, co głęboko przemyśli. Ale nie mogła mu odmówić, gdyż dowiodłaby tym samym, że nadal żyje przeszłością. Przesyłka nadeszła po tygodniu. Do kuchni, gdzie jedli kanapki z masłem orzechowym, przyniosła ją Dorothy, córka Susan. Jedli je we czworo: Dorothy, Henry, Rosie i ona. Paczka była oklejona grubą taśmą. Susan wydobyla manuskrypt i przeczytała stronę tytułową:

Edward Sheffield
ZWIERZĘTA NOCY
Powieść

Staranny maszynopis, bez poprawek. Zastanawiała się nad tytułem. Gest Edwarda był miły: jak komplement i wyciągnięcie ręki na pojednanie. Coś kazało jej wszakże zachować ostrożność, więc kiedy tego wieczoru do domu wrócił Arnold, jej obecny mąż, oznajmiła odważnie:

Napisał do mnie Edward.

Jaki Edward?

Och, Arnoldzie.

Ach, ten Edward! No tak. I co ten stary sukinsyn ma do powiedzenia na swoją obronę?

To wszystko wydarzyło się przed trzema miesiącami. Teraz Susan nieustannie się czymś martwi, raz więcej, raz mniej, sama nie wie dlaczego. Kiedy się niczym nie martwi, martwi się tym, że zapomniała, czym się martwiła. A kiedy dokładnie wie, czym się martwi, na przykład tym, czy Arnold zrozumiał, co miała na myśli albo co on miał na myśli, kiedy rano powiedział, co ma na myśli, nawet wtedy odnosi wrażenie, że chodzi o coś zupełnie innego, znacznie ważniejszego. Tymczasem prowadzi dom, płaci rachunki, sprząta i gotuje, zajmuje się dziećmi, trzy razy w tygodniu wykłada w college'u, a jej mąż naprawia w szpitalu serca. Wieczorami Susan czyta, przedkładając to nad oglądanie telewizji. Czyta po to, żeby o sobie nie myśleć.

Zabierze się do czytania powieści Edwarda, bo lubi czytać i chce wierzyć, że stał się lepszym pisarzem, ale odkłada to przez trzy miesiące. Zwłoka nie była zamierzona. Schowała maszynopis do szafy i zapomniała o nim, przypominając sobie o czekającej ją lekturze w najbardziej niewłaściwych porach, na przykład podczas zakupów, podczas odwożenia Dorothy na lekcje jazdy konnej czy podczas sprawdzania esejów pierwszoroczników. Kiedy nic nie robiła, zapominała o tym.

A kiedy nie zapominała, usiłowała uporządkować myśli, by przeczytać powieść Edwarda w sposób, na jaki zasługuje. Problemem były stare wspomnienia, eksplodujące niczym wulkan, napawające bojażnią i drżeniem. Cała ta zapomniana intymność, jego przedawniona wiedza na jej temat i to, co ona wiedziała o nim. Wspomnienie jego podziwu dla samego siebie, jego próżności, a także jego lęków – jego małości – które musi zignorować, jeśli

ma podejść do lektury uczciwie. A szczerze pragnęła podejść do niej uczciwie. Lecz jeśli ma być uczciwa, musi wyprzeć wspomnienia i udawać, że go nie zna.

Nie mogła uwierzyć, że zależało mu tylko na tym, żeby przeczytała książkę. To musiało być coś bardziej osobistego – jakiś nowy zwrot w ich nieżywej miłości. Zastanawiała się, czego zdaniem Edwarda brakowało w tej powieści. List wskazywał, że nie ma pojęcia, ale mógł się za tym kryć jakiś tajemny przekaz: Susan i Edward, subtelna pieśń miłosna? Przeczytaj, a kiedy będziesz się zastanawiała, czego brakuje w tej książce, odnajdziesz Susan.

Albo – co bardziej prawdopodobne – znienawidzisz Susan, choć wydawało się, że wyzbyli się nienawiści bardzo dawno temu. Jeśli to ona była czarnym charakterem, to, czego brakowało, mogło być trucizną ukrytą w jabłku jak dla Królowej Śnieżki. Dobrze byłoby się dowiedzieć, do jakiego stopnia Edward silił się na ironię w swoim liście.

Więc choć się przygotowywała, bez przerwy o tym zapominała i nie zabierała się do lektury, a po pewnym czasie doszła do wniosku, że musi pogodzić się z porażką. Ta myśl wywołała w niej przekorę i zawstydzenie, aż pewnego dnia tuż przed świętami nadeszła kartka od Stephanie, a z nią wiadomość od Edwarda. Pisał, że trzydziestego grudnia przyleci do Chicago tylko na jeden dzień; zatrzyma się w Marriotcie, może zechciałaby się z nim zobaczyć. Poczula niepokój, bo z pewnością będzie chciał rozmawiać o nieprzeczytanej książce, ale zorientowała się, że ma jeszcze mnóstwo czasu na lekturę, i odetchnęła z ulgą. Po świętach. Arnold, jej mąż, wyjeżdża na trzy dni na zjazd kardiologów. Wtedy będzie mogła czytać. Przynajmniej czymś się zajmie i będzie miała jakąś rozrywkę podczas nieobecności męża. No i nie będzie musiała czuć się winna.

Zaczyna się zastanawiać, może trochę zbyt wcześnie, jak Edward teraz wygląda. Zapamiętała go jako blondyna o ptasiej twarzy z oczyma wpatrzonymi w czubek własnego ptasiego nosa, niewiarygodnie chudego, z rękoma jak patyki, o ostro zakończonych łokciach, z nieproporcjonalnie dużymi genitaliami wśród samych kości. Mówił cicho, urywanymi zdaniami, niecierpliwie, jakby to, co był zmuszony powiedzieć, nie nadawało się przez swą trywialność do wypowiedzienia.

Czy teraz wyda się jej bardziej dostojny, bardziej pompatyczny? Prawdopodobnie przybrał na wadze i posiwiał, o ile nie wyłysiał. Zastanawia się, co sobie o niej pomyśli. Chciałaby, żeby zauważył, iż stała się znacznie bardziej tolerancyjna, spokojna i wspaniałomyślna, że wie znacznie więcej niż kiedyś. Obawia się przy tym, że może się zniechęcić różnicą między

dwudziestoczterolatką a czterdziestodzieściolatką. Niedawno zmieniła okulary, ale w czasach Edwarda w ogóle ich nie nosiła. Jest pulchniejsza, ma większy biust, rumiane – blade niegdyś – policzki, wypukłości tam, gdzie kiedyś miała wklęśnięcia. Jej włosy, które w czasach Edwarda były długie, proste i jedwabiste, są schludnie przycięte, krótkie i siwawe. Jest zdrowa i doskonale się trzyma, a Arnold mawia, że wygląda jak skandynawska narciarka.

Ponieważ ma zamiar zabrać się do lektury, zastanawia się, jakiego rodzaju jest ta powieść. Przypomina jej to trochę podróż do nieznanego kraju. Fatalnie, jeśli książka okaże się nieporadna, co byłoby jakąś zemstą na przeszłości, ale jednocześnie Susan czułaby się zażenowana. Lecz nawet jeśli powieść nie jest nieporadna, istnieje ryzyko, że zmusi Susan do intymnej wędrówki po nieznanym umysłowości, do podziwiania bóstw, które dla niej nie mają żadnego znaczenia, choć mogą mieć znaczenie dla innych, zmusi do słuchania zwierzeń nieznanym, których nie wybierała, i do brania udziału w całym obcych obrzędach. A za przewodnika będzie miała Edwarda, z którego dominacją tak usilnie kiedyś walczyła.

Skutki negatywne są przerażające: książka może ją zanudzić na śmierć, może ją obrazić, zalać swoim sentymentalizmem albo ogłuszyć przygnębieniem i posępnością. Co może interesować czterdziestodzieściolatki Edwarda? Wie tylko na pewno, czym powieść nie będzie. O ile w Edwardzie nie dokonała się radykalna przemiana, nie będzie to kryminał, książka o sportowcach ani o Dzikim Zachodzie. Nie będzie to historia krwawej zemsty.

Co zostaje? Niedługo się przekona. Rozpoczyna lekturę w poniedziałek wieczorem, dzień po świętach, zaraz po wyjeździe Arnolda. Będzie czytała przez trzy popołudnia.

Pierwsza sesja

Jeden

Tego wieczoru, gdy Susan Morrow zasiada do lektury maszynopisu Edwarda, ogarnia ją przeraźliwy strach. Zaczyna się w chwili intensywnej koncentracji, umykającej zbyt szybko, by ją uchwycić, ale zostawiającej po sobie osad nieokreślonego lęku. Ryzyka, groźby, katastrofy – sama nie wie czego. Usiłuje przywołać to, czym zajmowała się wcześniej, wraca myślami do kuchni: do rondli i naczyń, do zmywarki. Potem do głębokiego oddechu, jaki wzięła na sofie w salonie, gdzie przyszła jej do głowy niebezpieczna myśl. Dorothy i Henry oraz kolega Henry’ego, Mike, grają w monopol na podłodze w gabinecie. Odmawia przyłączenia się do nich.

W salonie stoi choinka, na kominku są poustawiane bożonarodzeniowe kartki, a na sofie leżą gry planszowe i inne prezenty rozwinięte ze świątecznego papieru. Bałagan. W domu zamierają rozmowy o ruchu lotniczym z lotniska O’Hare, Arnold doleciał już do Nowego Jorku. Nie może sobie przypomnieć, co ją przeraziło, usiłuje nie zwracać na to uwagi, opiera nogi o stoliczek do kawy, wydyma policzki i przeciera okulary.

Zamartwianie się nie daje za wygraną, nasila się bardziej, niż jest w stanie to pojąć. Przeraża ją wyjazd Arnolda, jeśli istotnie jest tym, na co wygląda, czyli końcem świata, choć rzecz jasna nie znajduje logicznego wytłumaczenia dla obaw tego rodzaju. Samoloty spadają, ale i nie spadają. Zjazd wydaje się niegroźny. Ludzie będą rozpoznawać Arnolda albo odczytywać jego nazwisko z identyfikatora. Będzie mu jak zwykle przyjemnie, kiedy się przekona, jak bardzo jest wybitny, co wprawi go w doskonały nastrój. Rozmowa w sprawie pracy w Chickwash niczego nie zmieni, jeśli nie stanie się nic więcej. A gdyby przypadkiem coś się stało, ma przed sobą nowe życie i szansę na przeprowadzkę do Waszyngtonu, jeśli tylko będzie chciała. Poleciał ze współpracownikami i starymi asystentkami – z ludźmi, którym może ufać. Prawdopodobnie jest tylko zmęczona.

Tak czy siak, odkłada Edwarda. Czyta jakieś błahostki w gazecie, jakieś felietony, rozwiązuje krzyżówkę. Maszynopis stawia opór albo to ona stawia mu opór, boi się zacząć, bo książka może sprawić, że zapomni o niebezpieczeństwie – jakimkolwiek. Manuskrypt jest taki ciężki, taki gruby... Książki na początku zawsze stawiają opór, bo zabierają dużo czasu. Niekiedy ukrywają na zawsze to, o czym myślała. Kiedy kończy lekturę, staje się czasem zupełnie inną osobą. A ta książka jest gorsza od innych, bo powrót

Edwarda do jej życia powoduje nowy zamęt, który ma niewiele wspólnego z tym, o czym ona sama myśli. Edward jest niebezpieczny, a jego wynurzenia są jak tykająca bomba zegarowa. Nieważne. Jeśli nie potrafi przypomnieć sobie, na czym polegał ich problem, ta powieść ukryje to jeszcze głębiej. A wtedy przeczyta ją od deski do deski. Otwiera karton, spogląda na tytuł: *Zwierzęta nocy*. Oczyma duszy widzi jakąś budowlę w zoo, do której wchodzi się przez tunel: pogrążone w półmroku terraria oświetlone słabymi fioletowymi lampami, pełne przedziwnych, ruchliwych stworzeń o olbrzymich uszach i wielkich wypukłych źrenicach, stworzeń, dla których dzień jest nocą. Do roboty! Zaczniemy!

Zwierzęta nocy 1

Był taki człowiek, Tony Hastings, który miał żonę Laurę i córkę Helen. Pewnej nocy podróżowali we troje na wschód autostradą międzystanową przez północną Pensylwanię. Wybierali się na wakacje do letniego domu w Maine. Jechali nocą, bo spóźnili się z wyjazdem, a po drodze jeszcze złapali gumę. To Helen wpadła na ten pomysł, kiedy wrócili do samochodu po obiedzie gdzieś we wschodnim Ohio.

– Nie szukajmy motelu – zaproponowała. – Możemy przecież jechać przez całą noc.

– Mówisz poważnie? – zapytał Tony Hastings.

– Jasne, dlaczego nie?

Propozycja ta naruszyła ustalony przez niego porządek i wywróciła do góry nogami jego przyzwyczajenia. Był profesorem matematyki, który szczycił się swoją odpowiedzialnością i zdrowym rozsądkiem. Przestał palić przed sześcioma miesiącami, ale nadal wkładał fajkę do ust, gdyż ta zawsze nadawała mu stateczny wygląd. Usłyszawszy sugestię Helen, w pierwszej chwili miał zamiar rzucić: Nie bądź idiotką, ale ugryzł się w język, bo chciał być dobrym ojcem. Uważał się za dobrego ojca, dobrego nauczyciela i dobrego męża. Dobrego człowieka. A mimo to czuł jakieś pokrewieństwo z kowbojami i baseballistami. Nigdy nie siedział w siodle, a od wczesnej młodości nie grał w baseball; nie był też przesadnie wysoki i silny, ale miał czarne wąsy i sądził, że jest ujmujący. Jechali przecież na wakacje, a nocna jazda autostradą jest wyrazem swobody i niezłą przygodą. Poczł się wyzwolony z obowiązku szukania motelu, skręcania przy tablicach informacyjnych, wypytywania w recepcji o wolne pokoje; poczuł uniesienie na myśl o podróżowaniu nocą wbrew nawykowi i zdrowemu rozsądkowi.

- Usiądziesz za kierownicą o trzeciej nad ranem?
- Kiedy tylko zechcesz, tatku, kiedy tylko zechcesz!
- Co o tym myślisz, Lauro?
- Nie będziesz rano zbyt wyczerpany?

Wiedział, że po tej egzotycznej nocy nastąpi upiorny dzień i będzie się czuł okropnie, usiłując nie zasnąć przez całe popołudnie i przywrócić im wszystkim normalny rozkład dnia, ale był przecież kowbojem na wakacjach i nadeszła właściwa pora, żeby móc się wykazać brakiem odpowiedzialności.

– Okay – rzucił. – Jedźmy!

Jechali więc dalej, mknęli międzystanową autostradą w zapadającym z wolna czerwcowym zmroku, mijali ośrodki przemysłowe, wchodzili z dużą szybkością w łagodne łuki zakrętów, wjeżdżali na długie wzniesienia i zjazdy pośród farm, a zachodzące za ich plecami słońce migotało w oknach zagród wznoszących się przed nimi na wyżynnych łąkach. Trzyosobowa rodzina wpadła w euforyczny nastrój: wszystko było zupełnie nowe! Wymieniali się okrzykami zachwytu nad pięknem krajobrazu o zmierzchu, nad światłem padającym z tyłu, żółtymi polami, zielonymi lasami, domostwami skąpanymi w mrocznej świetlistości i przemienioną przez nią nawierzchnią autostrady – srebrzystą we wstecznym lusterku i czarną przed maską samochodu.

O zmroku zatrzymali się, żeby zatankować, a kiedy wracali na autostradę, Tony, ojciec rodziny, wypatrzył autostopowicza w łachmanach, stojącego na poboczu wjazdu. Dodał gazu. Autostopowicz trzymał w ręku tabliczkę z napisem BANGOR ME.

Córka Helen krzyknęła mu do ucha:

– Tatku, on jedzie do Bangor w Maine! Zabierzmy go!

Tony Hastings przyspieszył jeszcze bardziej. Autostopowicz, tylko w ogrodniczkach, gołe ramiona, długa jasna broda i przepaska we włosach. Zajrzał Tony’emu w oczy, kiedy go mijali.

– Och, tatku...

Zerknął przez lewe ramię, żeby sprawdzić, czy pas na autostradzie jest wolny.

– Jechał do Bangor! – powtórzyła.

– Chciałabyś podróżować w takim towarzystwie przez najbliższe dwanaście godzin?

– Nigdy nie zabierasz autostopowiczów.

– Nieznajomych – dodał z naciskiem, pragnąc przestrzec Helen przed czyhającymi na tym świecie niebezpieczeństwami, co nie zmieniało faktu, że zabrzmiało to arogancko.

– Niektórzy ludzie mają mniej szczęścia od nas – mruknęła. – Nie czujesz się winny, zostawiając ich samych na drodze?

– Winny? Chyba mnie z kimś mylisz.

– Jedziemy samochodem, w tym samym kierunku. Mamy dużo miejsca.

– Och, Helen – przerwała jej Laura. – Nie zachowuj się jak prymuska.

– No właśnie! Moi koledzy wracają do domu ze szkoły autostopem! Co by było, gdyby wszyscy myśleli tak jak wy?

Chwila ciszy. Potem znów Helen:

– Ten gość był w porządku. To widać po wyglądzie.

Tony uśmiechnął się pod nosem, przypomniawszy sobie brodacza w podartych ogrodniczkach.

– Ten gość, który chciał, żeby go zbangorzyć?

– Tatku!

W nadciągającej nocy krył się zew szaleństwa, nowych odkryć, czegoś nieznanego.

– Trzymał tabliczkę – upierała się Helen. – Nie machał, tylko trzymał tabliczkę, co należy uznać za wyraz dobrego wychowania i taktu. I miał gitarę! Nie zauważyłeś gitary?

– To nie była gitara. To był karabin maszynowy – rzucił lekko Tony. – Wszyscy bandyci ukrywają broń w futerałach na instrumenty, bo chcą uchodzić za muzyków.

Laura położyła mu dłoń na potylicy.

– Wyglądał jak sam Jezus Chrystus! Tatku, nie zwróciłeś uwagi na jego szlachetne rysy.

Laura zachichotała.

– Każdy, kto ma długą brodę, wygląda jak Jezus Chrystus – oznajmiła.

– Właśnie o to mi chodzi – powiedziała Helen. – Jeśli ma długą brodę, nie może być bandytą.

Laura nadal głaskała go po potylicy, a między nimi pojawiła się głowa Helen, pochylającej się ku nim z tylnego siedzenia.

– Tatku?

– Słucham?

– Jak brzmiał ten wulgarny żart? Ten, który powiedziałeś przed chwilą?

– Nie wiem, o czym mówisz.

O niczym. Jechali spokojnie poprzez zmrok. Później córka Helen śpiewała harcerskie piosenki, a matka Laura dzielnie ją w tym wspierała. Nawet ojciec Tony, który nigdy nie śpiewał, wtórował im basem i wieźli te swoje piosenki po szerokiej pustej autostradzie międzystanowej, biegnącej przez

Pensylwanię, a kolory gęstniały i zlewały się w ciemność.

Potem zapadła noc i Tony Hastings jechał sam, bo pozostałe głosy ucichły. Słyszał tylko szum wiatru, zagłuszający szum silnika i opon, a jego żona Laura siedziała obok bez słowa, a córka Helen zniknęła bez słowa na tylnym siedzeniu. Ruch był mały. Od czasu do czasu na pasach autostrady biegnących w drugą stronę pojawiały się światła, migoczące między drzewami rozdzielającymi jezdnie. Czasem światła te unosiły się lub opadały, kiedy jezdnie różniły się wysokością. Po swojej stronie wypatrywał świateł czerwonych, które najczęściej wyprzedzał, a niekiedy w lusterku wstecznym rozbłyskiwały czyjeś reflektory i doganiał go jakiś samochód albo ciężarówka, ale przeważnie jechał po swojej stronie sam. Po bokach autostrady nie było widać żadnych świateł, więc domyślił się, że jedzie przez las, choć niczego nie widział. Był rad, że od tej dziczy oddziela go maska samochodu, i podśpiewywał pod nosem, myśląc o kawie, którą wypije za godzinę, a tymczasem napawał się swoim dobrym samopoczuciem, spokojem i rozbudzeniem – trwał na posterunku niczym kapitan statku, kiedy pasażerowie śpią. Był rad, że zostawił za sobą autostopowicza, że miał kochającą żonę i dowcipną córkę.

Należał do chełpliwych kierowców ze skłonnością do zadufania. Starał się jak mógł, żeby nie przekraczać przepisowych sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Na długim podjeździe zaczął wyprzedzać dwa samochody jadące obok siebie i blokujące oba pasy. Jeden z nich usiłował wyprzedzić drugi, ale nie dawał rady. Tony zredukował bieg i zjechał na lewy pas tuż za wyprzedzającym. – No, dawaj! – mruknął. – Gazu! – Bo należał też do kierowców niecierpliwych. A potem zdał sobie sprawę, że samochód, który ma przed sobą, wcale nie wyprzedza tego drugiego, ale jedzie z nim bok w bok, bo kierowcy prowadzą rozmowę, a teraz w dodatku zwalniają!

Jasna cholera! Blokujecie drogę! Jako kierowca Tony chełpił się tym, że nigdy na nikogo nie trąbi, ale teraz walnął dłonią w klakson. Samochód jadący przed nim dodał gazu. Tony przyspieszył, wyprzedził ten drugi samochód i zjechał na prawy pas, nieco zawstydzony. Wolne auto zostawało z tyłu. To z przodu, które się wyrwało, znowu zwalniało. Domyślił się, że kierowca czeka na tamtego, żeby podjąć na nowo rozmowę, więc przyspieszył jeszcze bardziej, żeby go wyprzedzić, ale wyprzedzany zjechał na lewy pas i zablokował mu drogę, a Tony gwałtownie zahamował. Przeżył wstrząs, kiedy zdał sobie sprawę, że kierowca tamtego auta ma zamiar grać z nim w kotka i myszkę. Tamten zwolnił jeszcze bardziej. We wstecznym lusterku Tony widział daleko za sobą światła trzeciego auta. Starał się nie trąbić.

Zwolnili obaj do trzydziestu mil na godzinę. Postanowił, że wyprzedzi go z prawej, ale tamten był szybszy i zajechał mu drogę na prawym pasie.

– Cholera! – zaklął.

Laura się poruszyła.

– Mamy problem.

Jadący przed nim samochód nieco przyspieszył, ale ciągle się włókł. Trzecie auto było daleko z tyłu. Tony zatrąbił.

– Nie rób tego – powiedziała Laura. – Właśnie o to mu chodzi.

Tony walnął bezsilnie dłonią w kierownicę. Zastanawiał się przez chwilę i wziął głęboki oddech.

– Trzymajcie się! – rzucił i wcisnął gaz do dechy, zjeżdżając gwałtownie na lewy pas. Tym razem mu się udało. Wyprzedzany trąbił, a Tony przyspieszał.

– Dzieciaki... – mruknęła Laura.

– Banda głupków! – skomentowała Helen z tylnego siedzenia.

Nie wiedział, że nie spała.

– Pozbyliśmy się ich? – zapytał retorycznie Tony. Wyprzedzony samochód został nieco z tyłu i Tony poczuł ulgę.

– Helen! – zawołała niespodziewanie Laura. – Tak nie wolno!

– Co? – spytał Tony.

– Pokazała im środkowy palec.

Tamto auto było wielkim starym buickiem, ciemnym, granatowym albo czarnym, z wgniecionym lewym zderzakiem. Nie zdążył spojrzeć, kto w nim siedział. Teraz znów się zbliżało. Przyspieszył do osiemdziesięciu, ale światła tamtego były blisko, siedział mu niemal na ogonie.

– Tony... – szepnęła Laura.

– O, Chryste! – mruknęła Helen.

Dodał jeszcze gazu.

– Tony... – powtórzyła Laura.

Trzymali się blisko niego.

– Jedź normalnie – powiedziała.

Trzeci samochód został gdzieś z tyłu, jego światła zniknęły na łukach i po długiej przerwie wyłaniały się na prostych.

– W końcu im się znudzi.

Zwolnił do sześćdziesięciu pięciu na godzinę, tamten samochód był tak blisko, że nie widział już jego reflektorów w lusterku, widział tylko jaskrawą poświatę. Tamten zaczął trąbić i wziął się do wyprzedzania.

– Pozwól mu – powiedziała Laura.

Buick wjechał na lewy pas i trzymał się obok niego, jadąc szybciej, kiedy

Tony przyspieszał, i wolniej, kiedy zdejmował nogę z gazu. Siedziało w nim trzech mężczyzn. Nie widział ich zbyt dobrze, oprócz tego, który siedział z przodu w fotelu pasażera: miał brodę i szczyrzył do niego zęby.

Postanowił jechać zgodnie z przepisami sześćdziesiąt pięć mil na godzinę. Nie zwracać na nich uwagi, jeśli tylko zdoła. Zajechali mu drogę i zwolnili, zmuszając go do hamowania. Kiedy chciał ich wyprzedzić, nie dopuścili do tego. Wrócił na prawy pas i wtedy pozwolili mu do siebie dojechać. Potem zajechali mu drogę i zaczęli zmieniać pasy, lawirując między prawym a lewym. Zjeżdżali na prawy pas, jakby chcieli, żeby ich wyprzedził, a kiedy to robił, zajeżdżali mu drogę. W przyływie wściekłości postanowił, że nie ustąpi! Rozległ się głośny metaliczny brzęk, autem szarpnęło – wiedział, że ich trafił.

– Kurwa! – zaklął.

Tamci, jakby przerażeni, zjechali na prawy pas i ustąpili mu drogi. Wyprzedzał ich, myśląc, że zasłużyli na to, że sami się o to prosili, ale... – o kurwa – zdaje się, że powtórzył to głośno i zwolnił, zastanawiając się, co należy zrobić. Zwalniali za nim.

– Co ty wyprawiasz! – zawołała Laura.

– Powinniśmy się zatrzymać.

– Tato! – krzyknęła Helen. – Nie możemy się zatrzymać!

– Uderzyliśmy w nich, musimy się zatrzymać.

– Pozabijają nas!

– Zatrzymują się?

Zastanawiał się nad konsekwencjami opuszczenia miejsca wypadku, zastanawiał się, czy wypadek tamtych nie otrzeźwił, czy można przyjąć takie założenie.

Wówczas usłyszał Laurę. Mimo wiary we własne siły często polegał na jej ocenach moralnych, a Laura mówiła teraz:

– Tony, błagam, nie zatrzymuj się! – Mówiła to niskim, spokojnym głosem, który miał pamiętać bardzo długo.

Więc się nie zatrzymał.

– Możesz zjechać z autostrady. Znajdziemy posterunek policji i o wszystkim zameldujemy – powiedziała.

– Zapisałam ich numery – rzuciła Helen.

Ale tamci nie dali za wygraną, z rykiem silnika podjechali lewym pasem, a ten z brodą wystawił rękę przez okno, wymachiwał nią, potrząsał albo coś pokazywał, krzycząc przy tym do Tony'ego. Wyprzedzili go i zajeżdżali mu drogę, usiłując zepchnąć go na pobocze.

– Boże, zmiłuj się nad nami – szepnęła Laura.

– Rozwal ich! – wrzasnęła Helen. – Nie pozwól im na to, nie pozwól!

Nie zdołał uniknąć drugiego zderzenia, lżejszego, przy którym coś tylko trzasnęło po lewej stronie. Ale coś się też zepsuło i zaczęło łomotać, wprawiając kierownicę w drżenie. Zmuszali go, żeby zwolnił. Samochód dygotał, jakby został śmiertelnie ranny, a Tony poddał się, skręcił na pobocze i zaczął hamować. Tamci stanęli przed nim. Trzeci samochód – ten, który trzymał się z tyłu – wyłonił się z mroku i przemknął obok z wielką prędkością.

Tony Hastings sięgnął do klamki, ale Laura złapała go za ramię.

– Nie rób tego – syknęła. – Zostań w samochodzie.

Dwa

Na tym kończy się rozdział i Susan Morrow przerywa lekturę, żeby się zastanowić. Powieść zapowiada się poważniej, niż się spodziewała. Czuje ulgę, podoba jej się zdecydowany styl Edwarda, który rzeczywiście dobrze opanował pisarskie rzemiosło. Coś się zaraz wydarzy i Susan boi się o Tony'ego i jego rodzinę na pustej autostradzie, oko w oko z prawdziwym zagrożeniem. Czy Tony i jego bliscy będą bezpieczni w zamkniętym aucie? Chodzi nie o to – zdaje sobie sprawę – czy Tony zdoła uratować rodzinę, ale o to, jak dalej potoczą się jego losy. W tym wypadku wszystko zależy od Edwarda, od tego, co chce z nim zrobić.

Docenia jego ironię, kiedy portretuje Tony'ego – ironię wskazującą na dojrzałość, umiejętność krytycznego spojrzenia na siebie. Na usta cisną się jej niedopuszczalne pytania: na przykład, czy to ta Stephanie od świątecznych kartek głaszcze Tony'ego czule po potylicy i czy ta Helen należy do rodziny Edwarda. Napomina się: bierze Tony'ego za Edwarda, a przecież to fikcja, tylko że nazwisko Tony'ego brzmi tak jak nazwa miejscowości, w której oboje dorastali, więc ciekawe, czy Edward zrobił to celowo.

Zastanawia się, co Stephanie sądzi o mężu pisarzu. Przypomina sobie, że kiedy Edward powiedział jej, że chce rzucić studia i pisać, poczuła się zdradzona, ale wstydziła się do tego przyznać. Po rozwodzie, dzięki doniesieniom matki, przyglądała się klęsce Edwarda na tym polu. Wyciągała z tego własne wnioski, przypatrując się stopniowej przemianie Edwarda Poety w Edwarda Kapitalistę – wnioski, które rozwiewały jej wcześniejsze wątpliwości. Od pisania wierszy do pisania o sporcie. Od pisania o sporcie do wykładania dziennikarstwa. Od wykładania dziennikarstwa do ubezpieczeń. Był, jaki był, a nie był tym, kim nie był. Pieniądze zawsze rekompensują stracone złudzenia. No i Stephanie, która niewątpliwie stała za nim murem przez cały czas. Tak podejrzewała Susan, ale mogła się też mylić.

Przed rozpoczęciem dalszej lektury usiłuje się umiejscowić, odnaleźć we własnym domu. Kładzie karton z maszynopisem na sofie, obok siebie, spogląda świeżym okiem na dwa obrazy wiszące na ścianach: abstrakcyjną plażę i brązowe figury geometryczne. Na podłodze w gabinecie ktoś zgarnia majątek – śmiech Mike'a, kolegi Henry'ego, brzmi złośliwie. Na szarym dywaniku w salonie Jeffreyowi drgają przez sen boki. Do Jeffrey'a podchodzi Martha, obwąchuje go, wskakuje na stoliczek do kawy i o mało nie zrzuca

z niego aparatu fotograficznego Dorothy. Czego?

Przed rozpoczęciem czytania przypomina sobie jeszcze o tym groźnym, niezidentyfikowanym potworze, który wcześniej zagościł w jej myślach. Czy książka go uśpiła? Wystarczy, że będzie czytała dalej. Akapity i rozdziały o pustej autostradzie pewnej nocy. Myśli o Tonym: chuda pociągła twarz o ptasim nosie, okulary, smutne podkrążone oczy. Nie! To Edward! Tony ma czarne wąsy! Musi zapamiętać te wąsy...

Zwierzęta nocy 2

Otworzyły się drzwi kierowcy starego buicka, z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna. Tony Hastings czuł dłoń swojej żony Laury na ramieniu; dłoń, która go powstrzymywała lub dodawała mu ducha. Czekał. Pozostali mężczyźni z samochodu patrzyli na niego przez okno. Nie widział ich twarzy.

Ten, który wysiadł, zbliżał się powoli. Miał na sobie baseballowy dres, rozpięty u góry i zapięty na dole. Trzymał ręce w kieszeniach. Wysokie czoło, początki łysiny. Zerknął na przód samochodu Tony'ego Hastingsa i podszedł do drzwi.

– Dobry... – powiedział.

Tony Hastings czuł wzbierającą wściekłość z powodu tego, przez co musiał przejść, ale bardziej się bał, niż złościł.

– Dobry wieczór – odpowiedział.

– Trzeba się zatrzymać, kiedy dochodzi do kolizji.

– Wiem o tym.

– To czemuś się nie zatrzymał?

Tony'ego Hastingsa zatkało. Nie zatrzymał się tylko dlatego, że się bał, ale teraz bał się do tego przyznać.

Mężczyzna pochylił się i zajrzał w głąb auta, patrząc na Laurę i siedzącą z tyłu Helen.

– No więc?

– Co?

– Czemuś się nie zatrzymał?

Z bliska facet miał wielkie zęby w małych ustach i cofnięty podbródek. Do tego wytrzeszcz nad zapadniętymi policzkami i kaczy kuper z resztki włosów za łysiną. Poruszał szczękami, ale nie był w stanie domknąć ust. Na dresowej kurtce miał gustowną literę Y wyhaftowaną na lewej piersi. Tony Hastings był szczupły, w ogóle nie miał mięśni, ale miał czarne wąsy i delikatną, wrażliwą twarz. Trzymał dłoń na kluczyku w stacyjce. Okno było lekko

uchylone, drzwi zamknięte od wewnątrz.

Laura odezwała się stanowczym głosem:

– Jechaliśmy zameldować o wszystkim policji.

– Policji? Nie wolno opuszczać miejsca kolizji. To przestępstwo.

– Mamy powody, aby wam nie ufać, w dodatku nocą na pustej autostradzie... – dodała Laura. Mówiła głośniej niż zazwyczaj i takim tonem, którego używała, kiedy wypowiadała się o rzeczach drastycznych, obrazoburczych lub najświętszych.

– Coś powiedziała?

– Wasze zachowanie na drodze...

Mężczyzna zawołał:

– Hej, Turk!

Drzwi z prawej strony auta otworzyły się jednocześnie i z buicka wysiedli dwaj mężczyźni. Nigdzie im się nie spieszyło.

– Ostrzegam pana! – krzyknęła Laura. – Bądź gotów... – szepnęła do Tony'ego.

Mężczyzna położył dłonie na opuszczonej do połowy szybie, wsunął głowę do środka i wyszczerzył zęby:

– Coś powiedziała? Ostrzegasz mnie?

– Trzymajcie się od nas z daleka!

– A czemuż to, paniusiu? Doszło do kolizji, o której trzeba zameldować.

Tamci dwaj, którzy wysiedli z buicka, mieli ze sobą latarkę. Skierowali światło na przód samochodu Tony'ego. Oparli się rękoma o maskę i zajrzeli pod spód.

– W porządku – rzucił Tony. W porządku, pomyślał, jeśli chcą spisać protokół wypadku, spisemy protokół wypadku. – Wymienimy się danymi.

– Masz jakieś dane na wymianę?

– Nazwisko, adres, numer ubezpieczenia... – Poczuł, że Laura szarpie go za rękaw. Podawanie tym bandytom ich danych nie było jej zdaniem najlepszym pomysłem. Ale protokół to protokół, nie da się tego obejść.

– Numer ubezpieczenia, co...? – zachichotał tamten.

– Nie ma pan ubezpieczenia?

– Ha!

– Zamelduję o tym policji – pisnął Tony. Słyszał, jak brzmi jego głos.

– Zgadza się, zaraz zameldujemy o tym glinom, co nie? – mruknął tamten.

– Pojedziemy razem na posterunek. Bardzo proszę... – odpowiedział Tony.

– Świetny pomysł, facet! Wiadomo, co trzeba zrobić! Pojechać razem na posterunek! A co będzie, jak dasz nogę? To była twoja jebana wina, co nie?

- To się dopiero okaże! – krzyknęła Laura.
- Hej, Ray! – zawołał jeden z tych z przodu. – Złapał gumę.
- No nie... dosyć tego! – zawołał Tony.

Ray poszedł popatrzeć. Wszyscy trzej rzeli.

- No i co na to powiesz?

– Jasna sprawa.

Któryś z nich kopnął w koło, aż samochód się zatrząsał.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę – syknęła Helen.

Wszyscy trzej podeszli teraz do drzwi Tony'ego. Jeden miał czarną brodę i wyglądał jak filmowy bandyta. Trzeci był okrągły na twarzy i miał okulary w srebrnej oprawce.

- Tak jest – rzucił Ray. – Złapałeś gumę z przodu z prawej, jasna sprawa.

– Masz oponę jak naleśnik – dodał ten z brodą filmowego bandyty.

– Jak naleśnik! – powtórzył rozbawiony Ray. – Pękła ci, jak żeś nas spychał z drogi.

Któryś zachichotał.

- To nie ja! To wy...

– Nie dyskutuj z nim – syknęła Laura.

– Nie słuchaj ich, tatusiu! Nie słuchaj ich! To wszystko kłamstwa! I podstęp.

– Co jest? – odezwał się Ray urażonym tonem. – Kogo nazywasz kłamcą? Czemu ma mnie nie słuchać? Ożeż, kurwa, człowieku... – Machnął do kumpli. – W porządku, nie słuchaj mnie, bo jestem kłamcą. Nie masz pękniętej opony i możesz jechać. Odpal silnik i jedź. Jedź i niech cię cholera. Szerokiej drogi. Nikt was nie zatrzymuje.

Tony się zastanawiał. Wiedział, co oznaczały tamte wibracje i drzenie kierownicy, kiedy musiał się zatrzymać po drugim zderzeniu. Opadł na fotel i zaklął:

- Jasna cholera...

– Coś ci powiem – burknął Ray. – Zmienimy ci to koło. – Rozejrzał się po kompanach. – Co nie, chłopaki?

- No jasne – odpowiedział któryś.

– Udowodnimy ci, że jesteśmy w porządku, i zmienimy ci koło. Nie kiwniesz nawet palcem. A potem pojedziemy razem na policję, ty i ja, i zameldujemy o wypadku.

- Nie wierz im – syknęła Helen.

– Gdzie masz narzędzia, facet? – spytał ten z brodą.

- Nie wysiadaj z samochodu – upomniała go Laura.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział jej Ray. – Mamy swoje. No dobra, do roboty.

Wszyscy trzej podeszli do bagażnika buicka, a Tony, jego żona i córka przyglądali się im, nie otwierając drzwi. Wpatrywali się w mężczyzn wyjmujących podnośnik i łyżkę do opon.

– Masz zapasowe koło? – zapytał ten w okularach.

Zarechotali, oprócz Raya.

– Nie można zmienić koła, jak się nie ma zapasu – mówił poważnie Ray. Nawet się nie zająknął. Wpatrywał się w nich przez szybę i milczał, by w końcu powiedzieć: – Dasz mi kluczyki do bagażnika?

– Nie rób tego! – rzuciła Helen.

Mężczyzna wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – spytał.

Tony Hastings westchnął i otworzył drzwi.

– Zajmę się tym – powiedział.

Usłyszał, że Helen krzyknęła:

– Tatusiu!

Laura uspokajała ją:

– Niczym się nie przejmuj. Spokojnie.

Wysiadł z auta i otworzył bagażnik, wyjął walizki i pudła w świetle latarki, którą przyświecał mu mężczyzna z brodą. Dokopał się do zapasowego koła. Dwóch z nich zabrało się do wyciągania go z bagażnika, a Ray stał i patrzył. Wsunęli podnośnik pod przód samochodu.

– Każ im wysiąść z auta – powiedział ten z brodą.

– To nie jest konieczne – odrzekł Tony Hastings.

– Każ im wysiąść. To my ci naprawiamy koło i wiemy, co jest konieczne.

Tony spojrzął na żonę i córkę.

– W porządku – zwrócił się do nich. – Chcą, żebyście wysiadły, kiedy będą zmieniać koło.

Wysiadły więc i stanęły obok Tony'ego przy drzwiach auta. Jeśli ci ludzie są niebezpieczni, myślał, lepiej stać blisko drzwi. Mężczyźni wzięli się do pracy, podnosząc samochód i zdejmując koło.

– Hej, ty! – zawołał Ray. – Chodź no tu!

Tony się nie poruszył. Ray podszedł bliżej i rzucił:

– Myślisz, że jesteś kurewsko ważny, co nie?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– „Nie wiem, o czym pan mówi!”. One też myślą, że są kurewsko ważne, co nie?

– Kto?

– Te dwie kurwy, co z tobą jadą! Ale ty jesteś bossem! Myślisz, że nikt ci nie podskoczy, że zepchniesz gościa z drogi i pojedziesz zameldować o tym glinom!

– Słuchaj, nie wiem, o co wam chodzi, ale jechaliście nieprzepisowo...

– Nieprzepisowo, taa?

Co jakiś czas wymijały ich rozpędzone samochody i ciężarówki. Tony Hastings chciał, żeby któreś z tych aut stanęło, chciał, żeby między nim a tymi nieprzewidywalnymi bandytami znalazł się jakiś cywilizowany człowiek. Jedno z aut zaczęło zwalniać, jakby chciało się zatrzymać; zrobił krok na jezdnię, ale ktoś chwycił go za ramię i pociągnął na pobocze. To był Ray, który teraz stał przed nim, zasłaniając mu widok. Po pewnym czasie na drodze rozbłysły niebieskie policyjne światła. Ocalą nas, pomyślał Tony i rzucił się przed siebie, chcąc zatrzymać zbliżający się szybko wóz patrolowy. Ale policja nie zwolniła i zrozumiał, że nie ma zamiaru przystanąć. Wymachiwał rękoma i krzychał do mknącego samochodu. Słyszał głosy krzyczących za jego plecami kobiet, ale wóz patrolowy pędził z szybkością stu mil na godzinę i po chwili zniknął.

– Tacy są gliniarze – mruknął Ray. – Mogłeś ich zatrzymać.

– Próbowałem – odrzekł Tony. Miał poczucie klęski. Ciekawe, co przeszkodziło policji w udzieleniu mu pomocy w ciemności.

Dwaj pozostali pracowali ochoczo. Wymieniali się żartobliwymi uwagami i Tony doszedł do wniosku, że jeden z nich musi pracować w warsztacie. Tylko Ray zachowywał powagę. Tony'emu Hastingsowi nie podobał się wyraz wyczekiwania widoczny na ściągniętej, pozbawionej podbródka twarzy. Ten człowiek jest wściekły, tłumaczył sobie. Jego własna wściekłość gdzieś wyparowała w obliczu tej przedziwnej sytuacji. Chcą mi pokazać, myślał, że nie są tacy, za jakich ich biorę. Chcą mi udowodnić, że są przyzwoitymi ludźmi. Oby to była prawda.

Trzy

Susan Morrow odkłada przeczytaną stronę. Wraca spokój. Tu, gdzie mieszka, szumi cicho lodówka, a w sąsiednim pokoju krzyczą i śmieją się grające w monopol dzieci. Tu, w tej zalesionej enklawie wijących się podmiejskich uliczek, jest spokojnie i cicho. Jest bezpiecznie. Podnosi rękę, przeciąga się – to znak, że trzeba iść do kuchni po kawę. Opiera się temu impulsowi. Rezygnuje z kawy i zjada opakowaną na zielono miętową czekoladkę, którą wyciąga Marcie spod ogona.

Kiedyś zdarzyło się im jechać przez całą noc: Susan, Arnoldowi i dzieciom. Jechali na Cape Cod. Czy Arnold jest mądrzejszy od Tony’ego Hastingsa? Czy nie wpakowałby się w takie tarapaty? Jest wybitnym kardiochirurgiem. Za wymianę koła mógłby zaoferować tym trzem wstawienie by-passów. Czy to by wystarczyło? Czy uchroniłoby ich przed najgorszym? Arnold ciągle się uśmiecha i jest chłopcem o jasnych włosach, z zacięciem do niezbyt smacznych żartów, na które trzeba reagować. Teraz jest już w hotelu – prawie o nim zapomniała, martwiąc się losem fikcyjnego Tony’ego. Siedzi w barze na dole i w półmroku wśród tropikalnych roślin i bambusów pije drinki z kolegami po fachu. Nie patrz.

Kotka Martha wpatruje się w nią wyczekująco. Z lekkim zdziwieniem. To powtarza się każdego wieczoru: Susan siedzi na sofie i w jasnym snopie światła wodzi wzrokiem po białej kartce papieru, jakby widziała na niej coś, czego Martha dojrzeć nie może. Martha umie wodzić za czymś wzrokiem, ale co można wypatrzeć na własnym podołku i jak można polować z tak odprężonym obliczem? Martha potrafi wodzić za czymś wzrokiem całymi godzinami, ale wtedy drga jej nerwowo ogon, no i zawsze wodzi wzrokiem za czymś! Za myszą, ptakiem albo czymś, co je przypomina. Choćby w jej wyobraźni.

Zwierzęta nocy 3

Mężczyzna o trójkątnej twarzy, który miał na imię Ray i któremu w ustach nie mieściły się zęby, który miał początki łysiny i resztkę włosów zaczesanych w kaczy kuper, stał z rękoma w kieszeniach, przyglądając się, jak jego kompani pracują. Przytupywał stopą, jak do tańca. Nie mogę zapomnieć, że

to człowiek, który zmusił mnie do zjechania na pobocze, powtarzał w duchu Tony Hastings, o niczym nie zapominając. Ray pomrukiwał pod nosem „pierdol się” jak piosenkę. Przytupywał i mruczał „pierdol się”, patrząc na żonę i córkę Tony’ego, stojące obok siebie przy tylnych drzwiach auta, jakby mruczał to do którejś z nich, a potem do Tony’ego, patrząc na Tony’ego – jakby mruczał „pierdol się” do niego. Ten pomruk, ta melodia były ledwo słyszalne: „pierdol się, pierdol się, pierdol się”.

– Na co się patrzysz? – zapytał Ray.

– Zastanawiam się, co chciałeś osiągnąć na drodze – odpowiedział Tony.

Nadjeżdżała ciężarówka. Przejechała z rykiem. Jeśli Ray coś odpowiedział, Tony tego nie słyszał. Ciężarówki lub samochody przejeżdżały teraz co trzy, cztery minuty, może częściej. Dopóki jeżdżą, jesteśmy bezpieczni, myślał Tony, zastanawiając się jednocześnie, jakie niebezpieczeństwo im zagraża.

– Ważniak! – rzucił Ray.

– Co?

– Kierowca, co przestrzega przepisów!

– Co?

– Tylko na to cię stać: „co i co”?

– Posłuchaj...

– Słucham.

Tony’emu odebrało mowę, tamten wyprowadził go z równowagi, a Tony nie przygotował sobie przemówienia na taką emocjonalną okoliczność.

– „Zastanawiam się, co chciałeś osiągnąć na drodze” – przedrzeźniał go Ray.

– Posłuchaj, usiłujemy tylko bezpiecznie dojechać na miejsce.

– Gdzie?

Tony zawahał się.

– Gdzie jedziecie?

– Jedziemy do Maine. Usiłujemy dojechać bezpiecznie do Maine.

– Co jest w Maine?

Tony nie miał zamiaru udzielić mu odpowiedzi.

– Co jest w Maine?

Czuł się jak uczeń terroryzowany przez łobuzów ze starszych klas.

Ray podszedł bliżej.

– Pytam się, co jest w Maine.

Był na tyle blisko, że Tony wyczuł w jego oddechu smród cebuli przemieszany z czymś słodkim, jakimś alkoholem. Napierał na Tony’ego i choć nie był osiłkiem, Tony wiedział, że Ray powaliłby go jednym ciosem.

Cofnął się o krok, Ray napierał dalej. To przez to, że jest młodszy, tłumaczył sobie Tony, usiłując nie pamiętać, że po raz ostatni bił się w szkole i nigdy z nikim nie wygrał. Pochodzę z innego świata, powiedział niemal na głos.

Nie miał zamiaru mówić bandycie, że mają dom letniskowy w Maine.

Ray pochylił się do przodu, zmuszając Tony'ego, by się odchylił. Niech mnie tylko dotknie, niech mnie tylko dotknie, powtarzał w myślach. Ray chwycił go za sweter na piersi i lekko pchnął.

– Mówiłeś, że co jest w Maine?

Puść mnie, powinien być teraz krzyknąć.

– Puść mnie – powiedział. Pisał jak prześladowany uczeń.

– Puść mojego ojca! – Głos Helen zabrzmiał donośnie w ciemności.

– Pierdol się, maleńka! – rzucił Ray. Puścił Tony'ego, zarechotał i podszedł do kobiet.

Przerażony Tony drżał na całym ciele; próbując rozgrzać tchórzliwą krew do właściwej temperatury, poszedł za Rayem.

– Co jest w Maine? Twój tatuś nie chce mi powiedzieć, więc ty mi powiesz, okay? Po co jedziecie do Maine?

– Nie musisz wiedzieć – odburknęła.

– Posłuchaj, maleńka, jesteśmy porządnymi gośćmi. Naprawiamy wam koło, co nie? Więc możesz nam powiedzieć, po co jedziecie do Maine.

– Na wakacje – strzeliła. – Wystarczy?

– Twój tatuś ma się za lepszego ode mnie. Co ty na to?

– Jest lepszy – odpowiedziała.

– Twój tatuś się mnie boi. Boi się, że mu wpierdolę.

– Jesteś gnidą! Śmieciem, lumpem! – Wyrzucała z siebie słowa rozgorączkowanym głosem, niemal krzyząc.

Rozgniewany Ray podszedł do niej. Kiedy Laura usiłowała zastąpić mu drogę, odepchnął ją. Złapał dziewczynę za ramiona i przycisnął do samochodu, a w tej samej chwili od tyłu skoczyła na niego Laura, bijąc go po plecach, drapiąc, odciągając. Odwrócił się i pchnął ją tak mocno, że upadła.

– Kurwa – syknął.

Tony zebrał siły i musiał chyba w jakiś sposób wziąć udział w tej przepychance, bo ujrzał przed sobą wyprostowaną rękę obracającego się Raya, który powalił go jak łomem. Ten łom trafił go prosto w nos. Ray stanął teraz przed nimi i warknął:

– Uważajcie na słowa, skurwysyny. Nikt tak do mnie nie mówi.

Tamci przy kole przerwali pracę, by patrzeć.

Kiedy Tony Hastings zobaczył, jak jego żona Laura upada, kiedy usłyszał

jej krzyk zdumienia i bólu, krzyk, który znał doskonale z zupełnie innych okoliczności, kiedy ujrzał, jak siada na ziemi, w elastycznych spodniach i ciemnym swetrze, i przyglądał się, jak z trudem usiłuje się obrócić, żeby wstać, pomyślał, że dzieje się coś naprawdę złego, coś bardzo złego, jak wybuch wojny. Myślał o tym w taki sposób, jakby nigdy w życiu nie doświadczył żadnego zła. I przypomniał sobie, że kiedy w końcu wziął się w garść, a jego tchórzliwa krew uderzyła mu do głowy i rzucił się na napastnika, który powalił go ręką jak łomem, myślał wtedy: To nie jest szkolny łobuziak. To przydarza się jemu, to on upadł na ziemię.

Ray patrzył na niego z wyrzutem.

– Kurwa mać! Co z wami jest, ludzie! Zmieniamy wam jebane koło! – wrzeszczał. Podszedł do tamtych dwóch. Kończyli, dokręcali śruby. – Jak skończymy, pojedziemy na policję zameldować o spowodowanym przez was wypadku.

– Znajdziemy telefon – wybełkotał Tony.

– Co ty nie powiesz? Widzisz tu jakieś telefony?

– Jakie jest najbliższe miasto?

Dwaj mechanicy zamocowali kołpak na kole. Potoczyli zdjęte koło do bagażnika i wrzucili je do środka razem z podnośnikiem.

– Po co ci miasto?

– Żeby zgłosić się na policję.

– No tak... – mruknął Ray. – Więc jak chcesz się zgłosić?

– Pojedziemy na posterunek.

– Chcesz opuścić miejsce wypadku?

– Więc co proponujesz? Chcesz czekać na następny wóz patrolowy? – Przypomniał sobie, że jeden już przejechał.

– Tato! – zawołała Helen. – Wzdłuż autostrady stoją telefony! Widziałam je!

Tak, stoją. Do wzywania pomocy w nagłych wypadkach.

– Wszystkie są zepsute – zarechotał Ray.

– Ciągle się psują i ciągle trzeba je naprawiać – dorzucił mężczyzna w okularach. Ten z brodą szczyrzył zęby.

– Musimy pojechać do Bailey, nie ma innej rady – powiedział Ray. – Z tych telefonów przy drodze nie dodzwonisz się na policję.

– W porządku – odrzekł stanowczo Tony. – Pojedziemy do Bailey i zgłosimy wypadek na policji.

– A jak chcesz dojechać do Bailey? – zapytał Ray.

– Samochodem.

– Taa? Czyim?
– Każdy swoim.
– Nic z tego, koleś. Nie myśl, że mnie, kurwa, wykiwasz!
– O co chodzi?
– Skąd mam wiedzieć, że nie pryśniesz i nie zostawisz mnie z ręką w nocniku?
– Myślisz, że nie pojedę na policję?
– Skąd mam wiedzieć?
– Spokojna głowa. Mam zamiar zameldować o wszystkim.
– Nawet nie wiesz, gdzie jest Bailey.
– Pojedziesz pierwszy, a my za tobą.
– Ha! – roześmiał się Ray. A potem się nad czymś zastanawiał, patrząc na pogrążone we śnie lasy, jakby coś przyszło mu do głowy. Zastanawiał się nad tym tak głęboko, że niemal o nich zapomniał, przynajmniej na chwilę pogrążył się we własnym śnie. On jest nienormalny, pomyślał Tony, a zdanie to zabrzmiało jak najświeższa wiadomość. Ray wrócił do nich. – A co cię powstrzyma, żeby nie uciec? Żeby nie przejechać na drugą stronę autostrady?
– Masz doświadczenie w ściganiu innych wozów – zauważył Tony. Ray znów się zaśmiał. – Okay, możemy pojechać pierwsi, a wy za nami. W ten sposób wam nie uciekniemy.
Wszyscy trzej zarechotali, jakby opowiedział im dowcip. Tony uśmiechnął się lekko.
– Pierdol się! – rzucił Ray. – Jedzicie z nami!
– Co?
– Jedzicie z nami!
– W życiu!
– Lou pojedzie waszym autem. Lou przestrzega przepisów, zadba o wasz samochód.
– Nie... – jęknęła Helen.
– Nigdy się na to nie zgodzę – powiedział Tony.
– Czemu nie?
– Po pierwsze, nie zostawię wam mojego samochodu...
Ray wyglądał na zaskoczonego.
– Nie zostawisz? Bo co? Myślisz, że go ukradniemy? – Po chwili zastanowienia dodał: – Dobra, ty pojedziesz swoim autem, a dziewczucha z nami.
Helen aż krzyknęła z przestachu. Ruszyła do samochodu, ale Ray zagroził jej drogę.

– Nie rób tego – powiedział Tony.

– Zrobi to – syknął Ray. – Pojedziesz z nami, co nie, kochanie? – Położył dłoń na jej koszuli w kratę, na piersi. Szarpali się.

– Tony... – jęknęła błagalnie Laura. Patrzyła na niego, a Ray przyglądał się im obojgu. Potem Laura krzyknęła: – Zostaw moją córkę!

– Puść ją! – zawtórował jej Tony lekko drżącym głosem.

– Kiedy ona to lubi... – zachichotał Ray.

– Nie! – krzyknęła Helen.

– Lubisz to, maleńka, choć jeszcze o tym nie wiesz...

– Tony... – powtórzyła Laura przyciszonym głosem.

Napiął mięśnie, zacisnął pięści i ruszył w stronę Raya, ale przytrzymał go ten z brodą. Chciał mu się wyrwać. Ten, który nazywał się Ray, zauważył to i odwrócił się do Tony'ego, puszczając Helen. Wyrwała mu się i pobiegła drogą.

– Helen! – zawołał za nią Tony.

– Kto rządzi w tej rodzinie? – spytał Ray.

Nie twój zasrany interes, chciał powiedzieć Tony, ale się nie odezwał. Spoglądał za biegnącą poboczem córką.

– Helen! Helen!

Mężczyzna, na którego mówiono Ray, szczyrzył do niego wielkie, niemieszczące się w ustach zęby. Helen przebiegła pięćdziesiąt jardów i usiadła na jakimś kamieniu leżącym na poboczu. Widział, że płacze. Przez chwilę panowała cisza.

Ray kiwnął głową na pozostałych i podeszli we trzech do buicka, żeby się naradzić. Tony czuł wokół siebie noc, jej chłód, widział przejrzyste jak w górach gwiazdy na niebie. Za jego plecami ziemia opadała ku gęstym lasom, których nie potrafił dostrzec. Jezdnia biegnąca w przeciwną stronę leżała wyżej na stoku i nie było jej widać zza drzew. Kiedy jechały nią samochody, ich światła były jak duchy błędzące między pniami i konarami. Naradzie tamtych towarzyszyły żywa gestykulacja, podniesione głosy, chichoty, a Helen siedziała przy drodze, zasłaniając twarz dłońmi.

Nadjeżdżał samochód. Helen wybiegła na jezdnię i zaczęła gwałtownie wymachiwać rękoma. Samochód przyspieszył i odjechał.

Laura powiedziała do Tony'ego:

– Ruszamy. Zabierzemy ją po drodze.

Usiadła w samochodzie. Tony podszedł do drzwi kierowcy i wtedy zobaczył, że Helen wraca, a tamci trzej blokują jej drogę do auta.

Helen trzymała w ręku kij.

Nadjeżdżał jakiś samochód. Helen była już niemal przy buicku, ale kiedy światła nadjeżdżającego auta znalazły się bliżej, wybiegła na autostradę, wymachując rękoma i kijem nad głową. Samochód zwolnił. Był to stary pick-up, zahamował ostro tuż przed Helen. Kierowca wychylił się przez okno z prawej strony.

– Chcesz się zabić? – zawołał.

Starzec w baseballówce. Podeszli do niego – wszyscy z wyjątkiem Laury, która siedziała w samochodzie.

– Ci ludzie... – zaczęła Helen.

– Nic się nie stało – rzucił Ray do starego. – Dziewczyna jest w lekkim szoku.

– Stało się! – krzyknęła Helen. – Niech pan zapyta mojego tatę!

– Że co? – spytał stary.

– Potrzebujemy pomocy – poprosił go Tony.

– Powtórz pan?

– Złapał gumę – zawołał głośno Ray. – Zmieniliśmy mu koło... – Kiwał głową i w uśmiechu obnażał zęby jak gryzoń. – Wszystko jest pod kontrolą.

– Że co? – powtórzył stary. – Ona chciała się zabić?

Ray wrzasnął mu prosto do ucha:

– Wszystko w porządku! Wszystko jest pod kontrolą!

Tony wyrwał się do starego:

– Proszę pana... – zaczął i usłyszał, jak Helen krzyczy: – Błagam, niech nam pan pomoże!

Stary spozierał niepewnie na Raya, który szczyrzył zęby, wymachując łyżką do opon.

– Powtórz pan? – Przyłożył dłoń do ucha.

– Wszystko w porządku – zawołał Ray.

– Nie, nie... – Tony podniósł głos. Ktoś szarpał go za ramię i ciągnął do tyłu.

Stary gapił się na nich wszystkich. Na jego twarzy malowało się zdumienie i niezadowolenie, ale pewnie zawsze tak było. Zerkał podejrzliwie na łyżkę do opon w ręku Raya.

– No dobra, jak wszystko w porządku... – powiedział rozdrażnionym głosem i zniknął w kabinie. Wrzucił bieg i odjechał.

Tony usłyszał za plecami krzyk Helen:

– Chryste, niech się pan zatrzyma!

– Co jest, maleńka? – spytał Ray. – Chyba nie chcesz sprawiać kłopotu staremu głuchemu dżentelmenowi?

Helen ich zaskoczyła: rzuciła się do samochodu i usiadła z tyłu, zatraskując drzwi. Zapadła cisza. Ray trzymał Tony'ego za łokieć, ale niezbyt mocno. Laura i Helen czekały na niego w samochodzie.

– Okay – odezwał się Ray. – Pojedziemy dwoma autami.

Ulga. Koszmar dobiegał końca. Zmęczyła ich ta zabawa, która trwała już za długo, musieli zdać sobie sprawę, że nic więcej nie osiągną. Wiedział, że nie pojedą na policję, ale mało go to obchodziło: chciał się tylko ich pozbyć.

Tyle że Ray wciąż trzymał go za łokieć. Zamierzał ruszyć w stronę auta, ale uścisk nie pozwolił mu postawić kroku. Przytrzymał go na miejscu.

– Ty nie – rzucił Ray.

– Co?

Ogarnął go prawdziwy strach, to było jak wstrząs po wybuchu pierwszej bomby atomowej podczas toczącej się wojny.

– Rozdzielimy się – mruknął Ray. – Pojedziesz z nami.

– W życiu!

Zobaczył teraz, co wymyślili: ten w okularach podbiegł do jego auta i otworzył drzwi kierowcy, zanim siedząca w fotelu pasażera Laura zdołała je zablokować. Mężczyzna otworzył drzwi jak najszerzej i przytrzymał je nogą, a Ray powiedział:

– Nie masz wyboru.

– Nie zostawię mojej rodziny.

– Powiedziałem, koleś, że nie masz wyboru.

Przymus stał się jawny. Ray miał do dyspozycji dwóch ludzi: jeden przytrzymywał nogą drzwi samochodu Tony'ego i zerkał na Raya, czekając na jakąś decyzję albo polecenie. Ray zastanawiał się przez chwilę. Puścił Tony'ego i powiedział:

– Pojedziesz z Lou.

Ruszył do samochodu Tony'ego, a Tony chciał iść za nim, ale poczuł na sobie rękę brodacza.

– Nawet nie próbuj – syknął tamten.

Trzymał coś w ręku, ale Tony nie wiedział co. Odepchnął rękę i poszedł za Rayem. Zobaczył, że ten, który przytrzymywał drzwi kierowcy, sięga do tyłu, żeby otworzyć tylne drzwi, czemu usiłowała zapobiec siedząca tam Helen. Szarpali się z Helen, która chciała ugryźć w rękę tego w okularach, ale nie zdołała. Mężczyzna otworzył drzwi i wsiadł do środka. Tony podbiegł do Raya, myśląc: Uderzę go w plecy, przewrócę i wsiądę do samochodu, ale coś ciężkiego trafiło go w golenie, upadł na ręce i kolana, którymi szorował nawierzchnię, uderzył brodą o jezdnię, a kiedy podniósł głowę, zobaczył Raya

wsiadającego do auta.

Samochód ruszył z rykiem silnika, potem był pisk opon, auto wjechało na autostradę i pomknęło przed siebie. Kiedy go mijало, widział przerażone twarze żony i córki, które odwracały za nim głowy, a potem słyszał już tylko coraz cichszy odgłos pędzącego auta i patrzył za coraz mniejszymi i zlewającymi się ze sobą tylnymi światłami, które zaraz znikły.

Przez kilka chwil na autostradzie panowała leśna cisza, którą przerywał jedynie odległy, ledwo słyszalny warkot ciężarówki. Tony wpatrywał się w niewidzialną jezdnię, na której zniknęło wszystko, co kochał. Usiłował odnaleźć sposób, żeby zaprzeczyć temu, co podpowiadały mu kłębiące się w głowie myśli.

Mężczyzna z brodą, którego nazywali Lou, patrzył na Tony'ego z góry. Trzymał w ręku łyżkę do opon.

– Wstawaj – rzucił. – Wsiadaj do samochodu.

Cztery

Susan jest wstrząśnięta. Porwali rodzinę Tony'ego, a ona – całkiem bezradna – spodziewa się najgorszego. Opiera się: zdołałaby temu zapobiec. Powinni byli wskoczyć do auta, kiedy Helen pobiegła poboczem, powinni byli odjechać, zanim tamci zareagowali, powinni byli zabrać Helen i uciec. A tak, powalili Tony'ego, uderzyli w golenie łyżką do opon. Zablokowali go – dokładnie w ten sam sposób, w jaki Edward zablokował ją. Wpatruje się wraz z Tonyem w tylne światła znikającego samochodu i dzieli z nim wstyd i paralizujący lęk o los najbliższych.

Dochodzi do siebie w ciepłym saloniku, obok toczy się gra. Jest daleko od dziczy i autostrady. Czuje jakąś pustkę, jakby kogoś jej brakowało. Nie, nie Arnolda – przecież wie, gdzie jest Arnold. Nie ma Rosie! Gdzie jest moja Rosie, co się z nią stało? Zimowa noc: sopel paniki w sercu. Dlaczego Rosie tu nie ma? Ale Susan Morrow doskonale wie, gdzie jest Rosie: spędza noc u Carol. A więc to nie o nią chodzi... A co się tyczy Arnolda: Arnold ciągle siedzi pod bambusem w tropikalnym hotelowym barze. Odpręża się (wcale nie z Marilyn Linwood), z doktorem Starymkoleżką, doktorem Przesławnym, doktorem Klinicznym i doktorem Dobrzesieżapowiadającym. Mieli ciężki dzień nad papierzyskami i podczas panelowych dyskusji.

Bardzo chciałyby wiedzieć, czy takie potworności zdarzają się naprawdę. Słyszy odpowiedź Edwarda: Czytasz o nich codziennie w gazetach. Jej drogi były mąż ma w stosunku do nas plany. Boi się myśleć o planach Edwarda, choć się ich nie lęka.

Zwierzęta nocy 4

– Siadaj za kierownicą – powiedział ten, którego nazywali Lou.

– Ja?

– A kto?

Nowość obcego auta: skrzypiące, jakby zranione drzwi, fotel kierowcy z poprzecinanym oparciem, pedały zbyt blisko siebie. Lou podał mu kluczyki. Tony Hastings zadrżał na całym ciele: spieszyło mu się, był rozgorączkowany, nie mógł znaleźć zapłonu.

– Z prawej strony – rzucił Lou.

Samochód nie chciał zapalić, a potem Tony nie mógł się przyzwycząić do ręcznej skrzyni biegów, z którą dawno nie miał do czynienia, i autem szarpnęło.

Lou, mężczyzna z czarną brodą, siedział obok i nic nie mówił. Kiedy Tony w końcu ruszył, pognał, wciskając gaz do dechy, bo auto miało dużą moc, choć dudniło i łomotało w pędzie. Rozpaczliwie zdawał sobie sprawę, że szybkość to za mało, żeby dogonić tylne światła swojego własnego auta, które odjechało wcześniej.

Zielony odblaskowy znak wskazujący zjazd z autostrady. Drugi znak z nazwami Bear Valley i Grant Center.

– Mam zjechać? – spytał.

– Nie wiem. Chyba tak.

– Czy to droga na Bailey? Na znakach nie było Bailey.

– A po co ci Bailey?

– To nie tam jedziemy? Mieliśmy zameldować o wypadku...

– No, taa... – mruknął Lou.

– No więc, czy to jest ta droga? – Byli blisko zjazdu, a Tony zwalniał gwałtownie.

– Taa... chyba tak.

Znak stopu.

– W prawo czy w lewo?

Wiejska droga. Ciemna stacja benzynowa i czarne pola łączące się z lasami.

Lou potrzebował długiej chwili, żeby zdecydować.

– Chyba w prawo – rzucił.

– Myślałem, że Bailey to najbliższe miasto – powiedział Tony. – Dlaczego na znakach jest tylko Bear Valley i Grant Center? Gdzie jest Bailey?

– Dziwne, nie? – odparł Lou.

Droga była wąska, wiła się wśród pól i zagajników, wspinała na pagórki i opadała w dół, mijając ciemne zagrody. Tony jechał tak szybko, jak mógł, hamując ostro przed niespodziewanymi lukami, goniąc samochód, którego nie widział. Przejechał już tyle mil, a potem kolejne. I przez cały czas ani śladu jego auta. Zobaczył znak z ograniczeniem prędkości, a potem tablicę z napisem CASPAR, a za nią wioskę pogrążoną w absolutnej ciemności.

– Widzę telefon – rzucił Tony.

– No i...

Zaczął zwalniać.

– Posłuchaj... – zwrócił się do brodacza. – Gdzie, do cholery, jest to Bailey?

– Jedź dalej – mruknął Lou.

Skrzyżowanie z nieco szerszą drogą. Drogowskaz do WHITE CREEK, jakieś warsztaty, przydrożne bary, sklepy – wszystko pozamykane.

– W lewo – powiedział Lou i zostawili zabudowania za sobą.

Długa prosta, potem rozwidlenie: jedna z dróg skręca w dół. Wybrali tę drugą, wspinającą się na lesisty pagórek.

– Kościół – mruknął niespodziewanie Lou.

– Co?

Kościółek stał na polanie i miał białą wieżyczkę. Po obu stronach drogi lasy. W zatoczce na łuku drogi stoi jasny samochód. Chryste, wygląda jak jego auto!

– Mój samochód! – zawołał, chcąc się za nim zatrzymać.

– Nie stawaj na pieprzonym łuku!

– To mój samochód!

Ale samochód Tony’ego był pusty. Od zatoczki w głąb lasu biegła ścieżka, a na jej końcu wśród drzew stała przyczepa mieszkalna, w której paliło się jedno światło.

– To nie jest twój samochód.

Tony Hastings chciał się cofnąć, żeby sprawdzić rejestrację, ale nie mógł wrzucić wstecznego biegu.

– Do kurwy nędzy! Nie cofaj na łuku!

Odkąd zjechaliśmy z autostrady, myślał, nie mineliśmy ani jednego auta.

– To nie jest twój samochód. Twój jest czterodrzwiowy.

– A ten nie? – Spojrzał za siebie.

– Ślepy jesteś?

Zerkał do tyłu, próbując dokładniej się przyjrzeć, ale auto częściowo zasłaniał siedzący obok niego mężczyzna, który wmawiał mu, że samochód za nim nie jest czterodrzwiowy, i proponował, żeby to sam sprawdził. Tony pomyślał, że być może paniczny strach odbiera mu rozum i... zdolność widzenia. Pojechał dalej.

Droga wiała się pod górę wśród lasów, a potem opadała ku rozjazdowi w kształcie litery T, bez żadnych znaków. Skręcili w prawo i znów zaczęli się wspinać. Lou zapytał:

– Co ci strzeliło do głowy, że to był twój samochód?

– Wyglądał jak mój.

– Nikogo w nim nie było. Myślisz, że poszli na imprezę do tej przyczepy?

– Nie wiem, co mam myśleć.

– Boisz się, koleś?

– Chciałbym wiedzieć, dokąd jedziemy.

- Boisz się, że moi kumple są nie tego?
- Chciałbym wiedzieć, gdzie jest Bailey.
- Z Rayem trzeba uważać, sam wiesz.
- Co to znaczy?
- Dobra, zwalniam!

Droga biegła prosto. Po jednej stronie widać było głęboki rów, a po obu lasy.

- Uważaj, bo zaraz będziesz skręcał.
- Jak to? Nic tu nie ma!
- Jest skręt. Skręcaj!

Nieoznaczona piaszczysta droga, leśny dukt z prawej strony. Tony Hastings zatrzymał samochód.

- Po co? – zapytał.
- Skręcaj, jak ci mówię!
- Do diabła z tobą! Nie mam zamiaru tu wjeżdżać!
- Posłuchaj, koleś, brzydzę się przemocą...

Brodacz oparł się wygodniej w fotelu pasażera, przełożył rękę do tyłu i spokojnie wpatrywał się w Tony'ego.

- Chcesz zobaczyć żonę i córkę?

Piaszczysta droga, leśny dukt, a potem dwie wąskie koleiny rozdzielone pagórkami trawy. Wiły się wokół dużych drzew i skalistych wzniesień w lesie. Auto podskakiwało i łomotało na kamieniach i dziurach.

Nigdy nie byłem w takiej sytuacji, mówił do siebie Tony, nigdy nie znajdowałem się w tak tragicznym położeniu. Gdzieś w zakamarkach pamięci odszukiwał wspomnienie napaści i porwania przez chłopaków z sąsiedztwa, większych chłopaków, ale wspomnienie to nie było prawdziwe – kreował je, bo pragnął powiedzieć, że teraz jest znacznie gorzej, że nigdy w życiu nie był w tak rozpaczliwej sytuacji.

- Co nam chcecie zrobić? – zapytał.

Reflektory buicka omiatały drzewa, zostawiając je z tyłu. Mężczyzna nie odpowiedział.

Tony zapytał ponownie:

- Co nam chcecie zrobić?
- Kurwa, koleś! A skąd mam niby wiedzieć? Zapytaj się Raya!
- Raya tu nie ma.

– Faktycznie. – Brodacz zachichotał. – No więc powiem ci, koleś, tyle, ile wiem: nie mam, kurwa, zielonego pojęcia, co wam chcemy zrobić. Wszystko zależy od Raya.

– Ray kazał mnie tu przywieźć?

Brodacz nie odpowiedział.

– Ray to fajny facet – mruknął. – Należy mu się szacunek.

– Szanujesz go? Za co?

– Ma jaja. I robi to, co należy.

– Coś ci powiem... – zaczął Tony. – Nie mam szacunku dla Raya. Najmniejszego szacunku. – Zastanawiał się, czy brodacz jest w stanie docenić to, co właśnie powiedział.

– Nie przejmuj się, koleś. Ray wcale na to nie liczy.

– Nie ma prawa.

Zobaczył liska stojącego wśród liści, jaskrawe klejnoty jego oczu schwywane snopem reflektorów, zanim lisek uciekł.

– Nie musisz się martwić o żonę i córkę.

– Jak to? – Tej nocy wszystko było wstrząsem. – Jak to nie muszę się martwić?

– Nie boisz się?

– Boję się! Boję się jak cholera!

– Całkiem słusznie. Też bym się bał na twoim miejscu.

– Co on z nimi zrobi? Czego od nich chce?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Ray lubi się przekonać, na co go stać. Ale jak powiedziałem: nie musisz się martwić.

– Chcesz mi powiedzieć, że to jakaś zabawa? Wasz sposób spędzania wolnego czasu?

– Niekoniecznie zabawa. Tak bym tego nie nazwał.

– Więc jak?

– Kurwa, koleś, skąd ja mam wiedzieć, co szykuje Ray? Za każdym razem jest inaczej. Za każdym razem wymyśla coś nowego.

– Więc dlaczego mi mówisz, żebym się nie martwił?

– Bo Ray jeszcze nigdy nikogo nie zabił. O to mi chodzi. I o ile wiem, nikomu nie zrobił krzywdy.

Tony przeżył kolejny wstrząs, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co właśnie usłyszał.

– Nikogo nie zabił! Nikomu nie zrobił krzywdy!

– Powiedziałem ci, że nikogo nie zabił – mówił spokojnie Lou. – Jakbyś mnie słuchał, tobyś wiedział, co powiedziałem.

Wjechali na polanę. Dwie wąskie koleiny zniknęły wśród trawy.

– No, no... – zdziwił się Lou. – Chyba skończyła się nam droga...

Tony zatrzymał samochód.

- Nie ma ich tu – rzucił Lou. – Może się pomyliłem. Chyba musisz wysiąść.
- Mam wysiąść? Po co?
- Czas, żebyś wysiadł. Okay?
- A może powiesz mi po co?
- I bez tego mamy dosyć kłopotów. Rób, co ci mówię, dobra?

Podczas napaści nie należy się opierać: trzeba oddać portfel, nie narażać się na użycie broni. Tony Hastings zastanawiał się nad przeciwnym tokiem postępowania: w którym momencie niestawianie oporu jest równoznaczne z samobójstwem albo zgodą na popełnienie zbrodni? Czy podczas ostatnich wydarzeń była taka chwila, w której mógł wykorzystać przewagę? Czy jeszcze może ją wykorzystać?

Dwaj mężczyźni na przednich siedzeniach samochodu: ten z prawej strony mówi temu, który prowadził, żeby wysiadł. Kierowca się opiera. Kierowca jest po czterdziestce, wygląda jak nauczyciel, w każdym razie pracuje na siedząco. Oczyma duszy widzi wiele rzeczy, ale po raz ostatni bił się w szkole i zawsze przegrywał. Ten drugi ma czarną brodę, dżinsy, jest pewny siebie. Ten, który pracuje na siedząco, nie ma żadnej broni oprócz pióra i okularów. Mężczyzna z brodą nie pokazał jeszcze broni, ale wydaje się, że potrafi egzekwować własną wolę. Pytanie: W jaki sposób mężczyzna pracujący na siedząco może uniknąć wypchnięcia z samochodu?

- Mówię ci, co masz zrobić, żebym nie musiał uciekać się do przemocy.
- Jaką przemoc masz na myśli?

Brodacz wysiadł z auta. Obszedł je z tyłu i stanął przed drzwiami kierowcy. Podczas tych kilku chwil Tony Hastings był zdumiony jego pewnością, że on, Tony Hastings, nie odjedzie albo nie zechce go przejechać. Jedź! Trzymał rękę na drążku biegów, silnik był włączony. Rzecz jasna będzie musiał zawrócić na polanie... Metaliczny zgrzyt. Szarpnięte drzwi. Lou u jego boku.

- Wsiadaj!

Tony spojrzał mu w oczy.

- Nie dam się tu zostawić.

Nie było jeszcze za późno, zdąży go zaskoczyć. Mężczyzna chwycił go za ramię. Jego uścisk był jak uścisk szczęk buldoga. Tony wcisnął sprzęgło i chciał wrzucić bieg, ale tamten szarpnął i Tony wypadł z samochodu na ziemię.

- Zginiesz, jak nie będziesz uważał! – powiedział brodac.

Wsiadł do auta, zatrzasnął drzwi, podjechał kawałek do przodu, wykonał kilka szybkich skrętów i zawrócił na koleiny, którymi przyjechali.

Stojący na polanie Tony wpatrywał się w podskakujący snop światła,

omiatający gałęzie drzew jeszcze długo po zniknięciu auta. Został sam w ciszy i nocnych ciemnościach.

Susan odkłada maszynopis. Jak z tego wybrnąć? Jest coraz gorzej i gorzej. Irytuje ją Tony Hastings, ale co ona zrobiłaby na jego miejscu? Nigdy, przenigdy nie znalazłaby się w takim położeniu! To po pierwsze...

Chce wstać. Chce coś zrobić przed następnym męczącym rozdziałem. Chociaż nie, lepiej się nie ruszać. Lepiej mieć to za sobą.

Co może się przydarzyć mężczyźnie wyrzuconemu z auta w samym środku lasu, gdy jego żona i córka znajdują się w rękach bandytów? Trudno orzec, jeśli się nie wie, kim są bandyci i jakie mają plany. Ale w tym wypadku mamy do czynienia z dziełem literackim, a to wiele zmienia. To wszystko dokądś prowadzi, a stoi za tym Edward. Pytanie Susan brzmi: Czy chcę podążać za Edwardem? Ale czy ma wybór? Została schwytana w sidła – jak Tony.

Ktoś puścił baka podczas gry w monopol. Kolega Henry'ego, Mike, kręci nosem, chichocze, Susan podnosi głowę i myśli. Widzi plecy swojego ukochanego syna, jego gruby tyłek – o wiele za gruby. Nieszczęsne dziecko! Złotowłosa Dorothy, starsza od Henry'ego o rok, daje bratu po łapach.

Nic tu nie pasuje, wszystko jest jakieś pokręcone. Lepiej pójść do łazienki, myśli Susan. Bez względu na to, co pomyśli na końcu, będzie mogła powiedzieć Edwardowi, że ją usidlił.

Pięć

Celowo przerwała lekturę, bo wcale nie musi iść do łazienki. Schodzi na dół po ciemku. W holu na górze przepaliła się żarówka, trzeba przynieść drabinę z piwnicy. Ale nie dzisiaj. W drugim pokoju Henry leży na plecach. Podciągnął wysoko sweter i drapie się po gołym brzuchu podczas przerwy w grze. Mike przestawia jego pionek o kilka pól do tyłu ze złośliwym chichotem. Henry pomrukuje:

– Kogo to rusza, kogooo tooo ruuszaaaa?

– Nie bądź niemądry – napomina go Dorothy.

Martha położyła się na maszynopisie, a kiedy Susan chce ją przesunąć, sztywnieje i nagle waży tonę. Susan wspomina wspaniałą letnią jazdę samochodem: drogę, która wspina się na wzgórze i opada w dolinę z zagrodami, a potem skręca łukiem ku pasmu lasów. Susan uwielbia tę dzicz, uwielbia lesiste stoki i długie doliny, i przekąski w małych przydrożnych restauracyjkach po całym dniu jazdy przez płaską Indianę i Ohio. Czuje wtedy spokój. Pamięta śpiewy w aucie z Dorothy, Henrym i Rosie z tyłu, z Jeffreyem przechadzającym się po dziecięcych kolanach, z Martha gdzieś pod nogami. „Dlaczego akurat obóz Hazelnut?”

Zrzuca Marthę, która otrząsa się i urażona zmyka do kuchni. Susan wspomina jezioro, poranne słońce kreślące pajęczyny pod drzewem wychylonym nad wodę. Arnold i Henry brodzą w niej do pomostu. Woda sięga Arnoldowi do piersi. Ma miękkie, pulchne barki z czerwonymi piegami, trzyma Henry'ego nad wodą, wkładając mu obie ręce pod brzuch, Henry zadziera wysoko głowę jak oszałały, a Dorothy nurkuje dwadzieścia jardów dalej.

Wspomina leśną chatę Edwarda z czasów, kiedy chciał być pisarzem. Niewyraźne wspomnienia. Krótkie konfesyjne wiersze, w których wszystko jest niedopowiedziane. Nostalgiczne szkice o utracie i smutku. Śmierć ojca. Powracające sceny z przystani. Melancholijny seks w sielankowym lesie. W tamtych czasach niełatwo się czytało Edwarda.

Teraz jest inaczej. Jest gotowa to przyznać, ona sama, Susan: usidlił ją, jest jego zdobyczą, ma ją w ręku. Edward. Czy jej się to podoba, czy nie. Kiedy podąża za Tonym Hastingsem w jego przerażających peregrynacjach, widzi to, co Edward chciał, żeby ujrzała, czuje to samo co on, choć Edward niczego jej nie narzuca, jak miał to zawsze w zwyczaju. Sztywny i nerwowy Edward,

nadęty i drażliwy, jeszcze się nie pojawił na tym pensylwańskim odludziu, gdzie Tony Hastings i ona stają za jego sprawą twarzą w twarz z całkiem realnym horrorem zgotowanym wszystkim przez złych ludzi (wymyślonych przez niego). Jeszcze nie ma o co się z nim kłócić i jest mu za to wdzięczna.

Zwierzęta nocy 5

Tony Hastings stał bardzo długo, patrząc za znikającym w ciemnościach samochodem. Wyteżał wzrok, ale wszędzie panowała nieprzenikniona noc. Miał przed sobą coraz ciemniejsze plamy cienia, których nie rozróżniał. Czuł się jak ślepiec. Mój Boże, pomyślał, odjechali i zostawili mnie całkiem samego. O co w tym wszystkim chodzi?

W nocnym lesie panowała cisza – niczego nie słyszał. Po pewnym czasie ciemności zaczęły się rozjaśniać – niezbyt mocno, ale trochę. Widział przynajmniej cokolwiek. Stał na małej polanie między drzewami, a nad głową miał niebo. Dojrzał parę gwiazd, niezbyt wiele i niezbyt jasnych, zupełnie nie takich jak w górach. Odróżniał korony drzew na tle nieba, ale wszystko, co znajdowało się niżej, było nieprzeniknionym mrokiem, czarną kurtyną zaciągniętą wokół areny.

Nie spodziewają się, że zdołam się stąd wydostać bez latarki, powiedział. Niezły kawał.

W ciszy pojawiały się pierwsze dźwięki. Najpierw usłyszał jakiś odległy szum, nie odgłos, ale jego kopię, a może jego wspomnienie. Rozpoznał ten szum jako odgłos ciężarówek na autostradzie międzystanowej, wiele mil stąd. Nie umiałby powiedzieć, czy ciche gwizdy były dźwiękiem wydawanym przez owady w trawie, czy słyszał je tylko w swoich uszach. Zza otaczającej arenę czarnej kurtyny wyłaniały się pierwsze kształty. Ujrzał pnie drzew i pustą przestrzeń między nimi. Widział czarną dziurę tam, gdzie zniknęło auto. Widział dukt.

Na co czekasz? – spytał sam siebie. To głupota myśleć, że wróca. W ogóle nie brał tego pod uwagę. Problem był łatwy do rozwiązania: wyrzucono go w dziczy, realizując scenariusz kawału na poziomie studenta pierwszego roku. Teraz musi odnaleźć drogę do domu. To tyle, jeśli idzie o nocną jazdę do Maine.

Pytanie, czy zdoła się stąd wydostać po nocy. Nie, to nie jest jedyne pytanie. Ponieważ już coś widział, ruszył leśnym duktem. Słumił w sobie impuls, żeby puścić się biegiem. Cel był za daleko. Zwolnił kroku. Maszerował.

Ścieżka biegła ponad wąskim strumykiem, przez który przerzucono drewniany mostek, strumyk wił się dalej wśród drzew, skręcał i zawracał, spływał z pagórka poprzez gęste zarośla wśród rzadkich sosen. Laura i Helen czekały na niego na posterunku policji w Bailey – gdziekolwiek to jest. Martwiły się o niego, choć je opuścił. Ta myśl doprowadzała go do szaleństwa. Jak przekazać im wiadomość? Jestem cały, nadchodzę, idę przez las, lepiej się prześpijcie, bo to może chwilę potrwać. W końcu wyślą kogoś, żeby go odszukał, ale mogą upłynąć godziny, nim dojdą do wniosku, że zachodzi taka konieczność, a nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby go szukać na zapomnianych przez Boga i ludzi leśnych duktach – takich jak ten.

Nigdy mnie nie znajdą, powiedział. Ale nadchodzę, nadchodzę. Gdyby usiadł i czekał na pomoc, prawdopodobnie nigdy by się stąd nie wydostał. Od tego marszu przez las może zależeć jego życie.

Włókł się dalej, najbardziej miarowym krokiem, na jaki mógł się zdobyć. Utrzymanie miarowego kroku nie było łatwe, gdyż dukt biegł po kryjących się w nocnym mroku nierównościach. Potykał się o kamienie, wpadał jedną nogą do dziur i zakamarków, a czasem drzewa rosły tak blisko siebie, że nie wiedział, czy nie zgubił drogi. Nie pamiętał niczego z jazdy samochodem. Znalazł się w labiryncie, zgubił się w nim, co łatwo było poznać po niewydeptanej sprężystej trawie pod stopami. W końcu odnalazł drogę i trzymał się jej całkiem po omacku, przechodząc z jednej koleiny w drugą, wyciągając przed siebie ręce, żeby chronić oczy. Łatwiej byłoby pójść teraz spać i poczekać do świtu. Ale ma przed sobą daleką drogę do wyjścia z lasu, a potem jeszcze dalszą do miejsca, w którym czekają na niego Laura i Helen.

Czuł wielką urazę, czuł się groteskowo poniżony. Wściekłość skupiała się w jego pięściach, odmierzała kroki, sprzeciwiała się bezwładowi stóp, paluchów i pięt. Katalogował w głowie idiotyzmy łobuzów i chuliganów – tych, którzy potrafią grać w kotka i myszkę prawdziwymi samochodami na autostradzie, porwać profesora college'u i w nocy wyrzucić go w lesie. Którzy uważają, że tego rodzaju zabawy są dowcipne. Męskie. Twarde.

Tony Hastings czuł wielką urazę, ale nie miał zamiaru dać się poniżyć. Nazywam się Tony Hastings, powiedział. Wykładam matematykę na uniwersytecie. W zeszłym tygodniu nie zaliczyłem semestru trojgu studentom. Z przyjemnością zaliczyłem semestr piętnaściorgu innym. Mam doktorat. Prawo wypowie się w sprawie Raya, Lou i Turka. Bóg mi świadkiem, że jestem najspokojniejszym człowiekiem pod słońcem, nie lubię zatargów, ale jeśli prawo nie... Ludzie, którzy bawią się w piratów na autostradach, dowiedzą się ode mnie, na co zasługują.

Oburzenie zapobiegło niebezpieczeństwu wybuchnięcia płaczem. Niebezpieczeństwu ciągnącemu się za nim od najmłodszych lat, kiedy to starsi chłopcy zrywali mu z głowy czapkę, wrzucali go do kanału i uciekali, gdy się gramolił na brzeg. Przekonają się, jak to jest.

Odległość zaczyna mu ciążyć; potykając się co krok, odkrywa, że całe mile dzielą go od celu. Czas zamyka go w klatce i pożyczca od siebie godziny skrywane przed światem. Jeśli pozwoli na to, żeby wstał świt, zanim się stąd wydostanie, jeśli się położy i zamknie oczy...

Co będzie, jeśli dojdą do wniosku, że nie ma sensu już na niego czekać? Co będzie, jeśli pomyślą sobie, że uciekł? Musi przekazać im wiadomość, zanim stąd odjadą.

Spokojnie, człowieku. Mów do niego, każ mu się uspokoić. Nie możesz zrobić nic innego oprócz tego, co właśnie robisz. Zaczekają na ciebie. Może sen pobłogosławi Laurę i Helen, zanim odnajdziesz do nich drogę.

Ale dokąd iść? Pytanie brzmi: Gdzie jest ten posterunek policji, o którym, zdaje się, wcale nie myślałeś? Wiesz doskonale, że nie czekają na ciebie na żadnym posterunku policji. Wiedziałeś o tym przez cały czas, ale pozwalasz sobie myśleć o czym innym. Teraz pojawiły się przyczyny takiego stanu rzeczy. Nie zawiozą Laury i Helen na żaden posterunek policji dokładnie z tego samego powodu, dla którego zostawili cię w lesie. Zostawili cię w lesie, ponieważ nie mieli zamiaru zawieźć Laury i Helen na żaden policyjny posterunek. Tony Hastings wiedział o tym przez cały czas, ale dopiero teraz pozwolił sobie pojąć to w całej pełni, co było jak mrozący krew w żyłach zastrzyk z rtęci, przekształcający wściekłość w przerażenie. Bo jeśli nie zawieźli Laury i Helen na żaden posterunek policji, to gdzie je zawieźli?

Spokojnie, człowieku, napomniał się. Rób to, co robisz. Nie możesz nic więcej.

Po chwili ujrzał przed sobą w lesie snop białego światła, unoszący się i znikający jak promień latarki. Potem usłyszał samochód, wyjący na nierównościach i na zakrętach. Tak, samochód. Wracają. Głupi, przeciągający się żart dobiegał końca. Wracają, od samego początku wiedział, że tak będzie, tylko brakło mu cierpliwości, żeby o tym pomyśleć. Wściekłość i przerażenie ustąpiły miejsca uldze. Dzięki Ci, Boże, powiedział.

Biała powódź światła zbliżała się do niego, rzucając groteskowe cienie patyków i drzew, skupiając się nagle w oślepiającym błysku pojedynczego wściekłego oka, by znów zniknąć i oświetlać tylko las wokół niego: pnie, krzaki, głązy i samego Tony'ego Hastingsa widocznego wyraźnie jak błyskawica, która rozbłysła mu w głowie jak ostrzeżenie: kryj się!

Podbiegł do drzewa widocznego w snopie światła, spiesząc się, by snop znów w niego nie trafił, potem rzucił się przez otwartą przestrzeń za głaz, a światła omiotły jakiś pagórek między nim a samochodem. Potem przez krótką chwilę cały las znów był jasny, ale tylko przez chwilę, bo po niej zapadły na nowo ciemności. Samochód stanął, światła zgasły. Zobaczyli mnie, powiedział.

Stał ukryty za głazem, czując w sobie łomotanie strachu. Zobaczyli mnie w tym pierwszym snopie światła rzuconym przez reflektory, a teraz czekają, żebym wyszedł. Miałem rację, że się bałem.

– Hej, koleś! – Głos wołał z bliska i odbijał się od drzew. – Żona cię potrzebuje!

Zesztywniał. Zastanawiał się, czy to może być prawda. To musi być prawda, bo jeśli Laury tu nie ma, to co się z nią dzieje?

– Koleś? Żona cię potrzebuje.

W tym głosie kryła się pułapka.

– Koleś?

– A chuj z tobą...

Zapaliły się światła, a leśne poszycie rozświetliło się jak filmowy plan. Był ukryty w cieniu głazu. Samochód odpalił i po chwili ruszył koleinami w stronę, z której Tony właśnie przyszedł.

To mogło być jego auto. Przyglądał się sylwetce samochodu poprzedzanej snopem światła wydobywającym z mroku las przed maską. Wyjrzał zza głazu, wysilił wzrok. Czy są tutaj? Dojrzał dwie męskie głowy podskakujące na tle światła. Tylko dwie. Był pewien, że tylko dwie.

Mógł się rzecz jasna mylić. Skąd miałby wiedzieć, ile istot siedziało w samochodzie. Wyzierał zza głazu ku światłu, lecz tak, by go nie dojrzano. Wrócił na dukt, słuchając cichnącego warkotu silnika. Cisza i ciemność znów brały górę. Co jest z tobą? – spytał sam siebie. Dlaczego nie stawiałeś im czoła?

Przeklinał się w duchu za tchórzostwo, wsłuchany w ciszę. Paraliżował go strach. Zastanawiał się, w którą iść stronę.

Sześć

Lekturę zatrzymuje jej brutalnie dzwonek telefonu, który wyrywa ją z lasu. To Arnold, który pyta z nowojorskiego hotelu, co słyhać, od czego mocniej bije jej serce. Dodaje, że ją kocha, jakby to było konieczne. Dalej dwuminutowa rozmowa pełna nerwowych pauz – rozmowa obcych sobie ludzi, którzy przed dwudziestu pięciu laty wzięli ze sobą ślub. Jutro ma spotkanie w sprawie pracy. Zapisz: The Cedar Hall Institute for Cardiac Research and Practice w Waszyngtonie. W skrócie Chickwash. Może zostać dyrektorem. Kiedy odkłada słuchawkę, cała się trzęsie, jakby właśnie się z nim pokłóciła, choć nic o tym nie wie. Chyba dobrze, prawda?

Tymczasem Tony Hastings jest sam na porośniętym trawą leśnym dukcie. Zwykły telefon sprawił, że całkiem o nim zapomniała. Rzuca się na sofę, chce wrócić do jego świata. Do lasu Edwarda. Ale wciąż się trzęsie po rozmowie z Arnoldem. Czyta jeden akapit i niczego nie rozumie. Zaczyna jeszcze raz.

Zwierzęta nocy 5 (ciąg dalszy)

Myśl, powiedział do siebie. W ogóle nie myślisz. W którą iść stronę. Bo jeśli przyjechali jego samochodem. W którym po raz ostatni widział odjeżdżające Laurę i Helen. I jeśli Laura i Helen są w nim teraz. Koleś, żona cię potrzebuje.

Myśl. Po co ci w samochodzie jadą na tę samą pustą polankę, na której go zostawili. Bo przywieźli mu żonę i córkę. Powinien był na nie zaczekać. Siedzieć w trawie, na którą go wyrzucono. Lecz zamiast tego znalazł się tutaj, ukrył się tchórzliwie za głazem, nie wyszedł im na spotkanie. Laura i Helen czekały na niego w samochodzie, a on nie przyszedł. Musiały więc pojechać ze swoimi prześladowcami w głąb lasu – zdradzone, porzucone. Wstyd, potem rozpacz, jakby się ich wyparł i stracił je na zawsze.

Biegnij za nimi. Szybko. Wpatrywał się w stronę, w którą odjechały; w stronę, z której przyszedł. Ale to nierealne – nie może się ruszyć. Nie może wydobyć z siebie ani słowa. To instynkt mu nie pozwala. Ten sam, w którego rozbłysku ujrział słowa „kryj się!”. Oszalałeś, powiedział.

Po tym jednym słowie pojawiły się inne. Tłumaczące, dlaczego nie może się ruszyć. Nie ma ich w samochodzie, mówią. Jeśli tam pobiegiesz, trafisz wprost w sadystyczne łapy Raya i Turka. Znów będziesz przechodził przez to

samo, znów będziesz musiał uciec. W samochodzie były tylko dwie głowy: Raya i Turka.

Zawrócił i ruszył tam, dokąd szedł. Droga była teraz łatwiejsza, szersza, niemal bez dziur i kamieni, nieporośnięta tak bardzo młodymi pędami i krzakami. Ale na jego barkach spoczął teraz ciężar rozpacz, który odciągał go od celu. Walczył z nim. Mówił sobie: Gdyby siedziały w aucie, zawołałyby mnie. Laura zawołałaby: Tony?

Przyspieszył kroku, rozprawiając sam ze sobą. Dowodem na wciąż płynące z ich strony zagrożenie, tłumaczył sobie, jest to, że chcieli wciągnąć go w pułapkę. Jest to również dowodem ich głupoty. Myśleli, że jak zgaszą silnik i wyłączą światła, to uznasz, że ich nie ma? Po tym, jak narobili hałasu, nadjeżdżając?

Czuł ich teraz za sobą. Milczących w ciemności. Goniących go. Jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Zastanawiał się, po co pojechali w głąb lasu. Wcześniej w ogóle o tym nie myślał. Zdziwiło go to. No właśnie, powiedział, po co? Co takiego jest na tej trawiastej polance, że jeden z nich mnie na niej zostawia, a dwaj inni mnie na niej szukają?

Miejsce spotkań? Kryjówka? Próbował to jakoś wyjaśnić, ale umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Pojechali tam, żeby go złapać? To wykluczone, bo się zatrzymali, zauważywszy go między drzewami. Coraz więcej pytań, na które nie znał odpowiedzi. Pytanie, w co naprawdę grali. Chodziło im o samochód? Może chcieli go przechować na tej polance w lesie, żeby zabrać później? Okay, to jedna z teorii, ale do czego ty byłeś im tam potrzebny?

Chcieli cię tam zabrać ze zwykłego okrucieństwa, dla sadystycznej podniety, tak właśnie było, powiedział do siebie. Dla diabelskiej uciechy płynącej z rozdzielania najbliższych, umieszczania ich nocą jak najdalej od siebie w tej dziczy. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim się znajdą? Coś w tym rodzaju. Były też gorsze możliwości.

Były, owszem. Wiedział o tym, wiedział o tym doskonale. Z przyzwyczajenia przewidywał najgorsze rozwiązania – ostateczne. Jego życie było scenariuszem katastrof, do których nigdy nie doszło. Bo jeśli w samochodzie rzeczywiście siedzieli tylko ci dwaj, Ray i Turk, to co się stało z Laurą i Helen?

Ciągle towarzyszyło mu głupie wyobrażenie posterunku policji, żony i córki siedzących przy stole z kubkami kawy w dłoniach i czekających na wieści o nim. Teraz pojawił się kolejny obraz – obraz przyczepy w lesie za łukiem drogi. Przyczepy, w której za zasłonką paliło się słabe światło. Trudno było mu powstrzymać łzy podczas tego dyskursu zamienianego w błagalną

modlitwę. Jeśli doszło do gwałtu, modlił się, jeśli musiało dojść do gwałtu, Boże drogi, niech to będzie najgorsze, niech nie wydarzy się nic gorszego...

Echo do Boga: Niech będą źli i okrutni, jeśli muszą, ale pohamuj ich, pokaż im granicę, poza którą nie wyjdą – nawet oni! Niech nie będą obłąkani! Niech nie będą psychopatami!

Drzewa przed nim zaczęły się przeredzać, pokazała się między nimi otwarta przestrzeń, płaska i goła: asfaltowa droga. Był już prawie u celu. Po chwili znalazł się w przecince. Stał na jezdni i rozejrzał się dookoła. Droga biegła prosto w obu kierunkach poprzez przecinkę w lesie po obu stronach. Przy wjeździe na leśny dukt dostrzegł połamaną bramę, białą tablicę przybitą w poprzek słupa. Próbował to zapamiętać, wbić sobie do głowy, myśląc, że to może się przydać w przyszłości. Skręcił w lewo, tam skąd przyjechali z Lou, choć wiedział, że czeka go długa droga, zanim spotka jakichkolwiek ludzi. I wtedy usłyszał za sobą wracający z lasu samochód. I znów ujrzał daleki snop światła między drzewami. A w głowie znów rozbłysło mu ostrzeżenie: Ukryj się w rowie. Stawiał temu opór. Musisz wyjść im na spotkanie, musisz się dowiedzieć, mówił do siebie. Nie wolno dać się zastraszyć. Stał na drodze i czekał. Samochód wyjechał z lasu i skręcił w prawo, w przeciwną stronę. Poczł ulgę i rozczarowanie.

A potem auto stanęło. Zobaczyli mnie, powiedział. Zawrócili i ruszyli w jego kierunku. Czekal na poboczu. Zapytam, gdzie są Laura i Helen, mówił do siebie. Zapytam, co mają zamiar zrobić z moim samochodem. Zbliźali się powoli, aż nagle zapiszczały opony, dodali gwałtownie gazu, zapalając długie światła, które się rozwarły jak szczęki. Wskoczył na oślep do rowu, lądując w chaszczach, a samochód sypnął za nim żwirem.

Pisk hamulców. Stanęli. Wokół unosiła się czerwono-biała chmura spalin, która zaraz się rozplynęła. Otworzyły się drzwi. Z samochodu wysiadł mężczyzna i stanął na krawędzi pobocza, spojrzal do tyłu. Cień. Niewyraźny. Tony Hastings nie poruszył się. Nie wiedział nawet, czyby zdołał. Zarośla go przytrzymały gałęziami jak drutem kolczastym. Kolce drapały go wokół oczu. Mężczyzna podszedł bliżej o kilka kroków. Rozglądał się przez całą wieczność. Potem wrócił do samochodu.

– Chuj z nim – powiedział. Powiedział to daleko i niezbyt głośno, ale Tony usłyszał wyraźnie.

Bał się, że zawrócą i oświetlą rów reflektorami, i znajdą go, bo wciąż nie mógł się ruszyć. Ale samochód tylko zawrócił i przejechał nad nim, nabierając szybkości.

Zastanawiał się, czy coś sobie połamał. Miał podrapane czoło i policzki,

poprzecinane obie dłonie. Coś przez spodnie uwierało go w golenie, coś jak słupek ogrodzeniowy uderzyło go w brzuch.

Rozsunął drut kolczasty, który go więził, poruszył nogami, stanął. Po kilku chwilach wspiał się na żwirowe pobocze. Droga, lasy, nocne zamglone niebo z kilkoma gwiazdami. Wokół cisza i tylko ledwo słyszalny odgłos ciężarówek na autostradzie.

– Chcieli mnie zabić – szepnął.

Ta myśl przedostała się przez wierzchnie warstwy mózgu gdzieś w głąb, w jakieś otchłanie, w których nigdy nie goszczą żadne myśli. Powtórzył ją: Naprawdę chcieli. A jeśli naprawdę chcieli mnie zabić, dodał. I nie skończył. To najgorsze myśli, jakie miał od urodzenia. A wokół siebie widział śpiący świat, drogę, lasy, niebo. Przeznaczenie.

Siedem

Rozdział od nowej strony. Susan, nie chcąc przerywać lektury, podnosi oczy, żeby sprawdzić, gdzie jest. W sąsiednim pokoju na podłodze Dorothy o złocistych włosach opadających na plecy wyciąga ręce do góry. Ma brudne łokcie. Piersi. Kolega Henry'ego, Mike, wpatruje się w nią szparkami oczu. Chciałby, żeby się poruszyła, zrobiła coś. Mike sepleni jak Ray w książce. Za trzy lata Dorothy rozpocznie studia. Arnold w Nowym Jorku znów siedzi w barze pod bambusem. Z kim? Doktorem Klinicznym?

Zwierzęta nocy 6

Szedł szybko po asfalcie. Wiedział, że jeśli tego nie zrobi, ta droga nigdy się nie skończy. Pusta, ciemna, omiatana wiatrem. Na drzewach czarne liście. Teraz skręcała, wspinała się pod górę, lasy były wyżej. Doszedł do rozwidlenia, którego nie pamiętał z jazdy samochodem z Lou. Skręcił w prawo na chybił trafił, w dół, chociaż niczego nie potrafił sobie przypomnieć. Usłyszał silnik podjeżdżającego do góry auta. Zobaczył zbliżające się światła i ukrył się w lesie, póki samochód nie przejechał. To nie był samochód Lou ani jego, ale mógł być, a Tony uznał, że lepiej już nie ryzykować. W tym spustoszonej świecie nie było żadnych pewników, więc szedł dalej jak zbieg lękający się samochodów i ludzi, jak wyrzutek usunięty poza nawias własnego gatunku.

Patrzył jednak przed siebie. Dokąd zmierzasz? – zapytał. Na policję. Na jaką policję? Na policję w Bailey. Jak ją znajdziesz? Zadzwoń. Z pierwszego domu. Gdzie ludzie. Gdzie cokolwiek z ludźmi.

Wyobraził sobie budkę telefoniczną i machinalnie sięgnął do kieszeni po drobne. Okay. Proszę mnie połączyć z posterunkiem policji w Bailey. Halo? Nazywam się Tony Hastings i jestem z Ohio. Mam pewien problem: pomocy! Copanmówi? Pomocy!

Jaką budkę telefoniczną! Nie potrzebuje żadnej budki, wystarczy mu byle zagroda. Przepraszam, czy mógłbym skorzystać z telefonu? Chryste Panie, człowieku, aleś mnie nastraszył w samym środku nocy!

Nazywam się Tony Hastings, jestem profesorem matematyki na uniwersytecie, o którym pan nigdy nie słyszał. Poszczuj go psami. Żaden obcy

nie będzie mi się tu pałętał po nocy!

Teraz, już jako idący przed siebie Tony Hastings, spróbował spojrzeć dalej – poza niecierpiące zwłoki problemy. Czy trzeba będzie wynająć samochód, żeby dojechać do Maine? Czy trzeba będzie zadzwonić do Rogera McAllena i powiedzieć mu, żeby jeszcze nie otwierał domku?

Przepraszam czy to policja dzwonię żeby zapytać czy moja żona i córka są na posterunku? Copanmówi?

Trzej mężczyźni o imionach Ray, Turk i Lou. Ray ma okropną szyderczą twarz, trójkątną, bez podbródka, wyszczerzone zęby, które nie mieszczą się w ustach, łysieje, przywalcie mu. Niech pan rozważy skargi, jakie chce pan wnieść. Porwanie. Napad. Kradzież samochodu? Gwałt?

Copanmówi? Chryste panie, zacznij pan od początku. Przepraszam Tony Hastings profesor z Ohio w drodze do Maine nocą, spotkaliśmy tych ludzi na autostradzie międzystanowej, zabrali moją żonę i córkę, nie, to nie jest kolizja na drodze.

Patrząc dalej poza to wszystko: to, co trzeba będzie zrobić po przybyciu na miejsce, zależy od tego, kiedy przybędziemy na miejsce. Zastanowię się nad pożyczaniem ketu od Jake'a Malcolma. Och, głupia, ślepa nadzieja. Przepraszam, nie chciałem pana nastraszyć, ale to pilne, mogę?

Żaden problem nie jest przejściowy, póki się nie skończy. Wszystkie problemy są potencjalnie permanentne.

Droga opada stromo w dół i wije się zakosami – w ogóle nie pamięta, żeby jechał nią pod górę. Jasna sprawa – zgubił drogę, którą przyjechali, prawdopodobnie przy rozwidleniu. Nie ma sensu tam wracać, zaszedł już za daleko, nie pamięta też ani jednego skrzyżowania, a nawet gdyby pamiętał, to dokąd by trafił? Ani jednej wioski. Każda wioska byłaby dobra, każdy posterunek policji, jeśli nie da się znaleźć Bailey. Przepraszam, czy mógłby pan wysłać dalekopisem depezę na ten inny posterunek? Bo choć się nie umawialiśmy, posterunek policji jest naturalnym miejscem na spotkanie, szczególnie jeśli nie ma innego wyboru.

Droga przestała opadać, skończyły się drzewa po obu jej stronach. Czarne pola. Farmy, dolina, dostrzegł zarys pasma po drugiej stronie. Samochód. Widzi zbliżające się z daleka światła. Tony Hastings wskoczył do rowu i przeczekał. Chcesz mnie zbangorzyć? Kiedyś przed laty, a może dzisiaj, minął takiego autostopowicza. Błąd Helen, która chciała go zabrać. Nie przyszło mu do głowy, że spotka ją taka nauczka. Po chwili kolejny samochód. Był już zmęczony chowaniem się przed autami. Uznawał wszystkie auta z zapalonymi światłami za wrogów, ale przypomniał sobie, że

ciągle nazywa się Tony Hastings. Stał nieopodal dróżki prowadzącej za ogrodzenie, jeśli samochód zwolni, ucieknie prosto na pole porośnięte czymś niemal tak wysokim jak on: pewnie kukurydzą. Samochód przemknął obok.

Pudełkowaty kształt przy drodze przybierał postać domu, ale ulga była przedwczesna, bo nigdzie nie paliło się światło, a nie ośmieliłby się, jako obcy, budzić w środku nocy śpiącej rodziny. Droga skończyła się przy innej, szerszej. Ujrzał jakieś światła z lewej strony. Może teraz, powiedział, w końcu.

Przyspieszył kroku, wzmocniony wizją celu. Była to latarnia, wisząca wysoko między stodołą a silosem, oświetlająca podwórko między stodołą a domem. W samym domu było ciemno jak w pierwszym.

Po drugiej stronie zobaczył w oknie słabą czerwono-niebieską neonówkę reklamującą piwo. Ale poza tą neonówką nigdzie nie paliło się żadne światło. Pytał sam siebie, czy człowiek w tak rozpaczliwym położeniu nie może obudzić obcego, jeśli wymaga tego sytuacja. Wiedział wszakże, że farmerzy mają na takie sytuacje dwururki pod ręką. Na obcych (na Raya, Turka czy Lou).

Domów było coraz więcej. Mijał jeden i widział następny. Nigdzie nie paliło się światło, tylko latarnie oświetlały podwórka. Usłyszał szczekanie psa za dobrze widocznym korytem dla świń. Widział na polach ciemne kształty przypominające głązy i zdał sobie sprawę, że to krowy. Wzrok mu się wyostrzał. Wśród drzew odezwał się ptak, rudzik, a czarne niebo jaśniało.

To oznaczało, że zbliża się świt, że noc dobiega końca. Świt oznaczał rozpacz: światło uchwyci ten koszmar jak na fotografii, urzeczywistni go. Przyniesie ulgę. Ukojenie zdrowym rozsądkiem.

Zdrowy rozsądek, powiedział. Przypomnij sobie, jak często obawiałeś się najgorszego, kiedy Helen spóźniała się do domu, kiedy Laura nie zadzwoniła w porę. Pamiętasz huragan? Nie było żadnego huraganu, ojciec i matka umarli ze starości, a rodzina ciągle składała się z Tony'ego, jego żony Laury i ich córki Helen.

Wszakże zdrowy rozsądek... Uderzyli w moje auto i zepchnęli mnie z drogi. Oddzielili mnie od najbliższych, zabrali żonę i córkę nie wiadomo gdzie. Wyrzucili mnie na pustej polanie w lesie. Chcieli mnie przejechać, chcieli mnie zabić.

Słuchał najświeższych i najstraszliwszych komunikatów w głowie. One nie żyją, mówiły. Wiesz, że nie żyją. Powtarzam: Laura i Helen są martwe. Ci ludzie je zabili. Mówi ci to twój zdrowy rozsądek. Wiesz o tym, wiedziałeś o tym przez cały czas. Wiedziałeś już wtedy, kiedy odjeżdżały. Pytanie brzmi:

Czy już zostały zabite, czy stanie się to za chwilę? Jeśli za chwilę, to być może uda się je ocalić.

Przypominał to sobie celowo, celowo przywoływał to wspomnienie: Laura w elastycznych spodniach i ciemnym swetrze obok samochodu, Helen w czerwonej chustce na głowie na przydrożnym kamieniu, obie twarze spoglądające przez szybę przyspieszającego auta.

Niebo było jeszcze ciemne, ale Tony wyraźnie widział pola, kępy drzew, otaczające dolinę wzgórza, domy i zagrody. Wśród gałęzi śpiewały rudziki. Zobaczył nadjeżdżający samochód. Światła, ludzie, którzy nie śpią. Już nie będzie się chował, to było czyste szaleństwo. Przepraszam pana, najbliższa wioska, policja. To był rytuał, odpowiedni gest. Wyciągnął kciuk do góry. Samochód przemknął obok.

Inny samochód jadący w przeciwną stronę. Przeszedł na drugie pobocze i wystawił rękę. Nic z tego. Coraz więcej samochodów. Ludzie wstają tu bladym świtem. Rytualny gest nic nie znaczy. Przy następnym aucie – vanie – podniósł ręce nad głowę i zaczął nimi machać. Pomocy, pomocy! Van zatrafił.

W uszach mu dzwoniło, kręciło mu się w głowie, nieprzespana noc wydrażyła dziury w jego czaszce. Oświetlone jarzeniową lampą podwórko było jak inne, które mijał, ale w tym domu na górze paliło się światło i jeszcze jedno z tyłu na parterze. Stał przed domem z walącym sercem.

Wszedł na mały ganek. W drzwiach było okienko. Widział przez zasłonkę róg oświetlonej kuchni z tyłu domu. Przekręcił gałkę dzwonka najmocniej, jak się dało. W środku rozszczękał się pies. W kuchni pojawiła się chuda kobieta w fartuchu. Zmrużyła oczy. Znieruchomiała. Obok niej stanął mężczyzna w koszuli w kratę. Siwy. Podszedł do drzwi. Odślonił okienko i wyjrzał. Powiedział coś zza szyby. Tony Hastings nie słyszał jego słów przez szczekanie psa.

Wykrzyczał słowa, których nauczył się na pamięć:

– Przepraszam pana!

Żona stojąca za mężem pochyliła się. Pies ucichł. Mężczyzna otworzył drzwi na dwa cale.

– Przepraszam pana, czy mógłbym skorzystać z telefonu?

– Po co?

– Miałem wypadek.

Mężczyzna przyglądał się jego twarzy.

– Są ranni?

– Nie. Nie wiem. Potrzebuję pomocy.

– Ktoś jest z tobą?

– Jestem sam.

Zapalili światło w przedsiönku. Telefon stał na stolyczku przy drzwiach wejściowych. Pies był czarno-biały, obwąchał go, machając ogonem, a kobieta mocno trzymała obrożę.

– Wygląda pan na podrapanego – powiedział mężczyzna. – Gdzie był ten wypadek?

– Nie wiem – odpowiedział Tony Hastings.

– Jak to?

– Szedłem przez pół nocy.

– Zgubił się pan?

– Nie znam tej okolicy.

– Niech pan usiądzie. Niech pan wszystko spokojnie opowie. Co się stało. Jechał pan sam. Zasnął pan za kółkiem?

– Nie, nie. Z żoną i córką.

– Z żoną i córką! – zawołała kobieta. – Są ranne?

– Zostawił je w aucie – wytłumaczył mężczyzna. – Dzwonić po pogotowie?

– To nie było tak... – powiedział Tony Hastings. – To nie było tak... – Szukał wiarygodnych słów, by opisać swój koszmar.

– Może chce się pan obmyć w łazience? – spytała żona.

– Może najpierw trzeba zadzwonić – przerwał jej mężczyzna. – Czekają na niego w aucie.

– Gorzej – rzucił Tony Hastings. – Nie umiem tego wyjaśnić. To nie był wypadek. Niezupełnie. Doszło do kolizji. I ci ludzie... Moja żona i córka... – No, dalej, profesorze matematyki, wytłumacz im to! – Ci ludzie je zabrali! Straciłem je!

Mąż i żona patrzyli na niego uważnie.

– Kogoś pan stracił?

– Żonę i córkę!

– Co to znaczy, żeś pan stracił żonę i córkę?

– Spotkaliśmy tych ludzi na autostradzie. Bandytów. Łobuzów. Zepchnęli mnie z drogi.

– Sukinsyny! Cholerne gnoje! – powiedział mężczyzna.

– Nie umiem tego wyjaśnić. Zabrali moją żonę i córkę. W moim aucie. Wywieźli mnie do lasu. Szedłem przez pół nocy. Nie wiem, gdzie one są. – Czuł wzbierające łzy. – Nie wiem, jak je znaleźć.

– Chłopie – odezwał się mężczyzna. – Jak mogłeś im na to pozwolić?

Tony potrząsnął głową, starając się ukryć łzy. Mężczyzna i kobieta

popatrywali po sobie.

- Do kogo powinien zadzwonić? – zapytał mąż.
 - Do Hamiltona – odpowiedziała żona.
 - Jeszcze nie wstał.
 - To go obudź!
 - Chcesz go wyciągać z łóżka?
 - Kto to jest Hamilton?
 - Szeryf.
 - Ktoś powinien być w Grant Center – powiedziała żona.
 - Tak myślisz? Zaczynają robotę dopiero o ósmej.
 - Areszt – rzuciła. – Areszt jest czynny przez całą dobę.
 - Ale tam siedzi tylko nocny strażnik. On nic nie może.
 - Więc budź Hamiltona. Po co ci szeryf, który śpi całą noc?
 - Policja stanowa – powiedział mężczyzna. – Oni pracują przez całą noc.
 - No tak, jasna sprawa – zgodziła się żona.
 - Policja stanowa. Do nich bym zadzwonił na pana miejscu.
 - Okay – powiedział Tony. – Jaki mają numer?
 - Trzeba sprawdzić pod „Pensylwania” – poradziła żona.
 - Policja stanowa. Dobrzy ludzie, zawodowcy. Pomogą panu. Są najlepsi.
 - Niech pan dzwoni, a potem się pan umyje – powiedziała żona. – Zrobię coś do jedzenia. Pewnie pada pan z nóg.
 - Szeryf i tak nic nie robi. Policja stanowa jest najlepsza. Śmietanka. Elita. Nie brzmiało to przyjaźnie. Brzmiało to ostrożnie i sumiennie. Kobieta poszła do kuchni. Mężczyzna wpatrywał się w Tony’ego.
 - Chcę usłyszeć, co im pan powie. Glinom. Bo nic nie rozumiem. Mówił pan, że wsadzili żonę i córkę do auta. I odjechali z nimi. Jakim cudem? Grozili panu bronią?
 - Nie mieli broni – odpowiedział Tony.
 - Niech mnie cholera, jeśli rozumiem, jak im pan na to pozwolił!
 - Ja też nie wiem...
- Ale wiedział doskonale, bo to wszystko przydarzyło się jemu. Najtrudniej będzie wytłumaczyć to innym.

Osiem

Susan Morrow, podążając morderczym świtem wiejską drogą za Tonym Hastingsem, zastanawia się, czy będzie w stanie znieść to, co nastąpi. Jak Tony rozważa ewentualności. Wie coś, czego nie wie Tony – a mianowicie, że za wszystkimi wydarzeniami kryje się jeszcze jeden przymus: kompulsywna ręka Edwarda kreującego cudze przeznaczenia. To, co stanie się z Laurą i Helen, zależy w dużej mierze od gatunku opowieści. Więc kiedy Tony przywołuje resztki nadziei, czytająca Susan myśli o Edwardzie, który ma w zanadrzu coś nie do zniesienia. Ale mimo tych obaw chwali go, mówiąc: Dobrze się spisałeś, Edwardzie, idzie ci doskonale. Boi się nie tylko o Tony'ego, ale też o Edwarda, życząc mu, żeby uniknął rozczarowującej finalnej katastrofy.

Zwierzęta nocy 7

Tony Hastings w czyimś domu. Usiadł na rozchwierutanym krzeselku przy telefonie obok drzwi wejściowych, a stary farmer sprawdza numer policji stanowej. Myśli nad tym, co powiedzieć, zastanawiał się nad tym przez całą noc. Muszę pamiętać, napomina się, że nazywam się Tony Hastings. Jestem matematykiem, profesorem, wykładam na wyższej uczelni i wyjaśniam studentom najtrudniejsze zagadnienia. Wystarczy naśladować tamtego Tony'ego Hastingsa. Bo policja – jeśli nic nie zrozumie – może nie chcieć słuchać. Może uznać go za szaleńca albo dowcipnisią, albo chuligana.

Bezimienny, upodlony – coś, co przetrwało i wyszło z lasów. Ale w tym domu poczuł się lepiej: siedzi na krześle, słyszy brzęczący sygnał telefonu, stary farmer i jego żona przyglądają mu się uważnie.

Gardłowy głos w słuchawce:

– Policja stanowa. Mówi Morgan.

Wstrząs. Trzeba coś powiedzieć. Tony Hastings doszedł do siebie. Ułożył w głowie „kto, kiedy, gdzie, co i dlaczego”.

– Przepraszam, nazywam się Tony Hastings. Jestem profesorem uniwersytetu z Ohio. Przejazdem w Pensylwanii. Zagięły mi żona i córka. Pani Hastings. Nie kontaktowały się z wami?

W słuchawce zapadła cisza. Morgan próbuje to uporządkować. Zły znak.

– Co się stało, profesorze?

Wróć do cywilizacji, Tony. Kto, kiedy, gdzie, co, dlaczego? Zaczynaj od „co”.

– Mieliśmy problemy na autostradzie międzystanowej. Przypuszczam, że moja żona i córka zostały porwane.

Kolejna wyraźna cisza.

– Potrzebna karetka?

– Nie. Potrzebuję pomocy. Potrzebna mi pomoc.

Cisza bardzo znacząca. Zaczynaj jeszcze raz, od tego, co słuchacze już wiedzą – w tym wypadku policja stanowa:

– Jechaliśmy autostradą międzystanową...

– Chwileczkę!

Pograżał się w milczeniu. Jeszcze nie całkiem odnalazł się w tym domu, ale dano mu drugą szansę. Zdał sobie sprawę, że nie musi mówić tego, czego powiedzieć się boi. W słuchawce odezwał się inny głos.

– Mówi sierżant Miles. W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Tony Hastings.

– Dobrze, Tony. Z czym masz problem?

– Mieliśmy problemy na autostradzie międzystanowej. Przypuszczam, że moja żona i córka zostały porwane.

Znów cisza – na tyle długa, by Tony ją odnotował.

– Okay, Tony, uspokój się. Podaj mi swoje dane: imię, nazwisko i adres. – Cisza. A potem: – Imię i nazwisko żony – oraz: – Skąd dzwonisz.

Spojrzał na starego farmera.

– Jestem w domu Jacka Combsa w Bear Valley.

– Okay, Tony, a teraz bardzo spokojnie opowiedz mi, co się twoim zdaniem wydarzyło.

Nie zważaj na te pełne sceptycyzmu chwile milczenia, na protekcyjnalne mówienie po imieniu i na to wtrącone „twoim zdaniem”. Tony Hastings znów poczuł się bezpiecznie, wrócił do świata, który znał – świata, w którym istnieją instytucje, organizacje i cała maszyna chroniąca go przed potwornościami; nie mówiąc już o cywilizowanej ludzkiej dobroci. Uważny farmer i jego stara żona słuchali zaintrygowani. Nie byli już nieuprzejmi. W domu było ciepło, na dworze robiło się coraz jaśniej, a pola po drugiej stronie drogi stawały się bladozielone.

Wrócił do świata, w którym ma coś do powiedzenia, a to, co mówi, jest zapisywane przez niewidzialnego słuchacza. Dwoje innych stoi w przedsionku, bo nie mają na czym usiąść.

Zaczął tak:

– Zeszłej nocy, po jedenastej, jechaliśmy autostradą międzystanową do Maine. Zostaliśmy zaatakowani przez inny samochód i zmuszeni do zjazdu na pobocze.

Opowiedział wszystko. Zajął mu to kilka minut. Powiedział o kolizji i o tym, że musieli się zatrzymać. Powiedział o tym, jak napastnicy zmienili mu koło i odjechali jego autem, zabierając Laurę i Helen, jak zostawili go z Lou, który zmusił go do jazdy ich samochodem. Powiedział, jak Lou kazał mu jeździć po wiejskich drogach i skręcić w leśny dukt. Jak wyrzucił go z auta na leśnej polanie. Jak wracał przez las w ciemności i zauważył nadjeżdżających napastników, przed którymi się ukrył. Jak spotkał ich po raz drugi na drodze i jak chcieli go rozjechać. I o tym, jak szedł przez wiele mil, żeby znaleźć telefon, i trafił do domu Jacka Combsa, u którego paliło się światło.

Czuł się tak, jakby opowiadanie zapewniało mu bezpieczeństwo. Policja wie już wszystko, niebezpieczeństwo zostało zażegnane, wrócił z dziczy do pięciu tysięcy lat postępu i znalazł się w ciepłym domu połączonym linią telefoniczną z komputerem, radiem i przeszkolonymi specjalistami. Teraz nie stanie się już nic złego: w ciepłym domu farmera pachnącym śniadaniem, mimo uporczywych, najczarniejszych myśli, które mówią „jeszcze ich nie znalazłeś”.

Sierżant Miles zadawał pytania. Którym zjazdem opuścił autostradę? Tony nie wiedział. Niech opisz tych trzech. Zrobił to ochoczo. Niech opisz ich samochód. Z tym było gorzej. Numer rejestracyjny? Czy podczas jazdy z Lou zapamiętał jakieś punkty orientacyjne? (Zapamiętał biały kościółek. Zapamiętał mieszkalną przyczepę nad łukiem górskiej drogi, paliło się w niej światło). Czy jest pewien, że chcieli go przejechać? Czy potrafiłby odnaleźć drogę na leśną polankę z miejsca, w którym się teraz znajduje? Jak to dobrze, że ktoś zadawał mu tyle pytań! Nie miał pojęcia, ile życia stracił, nim zostało mu przywrócone.

W końcu sierżant oznajmił:

- Dzięki, Tony. Zajmiemy się tym i oddzwonimy.
- Chwileczkę!
- Tak?
- Nie mogę tu zostać!
- Aha. Zaczekaj. – Głos w telefonie umilkł.

Zerknął na gospodarzy, którzy odwrócili głowy. Obcy na skraju wsi o świcie – na tyle uprzejmi, że pozwolili mu zadzwonić. Ale nie może u nich zostać. Ale gdzie ma zostać? Nie ma żony i córki, nie ma samochodu. Nie ma

nic prócz tego, co na sobie, i portfela.

W telefonie rozległ się trzask.

– Tony? Posłuchaj. Wyślemy po ciebie człowieka. Odbierze cię. Czeka na niego.

– Okay.

– Będzie za jakieś pół godziny.

Więc przyjadą po niego, zajmą się nim. Dobra policja – ojcowska i dodająca otuchy. Był gotów skakać z radości, ale farmer i jego żona wciąż patrzyli.

– Dam panu coś do zjedzenia – powiedziała pani Combs.

Dobrze go nakarmiła na przykrytym ceratą w kratę kuchennym stole pod gołą, wiszącą nad stołem żarówką. Pan Combs poszedł do zagrody, gdzie o świcie miał zawsze mnóstwo pracy i dlatego zapalił światło, które zauważył Tony. Pani Combs przypatrywała mu się uważnie; nie zareagowała na jego podziękowania, więc jadał w milczeniu.

– Nigdy nie podróżowałam – powiedziała. – Gdzie indziej ludzie są inni. Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi.

Kiwnął głową, bo miał pełne usta. Krytyka przebrana za współczucie: tak, proszę pani, pomyślał, tyle tylko, że ci, na których ja trafiłem, pochodzą z tych stron. Niemniej jednak należy dziękować Bogu za dobrą policję i dobrych, acz ostrożnych gospodarzy.

Zanim przyjechał po niego policyjny samochód, zrobiło się już całkiem widno, choć poranne słońce nie wyszło jeszcze zza wzgórz. Wóz miał oficjalny emblemat na boku i zestaw świateł na dachu. Światła były wyłączone. Policjantem okazał się duży młody człowiek z krótkimi nastroszonymi włosami i szeroką pierśią. Przypominał tego infantylnego studenta, który w zeszłym roku przychodził do gabinetu Tony’ego z prośbą o pomoc – nie pamiętał już jego imienia.

Przedstawił się:

– Posterunkowy Talbot. Sierżant Miles kazał mi panu powiedzieć, że nie odebraliśmy jeszcze żadnego meldunku w sprawie pana żony i córki.

Oznaczało to wielkie rozczarowanie. Zdał sobie sprawę, że liczył na to, iż w każdej chwili powiadomią go o nawiązaniu kontaktu z Laurą i Helen. Nie ma jeszcze ósmej, pomyślał, wszystkie sklepy i biura są jeszcze pozamykane.

Wielki młody student w mundurze mówił coś do mikrofonu, nie gasząc silnika. Radio czekało gardłowymi, maszynowymi męskimi głosami. Posterunkowy Talbot wyglądał poważnie, a nawet ponuro. Spytał:

– Jest pan pewien, że przed porwaniem nie wyznaczyliście sobie żadnego

miejsca na spotkanie?

– Owszem, wyznaczyliśmy! Mieliśmy jechać na posterunek policji w Bailey! Tylko że zamiast do Bailey zawieziono mnie do lasu i wyrzucono z auta!

– Gdzie jest Bailey?

– Mówili, że to najbliższe miasto. Mieliśmy wszyscy jechać na policję do Bailey.

– Tu nie ma żadnego Bailey. I nie ma żadnego posterunku policji w Bailey, z tego, co wiem.

– Źle, źle... choć to nic nowego – ta wiadomość.

– Właśnie tego się obawiałem...

Pojechali. W przeciwną stronę niż ta, z której nadszedł Tony. Poczuł niespodziewany strach, jakby zostawiał za sobą coś bliskiego sercu. Od razu się pogubił podczas tej nowej wyprawy, nie pamiętał ani jednego zakrętu, ani jednej z licznych mijanych wiosek. Jakby jazda w tym bezpiecznym, może nawet opancerzonym policyjnym wozie była końcem koszmaru i zacierała jednocześnie prowadzącą do niego drogę, a wraz z nią drogę do życia. Przypomniał sobie, że Miles spytał go, czy byłby w stanie odtworzyć trasę, którą pokonał z polanki do domu Combsów, i pomyślał, że może powinien poprosić Talbota o pomoc w odnalezieniu drogi. Ale nie poprosił, gdyż w prośbie tej dostrzegł nagle coś obscenicznego.

Okolica zieleniła się i żółciła, fałdowała się i ożywiała w porannym słońcu. Drogi lśniły czarno. Pędzili zawieszeni wysoko na stokach wzgórz wychodzących na szerokie doliny pełne pól i leśnych zagajników i zjeżdżali w leśne przecinki, pokonywali łuki i wspinali się na długie proste wzniesienia, by zwalniać podczas przejazdu przez wsie, w których stały farmy i zagrody, w których rosła kukurydza na polach, w których na innych polach pasły się krowy, a na podwórkach świnie i owce. Wjeżdżali na szczyt po przeciwnej stronie i znów widzieli ciemne zagajniki na pasmach wzgórz. Piękna okolica, pomyślał. Gdyby mógł tylko powiedzieć o tym Laurze.

Posterunek policji mieścił się w parterowym budynku z cegły, otoczonym łańcuchem i stojącym na obrzeżach miasteczka. Za ogrodzeniem chodziły krowy, a po przeciwnej stronie stał motel. Tony Hastings szedł za posterunkowym Talbotem przez długi korytarz, mijał tablice informacyjne i biura z długimi kontuarami, i inne, w których stały po dwa biurka. W najodleglejszym z nich przy biurku siedział mężczyzna, który wstał na ich widok.

– Porucznik Graves. Sierżant Miles skończył służbę.

Porucznik Graves był niedużym mężczyzną o okrągłych policzkach i małym podbródku, przez co wyglądał jak wiewiórka z kreskówki, tym bardziej że miał czarne, opadające poniżej linii ust wąsy. Oczy, a może zarys twarzy sprawiały, że przypominał trochę widzianego w nocy Raya. Nie będą mu się przyglądał, powiedział do siebie Tony. Obawiał się, że oblicze porucznika zatrze w jego pamięci wspomnienie twarzy Raya. Usiadł na krześle przy biurku, a porucznik Graves czytał sporządzony ręcznie, leżący przed nim meldunek. Czytał wolno i zajęło to dużo czasu. Potem poprosił Tony'ego o powtórzenie całej historii. Spisywał ją na żółtej poliniowanej kartce. Tony nie miał pojęcia, jakim cudem udaje mu się wtłoczyć całą tę opowieść w tak niewiele urzędowych słów. Kiedy skończył opowiadać, porucznik Graves zadał mu te same pytania, które wcześniej usłyszał od sierżanta Milesa. Siedział, opierając brodę o rękę.

– No tak... – odezwał się w końcu. – Powiadomiliśmy już patroli o dwóch poszukiwanych samochodach. Powinno coś z tego wyniknąć. Na razie nie możemy zrobić nic innego, jak tylko czekać. – Spojrzał na Tony'ego. – Ale pan został bez auta... Ma pan gdzie się zatrzymać?

– Nie.

– Po drugiej stronie jest motel. – Napisał coś na kartce. – A to numer taksówki, gdyby była potrzebna. Pieniądze?

– Mam karty kredytowe. Czeki zostały w walizce. A walizka w samochodzie. Ubrania też.

– Przy Hallicot Street jest bank. Otwarty od dziewiątej.

– Dziękuję.

– Jest jeszcze wcześniej. Prawdopodobnie poszli gdzieś spać...

– Gdzie? – zapytał machinalnie Tony.

Porucznik nie zbył go. Zastanawiał się długą chwilę i kiwnął głową.

– Powiem panu szczerze, że nie wygląda to za dobrze. Nikt, oprócz pana, nie dzwonił na policję. Wie pan, co to może oznaczać. Może oznaczać, że zostawili je gdzieś tak jak pana i że teraz błąkają się po okolicy. Bo pewno nie oddali im samochodu.

– Tak przypuszczam – powiedział Tony, choć powinien był powiedzieć, że taką ma nadzieję, choć wcale w to nie wierzy.

Porucznik stuknął się w czoło ołówkiem, jakby i on nie chciał powiedzieć tego, co naprawdę myśli.

Tony Hastings przeszedł na drugą stronę do motelu.

– Bez samochodu? – zapytała otyła kobieta.

– Ukradli.

– No, patrz pan! To dlatego był pan na policji. Ma pan pieniądze?

– Kartę kredytową.

Motel cuchnął plastikiem i klimatyzacją, zasunięte bure story nie wpuszczały światła do pokoju. Położył się w ubraniu na łóżku. Natychmiast opadły go wydarzenia ubiegłej nocy – opadły jak wichur obracający chmurami galaktyk. Ray siedzi na chłodnicy. Rechocze i mówi: Nie przejmuj się, koleś. To tylko żarty. To tylko sen, bo teraz, na jawie, wraca na posterunek policji, przed którym stoi świeżo umyty i lśniący w słońcu samochód Tony’ego. Znaleźli go! Laura i Helen siedzą od dobrej chwili na ławce w korytarzu, zrywają się z niej i podbiegają do niego. Uśmiech ulgi. Uściski, pocałunki i słowa: Nic nam nie jest, chcieli tylko przedstawić nas znajomym w przyczepie. Tony Hastings obejmuje obie i mówi: To nie sen, prawda? To nie może być sen! To wszystko jest zbyt rzeczywiste!

Potwornie głośny dzwonek telefonu obok jego ucha.

– Tony Hastings? Porucznik Graves. Mam złe wieści.

Widział przed sobą siatkę podwieszoną pod koronami drzew. W siatkę tę spada to, co odrywa się od najwyższych gałęzi.

– Znaleźli pański samochód w rzece pod Topping. Wygląda na to, że chcieli się go pozbyć.

Oka siatki zbiegają się w białych węzłach, supłach, pętłach, tętnach rozrzuconych szeroko i daleko ponad polem.

– A moja żona i córka?

– Wciąż nie wiadomo.

W siatkę spadają owoce i ciała.

– Nie ma ich w samochodzie?

– Samochód jest pusty. Wyciągają go teraz.

Spojrzał na zegarek. Spał przez pół godziny. Było dopiero piętnaście po dziewiątej. Jeśli według porucznika Gravesa tak brzmią najgorsze wieści...

– Co pan o tym myśli? – spytał Tony.

– Nie wiem, co o tym myśleć.

Cisza. Tymczasem zwijają siatkę, podciągają ją do góry.

– Proszę mnie posłuchać: przekazujemy tę sprawę porucznikowi Andesowi. Porucznik chce się trochę rozejrzeć. Może przyjechać po pana za parę minut?

Ciało Tony’ego Hastingsa jest jak worek wypełniony piaskiem.

– Jestem gotów do wyjścia.

Dziewięć

Jeśli Susan chce się dowiedzieć, co będzie dalej, musi czytać. Gra w monopol już wyraźnie dobiega końca. Mike o nieprzyjemnym głosie ciągnie Dorothy o delikatnych piersiach, każąc jej wstać, a gruby Henry gramoli się samodzielnie. Przez salon na korytarz.

– Dobranoc, pani Morrow. – Mike ma ostry nos i ostrą brodę, bladą buzię i uśmiechnięte usta.

W korytarzu Dorothy opiera łokieć o ramię Mike'a i uśmiecha się do niego zalotnie. Susan Morrow jest nieco pruderyjna: woli, żeby różne rzeczy nie działy się na jej oczach, żeby nie musiała ich komentować. Ktoś wali kogoś w żebra. Au! Skurwysyn! Chichoty i pociąganie nosem. Hej, uważaj! Susan Morrow jest rzeczywiście pruderyjna: jeśli twoi koledzy nie wiedzą, czego nie należy mówić, to...

Zza rogu korytarza głośnie, wypowiedane przez nos pożegnania:

– Dobranoc, pani Morrow. Ubawiłem się po pachy! – Cha, cha, chi, chi.

Susan chce przeczytać jeszcze jeden rozdział. Trochę to potrwa. Do Edwarda: Wiesz, jak przeciągać sprawę.

Zwierzęta nocy 8

Samochód policyjny przed recepcją motelu, za kierownicą mężczyzna w policyjnym mundurze. Po jego prawej stronie inny mężczyzna w brązowym garniturze.

– Tony Hastings?

Na głowie ma kapelusz; wyciągnął rękę przez półotwartą szybę, żeby przywitać się z Tonym. Tony wsiadł z tyłu.

– Miło mi – powiedział ten w kapeluszu. – Nazywam się Bobby Andes. Zajmuję się tą sprawą.

– Znaleźliście mój samochód?

– Znaleźli go – potwierdził Andes.

– W rzece?

– Posłuchaj, Tony, myślisz, że dałbyś radę trafić do miejsca, w którym cię wyrzucili w nocy?

– Wszystko mi się pomieszało. Ale mogę spróbować.

– Pozwól, że się upewnię, że wszystko zapamiętałem... – powiedział Bobby Andes. Był niski, nikał na przednim siedzeniu, ale miał wielki kapelusz na wielkiej głowie, a jego okrągłe policzki pokrywał siny ślad świeżo zgolonego zarostu. Przedstawiono go przez telefon jako porucznika Andesa. – Dwaj goście odjeżdżają twoim samochodem z żoną i córką. Pod pretekstem, że macie się spotkać na posterunku policji w jakimś Bailey, które nie istnieje.

– Zgadza się.

– Mówią do siebie Ray i Turk?

– Tak.

– A ty pojechałeś z trzecim ich samochodem. Ten trzeci nazywał się Lou.

– Tak.

– Jakim cudem zdołali was rozdzielić?

– Zastanawiam się nad tym od wczoraj.

– Czy weszli siłą do twojego auta?

– W istocie rzeczy, tak.

– W istocie rzeczy?

– No, tak. Weszli siłą. Tak bym to nazwał.

– Twoja żona i córka broniły się?

– Tak to wyglądało.

– A ty się nie broniłeś?

– Nie mogłem nic zrobić.

– Mieli broń?

– Coś mieli. Nie wiem, co to było.

– Nie widziałeś?

– Poczułem to na sobie.

– Okay – powiedział Bobby Andes. – Zrobimy tak: zawieziemy cię z powrotem do domu Jacka Combsa i przekonamy się, czy odnajdziesz drogę, którą szedłeś.

– Jak powiedziałem, mogę spróbować.

– Dobra, spróbujesz. Jedziemy.

Mężczyzna w mundurze jechał bardzo szybko, a Tony Hastings nie śledził trasy. Nikt się nie odzywał. Przejeżdżali przez obrzeża Grant Center, obok stacji benzynowej, gdzie stały używane auta na sprzedaż, jakieś zbiorniki i butle z gazem. Dalej była ulica szacownych białych domostw i łukowatego sklepienia z koron drzew. Wyjechali na otwartą przestrzeń, prosto w dolinę pól, ciemnozielonych cieni, stojącego wysoko słońca i dwóch dachów domów po przeciwległej stronie, w których słońce odbijało się jak w lustrze. W głośnikach czekały policyjne głosy, a Tony nie miał pojęcia, gdzie się

znajduje.

Bobby Andes przyciszył radio. Powiedział:

– Wyjašnjmy sobie parę innych rzeczy. Mówiłeś, że ten Lou wywiózł cię do lasu i zostawił?

– Kazał mi prowadzić.

– Ale pojechaliście do lasu, gdzie cię wyrzucił?

– Tak.

– A kiedy wychodziłeś z lasu, zobaczyłeś, jak wracają?

– Tak.

– Jesteś pewien, że to byli oni?

– Całkiem pewien.

– Czyim autem przyjechali?

– Chyba moim.

– A w środku siedzieli Ray i Turk?

– Tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się?

– Samochód wyglądał jak mój. Chodził jak mój. Nie wiem...

– No, a ci dwaj? Widziałeś ich po ciemku?

– Nie za dobrze. Zatrzymali się, zgasili światła i wołali mnie.

– Co wołali?

– „Koleś, żona cię potrzebuje!”.

– Dlaczego do nich nie podszedłeś?

Tony był wdzięczny policji za to, że mógł wszystko wyjaśnić, ale nie podobało mu się, że pytania porucznika spychają to, co się stało, na konwencjonalne tory. Zastanawiał się, jak odpowiedzieć na pytanie, dlaczego do nich nie podszedł.

– Bałem się.

– Myślisz, że mieli je ze sobą?

– Kogo?

– Twoją żonę i córkę.

Zadrżał, przypomniawszy sobie ten obraz. Mijali tablicę reklamową z kowbojem, rozświetloną słońcem, stojącą na obrzeżach wioski. Powiedział:

– Nie wiem. Wydawało mi się, że nie.

– Co mogli z nimi zrobić?

– Myślę, że gdyby siedziały w aucie, tobym je usłyszał.

– Ale nie wiesz, co mogli z nimi zrobić?

Tony Hastings usiłował przypomnieć sobie, co myślał na ten temat. Myślał na ten temat tylko tyle, że Laura i Helen są na posterunku policji w Bailey.

Albo że siedzą w przyczepie, nad łukiem drogi, za zasłonką, za którą paliło się słabe światło. Albo że zostawiono je na innej polance tak jak jego. Albo gorzej. Odpowiedział:

– Nie wiem, co mogli z nimi zrobić.

– W porządku. Po jakimś czasie samochód wyjechał z lasu. Co się wtedy stało?

– Wtedy chciałem do nich podejść. A oni chcieli mnie rozjechać.

– Gdzie to było?

– Na drodze w lesie. Niedaleko tego leśnego duktu.

Bobby Andes miał notatnik, w którym coś zapisywał.

– Więc jeden z tych gości zawiózł cię do lasu i tam wyrzucił. A potem przyjechali dwaj inni, wjechali do lasu, wyjechali z niego i odjechali na dobre.

– Tak właśnie było.

– Co myślisz o tym wszystkim?

– Nie wiem, co o tym myśleć.

– Ja myślę tak: byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyśmy znaleźli tę drogę przez las. Nie sądzisz?

Co chcą tam znaleźć? Nagle – nie, wcale nie nagle – zrozumiał, o co w tym chodzi, o co w tym chodziło przez cały czas. Było to całkiem nowe odkrycie dla Tony’ego Hastingsa. Zauważył, że miejsce, w którym zazwyczaj spoczywa nadzieja, wyziębło. Było puste, splądrowane, pozbawione przyszłości, a ci ludzie pomagają mu odszukać coś, co już nie istnieje. Cofał się po własnych bezsensownych śladach i stąd to uczucie. Bezsensowne ślady na pustych drogach, w pustym lesie, gdzie stoją puste samochody. Udawanie poszukiwań, żeby można było powiedzieć, że się szukało, że się próbowało. Bo nie ma nic innego, co mógłby zrobić. Człowiek powoli zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie wymyślić niczego innego, co mógłby zrobić.

Zastanawiał się, dlaczego stoją. Zatrzymali się przed domem – małym, z cegły, z białymi framugami okien. Między domem a zagrodą było podwórko.

– Okay – powiedział Bobby Andes. – Potrafisz stąd odnaleźć drogę?

Myślał. Jeśli w porannym świetle nie potrafi rozpoznać domu Combsów, jak ma odnaleźć drogę, którą przeszedł w nocy? Mimo że wyrwała się w jego snach, których nie zdążył jeszcze wyśnić.

– Szedłem tą drogą.

Trzeba się cofać na wstecznym biegu. Przyprawiająca o mdłości panika.

– Niech pan jedzie wolno... – Bo nic nie wygląda znajomo, nawet sama

dolina, którą zbudował w wyobraźni z niewyraźnych nocnych cieni. Dolina wydawała się teraz całkiem mała i wyboista, podobnie jak farmy, które były małe, coraz mniejsze i wpadały na lasy, po kawałku odkrawając im rogi. Ale co parę chwil panika ustępowała na widok czegoś, co rozpoznawał zazwyczaj dopiero na wysokości tego czegoś albo kiedy przyglądał mu się z tyłu: skrzynka na listy, przewrócony płot, dom z gankiem i szopą na narzędzia, wąski mostek nad strumieniem.

Droga wspinała się, uchodząc z doliny ku lasom. Pamiętał, jak tędy schodził, pamiętał, jak niosły go wtedy stopy. Drzewa były rzadkie, tego akurat nie wiedział, a potem zgęstniały i stały się coraz wyższe, zamieniając się w gęsty wysoki las po obu stronach nieskończonego – zda się – wzgórza, którego nie znał. Wjechali wyżej wzdłuż stoku: skrzyżowanie. Punkt orientacyjny, którego nie zapamiętał. Zatrzymali się na poboczu. Teraz przypominał sobie, jak skręcił w dół i wydedukował, że cofając się po własnych śladach, powinien skręcić w lewo.

Z prawej droga zbliżała się ku rozwidleniu, które zapamiętał z nieprzespanych koszmarów jako punkt, gdzie zbieżył z pierwotnej trasy pokonanej z Lou. Trasy, przy której stał zapomniany kościółek, potem był łuk i była słabo oświetlona przyczepa. Skrzyżowanie nie przypominało wcale rozwidlenia. Droga biegnąca z góry była wąska i ostro skręcała. Nic dziwnego, że jej nie zauważył.

Przez cały czas myślał o Laurze i Helen. Pytały go: Dokąd jedziesz? Próbował usunąć je z przeszłości i przyszłości, gdzie obojętnie zajmowały swoje zwykłe miejsca, rozmawiając ze sobą, żartując. Próbował je umieścić w tej teraźniejszości, w której zasadniczym pytaniem było: Gdzie jesteście i co się z wami dzieje? Nasłuchiwał. Wypatrywał i nasłuchiwał, a w ciszy, jaka go otaczała, ich milczenie brzmiało jak grom. Widział ich znieruchomiałe twarze, jakby wyrzeźbione w marmurze. Chciał je ożywić – przecież muszą gdzieś być, przeżywszy Bóg wie jakie traumatyczne doświadczenia, podobne do jego własnych. Przyzywał je nieustannie przed każdym kolejnym zakrętem. O tu! Tu są na pewno! Idą środkiem drogi, matka i córka, dzinsy, chusteczka, elastyczne spodnie, ciemny sweter. Dlaczego ich nie ma? Nigdy się nie znajduje tego, czego się szuka, dopokąd się szuka, a jeśli się znajdzie, nazywa się to cudem. Kolejny powód, by panikować. Szukanie żony i córki na pustych drogach, na których ich najzwyczajniej nie ma, to najlepszy sposób, by doprowadzić do tego, żeby już nigdy ich nie było.

– Tu! – zawołał Tony Hastings.

Szybciej, znacznie szybciej, niżli się spodziewał. Połamana brama, biała tablica przybita w poprzek słupa. Zapamiętał je, żeby odnaleźć wjazd na leśny dukt, który teraz w ogóle nie przypominał drogi, ścieżki czy pary głębokich kolein.

Zatrzymali się. Porucznik zapisał coś w notesie.

– Tu cię przywieźli, tak?

Tony Hastings zobaczył rów, drut kolczasty, chaszczce porastające obie strony wykopu, który był płytszy i znajdował się bliżej drogi niż wtedy, kiedy wskakiwał do niego w koszmarze.

– Mam wjechać? – zapytał kierowca.

Bobby Andes spojrzał na Tony'ego.

– Mamy po co?

Tony Hastings zamarł. Był jak sparaliżowany, bezwolny, przerażony.

– Czego będziemy szukać?

Bobby Andes posłał mu kolejne spojrzenie. Z jego nosa wyrastały włosy, a w kącikach załzawionych oczu miał różowe śpiochy.

– W porządku – rzucił. – Sprawdzimy jeszcze trasę, którą tu przyjechałeś.

– Nie widziałem za wiele.

Zawrócili, a Tony Hastings po raz drugi opuszczał leśny dukt, czując tę samą bolesną udrekę rozstania z uwięzioną gdzieś tutaj ukochaną, którą tchórzliwie porzucał. Błagając ją przy tym, żeby zrozumiała, dlaczego musi to zrobić.

Zatrzymali się przy „rozwidleniu” – skrzyżowaniu z drogą biegnącą z góry.

– Pogubiłem się, wychodząc z lasu – przypomniał im. – Ale nie wykluczam, że przyjechaliśmy tu tą węższą drogą.

– To ważne – powiedział Andes. – Ta droga prowadzi na szczyt wzgórza i do następnej doliny.

– Jeśli przyjechał tą drogą, musiał zjechać z autostrady na skrawie do Bear Valley – powiedział kierowca.

– Jedźmy.

Droga wiła się pod górę, a po chwili zaczęli zjeżdżać. Znaleźli się na łuku, nad którym między drzewami stała biała przyczepa.

– To ta przyczepa! – krzyknął Tony.

W zatoczce nie było żadnego samochodu.

– Jedź dalej, nie zwalniaj – polecił Andes.

Jechali bardzo szybko i stracili przyczepę z oczu.

Przyczepa musiała stać nad tym łukiem od lat. Wokół niej wyrosły i uwięziły ją młode drzewa.

– Jesteś pewien? – spytał Andes.

Potem biały kościółek.

– Jestem pewien! Widziałem tę przyczepę. Tylko... co z tego?

– Co się wtedy stało? Lou kazał ci się przy niej zatrzymać?

– Nie. Zobaczyłem samochód w zatoczce. Wydawało mi się, że to mój. Lou powiedział, że to nie mój, i doszedłem do wniosku, że mogłem się pomylić.

– Sprawdzimy to.

Zjechali do wioski, w której stała zapamiętana przez Tony'ego szklarnia.

– Zjazd do Bear Valley, to oczywiste – mruknął kierowca.

Pojawiły się znaki prowadzące do autostrady, a potem do wjazdu na nią i do przejazdu na drugą stronę. Stanęli na poboczu.

– Myślisz, że potrafiłbyś znaleźć miejsce, w którym was zatrzymali?

– Na autostradzie? Nie wiem...

– To może być ważne...

– Co?

– Dowody. Które pozwolą ustalić ich tożsamość. Ślady opon, odciski stóp, tego rodzaju rzeczy.

– Ale to wszystko działo się na twardym pasie awaryjnym.

– No taa...

Stali na wiejskiej drodze przy wjeździe na autostradę. Bobby Andes zastanawiał się. Po chwili powiedział:

– Wjechali do lasu, a kiedy cię zobaczyli, zgasili światła i wołali cię. Po co gasili światła?

– Nie wiem, do cholery! Może chcieli mnie podejść.

Andes roześmiał się z przymusem.

– Potem znów zapalili światła i wjechali głębiej, a kiedy wyjechali z lasu, chcieli cię rozjechać.

– Tak.

Bębnił palcami w notes.

– Nie chciałem ci tego mówić, ale moim zdaniem powinniśmy się rozejrzeć po tym leśnym dukcie.

Tony Hastings oniemiał. Jakby odczytano mu wyrok.

– Jedź drogą przez McCorkle – rzucił Andes kierowcy. Odwrócił się do Tony'ego i powiedział: – Podjedziemy tam z drugiej strony. Jeśli ktoś siedzi w tej przyczepie, lepiej, żeby nie widział dwa razy policyjnego auta.

Pojechali bardzo szybko dobrą drogą biegnącą po stoku wzgórza. Tony potrzebował dużo czasu, żeby zapytać:

– Co może być na tym dukcie?

– Przekonamy się na miejscu – odpowiedział Bobby Andes. – Pewnie nic.

Dziesięć

Na górze słyszeć szum wody. Dorothy bierze prysznic. Susan Morrow kartkuje maszynopis. Starając się nie czytać, odnajduje nagłówek CZEŚĆ DRUGA. Niezbyt daleko. Jakie to wszystko smutne, myśli. Smutek w tym, co ma się wydarzyć, o czym nikt nie mówi, choć wszyscy się tego spodziewają. Szuka luk, otwartych furtek, które mógł zostawić sobie Edward, ale nie znajduje żadnej. Tymczasem, choć całość jest smutna, wyczuwa w niej energię i nie wie, czy to jej własna, czy też wykreowana przez Edwarda, który stan radosnego podniecenia pisaniem przelał w słowa. Z przyjemnością wyobraża sobie Edwarda delektującego się tą pracą – to i ją podnieca. Czeką na potworne odkrycie, przeciwko któremu wszystko się w niej buntuje, ale czeka złąkniona.

Zwierzęta nocy 9

Powód, dla którego Tony Hastings boi się wrócić na leśny dukt. Nie ma takiego powodu, więc nie powinien się bać. To irracjonalny nocny osad. Teraz już nie musi się bać, jest bezpieczny na tylnym siedzeniu wygodnego policyjnego auta, w towarzystwie dwóch stanowych urzędników (przedstawiciele cywilizacji, która go przygarnęła), którzy bardzo się dla niego wysilają, którzy chcą mu pomóc odzyskać to, co stracił.

Nowo wybudowana droga pełna samochodów wspina się łagodnym łukiem na zalesione wzgórze. Na szczycie sklep z pamiątkami: wisiorki i drewniane sowy. Powód, dla którego się boi. Nie ma takiego powodu. Sprawdzają wszystkie ewentualności. Jest powód, by mieć nadzieję. W rzeczy samej. Jeśli Laura i Helen były w samochodzie wjeżdżającym do lasu, jeśli je zostawiono na leśnej polance, tak jak Tony'ego, jeśli od samego początku było wiadomo, że mają się tam spotkać. Wszelako powinny już były wyjść z lasu do tej pory. Na tym polegał problem z tą teorią. Chyba że usnęły, czekając na nadejście dnia. Ale tak czy inaczej dochodziło już prawie południe, a oni zjeździli całą okolice, więc powinny były już wyjść.

Po drodze Bobby Andes zadawał mu niezobowiązujące pytania. O życie. O pracę. O dom w Maine. O małżeństwo. O jedynaczkę. Bobby Andes też ma tylko jedno dziecko. Dlaczego Bobby Andes ma tylko jedno dziecko? To

niezamierzone. To znaczy, nie staraliśmy się nie mieć więcej dzieci. A wy?

Samochód przystanął na prostym odcinku drogi, która w tym miejscu znajdowała się powyżej lasu, oprócz tego miejsca, gdzie stanęli. Nie poznał okolicy, bo nadjechali z przeciwnej strony. Nie miał pojęcia, jak dostali się na drugą stronę. W tę właśnie stronę odjechali tamci, kiedy chował się w rowie.

Powód, dla którego Tony Hastings się bał, stanął mu ością w gardle, kiedy kierowca skręcił, przejechał z łomotem przez rów, minął połamaną bramę i wjechał w las. Powód był taki, że było już za późno, bo słońce stało najwyżej na niebie i przez całe przedpołudnie zjeździli okolicę. Za późno, żeby Laura i Helen wyszły teraz z lasu.

Ponieważ było już za późno, nie widział powodu, żeby tu wjeżdżać.

– Chcę się tylko przekonać, co tu jest – mruknął Bobby Andes.

– Nic szczególnego tu nie widziałem. Wkoło las.

– Ale to było w nocy.

– Myślisz, że mają tu bimbrownię? – spytał kierowca.

Andes się uśmiechnął.

– Może jakąś szopę.

– Dojechałem do końca tej drogi. Nic tam nie było.

Tony Hastings nie widział żadnej szopy i nie sądził, żeby Bobby Andes spodziewał się ją znaleźć. Dukt był wąski, skręcał ostro przy wystających z ziemi głazach i wyrastających z ziemi drzewach, samochód podskakiwał i łomotał. – Jezu! – powtarzał Bobby Andes. W lesie było dużo światła i powietrza, a w poszyciu leżały uschnięte krzaki i gałęzie. Drzewa przesłaniały głazy i skaliste wzniesienia. Tony Hastings nie potrafił połączyć tego, co widział, z tym, co zapamiętał, zarówno wtedy, kiedy tędy jechał z włączonymi światłami, jak i wtedy, kiedy wracał tędy po ciemku, kierując się tylko widzącym cienie wzrokiem. Szukał teraz głazu, za którym się schował, gdy nadjechali Ray i Turk. Ujrzał kilka podobnych, ale żadnego z nich nie rozpoznawał.

Powód, dla którego Tony Hastings bał się wrócić do lasu, sprowadzał się do tego, że las uwiarygodniał jego wyobrażenia. Że porucznik Bobby Andes uważał, że tak trzeba zrobić. Żeby wszystko sprawdzić, wyeliminować. Udręka jazdy po tym morderczym dukcie, napięcie narastające z każdą minutą, podwojone o każdą minutę potrzebną, żeby stąd wyjechać. To wszystko czyniło rzeczywistością upiorny sen, jaki mu się przyśnił. Zamieniało ten upiorny sen w fakty.

Wjeżdżając do lasu, poczuł tę samą rozpacz, od której chciało mu się płakać w nocy. Bolesną rozpacz, tnącą do żywego, ponieważ nie stawiał czoła

tym ludziom, kiedy go wołali, gdyż – teraz był tego pewien – chcieli, żeby dołączył do Laury i Helen. Żywych lub martwych. Jeśli uważał, że w ten sposób uniknął śmierci, czym stawało się to osiągnięcie wobec śmierci kobiet? A jeśli ich nie zabito wcześniej, lecz tylko uwięziono w aucie i miały jeszcze szansę na przeżycie... To nie do zniesienia.

Zobaczył mostek z bali i przerzedzające się przed polaną drzewa. Serce mu zamarło. Zjeżdżali na mostek i wspinali się po krótkim stromym zboczu po drugiej stronie. Wiedział już, że nic tam nie ma, widział to teraz na własne oczy i poczuł głęboką ulgę. Polana otwierała się przed nimi. Porośnięta wysoką trawą łąka. Pusta. Jeśli nie liczyć śladów zakręcających aut.

– Oo... – mruknął kierowca.

– O, kurwa! O, kurwa! – zaklął Bobby Andes.

Tony Hastings nie wiedział, o co im chodzi. Czuł tylko przeogromną ulgę, choć jednocześnie był rozczarowany tym, że niczego na polanie nie znaleźli: niczego z rzeczy, których się spodziewał, których się bał albo co do których się łądził. Zauważył tylko, że ktoś tutaj był, bo na krzakach po drugiej stronie wisiały czerwona chusteczka, ciemny sweter i dżinsy. Kiedy Bobby Andes poruszył głową, ujrzał pod krzakiem nagich kochanków. Śpiących. Splecionych w uścisku.

– Spokojnie, Tony – powiedział Bobby Andes.

Zastanawiał się, dlaczego tak bardzo się o niego martwi. Wsiadł już z auta i szedł szybkim krokiem ku śpiącym kochankom. Bobby Andes i kierowca szli tuż za nim. Biegli nawet. Któryś z nich chwycił go za ramię, jakby chciał go obezwładnić. Ale przecież nie stawiał oporu. Chciał tylko raz na zawsze wyeliminować wprost groteskowe założenia, stawiane przez towarzyszących mu policjantów, a potem tylko obudzić – co z tego, że byli nadzy? – tych przytulonych kochanków: chłopaka i dziewczynę, których widział przed sobą. Chciał ich obudzić, żeby mogli powiedzieć im, kim nie są. Chłopak i dziewczyna. Nie był jeszcze pewien, które jest które, bo jedno leżało na plecach, a drugie na nim twarzą do dołu. Możliwe, pomyślał, że wcale nie śpią. Możliwe, pomyślał, że oboje są martwi. Że zostali przez kogoś zabici. A jeśli tak, to zajmą się nimi towarzyszący mu policjanci.

To nie mogła być Laura ani Helen. Kochankowie byli bowiem całkiem nadzy i wyglądali jak dzieci ułożone do snu albo ogłuszone do snu ciosem w głowę. A więc nieprzytomne, pogrążone w śpiączce albo martwe. Szedł szybkim krokiem, wyrwawszy się Bobby'emu Andesowi, który chciał go powstrzymać. On sam chciał się tylko upewnić, że Laura i Helen nie są tymi kochankami. Wcale nie biegł, bo przecież wiedział, że nie są.

Ale były. To dlatego wyskoczył z policyjnego auta, zanim jeszcze stanęło, bo wiedział, że to one, kiedy tylko je zobaczył: nagie dzieci śpiące pod krzakiem, Laura i Helen. Do tego sprowadzał się sens wracającego tu nocą samochodu i lekcja udzielona mu przez Raya, Turka i Lou – wiedział o tym, nim je zobaczył, nim zobaczył chusteczkę na krzaku, nim usłyszał okrzyki wzburzenia obu siedzących z przodu auta policjantów. Wiedział.

Chusteczka Helen, sweter Laury, jej elastyczne spodnie. Spieszył się, bo nie widział ich twarzy. Były za małe, jak dzieci. Nie potrafiłby odgadnąć ich płci. Które z nich było chłopcem, a które dziewczynką.

Leżały pod krzakiem, który miał połamane gałęzie, jakby na niego upadły, i wciąż nie widział ich twarzy. Uroczą naga dziewczynka leżała na plecach z lekko odwróconą głową, a większy chłopiec leżał na niej, prawie obok niej, z twarzą do dołu ukrytą w ramionach i niewidocznymi, bo zasłoniętymi gałęziami, włosami.

– Spokojnie, Tony. – Ktoś trzyma go za rękę.

– Daj mi zobaczyć. Daj mi zobaczyć.

Za rękę trzymał go policyjny kierowca, a Bobby Andes przeciął nożem gałęzie i przepchnął się do dziewczyny, przy której przykląkł, i uniósł ją ostrożnie, podtrzymując dłonią jej głowę. Widział ją teraz z boku, z profilu, ciągle nie był pewny. Bobby Andes opuścił jej głowę na ziemię i zrobił krok nad ciałem ku tej drugiej; przekreślił jej ramię, żeby ją obrócić twarzą do góry: ciemne włosy, gęste czarne włosy, jak Laury. Uniósł jej głowę.

Miała półotwarte do płaczu usta. Policzki i oczy ściągnięte bólem. Rozpoznał płacz, policzki i oczy, rozpoznał ból, chłodną inteligencję, język, lata. Bobby Andes ze ściągniętym jak u Laury obliczem wpatruje się w nią, podtrzymuje jej głowę, żeby Tony się przyjrzał. Bobby Andes, nieznajomy ze świata. Rzucił się, żeby sprawdzić, czy jest jeszcze cień nadziei, czy nie jest już za późno. Pnącza oplatają mu stopy. Przewrócił się. Prosto na gałęzie.

– Czy to twoja żona?

– Nic jej nie jest?

Pobielala twarz, patrzące w jeden punkt oczy. Bobby Andes nie odpowiedział.

Jedenaście

Wstrząśnięta Susan Morrow czyta do samego końca. Zabiłeś je, Edwardzie, mówi. Doprowadziłeś do tego i zrobiłeś to. To, co wydawało się nie do zniesienia. Jest ogłuszona, tak samo jak Tony, jakby zupełnie się tego nie spodziewała. Straszna, ponura zbrodnia. Przypuszcza jednak, że gdyby nie zginęły w tym momencie, czułaby się zawiedziona. Nieszczęsny Tony, nieszczęsny człowiek, od którego tragedii zależy przyjemność, jaką wynosi z czytania. Wyobraża sobie, że ból odmalowany w tej ostatniej scenie – ból, który ucieleśnia się w Tonym – jest w istocie jej własnym bólem, co wydaje się niepokojące. Jest przypisanym jej bólem – starym albo nowym, przeszłym albo przyszłym: sama nie wie którym. To wszystko jest bardzo niejasne, dobrze zdaje sobie sprawę, że jej ból – inaczej niż ból Tony’ego – nęka ją nie tu i teraz, ale gdzie indziej, a to sprawia, że staje się dotkliwszy, zaś tu i teraz wydaje się przez to przerażające. Zupełnie nie wie, jak to rozumieć, wraca więc do oceny krytycznej. Ocenia fabułę i sposób przedstawienia wstrząsającego odkrycia: jego irracjonalność, wypieranie tego, co oczywiste. Podoba się jej ten zabieg. Potem będziesz mogła skrytykować sposób zarysowania tła społecznego, na przykład uporczywą wiktyimizację kobiet, ale jeszcze nie teraz: najpierw przeczytaj i oceń, choć to straszne.

Następna strona: CZĘŚĆ DRUGA na pustej kartce. Zatem czytaliśmy część pierwszą, w której Edward ukształtował Tony’ego jak w hucie szkła. I co teraz? Co dalej? Bez względu na rozwój wypadków ciąg dalszy stanowi spore ryzyko dla Edwarda, który musi zacząć wszystko od nowa. Susan życzy mu powodzenia.

W tym momencie chce przerwać lekturę, ale okazuje się, że to niemożliwe. A poza tym ktoś wciąż bierze prysznic. Zerknie zatem do CZĘŚCI DRUGIEJ.

Zwierzęta nocy 10

Tony Hastings powtarzał w głowie jedno słowo: Nie! Wyparcie zderzało się z okrutnymi faktami, na które był przygotowany. Odprowadzili go z powrotem do policyjnego auta, podtrzymując za ramię jak starca. Usiadł z tyłu, nie zamykając drzwi. Spoglądał za siebie. Słuchał policyjnego radia, skrzeczących głosów i głosu policyjnego kierowcy meldującego do mikrofonu

słowami, których nie rozumiał. Spojrzał na krzaki, na których rozwieszono ubrania. Spojrzał na to, co było pod krzakami i co nie uległo zmianie. Za każdym razem, kiedy na nie zerkał, wyglądały tak samo – jak drzewa. Świerszcze rzępoliły w wysokiej trawie, muchołówka rzuciła się z poświstem z gałęzi prosto w nieruchome powietrze. Odwrócił głowę. Miał przed sobą zgarbionego policjanta, który meldował do mikrofonu. Wśród koron drzew na krawędzi polany dostrzegł gniazdo jastrzębia. Opuścił wzrok ku krzakom i znów je zobaczył: ułożone na zawsze jak na fotografii.

I tylko to Nie! Nie! – jego odmowa na przejechanie wraz z czasem przez skrzyżowanie. Koniec przyszłości. Chwila oddzielona od chwili, czas biegnący dalej bez jego udziału. Żadnej innej myśli oprócz tego Nie! Wybacz, Tony, ktoś do niego mówił, ale nie możemy ich dotykać, nie możemy niczego ruszać, póki nie przyjadą. Czekanie, bez zastanawiania się, na co czekają, bez zwracania uwagi, jak długo. Przerywane jedynie zerkaniem od czasu do czasu na scenę pod krzakami – taką samą za każdym razem, kiedy patrzył. Bobby Andes i kierowca obeszli polanę w tę i z powrotem, wbijając wzrok w ziemię, zaglądając ostrożnie w zarośla. Wrócili do samochodu i znów poszli. Później nie umiał sobie przypomnieć, czy im towarzyszył.

Samochody nadjechały tak nagle, jakby nie czekali na nie ani chwili. Błyskały światłami w lesie, choć było południe, wyskakiwali z nich na polanę jacyś ludzie, mierzyli ją i robili jej zdjęcia. Stanęli w szeregu odwróceniem do niego plecami. Zasłaniaли mu widok, ćwierkali jak wróble, a on zapamiętał, że pomyślał wtedy: One są moje, moja Laura i moja Helen. Rozpościerali niezdarnie szary parawan, a kiedy odeszli, nie widział już ani ubrań, ani ich.

Zobaczył jakiś kokon wynoszony z krzaków na noszach. Potem zobaczył drugi. Zastanawiał się, która jest którą, kiedy spoczęły obok siebie. Wydawało mu się, że wie, ale potem zdał sobie sprawę, że nie. Nie ma sposobu, żeby się przekonać, chyba że kogoś zapyta, ale nie ma pewności, że ten, kogo zapyta, czegoś nie pomyli. Myśli, że to on powinien wiedzieć, powinien rozpoznać swoją Laurę i Helen. Myśląc o tym, czuje, że coś spływa mu do gardła, że płynie mu po policzkach jak dziecku.

Podszedł jakiś młody policjant.

– Proszę za mną. Odwiozę pana.

– Dokąd?

Rozglądał się, szukając wzrokiem Bobby'ego Andesa, kierowcy, kogoś, kogo znał.

– Odwiozę pana do motelu.

– Co mam tam robić?

Bobby Andes nagrywał notatki na magnetofon. Spojrzał na Tony'ego Hastingsa.

– Pojedź z George'em, Tony. Porozmawiam z tobą po południu.

Tony Hastings wziął się w garść. Zapytał:

– Czy mój samochód nadaje się do użytku?

– Jutro. Najpierw trzeba go obejrzeć.

– Mogę zabrać z niego walizkę?

– George się tym zajmie. – Bobby Andes zwrócił się do George'a: – Powiedz Maxowi, żeby mu oddał rzeczy.

Ten, którego Bobby Andes nazywał George'em, wiózł go z powrotem. Daleka droga, wyjazd z potwornego lasu duktem, który pozostanie blizną w jego pamięci, szybka jazda wiejską drogą do motelu naprzeciw posterunku policji. Później Tony Hastings nie pamiętał George'a, który przypominał jasnowłosego piłkarza ze szkolnej drużyny przebranego w policyjny mundur. Nie rozmawiali ze sobą. Tony Hastings wpatrywał się w mijane lasy, mijane przez niego po raz nie wiadomo który w jedną i drugą stronę: były niczym dekoracja dla rozbieganych myśli. Potem przypominał sobie ekspozycję własnych myśli, rozłożonych na wielkich bezlistnych pniach, suchych konarach, skalistych pagórkach. Towarzyszyły im policyjne głosy dobiegające z radia. Słowo „nie”. Nie wiedział, o czym myśli. Chyba o tym, że przydarzyło mu się najgorsze i skończył się świat. Nie wiedział też, co czuje, jeśli czuł cokolwiek. Zmęczenie, letarg. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu jechać do Maine. Oczywiście, że nie ma sensu – co on sobie wyobrażał? Co zrobi z sierpniem i resztą lata? Co zrobi z samochodem? Co zrobi, kiedy policjant zostawi go w motelu? Zastanawiał się, czy emocje wymagają od niego, żeby nie jadł lunchu, ale był głodny – palił emocje. I tak ich nie znał. Zastanawiał się, gdzie zjeść lunch i co mu podadzą do jedzenia. Zastanawiał się, co będzie robił po południu, i liczył na rozmowę z Bobbym Andesem, który da mu coś do roboty. Potem będzie mógł pomyśleć o obiedzie. A po obiedzie będzie wieczór.

Wiedział, że strata, którą poniósł, jest bardzo ciężka, nawet jeśli jeszcze nie czuje jej ciężaru. Powinien o tym komuś powiedzieć. Oczywiście, że powinien – to był jego przywilej jako żałobnika. Osieroczonego żałobnika. Myślał o przyjaciółkach i zastanawiał się, komu z nich powiedzieć; kto stanie przy nim w potrzebie. Nikt z tych, którzy by stanęli przy nim w potrzebie, nie przychodził mu do głowy, ale przecież musi kogoś powiadomić. Kogo? Pewnie siostrę i brata. Oczywiście, że siostrę i brata. Ucieszył się, przypomniawszy sobie o siostrze. Co do brata nie miał pewności. Ale kiedy

się zastanawiał, co jej powiedzieć, doszedł do wniosku, że nie potrafi przekazać tej wiadomości: nie chciał słyszeć, jak zaniemówi, jak zacznie płakać.

Ta rozpacz przypomniła mu o kokonach, o niepewności, który z nich ukrywał którą, a wspomnienie to kazało mu po raz drugi zalać się łzami.

Zapytał:

– Czy ktoś mógłby zadzwonić do mojej siostry i opowiedzieć jej o wszystkim? Przekazać jej mój numer, żeby oddzwoniła.

Wyraz twarzy George'a powiedział mu, że George nie pojmuje, dlaczego sam nie zadzwoni do siostry, jeśli chce ją o tym powiadomić. Ale to tylko wyraz twarzy, bo sam George powiedział:

– Jasne. Zobaczę, co da się zrobić. – Wziął numer telefonu zapisany przez Tony'ego na kartce z policyjnego notatnika.

Tony zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Być może – będąc zupełnie rozbitym i licząc się z najgorszym – nie wykazał się należytą starannością podczas identyfikacji, być może zbyt pochopnie i szybko wyciągnął wnioski. Bo przecież przyjrzał się im tylko raz. Na tyle długo, by ujrzeć to, co chciał zobaczyć. Wzbierał w nim straszny lęk, że mógł popełnić błąd. Trzeba spróbować z George'em:

– Obawiam się, że nie jestem do końca pewien, czy je rozpoznałem.

George potrzebował sporo czasu, żeby zrozumieć, o co mu chodzi.

– Naprawdę? – odezwał się wyraźnie poirytowany. Tak bardzo poirytowany, że Tony poczuł wstyd. – Nic nie szkodzi. I tak będzie musiał pan dokonać oficjalnej identyfikacji w kostnicy.

W motelu, przed odjazdem, George zapytał:

– Nie chce pan odwołać tego telefonu do siostry?

– Dlaczego?

– No, żeby się zastanowić, żeby dokonać identyfikacji.

Wiedział, że chwyta się brzytwy, że prawdopodobieństwo popełnienia przez niego błędu jest minimalne, ale myśl o tym, że siostra mogłaby się dowiedzieć o tragedii, do której nie doszło, że musiałby się przed nią tłumaczyć, sparaliżowała go. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Policjant czekał.

– Nie... Tak. Nie...

– Czyli?

Odczekaj, a potem ustąp.

– Nie, proszę ją powiadomić.

– Jest pan pewien?

– Tak.

Po południu usnął w ubraniu na motelowym łóżku. Później jakiś policjant zabrał go do kostnicy, żeby zidentyfikował zwłoki. Zwłoki. Obie leżały w wyłożonej białymi kafelkami chłodni. Każda na oddzielnym stole. Mężczyzna kolejno podniósł prześcieradła, żeby odsłonić głowy. Były to albo szarozielone woskowe popiersia, albo najbliższe mu osoby: Laura z gniewnym, ironicznym uśmiechem, a Helen z nadęsaną miną, która mogłaby wyglądać zabawnie, ale nie wyglądała.

Potem zabrali go z powrotem na posterunek, gdzie rozmawiał z Bobbym Andesem.

– Mam informacje – powiedział Bobby. – Meldunek z Topping. Wczorajszej nocy ktoś zgłosił nękanie na autostradzie międzystanowej. Był w sytuacji podobnej do twojej.

– Ci sami ludzie.

– Ta osoba zapisała ich numer rejestracyjny.

Tony Hastings podniósł głowę.

– Ale niestety to numer skradziony ze złomowanego auta.

Tony Hastings zdał sobie nagle sprawę, że Bobby Andes chce naprawdę złapać tych trzech. Dla niego był to logiczny ciąg dalszy. Potem Bobby Andes zaczął go przeproszać:

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Tony, to musimy pobrać twoje odciski palców.

– Moje?

– Taka jest procedura, to nic wielkiego. Na bagażniku twojego auta znaleziono czyjeś odciski. Bagażnik wystawał z wody.

Był najwyraźniej zadowolony. Bobby Andes poprosił Tony'ego o opowiedzenie całego zajścia raz jeszcze. Nękanie na autostradzie, zjazd na pas awaryjny, pęknięta opona, rozdzielenie z rodziną, jazda do lasu, wyjście z lasu, wszystko. Bobby Andes okazywał współczucie, nieustannie kręcił głową, a czasem jego współczucie zamieniało się w gniew.

– Parszywe gnoje – powtarzał. – Skurwysyny.

W końcu rzucił ołówek na biurko i opadł na oparcie krzesła.

– Cała cholerna rodzina! Wyobrażasz sobie!

Tony Hastings nie musiał sobie tego wyobrażać. Był wdzięczny Bobby'emu Andesowi za okazane mu współczucie, choć nieco go ono zaskoczyło, a już zupełnie nie wiedział, co myśleć o złości porucznika.

– Bydlaki – rzucił Bobby Andes. A po chwili: – Ja też miałem żonę i dziecko. Żona się ze mną rozwiodła, ale to nieważne. – Podniósł ręce i wykonał dłońmi taki gest, jakby skręcał komuś kark. Miał plamy na twarzy.

- Dopadniemy ich – powiedziała. – Masz to jak w banku! – Czyjś kark trzasnął. Doceniam to, pomyślał Tony, ale co z tego?
- Bobby Andes zmienił ton na urzędowy:
 - Musisz tu zostać do jutrzejszego popołudnia – mruknął. – Mamy nakaz, żeby przeszukać tę przyczepę, i obejrzymy dokładnie twój samochód. Możesz być nam potrzebny.
 - Okay.
 - Nadamy komunikat w telewizji. Wezwiemy ewentualnych świadków. Może pojawi się ten twój głuchy staruszek z pikapa...
 - A co on może?
 - Może zaświadczyć. Bóg jeden wie, co jeszcze widział, chyba że się przeraził na śmierć. Dasz sobie radę w nocy?
 - Tak myślę.
 - Masz gdzie jeść?
 - Chyba w motelu...
 - Jak lubisz włoskie żarcie, idź do Julia.
 - Dzięki.
 - Aha! Hawk się pytał, co zamierzasz dalej... no, wiesz, jakie masz dalsze dyspozycje... z pogrzebem i tak dalej. No, wiesz...
 - No, wiesz. Tony Hastings nie wiedział. Co z pogrzebem. I tak dalej.
 - Muszę zająć się tym teraz?
 - Spokojnie. Nie ma pośpiechu.
 - Nie znam żadnych ludzi od pogrzebów.
 - Można to wszystko załatwić tutaj, a potem się je wyekspediuje. Mogę ci kogoś polecić.

Wyekspediuje.

Pojechał taksówką do Julia i zjadł samotnie włoski obiad. Ale najpierw się napił. Ten drink przypominał mu o samotności. Obiad był dobry, co pogarszało sprawę. Kupił jakieś pisma, żeby przetrwać wieczór, i wrócił do motelu.

Zadzwoiła Paula, jego siostra. Była przejęta.

- Och, Tony... To straszne...

Kiedy usłyszał, jak powiedziała „to straszne”, jakiś stary nawyk podszeptał mu, żeby odrzec: Nie takie straszne. Ale powstrzymał się w porę i nic nie powiedział. Kazała mu natychmiast przyjechać i zatrzymać się u niej na Cape. Odpowiedział, że musi najpierw wydać dyspozycje. Dyspozycje. Przytaknęła i dodała, że przyjedzie na pogrzeb. A potem zabierze go ze sobą na Cape. Pogrzeb. Był jej wdzięczny. Zapytała, jak zamierza wrócić do domu. Odrzekł,

że samochodem, kiedy mu go zwrócą. Pogrzeb.

– Chcesz sam wracać samochodem! W takim stanie? Myślisz, że to bezpieczne?

Zastanawiał się nad tym. Powiedział:

– Nic mi nie jest. Nie musisz się o mnie martwić.

Wolałaby, żeby nie jechał sam taki kawał drogi. Ma pewien pomysł! Przyśle Mertona! Przyśle go jutro, żeby dotrzymał mu towarzysztwa w drodze powrotnej. Przyjechałaby sama, gdyby nie to, że coś tam.

Nie, nie chce Mertona. Nie chce nikogo. Nic mu nie jest i wróci sam. Nie musi się o niego martwić.

No, jeśli się upierasz, powiedziała. Więc spotkają się na pogrzebie. Przyleci samolotem i zabierze go, i razem polecą samolotem na Cape. Pogrzeb. Obiecała, że zadzwoni do ich brata Alexa, w Chicago, a także do kogoś w Cincinnati, kogo trzeba powiadomić. Zobaczymy się w czwartek, powiedziała. Powiadomić. Resztę wieczoru spędził w motelu, czytając czasopisma, a kiedy nadeszła pora, położył się spać.

Następnego popołudnia Tony Hastings odebrał samochód na posterunku. Auto zostało umyte i wysuszone. Było pełne wspomnień, ale to nieważne. Bobby Andes miał kolejne wieści:

– Znamy przyczynę śmierci.

Tony usiadł. Cekał na podanie przyczyny. Andes odwrócił głowę.

– Twoja żona ma pękniętą czaszkę. Uderzono ją czymś w głowę, młotkiem albo kijem baseballowym. Tylko raz albo dwa. Twoja córka bardziej cierpiała. Została uduszona. Uduszona.

Cekał, aż dotrze to do Tony'ego, czekał, aż Tony pouklada to sobie w głowie, bo miał coś jeszcze do powiedzenia.

– Miała też złamaną rękę.

– To znaczy, że walczyła?

– Na to wygląda.

Przyglądał się Tony'emu.

– Coś jeszcze... – dodał.

Tony czekał.

– Obie zostały zgwałcone. – Wypowiedział to słowo w taki sposób, jakby już nic gorszego nie dało się powiedzieć.

Ale Tony nie był tym wcale zaskoczony. Był zaskoczony, kiedy to usłyszał.

Oblicze Bobby'ego Andesa rozpromieniło się niespodziewanie.

– Coś ci jeszcze powiem: miałeś rację co do tej przyczepy.

- To znaczy?
- Zabrali je do przyczepy, tak jak podejrzewałeś.
- Skąd o tym wiesz?

Młotek.

– Na łóżku w przyczepie znaleźliśmy odciski palców twojej żony. – To miała być dobra wiadomość.

- O, Boże... A Helen?
- Jej odcisków tam nie było. Tylko twojej żony.
- Do kogo należy przyczepa?

Gwałt.

– Taa... – Bobby Andes znał się na swojej pracy. – Ten gość jest czysty. Mieszka w Poleville. Używa przyczepy, kiedy poluje. Ktoś się do niej włamał. Ktoś w niej mieszkał.

To były ponure, straszne wieści. Laura i Helen w przyczepie.

- Cholera... – mruknął Tony. Walczyła.
- Taa... Mamy też inne odciski palców.
- Skąd?

– Z przyczepy. I coś ci jeszcze powiem: te odciski z bagażnika nie należą do ciebie.

– To dobrze – powiedział Tony Hastings. Dobrze? Dlaczego to powiedział?
– Porównaliście je z tymi odciskami z przyczepy? – Detektyw Tony Hastings. Co mu z tego przyjdzie?

– Nie ma jeszcze wyników. To wszystko, człowieku, wymaga czasu. Musimy pobrać odciski palców właściciela przyczepy, żeby go wykluczyć, jeśli zdołamy wyselekcjonować inne odciski. Ale nie traćmy nadziei. Właściciel nie był w przyczepie od jesieni, więc sprawa wygląda obiecująco.

– Chyba tak... – odpowiedział uprzejmie Tony Hastings, choć nie mógł przyznać, że cokolwiek wygląda obiecująco. Na to było już za późno.

– Wyślemy materiał do ekspertyzy. Dam ci znać. – Bobby Andes wydawał się zadowolony.

Dla Tony'ego Hastingsa na wszystko było już za późno. Upłynęła długa chwila, zanim zdał sobie sprawę, że obce odciski palców na bagażniku jego auta mogły go ostatecznie oczyścić z podejrzeń w oczach policji.

Dwanaście

Mroczne to, Edwardzie, trudne do zniesienia. Ten ostatni akapit może zrujnować książkę. Jedno nie ulega wątpliwości: Edward znalazł się na rozdrożu. Teraz musi zdecydować, w którą stronę skreśli. Czy pójdzie tropem złych ludzi i napisze kryminał, czy pójdzie tropem rozterek Tony'ego i napisze inną książkę. Susan podoba się problem zarysowany w tym rozdziale: co zrobić z resztą dnia po otrzymaniu złych wieści. Co ona by zrobiła z resztą dnia, dowiedziawszy się, że coś złego spotkało Dorothy, Henry'ego albo Rosie? Takie pytania są tabu, nie śmie ich zadawać inaczej niż poprzez wyobrażone przeżycia Tony'ego. Cholera, nie ma najmniejszego pojęcia, co by wtedy zrobiła.

Przewiduje swój przyszły (bo jeszcze teraz go nie zgłasza) sprzeciw wobec wymyślnego przez Edwarda gwałtu na tych kobietach przed ich zamordowaniem. Zbrodnie popełniane na kobietach – banał, którego nie znosi. Czego oczekuje od niej autor? Czy oczekuje, że spodoba się jej jego sadyzm? Czy oczekuje, że jest masochistką? Zawsze wiedziała, że Edward – mimo zasznurowanych ust – lubi przemoc. Przemoc kryła się w jego powściągliwości, jego świadomej łagodności, w jego potajemnie wściekłym pacyfizmie.

Pamięta, że kiedyś udzieliła mu rady, jak powinien pisać. Cóż za zuchwałość! Powiedziała, że powinien przestać pisać o sobie, że nikogo nie obchodzi stan jego uczuć. Odparł na to, że wszyscy piszący zajmują się wyłącznie sobą. Powiedziała mu wtedy, że powinien poznać literaturę, że pisząc, powinien pamiętać o literaturze i świecie. Przez lata wyrzucała sobie, że coś w nim zamordowała, i łudziła się, że jego praca w ubezpieczeniach dowodzi, że nie było to aż takie ważne. Ale ta książka jest odpowiedzią nowego rodzaju. Zastanawia się, ile pogardy albo ironii kryje się w jego doborze tematu: ma nadzieję, że jest szczery.

Znikąd pojawia się nagle inne wspomnienie: chłopiec i dziewczyna jak brat i siostra, jeszcze dawniej, siedzą w łodzi na brzegu, a w domu nad skalistym klifem, nie pamięta co. Z jakiegoś powodu chłopak strzela niedopałkiem, który z sykiem wpada do wody.

Łazienka jest już wolna, wołają. Cała podłoga zapewne zalana wodą. Jeszcze jeden rozdział i na dzisiaj koniec.

Zwierzęta nocy 11

Kulturalny Tony Hastings wychował się w domu światłych ludzi – wykształconych i inteligentnych, dobrze wychowanych i uprzejmych. Jego ojciec był dziekanem w college’u, a matka poetką. Wychowywał się w domu z cegły, z siostrą i bratem, domowymi zwierzętami i dokarmianym ptactwem. Na lato wyjeżdżali na Cape Cod. Nauczono go niechęci do uprzedzeń i okrucieństwa. W młodości był grzeczny i taktowny wobec kobiet. Ożenił się z miłości, został profesorem, kupił dom i spłodził córkę. Potem kupił dom letniskowy w Maine. Czytał książki, słuchał muzyki, grał na fortepianie, a na ścianach jego otoczonego trawnikiem i dębami domu wisiały obrazy namalowane przez żonę. Prowadził dziennik. Niekiedy podejrzewał, że bycie człowiekiem kulturalnym jest wielką słabością, wszakże nie znając na to remedium, trzymał się tego, a nawet się tym szczycił.

Zanim to się stało, jego największą obawą był koniec cywilizacji, która legnie w gruzach, pociągając go za sobą. Legnie w gruzach z powodu wojny nuklearnej, anarchii lub terroryzmu. Jakież straszliwy los czeka ludzkość, gdyby zmarnowano ten wielowiekowy trud! Wieczorne lektury podpowiadały mu alternatywne katastrofy: ocieplenie klimatu za sprawą dwutlenku węgla, zabójcze promieniowanie słoneczne wskutek zanikającej warstwy ozonowej. Zawsze istniało też zagrożenie ze strony maszyn: jak podczas kolizji na drodze.

Teraz pomyślał, że już to widział. Widziałem to i wiem, co jest za murami Troi. Mimo wstrząsu wywołanego niewiarygodną wprost stratą Tony Hastings wiedział, jak ważne jest, aby nadal pozostał kulturalny: pod jego czaszką tykała bomba, która wybuchnie, jeśli nie zachowa ostrożności. Jedynym sposobem jej rozbrojenia było delikatne kontynuowanie kulturalnych rytuałów. Musi pamiętać, kim jest: Tonym Hastingsem, profesorem, mieszkającym w, synem, ojcem. Idąc drogą w ciemności, powtarzał sobie własne imię i nazwisko. Organizował w ten sposób słowa i myśli. Golił się starannie wokół wąsów. Przygotowywał do tego, co będzie mu dane odczuwać.

Czytał czasopisma w motelu, gdyż musiał czymś zająć umysł – to było ważne. Powstrzymywał łzy, gdyż chciał zachować kontrolę nad wyrazem twarzy. Odmówił zgody na powrót z Mertonem do domu, gdyż podróż ta miała kluczowe dla niego znaczenie. To bardzo ważne, aby rozpoznawać znaczenie spraw, a wiedział obecnie, jak ważne jest wszystko to, co ważne – nic nie jest ponad nie ważniejsze.

Rano przed odebraniem samochodu zadzwonił do domu pogrzebowego

Frazer and Stover. Zakład ów polecił mu Bobby Andes. Powiedział do słuchawki:

– Mówi Tony Hastings. Nie wiem, czy policja przedstawiła panom moją sprawę.

Mężczyzna, który odebrał telefon, nic o jego sprawie nie wiedział. Miał głos śpiewaka operowego – miły i niezaskakujący. Odrzekł:

– Rozumiem, że nie życzy pan sobie kremacji?

– Nie zastanawiałem się nad tym. – Nieprawda. Pamiętał, że przed rokiem albo dwoma laty toczyła się między nimi na ten temat rozmowa, podczas której Laura powiedziała: Przypuszczam, że kiedy umrzemy, damy się skremować. Helen zaprotestowała: Nie chcę być spalona, do cholery. Teraz więc Tony powiedział:

– Moja córka bała się kremacji.

– Rozumiem – stwierdził mężczyzna. – Przygotujemy ciała i wyślemy je do Cincinnati, gdzie zajmą się uroczystościami pogrzebowymi. Do kogo mamy je wysłać?

Tony nie miał najmniejszego pojęcia. Nie wiedział też, gdzie powinien odbyć się pogrzeb. Nie chodzili do kościoła, nie miał pojęcia, co zrobić.

– Proszę się nie martwić – powiedział mężczyzna. – Wszystko załatwimy krok po kroku. Wszystko odbędzie się jak należy.

Po telefonie do domu pogrzebowego Frazer and Stover Tony Hastings zadzwonił do Jacka Harrimana, który sporządził testament Laury. Testament Laury był taki sam jak jego testament: oboje zostawiali wszystko temu drugiemu. To „wszystko” nie mogło być interesujące dla prawnika, gdyż obejmowało ubrania i obuwie, garnki i sztucce, farby, płótna i sztalugi. Przetrwał jakoś kondolencje Harrimana.

– Chcę tylko wiedzieć, co mam zrobić. Będę musiał opieczetować dom?

Wszystkie rzeczy z walizki były wilgotne, więc rozłożył je na drugim motelowym łóżku, żeby wyschły. Następnego dnia zjadł wczesnie śniadanie i uregulował rachunek. Czuł się dziwnie, opuszczając to miejsce bez pożegnania, zadzwonił więc na posterunek i pożegnał się z Bobbym Andesem.

Samochód, o dziwo, działał bez zarzutu, a Tony nie zapomniał, jak się prowadzi. Jechał prosto ku autostradzie międzystanowej, świadom tego, że jedzie sam. W bagażniku leżały mokre walizki Laury i Helen. Ból, gdyż zostawiał je same. Dezerterował. Choć nie do końca, bo wyruszą za nim – samolotem albo ciężarówką. Nie wiedział jak. Zapowiadał się upalny dzień, niebo było białe, lesiste pasma wzgórz i pola w dolinach były rozcieńczone światłem, niezamieszkane, blade i przezroczyście. Jechał szybko, ale ostrożnie.

Powtarzał w duchu: Przeżywam niezwykły stres. Dlatego muszę zwracać baczną uwagę na zwracanie uwagi i prowadzić ostrożnie – więc prowadził ostrożnie.

Przekłęta autostrada odzyskała niewinność. Była teraz szeroką białą jezdnią, pełną ciężarówek i rozpędzonych aut usiłujących je wyprzedzić. Nie starał się odnaleźć miejsca, w którym ich zatrzymano na przeciwległej jezdni, i wkrótce zostawił je za sobą. Przyglądał się kierowcom innych samochodów. Rodzinom, parom, samotnym mężczyznom, komiwojażerom. Powtarzał w duchu: Jazda po autostradzie nie wywołuje we mnie urazu. To, co mnie spotkało, jest czymś przypadkowym i zdarza się raz na milion. Większość jadących autostradą kierowców to zwykli ludzie, a gdybym musiał się zatrzymać i wezwać pomoc, byłbym całkiem bezpieczny. Nie boję się wyprzedzających mnie aut, bo wiem, że zwyczajnie jadą ode mnie szybciej, tak jak ja jadę szybciej niż inne.

Pilnował się, by bolesne myśli nie przeszkadzały mu w należyтым zwracaniu uwagi. Czuł dojmującą pustkę w samochodzie, kiedy mijał miejsca, obok których przejeżdżali we troje przed trzema dniami. Zjechał z lesistych wzgórz na pola Ohio. Niebo ciągle było białe, a odległe pola migotały w gęstym powietrzu. Przystawał regularnie na kawę, po benzynę, żeby coś zjeść, nie zatrzymując się tam, gdzie wcześniej byli razem.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Poprzez pola ku zamglonemu horyzontowi maszerowały wieże wysokiego napięcia, a na ich tle widział łuk drogi nocą i brodacza o imieniu Lou, widział swój samochód zaparkowany w zatoczce i słyszał słowa Lou, który kazał mu jechać dalej, to nie jest twój samochód, twój jest czterodrzwiowy. Wiedział – po odciskach palców na łóżku – że Laura i Helen były wtedy w przyczepie: w przyczepie stojącej wśród drzew, w tej, w której paliło się jedno światło. Dwaj mężczyźni – Ray i Turk – byli wtedy z nimi.

Wrócił myślami do tamtej chwili, wyprzedzając nieświadomie ciężarówki i przekraczając ograniczenia prędkości. Wszyscy czworo musieli niedawno przyjechać. Stali przy drzwiach, Ray wykręcał Laurze rękę, a Helen rozglądała się panicznie wokół, szukając drogi ucieczki. Laura powiedziała: Puśćcie nas. Nie możecie nam tego zrobić. Pewnie wtedy usłyszeli przejeżdżający samochód. Pewnie wtedy poczuły nadzieję, która umarła, kiedy samochód odjechał. Wyblakła, pognieciona zasłonka w róże i listki, zawieszona w oknie przyczepy przez żonę myśliwego, ukryła przed światem sceny, jakie rozegrały się tamtej nocy.

Zmusił się do wyobrażenia sobie tych scen, zmusił się do wyrzucia ich

w pamięci: Ray przystawia Helen nóż do gardła i każe matce się rozebrać; Ray wykręca Helen rękę, która pęka, zmuszając matkę do posłuszeństwa. A może miał pistolet, którego Tony nie widział? Obie zostały zgwałcone, powiedział Bobby Andes. Można sobie wyobrazić, że pod tą zasłonką w róże i listki było łóżko, za które chwyciła Laura, broniąc się przed tym, który pchał ją na materac. Krzyczała i broniła się. Brutalni mężczyźni o długich brudnych paznokciach, wbijających się w miękkie ramiona jego żony, jego córki, zmuszający je, przerażone, do rozłożenia nóg na gołym materacu z metalowymi sprężynami, wbijający nienawiść w ciepłą intymność, której zaznał Tony, w nieznaną przyszłość jego córki.

Jadąc wprost w oślepiający blask niewidzialnego popołudniowego słońca, nie chciał wiedzieć, jak umarli. Będzie mu łatwiej, jeśli ich śmierć pozostanie białą plamą – taką jak wszystkie inne białe plamy w dziejach świata. Ale wiedział. Jego żona i córka nie były anonimowymi ofiarami dziejów świata, ale były Laurą i Helen – z pękniętą czaszką, uduszoną. Co sprawia, że nie da się tego nie powtórzyć w głowie: Ray i Turk (do których zapewne dołączył już Lou, zostawiwszy Tony’ego w lesie) uderzają młotkiem, przyciskają wijące się drobne ciało do ściany, kurwa mać, mówiłem ci, że masz zamknąć mordę.

Wrócił do domu przed wieczorem. Uspokoił się, widząc dom przed sobą – stojący nieruchomo jak obraz życia. Dąb na trawniku, porośnięte bzami wzniesienie z jednej strony, a na nim dom pana Husserla. Wziął się w garść, otwierając drzwi, wchodząc do środka, stwierdzając, że nikogo nie ma. Kuchnia, posprzątana przed wyjazdem, nieoświetlony salon, dwa obrazy Laury wiszące w półmroku na ścianie. – Wiedziałeś, że nie będzie łatwo – powiedział – mogłeś się tego spodziewać. Wniósł mokre walizki i torby do pokoju Helen i rzucił na podłogę. Po pewnym czasie zapalił światło.

Zadzwoił telefon.

– Jesteś w domu?

– Tak.

– Czytałem o tym w gazecie.

– Tak? A kto mówi?

– Dojechałeś bez przeszkód do domu?

– Tak. Kto mówi?

Żadnej odpowiedzi. Zajrzał do lodówki. Na śniadanie będzie potrzebował mleka, soku i chleba. Nie chciał już wychodzić, nie chciał nikogo widzieć. Do diabła z tym wszystkim.

Telefon zadzwonił ponownie. Lisa McGregor z „Tribune” prosi o rozmowę.

Zaciągnął story. Usiadł w salonie na wprost pustego fotela Laury, nie wiedząc, co dalej. Poszedł na górę, wrzucił swoje ubrania – wciąż jeszcze wilgotne – do kosza z praniem. Rozebrał się, wszedł do łazienki, po ciemku trafił do łóżka. Podążał wąską ścieżką, a wszędzie, dokąd zmierzał, otaczała go namacalna nieobecność.

Następny dzień był świadomie wypełniony. Poszedł na śniadanie do Jake's Coffee Shop, mając nadzieję, że nikt go nie pozna. Zadzzwonił do Billa Furmana i odbył z nim długą rozmowę, która sprawiła, że wrócił na dobre do cywilizacji. Pozwolił Billowi wziąć na siebie odpowiedzialność za zorganizowanie pogrzebu i powiadomienie kogo trzeba. Kiedy rozmawiał z Billem, wyjrzał przez okno i zobaczył, że w cieniu dębu stoi kolorowy van. Samochód należał do lokalnej stacji telewizyjnej. Elegancka kobieta ubrana w żakiet i spódnicę szła w jego stronę chodnikiem. Podążali za nią dwaj mężczyźni niosący sprzęt. Chciała, żeby się wypowiedział. Zapytała:

– Czy jest pan za karą śmierci?

– W tej chwili nie umiem pani odpowiedzieć na to pytanie.

Potem pojechał na Lot Hill. Pan Camel pokazał mu wolne miejsce niedaleko ogrodzenia, za którym były rzędy czyichś podwórek. Zatrzymał się u kamieniarza: marmur, granit. Obojętnie dodawał koszty. Po powrocie do domu odkurzył dół i wepchnął swoje ubrania do pralki i suszarki. Czyszczył pościel i ręczniki dla brata w pokoju gościnnym i dla siostry w pokoju Helen. Myśli: Na tym polega cywilizacja. Robię rzeczy, których nigdy przedtem nie robiłem, i mają one na mnie dobroczynny wpływ. Pojechał po Paulę na lotnisko, uściskała go zapłakana. Zaczekali razem na przylot Alexa. Tego wieczoru w domu byli znów dziećmi swoich rodziców, rodzeństwem rozdzielonym przez dorosłość przed tylu laty, że czuli się teraz jak obcy. Mimo to obecność ludzi w domu, rozmowy w kuchni były ważne. Przyszłość jawiła się niczym dzika bestia, która dopiero przyszła na świat, ale już była udomawiana dzięki tym rozmowom. Jak zamierza żyć dalej? Zatrzyma ten dom? Czy da sobie sam radę? Paula wszystko zaplanowała, zrobiła zakupy, rozmówiła się z panią Fleischer. Najpierw drinki, potem ugotowany przez Paulę obiad. Dużo nostalgicznych wspomnień. Zgodzili się co do tego, że po powrocie Tony'ego z Cape Paula przyjedzie do niego we wrześniu i pomoże mu wszystkim zadysponować. Na Święto Dziękczynienia poleci do Alexa do Chicago, a na Boże Narodzenie do Westchester do Pauli.

Siedział w pierwszej ławce kościoła unitariańskiego bezpieczny między Paulą a Alexem. Słońce wlewało się przez witraże. Gwałtowne wspomnienia tonęły w jeziorze, po którym przebiegały coraz lżejsze fale. Słońce, muzyka,

przyciszone głosy. Z przodu dwa dziwne podługowate kształty stojące bok w bok, przykryte białymi całunami. Tony Hastings niejasno zdawał sobie sprawę, że kościół jest pełen ludzi, którzy zerkają nań z zaciekawieniem. Współpracownicy. Przyjaciółki Laury. Sam już nie wiedział kto. Uczniowie szkoły średniej, koleżanki Helen. Potem uściski rąk. Ludzi, których znał, i ludzi, których nie znał. Zalała go fala przyływu i zapłakał.

Następnego ranka zamknęli z Paulą dom i polecili na Cape. Po starcie samolot przelatywał nad miastem. Powietrze było przejrzyste, ulice i kwartały widoczne doskonale, całkiem wyraźnie. Szukał wzrokiem zielonego skrawka Lot Hill, ale odfruwiał od nich coraz wyżej w kapsule i to, co widział, nie było najpewniej cmentarzem. Ziemia zmieniała położenie, więc skąd miał wiedzieć, czy było cmentarzem, czy nie było? Potem wszystko zasłoniły białe strzępiaste chmury i cały świat stał się oceanem.

Ray powiedział do Lou, jebany głupku, pozwoliłeś mi uciec, od razu pójdzie na policję, a Lou na to, skąd, kurwa, miałem wiedzieć, co robić, a potem wołanie Raya, koleś, żona cię potrzebuje, a Paula na to: – Pójdziemy na plażę.

Pisarska oszczędność: w procesie twórczym wykorzystuje się to, co się zna. Tony mieszka w Cincinnati jak Edward. Susan ma przedziwne wrażenie, że dowiedziała się czegoś, o czym nie powinna wiedzieć. Nieważne. Edwardzie, przyjacielu, wystarczy na dziś. Co powinna powiedzieć? Ta książka trzyma ją w uścisku – może to przyznać bez wahania. Długi powolny mozół zanurzania się w koszmar i cywilizacja jako remedium dla kulturalnego Tony'ego. Całkiem wyraźnie postawiona teza, że bycie człowiekiem „kulturalnym” oznacza ogromną słabość. Chłodna gładka powierzchnia drży od napięcia postulowanego przez ten paradoks i nie wiadomo, czy odzwierciedla on smutek wyobrażany sobie przez Susan, czy emanuje smutkiem własnym. Paradoks ten przypomina jej o Edwardzie, co przeszkadza niejako w odczuwaniu smutku, jego ironia bowiem zawsze wywoływała w niej niepokój.

Odkłada maszynopis do kartonu i nawet to przywodzi jej na myśl przemoc, przypomina chowanie trumien w ziemi: obrazy z książki zawładnęły tym domem. Strach i wyrzuty sumienia. Strach, który odzwierciedla jej własny lęk, z jakim przystępowała do lektury. Bała się zanurzyć w powieściowym świecie, bała się, że zapomni o rzeczywistości. Teraz – opuszczając ten świat – boi się, że nie zdoła do niego wrócić. Książka oplata ją jak pajęczyna. Musi się przez nią przebić, żeby się wydostać. Zniszczy pajęczą sieć, a kiedy wróci,

nic z niej już nie zostanie.

Po odłożeniu książki: z salonu do kuchni, lodówka, światła i na górę. Tony rozpoczyna nowe życie w powieści. Susan przypomina sobie – jakby to wszystko wydarzyło się dawno temu, niemal przed wiekami – trudne do wytłumaczenia przerażenie, jakie czuła przed wyjazdem Arnolda: przerażenie, które teraz wydaje się jej tak odległe jak sam Arnold. Bo ma w głowie Edwarda. Ożywają wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy we dwoje siedzieliśmy na ganku, patrząc przez rzekę ku Palisades, a młodsze dzieci bawiły się w chowanego. Rozmawialiśmy o ważnych sprawach jak siostra z bratem. Potem co?

Wyjechał do szkoły. I po latach spotkali się na studiach. No, przecież w dzieciństwie byliście parą przez cały czas, wykrzyknęła, nic nie rozumiejąc, jej matka.

Więc co poszło nie tak? Matka bez przerwy pytała o to bezgłośnie. Czy to dlatego, że pojawił się Arnold? Tylko to? Ale z Edwardem musiało być coś nie tak, bo nikt nie był w stanie uwierzyć, że Susan Morrow mogłaby wymienić kogokolwiek na lepszy model. Jakie zło wyrządził ci Edward?

Istnieje sądownie zarejestrowane wytłumaczenie. Jedyne zło, jakiego dopuścił się Edward, odnotowano w aktach. Był nim jego charakter. Wszystkie inne urazy zatarł czas. Ale charakter pozostał. Wiedzieli o tym tylko ci, którzy byli z nim najbliżej, na zewnątrz bowiem Edward był w porządku: odpowiedzialny, troskliwy, godny zaufania. Nieśmiały. Skromny. Miły. Ale gdy żyło się z nim na co dzień... Wtedy potrafił zaleźć za skórę.

Edward był nadęty. Afektowany. Grymaśny i pedantyczny. Sznurował usta. Przytupywał. Do policjanta z drogówki zwracał się następującymi słowami: Na czym, pańskim zdaniem, polega nasz problem? Nie chciał oglądać wieczorami telewizji. Kiedy oboje mieli po piętnaście lat i siedzieli w łodzi, mając za plecami ten duży dom na wybrzeżu Maine, płynąc donikąd, nic nie robiąc, poprosił ją, żeby nie przesuwiała dłonią po wodzie. Żeby ją z wody wyjęła. Nikt nie wiosłował, a mimo to prosił, żeby nie trzymała ręki w wodzie. Był taki od samego początku, gdyż prawdopodobnie taki się urodził. Zgadza się, Stephanie?

Wolałyby tak nie myśleć. Wolałyby nie myśleć o zasznurowanych ustach Edwarda, usiłując oddać sprawiedliwość książce.

Pierwsze interludium

Jeden

Każdego wieczoru przed zapadnięciem się w siebie Susan Morrow odprawia rytuały. Spacer z psem, kici, kici, zamek u drzwi. Trójka dzieci bezpiecznie w domu, na schodach pali się nocne światło. Zęby i włosy, nocna lampka, czasem seks. Obrót na prawy bok plecami do Arnolda, kilka uderzeń w poduszkę, czekanie.

Tej nocy jest inaczej, bo nie ma Arnolda. Wolność, można zaszaleć. Tłumi jednak szaleńcze impulsy i kończy wieczorne rytuały, z tym że zamiast obrócić się na prawy bok plecami do Arnolda, przewraca się na lewy, radując się wolnością na wolnej od męża przestrzeni. Nachodzi ją jakaś straszna myśl o Arnoldzie w Nowym Jorku, ale tłumi ją tak jak tamte impulsy.

I jak każdej nocy czeka na pogrążenie się w siebie. Coś łomocze na dole. Kładzie głowę na poduszce i czeka. Przeszkadzają jej własne fizjologiczne odgłosy – słyszy w uchu zwalniające serce. Oddech ją niepokoi. Nocną zmianę rozpoczyna jelitowe laboratorium, przygotowując wysyłkę, która wyrwie ją ze snu. Wypowiedziane w ciągu dnia słowa rozpuszczają stwardniałą powierzchnię mózgu, która zaczyna falować. Czas zatrzaskać włazy, zapomnieć o planach i przemawiających za nimi argumentach. Odkłada *Zwierzęta nocy* na noc.

Burza, na którą czekała, zaczyna się, kiedy słowa w jej głowie wypowiadają się same z siebie. Wchodzą na górę przez właz. Mówią się same przez się różnymi głosami. Ona sama jest gdzieś na dole i słyszy głosy dobiegające z różnych miejsc, oddzielonych cienką przegrodą. Ten moment przeraża ją najbardziej, bo niebezpieczeństwo wciąż pozostaje nieznanne. Mózg wypływa na powierzchnię i wciąga ją w głębiny, które stają się całym światem – dobrze znanym światem, w którym jest tylko gościem. Każdej nocy odwiedza doskonale znane miejsca i spotyka ludzi, którzy zmienili się od ostatniej wizyty. Wstydzi się luk w pamięci, wiedząc doskonale, że to, czego nie może sobie przypomnieć, jest ważniejsze od tego, co pamięta. Miała rozkazy w opieczętowanej kopercie, którą zgubiła, wędruje boso na sztywnych nogach, traci oparcie i żegluje do góry albo wspina się pod górę na zajęcia, które powinny rozpocząć się pół godziny temu, albo spotyka nagle nieżyjącego ojca i pyta go, czy nie przeszkadza mu bycie martwym, bądź też pozwala, żeby jakiś cichy student usiadł na jej biurku z rękoma niebezpiecznie blisko jej krocza, do którego nigdy nie sięgnie, a sama w tym

czasie usiłuje nie trafić do domu umarłych.

Blady poranek dopada ją chwilą absolutnej pustki. Jakaś siła znów wyrzuciła ją na bezludny brzeg dnia. Kiedy rozpoznaje błękitne kwieciste zasłony w oknach i pokryte śniegiem gałęzie klonu, właz w podłozę zatrząskuje się samoistnie. Jeśli zapamiętała akurat fragment snu, poranek go zdmuchnie, o ile nie ułoży wszystkiego chronologicznie w słowa. Ale chronologia i słowa zabijają sny. Historia, która pozostaje, nie jest już snem, a sen ulatuje gdzieś na dół, dołączając do nieprzerwanego łańcucha snów śnionych przez całe życie – zapominanych za dnia i przywoływanych podczas każdej nocnej wizyty w sobie.

W chłodnym, pozbawionym snów świetle poranka Susan Morrow, która początkowo nie pamięta nawet, jak się nazywa, konstruuje stopniowo nowy dzień. Wtorek. Ósma. Arnolda nie ma. Zjazd w Nowym Jorku. To ją budzi niespodziewanie, prawdziwe życie jak budzik. Wyraźne wspomnienie uspokajającego telefonu Arnolda i tego, co ów telefon naprawdę oznacza. A oznacza, że w Nowym Jorku sekretarka Marilyn Linwood poszła albo nie poszła z nim do łóżka. Pod pretekstem uporządkowania dokumentacji w jego hotelowym pokoju. Marilyn Linwood czeka, żeby Susan się obudziła: ta elegancka młoda kobieta po trzydziestce, prawdziwa profesjonalistka w schludnym tweedowym kostiumie, okularach, z zaczesanymi do tyłu włosami, o uważnej twarzyczce. Tajemnicza – idealna dziewczyna do odbierania telefonów. Parę tych tajemnic ujawniło się na lekarskim pikniku: żółte bikini, rozpuszczone kasztanowe włosy, białe, nieco za chude uda. Kto to? – zapytał protekcyjnie doktor Gaspar. – Czy to nasza panna Linwood?

Wszystko się zmieniło, odkąd Susan przestała być zazdrosna. Budzi się raz jeszcze, wspominając. Wyzwolona dzięki decyzji, żeby nie myśleć, zgadzając się na nieznane dla świętego spokoju, choć nie wie przecież, czy musi się na cokolwiek zgadzać. Czynić ustępstwa na rzecz małżeństwa – dobrego i trwałego – po szesnastu latach wątpliwości.

Czas rozpocząć dzień, Susan, czas wstać z łóżka. Dzieciaki mogą pospać, bo mają ferie świąteczne. Co mam na dzisiaj? Musisz zrobić pranie i zawieźć Jeffreya do weterynarza. Odgarnąć śnieg? Wyjrzyj przez okno, żeby sprawdzić. Nim wstanie z łóżka i narzuci na siebie podomkę, by wyrzucić przez okno (za oknem leży cienka warstewka śniegu, która wkrótce się roztopi), Susan Morrow będzie już całkiem sobą. Nowy dzień zabliznia nocne rany, jakby jej świadome życie trwało nieustannie.

W ciągu dnia robi następujące rzeczy, oprócz innych: bierze prysznic, ubiera się, budzi dzieci, przygotowuje śniadanie, jedzie do Burrridge'ów po

Rosie. Wsadza pranie z całego tygodnia do pralki w piwnicy, ścieli łóżka, jedzie do supermarketu po margarynę, wędlinę i mleko. Lunch dla trójki dzieci i dla niej. Do biblioteki, żeby oddać książki, potem sprzątanie salonu, prezenty Rosie na górę, a z nimi prezenty Henry'ego i Dorothy, którzy mieli zabrać je sami. Przerwa przy fortepianie. Preludia Bacha. Z powrotem do piwnicy, by załadować na nowo pralkę. Szynka do piekarnika, zmywarka, nakrywanie do stołu. Jej dzienna umysłowość, która nic nie wie o tej drugiej, jest wypełniona tym, czego brakuje, ale wie, że wszystko jest na swoim miejscu: Rosie na górze z Carol, Dorothy na dworze, Henry z Mikiem, Arnold w Nowym Jorku.

A Edward? Długi łańcuch wiążący ją z przeszłością, spinający jej umysł. Przez cały dzień zastanawia się: dlaczego myślę o Edwardzie? Wspomnienie o nim wyrywa się z drzemki jak strzępy snu, przeskakuje jak ptak z gałęzi na gałąź. Pojawia się zbyt szybko i za szybko znika. Żeby je zatrzymać, Susan musi ułożyć wszystko chronologicznie, tak jak robi to ze snami. Ale to zabija wspomnienie, tak jak zabija sny. Jej martwe wspomnienia o Edwardzie już wiele lat temu znalazły się w oprawionych tomach, a nowy, żyjący Edward gdzieś ulatuje.

Dwa

Kiedy Edward i Susan mieli po piętnaście lat, jego ojciec zmarł na atak serca, a rodzice Susan przygarnęli Edwarda na rok. Jego matka przebywała w szpitalu psychiatrycznym, a jego macocha, która niedawno rozwiodła się z ojcem, nie chciała mieć z pasierbem do czynienia. Miał kuzynostwo w Ohio, które zajęło się nim później, ale jej rodzice przygarnęli go pierwsi, żeby nie musiał opuszczać szkoły Hastings High. Prowadzono negocjacje, odbywano zamiejskowe rozmowy telefoniczne w sprawie jego utrzymania, ale Susan zawsze uważała, że rodzice postąpili jak należy.

Wcale nie musieli tego robić. Byli tylko sąsiadami. Ojciec Edwarda jeździł pociągiem do pracy w Nowym Jorku z jej ojcem. Bywał u nich od czasu do czasu na obiedzie. Był średnio zabawnym, życzliwym człowiekiem, który grywał na skrzypcach dla przyjemności.

Mieszkali przy Edgar's Lane. Stały tu w cieniu drzew wygodne podmiejskie domy. Dom Edwarda był usytuowany u szczytu krętych schodów, za którymi ulica wiodła w dół i kryła się wśród gęstych drzew. Uliczka miała historyczną przeszłość, bo podczas wojny o niepodległość stoczono o nią bitwę.

Zanim ojciec Edwarda umarł, prawie go nie znała, a jeśli znała, to tego nie pamięta. Edward i Susan chodzili razem do szkoły po Akwedukcie – równą trawiastą ścieżką na tyłach domów, oddzieloną od nich płotami i połącią łąki. Akwedukt biegł równo szczytem wzgórza opadającego ku naturalnym zagłębieniom, a w miejscach, w których przecinał ulice, trzeba było przechodzić przez drewniane bramy jeszcze z epoki wozów zaprzężonych w konie.

Jego ojciec zmarł pewnego słonecznego dnia w maju. Po południu tego dnia Susan szła po Akwedukcie z Marjorie Gabel. Trawa była wysoka po obu stronach, a ścieżka ciągle mokra, choć już nie błotnista. Edward wyprzedzał je o sto jardów, choć szedł opieszale z książkami zarzuconymi na plecy i żuł źdźbła porastającej Akwedukt trawy. Za nimi podążało młodsze rodzeństwo Susan – siostra i brat – unikające jej jak ognia. W tamtym czasie Edward był chudym chłopakiem o jasnych włosach, cieniutkiej szyjce i wiecznie zmrużonych oczach – przypominał żurawia na długich nogach. Był zbyt nieśmiały, żeby dało się go lubić, choć Susan nie wiedziała wówczas, że powód, dla którego nie da się go lubić, to nieśmiałość, gdyż myliła ją z dojrzałością, przy której sama sobie wydawała się dzieckiem. Dochodzili do

drzew przy Edgar's Lane. Edward wspiął się na schody prowadzące do jego domu. Marjorie skręciła w lewo na rogu, a Susan poszła do siebie, mając za plecami wlokących się z ociąganiem Paula i Penny.

Po kilku minutach stanął w drzwiach jej domu, poruszając niemo ustami. Próbował powiedzieć: Idź po mamę. Potem biegła za mamą i Edwardem. Pokonali kręte schody obok skalnego ogródka, dobiegli do drzwi domu – drewnianych, ze sztukaterią – matka przystanęła, żeby zaczerpnąć oddechu, a Susan dołączyła do niej, pytając, co się stało. Została na zewnątrz, gdy weszli do środka. Bała się, bo nigdy nie widziała trupa, czekała przed drzwiami na kamiennym progu, obok którego rosły bratki i skąd roztaczał się widok na uliczkę. Po jakimś czasie pojawili się inni ludzie, którzy weszli do domu, mijając ją w progu. Jakiś zdyszany grubas, który wspiął się po schodkach, zapytał: Czy to ten dom? Matka zaraz wyszła i kazała jej wracać. Posłuchała i dlatego nie widziała wynoszenia przykrytego ciała, choć żałowała tego dopiero później.

Tego wieczoru Edward był u nich na obiedzie, a ona pamięta pytania. Czy znasz nowy adres macochy? Nie masz dziadków? Żadnych wujów ani cioć? Czy wiesz coś na temat sytuacji finansowej ojca?

Oddali mu pokój na samej górze, z którego było widać dachy i część Palisades po drugiej stronie rzeki, a także krótki odcinek samej rzeki między drzewami. Jeśli miało się szczęście, to za dnia można było wypatrzeć płynące po rzece statki.

Nikommu nie przyszło do głowy, że między Edwardem a Susan zadzierzgnie się jakaś nić. Powiedział: Postawmy sprawę jasno. Nie chcesz, żebym mieszkał w twoim domu, a ja nie chcę tutaj zostać, ale ponieważ nic nie możemy zrobić w tej sprawie, lepiej o tym nie mówić. Trzymaj się z dala od mojego pokoju, a ja nie będę wchodził do ciebie.

Dodał: Żeby nie było później jakichś nieporozumień – to, że jestem mężczyzną, a ty jesteś kobietą, nic nie znaczy – zgoda? Ty nie będziesz liczyła na to, że umówię się z tobą na randkę, a ja nie będę oczekiwał od ciebie czegokolwiek. Zdarzyło się tak, że zamieszkaliśmy pod jednym dachem.

Była mniej wspaniałomyślna od rodziców: nie chciała go w swoim domu, bo jego obecność naruszała ich rodzinną prywatność. Kiedy przedstawił jej pierwsze ultimatum, ucieszyła się w duchu, uważając, że atmosfera się oczyści. Po drugim ultimatum wpadła w irytację. A kiedy zaczął stawiać kolejne, naprawdę się rozzłościła, ale wtedy złościła się już na niego o wszystko, więc przestała ufać własnym sądom.

Mieszkał z nimi przez rok. Kiedy nikt nie zaprosił jej na wiosenną

potaćówkę, uprzejnie zgodził się zostać jej partnerem. Uczyli się razem i razem dostawali dobre stopnie. Latem pojechał z jej rodziną do Maine. Zapanował między nimi pokój, którego nie dostrzegala. Nigdy nie mówił o tym, że ma zamiar zostać pisarzem.

Trzy

Po tym spędzonym pod jednym dachem roku spotkała go dopiero po ośmiu latach w Chicago. Rozpocząła studia dyplomowe, które on już zaczął, studiując prawo. Matka wspomniała, żeby go odszukała, ale ona nie miała takiego zamiaru.

Czuła się samotna i przygnębiona na tym uniwersytecie, na który wybrała się bez przyjaciół i gdzie nikogo nie znała. Zostawiła chłopaka, który miał na imię Jake, bo się obraził, że od niego odjeżdża, i obiecał jej niewierność. Mieszkała w żeńskim akademiku i miała zajęcia w potężnym gotyckim budynku o grubych murach i wąskich witrażowych oknach, do którego wchodziło się przez wąską niczym przepust, zwieńczoną łukowatym sklepieniem sień, przez którą wiał wiatr. Wsłuchiwała się w architektoniczny przekaz w kamiennych korytarzach, wsłuchiwała się w profesorskie szepty, profesorowie bowiem nigdy nie podnosili głosu, obserwowała nieufnych studentów trzymających się od niej z dala. W inteligentny sposób usiłowała oddzielić coroczny jesienny spleen (szare budowle stawały się o odcień jaśniejsze, kiedy drzewa gubiły liście) od własnego smutku (Jake, dzieciństwo, wolna Susan) oraz te dwa razem od klauzурowego smutku intelektualnego, okolonego przez wybuchowe żeńskie getto, które – jak mówiono – było niebezpieczne.

Gdzieś w tym zagonionym świecie znajdował się Edward. Jej wrogość zamieniła się w nostalgię, ale nie starała się go odszukać. To on ją odnalazł – zresztą przypadkowo. Szła Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą do księgarni, kiedy usłyszała za sobą: Susan, zaczekaj! Jakież był przystojny! Całkiem odmieniony! Opanowany, wysoki, wspaniały! Wyciągnął do niej rękę: Wiedziałem, że tu jesteś. Ubrany elegancko w marynarkę i krawat, w skrzących się okularach. Ujął ją pod rękę i zaprowadził do Steinwaya. Chodź, napijemy się coli.

Dwoje dzieci, które właśnie wchodziły w dorosłość, usiłując udowodnić sobie za wszelką cenę, że dzieciństwo dawno minęło. Dzięki temu byli wobec siebie mili, kulturalni, nad wyraz uprzejmi. Pytania o matkę i ojca, brata i siostrę. Łagodne przechwałki świadczące o nowo zdobytym wyrafinowaniu oraz dobrze ugruntowana propaganda tłumacząca nasze życiowe wybory. Ani słowa o tym, jak okropnie było kiedyś. Studiował prawo, ona studiowała literaturę angielską. Mieszkał w wynajmowanym mieszkaniu, a ona mieszkała w akademiku. Jego wdzięczność: Nigdy nie zapomnę tego, co zrobili dla mnie

twoi rodzice.

Pokazywał jej miasto, spotykał się z nią na lunch w studenckiej stołówce, sprawdzał wraz z nią inne pobliskie lokale gastronomiczne: Idę Noyes, International House. Pokazywał jej antykwariaty, zabrał ją do Instytutu Wschodniego, Muzeum Nauki i Przemysłu. Nauczył ją dojeżdżania pociągami do centrum i oprowadził po Instytucie Sztuki i Akwarium.

Była zdumiona tym, jak bardzo się zmienił. Ta zmiana mogła być całkiem nową warstwą Edwarda albo zasłonięciem przez niego warstwy wcześniejszej – ukrytej. Mówił o tym tak: Nie jestem już tym nieznośnym dzieciakiem, którym kiedyś byłem. Był dworny, pełen ogłady i rycerskości. Rycerskość nie odeszła jeszcze wtedy do lamusa, a on był tak troskliwy, że mogło to działać na nerwy: siedł zawsze od strony krawędzi chodnika, przytrzymał dla niej drzwi, odsuwał i podsuwał krzesła i stosował wszelkiego rodzaju staromodne zabiegi wobec dam. Uważała, że to cudowne. Być może dlatego, że wcześniej czuła do niego wrogość. Doskonale pamiętała jego dawną bezceremonialność, która zamieniwszy się w towarzyskie wyrobienie, teraz miała wszelkie cechy poloru.

Wszelako najbardziej intrygującą zmianą, jaka w nim zaszła, była jego nowa umiejętność wyrażania i poddawania się fascynacji. Zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy miał piętnaście lat, zjadł wszystkie rozumy i okazywał znudzenie każdą nowością czy każdym wybrykiem, z jakimi przyszło im mieć do czynienia. Teraz wszystko było dlań nowe i niezwykle. Zdumiewał się miastem, uniwersytetem, ulicznym ruchem, błękitem jeziora, mgłą nad hutami, niebezpieczeństwami płynącymi z getta, mądrością i wiedzą profesorów, złożonością prawa i osiągnięciami literackimi. Przez pewien czas Susan zdumiewało jego zdumienie, odwracające niejako zwykły porządek rzeczy. Niewinne zdumienie poprzedza zwykle zblazowaną nudę. Mając piętnaście lat, musiał je ukrywać, żeby wydawać się bardziej dorosły. Teraz, kiedy był już dwudziestotrzylatkiem, zdumienie stało się świadomą polityką, wyrażającą często większe zaskoczenie, niżli było to konieczne. Ogólnie rzecz biorąc, nie miała nic przeciwko temu, choć później robiło się jej od tego niedobrze, gdy przejrzała, co za tym stoi: lata treningu.

Mimo nienagannyh manier nosił w sercu głęboką ranę, którą wkrótce odkryła: był zaręczony z dziewczyną o imieniu Maria, a ona go porzuciła, by wyjść za innego. Porzuciła – dobre staromodne słowo. Nie wyglądał na człowieka o złamanym sercu. Z ożywieniem, a nawet entuzjazmem wypowiadał się o przyszłości. Ale rana w sercu to taki stan, który mogła z nim dzielić. Odkryła, że też ma taką ranę z powodu Jake'a, który

w odpowiedzi na dokonany przez nią wybór życiowej drogi rozbijał się po całym świecie, podrywając dziewczyny. Mogła wraz z Edwardem pielęgnować ranę w sercu. Mogli o tym ze sobą rozmawiać, mogli dzięki temu czuć się ze sobą bezpiecznie jak brat i siostra. Nie musieli martwić się o stan swoich serc, bo ich serca zostały już złamane.

Czysty platoniczny związek okazał się oszustwem, które doprowadziło do uwiedzenia Susan przez Edwarda lub Edwarda przez Susan – nieważne, jak to się odbyło, ważne, że zakończyło się małżeństwem, które ostatecznie doprowadziło do konieczności rozwodu. Złamane serce oznacza, że ma się do opowiedzenia jakąś historię, a historie, jakie mieli do opowiedzenia, zbliżyły ich do siebie, kiedy je sobie przepowiadali, powtarzali i wyolbrzymiali. Edward bardziej niż Susan, gdyż Susan nie miała co wyolbrzymiać, opowiadając o Niedobrym Jake’u. Więc on mówił, a ona słuchała, zadając pytania i udzielając rad, choć oboje doskonale wiedzieli, że w tym wszystkim chodzi już wcale nie o Marię, ale o opowiadanie i słuchanie. Trwało to aż do zimy. Gotowała mu obiady w wynajmowanym mieszkaniu, co mogłaby robić siostra, a po obiedzie rozmawiali o jego ranie w sercu do trzeciej nad ranem. Przedślubne zaręczyny. Z lekkomyślnym dziewczęciem – za młodym do małżeństwa. Zgadzał się ze wszystkim, o czym mówiła Susan.

Patrząc wstecz z wyżyn teraźniejszości, Susan wie, że złamane serce Edwarda było jedynie ówczesnym przejawem jego normalnego stanu, do którego analizy zawsze ją zachęcał. Analiza ta miała prowadzić do przeświadczenia, iż zawsze był i zawsze będzie lekko zraniony przez życie i zawsze z galanterią będzie się starał przekuć to w życiową siłę. Wtedy nigdy nie zadawała sobie pytania, dlaczego miałby być bardziej zraniony od innych. Zranieniu towarzyszyło tyle konkretów, że wszystko wydawało się prawdopodobne. Śmierć ojca, utrata domu, roczny pobyt u całkiem obcych ludzi. Porzucenie wpisywało się w tę logikę aż za dobrze.

Zauważyła pewną lukę w jego historii, a mianowicie kwestię seksu, którą zbywał jako nieistotną, aż stała się przez to zbywanie ważna. Zapytała go wprost: Czy uprawiałeś z nią seks, Edwardzie?

Był wstrząśnięty pytaniem, ale szydło wyszło z worka: nie uprawiał seksu z Marią, bo nie uprawiał seksu z nikim. Miał dwadzieścia trzy lata, był kompetentnie protekcyjnym Edwardem bez marynarki i krawata i przyznawał się do tego osobliwego braku doświadczenia. W zasadzie nie było to aż tak bardzo osobliwe, jak byłoby teraz, po dwudziestu pięciu latach i wszystkich rewolucjach. (Nie nazywali tego wtedy „uprawianiem seksu”, mówili o „kochaniu się” albo „spaniu ze sobą” – bez względu na to, czy w grę

wchodziła drzemka, czy nie, a pytanie Susan brzmiało dosłownie tak: Czy spałeś z nią, Edwardzie?).

Było kilka możliwych wytłumaczeń przemawiających na jego korzyść. Szacunek i troska – jego nadwrażliwe dziewiętnastowieczne geny. Chyba że ciągle był chłopięciem przebrany za dżentelmena. Albo cierpiał na zaburzenia wewnętrznego kompasu, co w późniejszym żargonie zaczęto nazywać „orientacją seksualną”.

Dziewictwo Edwarda zaintrygowało ją i kazało jej mówić. Jeśli on nie miał przed nią sekretów, nie mogła ukrywać dłużej swoich. Paplała. Znow był wstrząśnięty – poruszony do głębi, jakby usłyszał wyznanie z ust bohaterki wiktoriańskiej powieści. Spochmurniał i powiedział: Będę musiał nauczyć się z tym żyć, co doprowadziło ją do białej gorączki. A może doprowadza do białej gorączki wspominającą tamtą rozmowę Susan, która w zasadzie nie pamięta, czy była wtedy wściekła. Wcześniej przez pewien czas kierował nią zapał wynikający z tezy – niekoniecznie wymagającej krucjaty, ale wystarczającej do zmotywowania siebie – iż seks jest tak naturalny jak oddychanie. Rezultatem były jej boje z Jakiem. Przekonała się szybko, że Edward jest zwolennikiem tezy przeciwnej: seks jest nienaturalny. Hasło „seks jest naturalny” było jej protofeminizmem: wyrażało sprzeciw wobec wielkich piersi, pornografii, piwa i papierosów, podwójnych standardów dla kobiet i mężczyzn, zrównywania miłości z pożądaniem i głoszonej przez Jake’a herezji o dobrych (ciemnowłosych) i złych (jasnowłosych) kobietach. (Herezja Jake’a oznaczała dla niej tylko tyle, że romantyczna miłość zmusza ją do uległości, która stanowi dla niej ujmę i plamę na honorze, zwalniające Jake’a z wszelkich zobowiązań). A co się tyczy Edwarda: jego teza, iż seks jest nienaturalny, była naturalną konsekwencją jego wiecznego zdumienia (wskutek którego wszystko było nienaturalne). Nie potrafił uwierzyć, że zwykli ludzie robią to wszystko, o czym pisze się w książkach i co wyolbrzymiała jego wyobraźnia.

Postanowiła więc wyedukować Edwarda. Przyszło jej to do głowy pewnego dżdżystego popołudnia na schodach muzeum. Rzuciła bez zastanowienia: Powinieneś, Edwardzie, znaleźć kogoś, kto nauczyłby cię najprostszyc rzeczy. Ja wiem o nich wszystko.

Myśl ta nie dawała jej spokoju i miała poważne konsekwencje, w wyniku których – czego wcześniej nie brała pod uwagę, bo gdyby wzięła, z pewnością by się zniechęciła – wyszła za Edwarda. W tamtym okresie wydawało się jej po prostu, że zrobi coś z pożytkiem dla zdrowia ich obojga. Seks jest naturalny, Edwardzie. Nic nie znaczy. Nawet ty i ja... moglibyśmy iść ze sobą

do łóżka i nikt by się o tym nie dowiedział. Działo się to wczesną wiosną, kampus był mokry od deszczu, którego krople lśniły na świeżych gałązkach, a szare budowle wyglądały jak wymyte na tle jasnego nieba. Mogę przyjść do ciebie i nikt tego nie zauważy, a kiedy wrócę do akademika, nie dowie się o tym ani moja matka, ani ojciec, ani Jake, ani Maria, ani twoi profesorowie. Nikt nie będzie wiedział!

Cóż za szalony pomysł! To musiała być jakaś inna Susan, bo prawdziwa Susan pamięta, że irytowały ją takie pomysły. Pamięta, że do upadłego usiłowała przeanalizować własną fascynację Edwardem i fascynację tym, kim się stał, łącząc w sobie wyuczony dziecięcy zapał i właściwą dlań od urodzenia znużoną sztywność. Pamięta, że usiłowała wyszydzić do cna własną ciekawość, która kazała jej sprawdzić, jak ten poprawny i uważny Edward zareaguje na coś niesłychanie intensywnego, na coś, nad czym nie będzie miał kontroli i co w dodatku będzie jego własną fizycznością.

Streszczenie fabuły jej wspomnień zawiera zdanie mówiące o tym, że postanowiła uwieść Edwarda, po czym to zrobiła. Rozwinięcie zawiera nieco inne szczegóły. Usiłowała dać mu coś do zrozumienia, nie mając pojęcia, do czego to doprowadzi. Kierowały nią afekt i impulsy. Jak podczas spaceru w deszczu, kiedy dwoje ludzi poklepuje się i poszturkuje dla dodania sobie animuszu. Flirtuje ze sobą. Pewnego razu, kiedy wychodził z biblioteki, klepnęła go w pierś. W University Tavern podszedł do niej od tyłu i dłońmi zastłonił jej oczy. Obiad w studenckiej stołówce – po ciężkim dniu na zajęciach, a przed nocą, którą musiała poświęcić na pisanie eseju – jedli w milczeniu, a jej wzrok zatrzymał się na jego jasnych, lekko potarganych włosach, na jego zmęczonych, zapatrzonych gdzieś w przestrzeń oczach i poczuła wtedy dziwne ciepło dla tego młodego mężczyzny, który stał się dla niej osobliwie ważny, którym chciała się zaopiekować. Nie wiedziała, że chce go uwieść.

Był zainteresowany czy nie? Wydawało się jej, że odczytuje znaki mówiące o tym, czy czuje do niej pociąg, czy odrazę. W University Tavern, dokąd poszli na piwo, zaproponowała: Chciałabym z tobą zamieszkać, Edwardzie. Roześmiał się i zamienił wszystko w żart, a ona też się śmiała, choć wiedziała, że właśnie o to jej chodzi.

Rozpocząła rozmowy o cenzurze i pornografii, psychoanalizie i trzech stadiach rozwoju: oralnym, analnym i genitalnym. Dyskutowała z nim o homoseksualizmie u Platona i nagich atletach na igrzyskach olimpijskich. Pokazała mu swoją interpretację *Do nieskorej Bogdanki*¹. W połowie lektury przerwała mu, wołając: Ciągłe zapominam, że jesteś dziewczyną, na co oblał się

rumieńcem i zakasłał.

Nie chodziło jej o nic poważnego, jak przypuszczała, usiłowała tylko wyrwać go z tego samozadowolenia. Pewnego ciepłego wiosennego dnia pojechali do leśnego rezerwatu, żeby obserwować wędrowne ptaki. Odbyli długą, pełną nostalgii rozmowę o życiu rodzinnym, o życiu w Hastings i o jego przyszłości. Jako prawnik miał zamiar bronić swobód obywatelskich, występować w sprawach, których nikt nie chce, i udzielać porad prawnych ubogim. Pomyślała wtedy, że jest szlachetnym człowiekiem, i poczuła dumę, jakby to dzięki niej stał się szlachetny. Wrócili na uniwersytet dosyć późno, po zmroku, a on zaprosił ją do siebie na kawę przed odprowadzeniem jej do akademika. Kiedy wchodzili po ciemnych schodach, kiedy Edward przekręcał klucz w drzwiach, kiedy znaleźli się w środku i kiedy zapalał światło, doświadczała nieznośnej ekscytacji czasem terażniejszym, oślepiającą nieuchronnością teraz, które wypełniała jej i Edwarda obecność, w którym skupiało się całe życie i od którego chciało się jej krzyknąć i śpiewać. Podgrzał kawę, przyniósł ciasteczka i zdjął z półki atlas ptaków. Siedzieli ramię w ramię, łokieć w łokieć, udo w udo, oglądając ilustracje przedstawiające drozdy i lasówki złociste. A przez cały czas terażniejszość nuciła wraz z obecnością coś, czego Susan nie była w stanie dłużej znieść, i usłyszała jakiś głos, który powiedział: No, dalej, teraz jest bezpiecznie, a potem jej własny głos wyszeptał propozycję do ucha Edwarda.

Potem łomotały im serca, drżały i trzęsły się ciała, a jego wielkie oczy znalazły się zbyt blisko, żeby mogła w nie patrzeć. Schrypnięty głos zapytał: Mówisz poważnie? Spóźniony zdrowy rozsądek i rozważa podyktowały jej odpowiedź: Tylko jeśli chcesz. Wreszcie gardłowe: Uau, dobry Boże...

Na nocnym stoliczku stała lampka, której światło padało w dół i rozmywało się w pokoju. Susan miała na sobie miękki bladozielony sweter, plisowaną spódniczkę w kratę i białe skarpetki. Pod spodem biały stanik i białe majtki. Kiedy się wydobyła z tego wszystkiego, była chuda i patykowata, blada. Nie nosiła wtedy okularów, a włosy opadały jej na kark. Martwiła się swoim małym biustem, póki nie ujrzała zdumienia w oczach Edwarda. Edward był jeszcze chudszy od niej. Mogła mu policzyć wszystkie żebra, miał uda jak patyki i tylko jego członek wydawał się pokaźniejszy od całej reszty. W pokoju było zimno, więc oboje dygotali i nie przestawali drzeć.

W sypialni dyszał, chrząkał, sapał i wył. Bądźmy szczerzy, Susan, tobie też się to podobało – znacznie bardziej niż niektóre z późniejszych powtórek. Wwiercał się w nią i kołysał, i krzyczał wielkim głosem: O, mój cudzie, nie

mogę uwierzyć, że jesteś taka cudowna. Potem podziękował jej za wspaniałomyślność.

Odbyli nago długą rozmowę, dotykając się leniwie palcami. Wyznał jej w sekrecie swoją największą tajemnicę. Zacząłem pisać, powiedział. Pisał wiersze, opowiadania i szkice. Zapisał już dwa zeszyty.

Cztery

Edward i Susan: cudownie, powiedziała matka, to tak jak powrót syna. Był rok 1965, chłodny marzec – żadnych zmian w planach: kontynuowali studia, tylko Susan zamieszkała z Edwardem. Założyli, że to się nazywa szczęście.

Susan – kiedy bardzo się postara – potrafi sobie przypomnieć trochę tego szczęścia. Przez dwadzieścia pięć lat nie bardzo się starała, woląc uważać je za złudzenie, chroniąc tym samym Arnolda i dzieci. Nie miała zamiaru rozbrajać swojego rozczarowania.

Teraz wspomina nawet nie samo szczęście, ile miejsca, w których byli szczęśliwi. Szczęście było niematerialne, a miejsca jak najbardziej. Były takie miejsca latem i miejsca w Chicago. Jeśli chodzi o szczęście Edwarda, pamięta tylko lato, a z dwóch letnich pór roku, które spędziła z Edwardem, tylko pierwsze lato, to w starym domu rodziców w Maine i w wynajętej od jego kuzyna leśnej chacie w głębi stanu Nowy Jork. Dom w Maine, który pamiętała z dzieciństwa, stał nad chłodną zatoką porośniętą sosnami. Dom miał wiele facjatek i siatkowe okna, i osłonięty siatką ganek, i stał na stromym trawiastym, skalnym wzniesieniu. Pamięta Edwarda w łodzi, w której pływali, kiedy byli piętnastolatkami, a potem znów po ślubie. Te wspomnienia zlewają się ze sobą. Pamięta Edwarda i pamięta chłopca w łodzi, zaciągającego się po raz pierwszy w życiu papierosem, wyrzuconym potem do wody. Pamięta, że opowiadał o macosze, o tym, że rozwiodła się z jego ojcem tuż przed zawałem, na który zmarł, i było jej wstyd za płaczącego chłopaka.

Ten drugi dom, leśna chata kuzyna w stanie Nowy Jork, był bardziej prymitywny. Chata stała w głębokim cieniu drzew nad wąską rzeczką otoczoną lasami. Miała siatkowe drzwi i niedokończoną izbę o gołych drewnianych ścianach oraz dwie małe izdebki z tyłu. Pamięta, jak Edward pisał na maszynie przy lampie na stole, a ona usiłowała czytać w świetle tej samej lampy, siedząc w fotelu. Nie była pewna, czy to szczęście, czy nie. Chodzili się kąpać, wybiegali nago z domu i wskakiwali do rzeki. Pieprzyli się przez cały czas. Radowali kontrastem z jawnie wrogą przeszłością, udając, że wciąż są piętnastolatkami w Hastings i łamią wszelkie zasady. Potem wracali do codziennych obowiązków: po seksie pisali listy do jej rodziców, które podpisywali: Susie i Edward. Sympatie z dzieciństwa, mówiła matka, jak brat i siostra.

Trudniej przywołać wspomnienia szczęścia z Chicago. Mieszkanie Edwarda, w którym byli nieustannie zajęci. Eseje i egzaminy, by udowodnić, że się profesjonalizują umysłowo, że myśli zostały pogłębione, a mózgi ukształtowane na nowo. Ponieważ studiowali co innego, szanowali własne potrzeby i byli dla siebie uprzejmi. Na pierwszym roku oboje mieli stypendia i pieniądze od jej ojca. Potem – ponieważ Edward nie chciał się uzależnić finansowo od jej rodziców – uczyła angielskiego w college’u. Z jedną czy dwiema przerwami pracuje tam do tej pory. Kiedy w marcu Edward zrezygnował ze stypendium, jej praca stała się dla nich jedynym źródłem utrzymania.

Zrezygnował ze stypendium, ponieważ rzucił studia. Mógł poczekać do lata, kiedy stypendium wygasało, ale przestawszy studiować, uznał, że godnie i honorowo będzie zrezygnować ze stypendium.

Rzucił prawo, żeby zostać pisarzem. Zaskoczyło to Susan, która uważała, że najpierw powinien się przekonać, czy potrafi pisać. Ale Edward nie miał najmniejszych wątpliwości. Podczas długich rozmów wyjaśniał jej motywy tej decyzji, przedstawiał przyszłość i rolę, którą Susan ma w niej do odegrania. Do Chicago przyjechał jej ojciec, żeby przemówić Edwardowi do rozsądku. Usłyszał, że siła pisarskiego powołania uniemożliwia Edwardowi uczenie się do egzaminów, co dowodzi, że wybranie prawa było błędem. To inni chcieli, żebym studiował prawo, usprawiedliwiał się Edward. Ja chciałem tylko pisać.

Kiedy Susan się dowiedziała, że pisał przez cały czas, nie mogła się nadziwić, że nigdy niczego jej nie pokazał. Tłumaczył, że nie jest na to gotowy, gdyż to, co pisze, należy nadal do kategorii dzieł młodzieńczych. Prosił ją o wsparcie, a ona mu go udzieliła. Zgodnie z duchem czasów była idealistką. Alarmowe światełko, które się zapaliło w jej głowie, było oznaką burżuazyjnego samolubstwa (wcześniej nie przejmowała się tym, że należy do burżuazji). Jej nadzieja na wygodny dom, dzieci i całą resztę, na karierę naukową i doktorat – to wszystko było burżuazyjne. Czy pisarze zarabiają jakieś pieniądze? – pytała niespokojnie samą siebie, choć wiedziała ze słyszenia, że większość poetów i powieściopisarzy utrzymuje się z innych prac. Po co komu pieniądze? – pytał Edward. Masz pracę i miesięczną pensję, jakoś damy radę. Ona będzie uczyć, a on będzie pisał. Będzie dedykował jej książki – tej, bez której pomocy i tak dalej.

Ojciec podczas tamtych odwiedzin pytał ją łagodnie: Czy naprawdę chcesz się aż tak poświęcić? Ależ ja niczego nie poświęcam, tatusiu, odpowiedziała. Odważna, zdeterminowana. Co jeszcze miałabym robić? No, a twoje plany, dwa lata studiów dyplomowych? Wykorzystam to, odrzekła. Nie dostałabym

tej pracy bez studiów.

Drugiego lata małżeństwa zostali w Chicago, żeby mogła zarobić więcej pieniędzy, ucząc w letniej szkole. Teraz już czytała to, co pisał – przynajmniej część. Prosił, żeby była z nim absolutnie szczerą, ale przekonała się, że to niemożliwe. Jego wiersze były krótkie i nijakie, fragmenty wspomnień o różnych miejscach i różnych stanach umysłu zamknięte w kilku słowach. Do tego erotyki mówiące o tym, jak wspaniale jest się z nią pieprzyć: czekać na pieprzenie, oddawać pieprzeniu i dochodzić po nim do siebie. Powtarzał w nich pewne frazy, które ją irytowały, na przykład tę o „miękkich płytkich piersiach”. Podejrzewała, że gdyby tylko zechciała, potrafiłaby opisać to wszystko znacznie lepiej. Później pielęgnowała tę myśl, gdyż myśl ta pozwalała jej traktować Edwarda jako nieudacznika, co pomagało zostawić go za sobą, ale w tamtym czasie myśl owa była herezją – odejściem od wiary, której bardzo potrzebowała.

Wiersze i szkice. Przestał jej pokazywać cokolwiek. Miała nadzieję, że nie dlatego, że powiedziała coś nie tak. Rozprawiał o większych projektach. Pracował nad powieścią, ale nie wspominał o niej, bo wszystko było jeszcze we wczesnym stadium. Powieść będzie dosyć długa. Domyślała się, że autobiograficzna. Miał już tysiąc dwieście stron, a mały Eddie nie skończył jeszcze dwunastu lat.

Podczas drugiej jesieni ich małżeństwa stał się bardzo marudny. Nic się nie układało. Pracował nad czymś, co wymaga maksymalnej koncentracji. Nad czym? – pytała. Nad nową powieścią, nowym wierszem? Niczego jej nie powie, bo nie znosi, kiedy zagląda mu się przez ramię. Popełnił błąd, pokazując jej rzeczy niedokończone. Muszę sam uporać się z tym wszystkim, powtarzał.

Beze mnie? Musi wyjechać do chaty w lesie, żeby mieć absolutny spokój przy pracy. A co ja mam zrobić? – pytała Susan. Musisz pracować w szkole, odpowiedział. Podpisałaś kontrakt.

Nie umie sobie przypomnieć nastroju, w jakim na to przystała. Jeszcze trudniej przychodzi jej uwolnić się od późniejszego oburzenia. Jak mogła poddać się tak bezmyślnie, jak mogła być tak uległa? Ale przecież z nikim jej nie zdradzał, więc zgodziła się zostać sama. Wyjechał i dzwonił do niej co drugi dzień. Pisała listy do rodziców, przedstawiając sytuację w możliwie najlepszym świetle, chwając się bezkompromisową niekonwencjonalnością małżeństwa: Edward zмага się w borze z materią słów, a ona go utrzymuje – cóż to za niezwykle życie! Wrócił niestety w bardzo przykrym nastroju. Nie udało się, powiedział. Musi zacząć wszystko od nowa. Co zacząć? Ale to było

zbyt intymne, by dało się zamknąć w słowa. Dopiero później odnotowała wydany przez siebie wyrok: Edward jest nieudacznikiem, a ona łatwowierną idiotką. Jedna dobra rzecz, jaka się przydarzyła tamtego października, to poznanie Arnolda. Arnold odbywał staż w szpitalu i mieszkał piętro wyżej. Jego żona przeżyła załamanie nerwowe i musieli ją hospitalizować. Ostatecznie epizod ten okazał się błogosławieństwem dla wszystkich i wszyscy tak uważali oprócz Seleny.

Trwające od dwudziestu lat małżeństwo (które nie było idyllą – to pewne) pozwala Susan na spokojne, pozbawione uprzedzeń rozważenie ewentualności, że pozostała z Edwardem. Gdyby z nim została, nazywałyby się teraz Stephanie. Jednak mając odpowiednio wysokie alimenty na Rosie, Dorothy i Henry'ego, nie bałaby się zadać sobie pytania, czy życie Stephanie byłoby mniej cudowne od tego, które prowadzi jako Susan.

Kiedyś zadawała Edwardowi pytanie, dlaczego pisze. Nie dlaczego chce zostać pisarzem, ale dlaczego pisze. Jego odpowiedzi były inne za każdym razem. To jest jak jedzenie i oddychanie, mawiał. Pisze się, bo wszystko umiera i chce się to ocalić. Pisze się, bo świat jest niewysłowionym bezładem, w którym można się zgubić bez mapy ze słów. Wszyscy niedowidzimy, a pisanie jest jak okulary. Nie, pisze się, bo się czyta i chce się odtworzyć na własny użytek przeżyte historie. Pisze się, bo w głowie mamy sieczkę, przez którą trzeba się przekopać, żeby odnaleźć drogę do samego siebie. Nie, pisze się dlatego, że jesteśmy zamknięci w skorupie jak nasze mózgi w czaszce. Pisanie jest sondowaniem innych pozamykanych skorup i czekaniem na odpowiedź. Gdybym chciał odpowiedzieć ci, dlaczego piszę, oznajmił, musiałbym pokazać ci, co piszę, a na to nie jestem gotowy.

Uznała, że to uczciwe postawienie sprawy. Pisanie było według niego życiową koniecznością. Bała się jednak, że może umrzeć z głodu od tej swojej pisarskiej strawy. Kiedy się dowiedziała, że zrezygnował z pisania, by sprzedawać ubezpieczenia, miała nadzieję, że przekonał się wreszcie, że ubezpieczenia mogą być równie pożywne jak pisanie.

Coś z tego wyznania wiary Edwarda nie dawało jej spokoju. Jeśli pisanie jest życiową koniecznością, co mają robić jej pierwszorocznici studenci? Albo ona sama? Nie zajmowała się pisaniem, jeśli nie liczyć listów, przypadkowych pamiętników czy wspomnień w notatniku. Jak ma przetrwać?

No tak – była czytelniczką. Edward nie mógł żyć bez pisania, a ona nie mogła żyć bez czytania. A beze mnie, Edwardzie, powiedziała, nie mógłbyś istnieć. Był wydatkującym całą energię przekąźnikiem, a ona była

odbiornikiem czerpiącym energię od niego – im więcej brała, tym była silniejsza i bogatsza. Jej sposób na porządkowanie chaosu w głowie polegał na okopywaniu go, odchwaszczaniu i podlewaniu wodą życia innych, co oznaczało po prostu nieustanne czytanie, za którego pomocą tworzyła własną architekturę i geografię. Przez lata lektur zagospodarowała i zaludniła piękny, bogaty i cywilizowany kraj z własną historią i kulturą, z własnymi zapatrywaniami i perspektywami, o jakich nie śniła w czasach, gdy Edward poił ją własną wizją. Jakże nijaka była to wizja w porównaniu z tymi, które ukazano jej później. Ale była wspaniałomyślna i przez te wszystkie lata życzyła mu, by nabrał ogłady i wykształcenia. No, a teraz pojawiły się *Zwierzęta nocy*. Trudno orzec, czy są nacechowane ogładą i wykształceniem, ale charakteryzują się przynajmniej pewną wizją, którą Edward chce jej ukazać, z czego się cieszy – głównie ze względu na niego.

Przez cały dzień zajmuje się domem. I czeka na wieczorną lekturę. Odrzuciła już początkową pogardę dla kaprysów Edwarda: jego kaprysy stały się jej kapryсами. Podejść uczciwie do tej książki i ciesz się nią. Jeśli Edward, który ją pisał, okaże się inteligentniejszy i lepszy od tego, którego znała, nie ma powodu do zmartwień. Liczy na piątkowe spotkanie z nowym Edwardem – dojrzałym o dwadzieścia pięć lat. Ale bądź przygotowana na to, że nie zabłyśnie. Niektórzy pisarze wydają się miłsi od swoich książek (da się ich lubić w przeciwieństwie do tego, co piszą), inni natomiast nie: są samolubni albo gburowaci, ale za to ich książki wydają się kuszące, inteligentne i pełne polotu.

Ale mówiąc prawdę (prawdę Susan), Edward z tej książki nadal jest zagadką. Ukrył się za napięciem dramatycznym sprawy Tony’ego jak policjant za jaskrawym światłem szperacza radiowozu. Ale to nie może trwać wiecznie. Tony rozwikła kiedyś zagadkę osobistej tragedii, pojedna się z zamordowaną żoną i córką, opuści ich wspólną krainę nieszczęść i wróci do zwykłego siebie, zwykłego Tony’ego... Czy wtedy pojawi się Edward? Susan zastanawia się, co na to powie. Teraz może powiedzieć tylko tyle: Dobrze zacząłeś, Edwardzie. Jeśli nie zdołasz utrzymać tonu, zostanie ci przynajmniej dobry początek. A to ogromna radość i ulga, Edwardzie. Nie masz pojęcia, jak ogromna to radość i ulga.

Druga sesja

Jeden

Robi się późno, nim Susan wraca do lektury. Siada na sofie, a w głowie dudni jej zamieszanie ostatnich dwóch godzin: Dorothy zbiega po schodach do Arthura, z którym idzie do samochodu; Rosie szuka konika, którego dostała na święta; Henry zamyka się w swoim pokoju na górze, a po chwili zza jego drzwi dobiega potężne orkiestrowe *fortissimo* Wagnera. Henry nie słucha rocka, słucha Wagnera. Ale i tak musi zamykać drzwi do swojego pokoju i zmniejszać głośność. Susan odnajduje maszynopis na stoliczku do kawy, pod planszą monopolu, którą ktoś tutaj rzucił razem z tysiącami dolarów oraz zielonymi domami i hotelami. Odpręża się, zamyka oczy. Za chwilę wydobędzie powieść spod tego porzuconego na pastwę losu bogactwa. Za moment zacznie czytać.

Ale nie może się skupić. Co będzie, jeśli młody rumiany Arthur nie jest tak miłym, nieśmiałym, wstydliwie odwracającym wzrok chłopcem, za jakiego uchodzi? Co będzie, jeśli ta nieśmiałość skrywa początki szaleństwa, a Arthur okaże się małym obłąkanym mordercą? Martha sadowi się na planszy do gry w monopol, ma gdzieś tysiące dolarów, hotele i inne zabudowania drapią ją w brzuch, pod którym leży również cały świat Tony'ego. Susan wsuwa pod nią dłoń, a Martha zeskakuje na podłogę, pociągając za sobą całą współczesną cywilizację. Miau się, mówi Martha.

Susan wkłada nieprzeczytany maszynopis do kartonu na sofie. Przeczytaną część kładzie obok. Szuka miejsca, w którym skończyła. Zaznaczyła je czerwono-zielonym bożonarodzeniowym papierkiem. Myśli. Próbuje przypomnieć sobie Tony'ego, który stracił rodzinę w lesie. Nie jest jeszcze gotowa. Ma niedobry nastrój. Zaczyna trochę fantazjować, stawiając się na miejscu Tony'ego. Porównuje się z Tonym. W jaką powieść ułożyłyby się jej życiowe kłopoty? O ileż straszniejsze są nieszczęścia Tony'ego. Tyle tylko że jej problemy są prawdziwe, a jego tragedia została wymyślona przez kogoś – przez Edwarda. Poza tym dramat Tony'ego jest prostszy, bo dotyczy podstawowych kwestii życia i śmierci – inaczej niż jej dramaty: zwykłe, codzienne, chaotyczne, drobne, komplikowane dodatkowo przez jej niewiedzę, czy rzeczywiście są dramatami. Prawdziwym nieszczęściem jest bezdomność, ubóstwo, wojna, zbrodnia, choroba. Czy Marilyn Linwood można uznać za problem? Jej romans z Arnoldem skończył się przed trzema laty, choć nie wiadomo, czy na pewno. Susan tego nie wie, naprawdę nie wie.

Ale nie będzie o to pytać. Nie może tego zrobić po rozmowach, które odbyli, po osiągniętym wspólnie porozumieniu: zgodnie z nim Linwood jest osobą bez znaczenia, gdyż to małżeństwo, jak stwierdził Arnold, jest na tyle silne, by przetrwać wszelkie zawieruchy, w tym rywalizację z obcą kobietą. Nie warto chodzić z tym do poradni małżeńskiej.

Dalsze fantazjowanie sprowadza znikąd niejaką panią Givens, a wraz z nią panią Macomber, żonę profesora, która oskarżyła Arnolda o błąd lekarski, ponieważ jej mąż dostał wylewu po operacji serca. Jej złość i pieniactwo (zrozumiałe w zwykłych ludzkich kategoriach) przyprawiają Susan o dreszcze, ponieważ jako żona odpowiada za poczynania uzbrojonej w skalpel dłoni Arnolda w sali operacyjnej, której nigdy nie widziała na oczy. Żona lekarza to jego druga połowa, to niemal sam lekarz – co Arnold uważa za pewnik, a ona polega na jego ocenach w tej materii. Jest takim dobrym chirurgiem: błyskotliwym, utalentowanym, starannym, godnym zaufania. Susan bez pytania wie, że oskarżenie wniesione przez panią Macomber wynika z jej ignorancji, a w najlepszym razie z rozżalenia bądź też wrodzonej złośliwości i kapryśności – taką opinię przedstawiła wścibskej pani Givens. Jeśli żona nie będzie bronić męża, kto ma go bronić poza nim samym? Ale prawda wygląda tak, że Susan nie wie, jakim kardiochirurgiem jest jej mąż. Niektórzy go podziwiają: chwalą go pacjenci, paru współpracowników, część pielęgniarek, ale co z tego wynika? Przykłada się do pracy, traktuje ją poważnie, nieustannie studiuje. Co prawda nigdy nie wydawał się jej przesadnie bystry, ale ma doskonałą reputację, w przeciwnym bowiem razie nie proponowano by mu objęcia Cedar Hall (Chickwash). Pacjenci umierają. Arnold mówi, że to nieuniknione, i podchodzi do tego ze stoicyzmem. Czasem, kiedy opowiada o czyjejś śmierci, Susan chce się płakać, choć mówi o obcych ludziach. Ktoś przecież powinien płakać, oprócz tych, którzy mają w tym interes. Ale nie płacze, bo płacz byłby wyrzutem wobec Arnolda, a nie ma do tego prawa.

Wystarczy. Marnuje niezdrowo i niepotrzebnie czas. Zaczyna się nad sobą użalać, a czynność ta ma zawsze trupi odór. Powieść ją wzmocni – przecież po to pisze się książki. Spogląda na leżącą na wierzchu stronę. Chucha na okulary, usiłuje sobie przypomnieć. Tony Hastings, zbrodnia, polana z manekinami. Aha, jeszcze powrót do domu i pogrzeb. A na końcu wylot z Paulą na Cape Cod. Zastanawia się, co jeszcze może się przydarzyć Tony'emu Hastingsowi, który stracił już wszystko. Co czeka na niego na zapisanych, choć jeszcze nieprzeczytanych stronach?

Zwierzęta nocy 12

Tony Hastings nie chciał dojść do siebie. Nie odzyskiwał sił, żeby uniknąć tego niebezpieczeństwa. Poleciał na Cape, żeby uniknąć kłótni z Paulą w sprawie lotu na Cape. Merton czekał na nich w kombi, dotknął jego ramienia. Pociągnęła twarz, jeszcze dłuższa przez brodę, wyrażająca to, co niewyraźne. Tony przejrzał jego intencje i doszedł do wniosku, że nie lubi Mertona. Nigdy go nie lubił, co było o tyle dziwne, że zawsze go lubił. Nie lubił też ich dzieci. Siedziały z tyłu – poważne, żeby nikt ich nie musiał uciszać.

Jechali przez niskie piaszczyste lasy. Płaską środkową część przylądka. Blade, zamglone niebo wskazywało na bliskość oceanu. Paula rozmawiała z Mertonem. Peter i Jenny usiłowali się na niego nie gapić.

Dom stał w lesie pół mili od zatoki. Od drogi prowadził do niego nieutwardzony podjazd porośnięty na środku trawą. Oddali mu ten sam pokój, który zajmował z Laurą. Z okna widziało się korony drzew opadających ku zatoce – oślepiająco jaskrawej w popołudniowym słońcu za linią wydm. Pokój pachniał pinią, podłoga była szorstka od piasku.

Poszli na plażę – pustą o tak późnej porze. Od zatoki wiał ostry zachodni wiatr, było chłodno. Peter i Jenny mieli na sobie stroje kąpielowe, a na nie włożyli swetry.

– Nie idziecie się kąpać? – zapytał z wysiłkiem Tony.

– Za zimno – odpowiedziała Jenny.

Peter zabrał frisbee i zaczęli nim rzucać, żeby już o nic więcej ich nie pytał, żeby nie musieli z nim rozmawiać. Nie wiedzieli, o czym mogliby z nim rozmawiać, gdyż bali się zapytać o najważniejszą sprawę, o jakiej wiedzieli. Wiatr gnał postrzępione fale. Na plaży leżały resztki tego, co zostawili na niej ludzie: wielki zardzewiały pojemnik na śmieci był pełen, wylewały się z niego papiery i plastikowe opakowania. Po piasku spacerowała duża gamoniowata mewa z pomarańczowymi nogami, złym spojrzeniem i groźnym dziobem. Gdzieś z nieba nadleciała inna i zawisła na wietrze jakieś dwie stopy nad plażą, nie ruszając wcale wielkimi skrzydłami, obserwując okolice. Resztki kanapek. Pusty pojemnik po jajkach. Czyjś sweter zakopany do połowy w piasku.

– Przemarzę na kość. Wracajmy do domu – zaproponował Peter.

Tego wieczoru przy obiedzie mnóstwo ożywionych rozmów. Tony Hastings wiedział, że powinien w nich uczestniczyć, ale nie był w stanie śledzić ich przebiegu. Później pomyślał: Jestem jak wyschnięta kłoda, powinienem bardziej się starać, nie mogę zapomnieć, kim jestem.

Rano zgolił wąsy, do których poczuł obrzydzenie. Plaża była jaskrawa. Powietrze świeże, zatoka zielona i spokojna, woda ciepła, a dzieci długo pływały w morzu. Pływał z nimi przez pewien czas, zastanawiając się, czy wyjdzie mu to na dobre. Dojrzał pytanie na twarzy wynurzającej się z wody Jenny: prychniętej, odgarniającej mokre włosy, zerkającej na niego i dającej nura jak najdalej. Wiedział, o czym myśli. Wspominała ciocię Laure, mistrzynię nurkowania, prującą podwodne szlaki jak atomowa łódź podwodna, między nogami brodzących w wodzie i moczących się w niej. Ciocia Laura i wujek Tony byli ich morską kawalerią. Jeśli poprosi, pomyślał, wezmę ją na ramiona, ale nie poprosiła.

Ani morze, ani plaża nie sprawiały mu przyjemności, więc usiadł na ręczniku. Kiedy dzieci wróciły, zebrał się w sobie i zaproponował: Chcecie się przejść do zatoczki? Trudno mu było zadawać jakiegokolwiek pytania, bo słowa więzły w gardle albo kładły się na piersi ołowianym ciężarem.

Poszli do zatoczki. Teraz (jak się domyślał) wspominały zeszłoroczny spacer: ciocia Laura szukała muszelek i kamyków, wujek Tony rozpoznawał i nazywał wędrujące przy brzegu ptactwo, Helen rozkopywała dziurki w mokrym piasku, zastanawiając się, co jest pod nimi: małż, krab? Powoli zwalczał ból, nie zwracając uwagi na kolorowe kamyki, delikatne pancerzyki krabów, obojętniejąc na rozgwiadzy. Czuł pod stopami gęsty piasek. Dzieci szły w milczeniu. Potem Peter wymamrotał coś do Jenny. Wybiegła do przodu, a Peter rzucił do niej frisbee. Rozerwali małą grupkę, bawili się rzucaniem frisbee przez całą drogę, a on maszerował.

Spędził na Cape dwa tygodnie, starając się przeżywać depresję tak, by nie być przy tym niesympatyczny. Paula powiedziała: – Tony, masz prawo czuć przygnębienie. – Zasugerowała, żeby po powrocie zasięgnął porady psychiatry.

Kiedy po dwóch tygodniach wrócił do domu, kiedy całkiem sam wszedł po południu do pustego domu – domu, który od tej pory należał tylko i wyłącznie do niego – zastał w nim list wysłany w Grant Center.

Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, że odciski palców z Twojego auta odpowiadają tym, które znaleźliśmy w przyczepie. Oprócz tego jeden zestaw odcisków został zidentyfikowany: należy do niejakiego Stevena Adamsa z Los Angeles. Był karany w Kalifornii. Kradzież samochodu. Uniewinniony z zarzutu o gwałt. Załączam policyjną fotografię rzeczonoego Adamsa. Byłbym zobowiązany, gdybyś zechciał go rozpoznać. Jeśli był wśród tych, którzy napadli na Ciebie i na Twoją rodzinę. Rozesłano za nim list gończy.

Na nasze wezwanie nie zgłosił się żaden świadek.

Będę wdzięczny za szybką odpowiedź i dam Ci znać, jeśli coś się wydarzy.

Robert G. Andes

Fotografia zadrżała w jego ręku. Aresztanckie zdjęcie z profilu i en face: chudy mężczyzna o długich czarnych włosach i długiej czarnej brodzie jak u proroka. Tony Hastings wpatrywał się w tę twarz, usiłując ją przejrzeć. Kto to? Haczykowaty nos, smutne oczy. To nie Ray ani Turk. Usiłował sobie przypomnieć, starając się nie okazywać przed samym sobą bolesnej frustracji. Czy to broda Lou? Włosy Lou? Lou nie miał takiej długiej brody, miał inne włosy, choć Tony nie potrafił sobie przypomnieć jakie. Oczy na fotografii niczego nie przypominały. To nie było zdjęcie osoby, którą widział. Spróbował wyobrazić sobie Raya z brodą, ale patrząc na fotografię, nie umiał sobie wyobrazić Raya nawet bez brody.

List poruszył go, wywołał pragnienie ukarania winnych. Myślał: Co za różnica, czy ich złapią, czy nie? Ale nocami miewał mordercze myśli. Od których zagryzał wargi i walił pięściami w pościel. Zapomniał odpowiedzieć na list, a po kilku dniach odebrał telefon od Bobby'ego Andesa. Słyszał go bardzo słabo, połączenie nie było najlepsze.

– Dostałeś mój list?

– Tak.

– I co?

– Co...?

– Rozpoznałeś twarz?

– Nie.

– Nie?

– Nie rozpoznałem twarzy.

– O, kurwa, człowieku!

– Nic na to nie poradzę.

– Kurwa mać! To facet, którego odciski palców były na twoim aucie! Więc nie wciskaj mi kitu, że go nie rozpoznałeś!

– Przepraszam, ale nie...

– Kurwa.

Choć był krańcowo przygnębiony, robił wszystko, co trzeba, żeby dalej żyć. Przyrządzał sobie śniadania i kanapki na lunch. Na obiady chodził do tanich restauracji. Czasem, kiedy nie był tak apatyczny jak zwykle, sam gotował sobie obiad. Poszedł na uczelnię, ale nie potrafił wysiedzieć w gabinecie

i skupić się na pracy, więc wrócił wcześniej. Wieczorami usiłował czytać, ale nie mógł się skoncentrować, więc oglądał telewizję. Ale nie potrafił skoncentrować się nawet na telewizji i nie wiedział, co ogląda. Raz na tydzień przychodziła pani Fleischer, która sprzątała dom i robiła pranie. Między jej wizytami dom zarastał brudem, wszędzie walały się gazety, otwarte książki i brudne naczynia. Tony chciał, żeby już skończyło się lato, żeby mógł wrócić do nauczania, choć wcale się do tego nie palił.

Pewnego wieczoru doszedł do wniosku, że nadeszła pora, aby przygotować się do jesiennych zajęć, więc usiadł przy biurku w swoim pokoju i zaczął się zastanawiać, od czego zacząć. Ale myśli rozbiegały się we wszystkich kierunkach. Chciał odprawić jakiś rytuał, ale nic odpowiedniego nie przychodziło mu do głowy. Podeszedł do okna, ale ujrzał w nim tylko własne odbicie w szybie. Ktoś stojący na dworze mógłby widzieć go lepiej niż on to, co było na zewnątrz. Zgasił wszystkie światła i dom pogrążył się w całkowitej ciemności. Po co to robię? – pytał sam siebie. Przez okno wpadała słaba poświata ulicznych lamp, świateł z domów sąsiadów, nocnego nieba. Kładła się plamami na ścianie. Podeszedł do bocznego okna, wychodzącego na oświetlony dom pana Husserla, a potem do trzeciego, naprzeciw, za którym czarna noc okrywała krzaki i dusiła przydomowe ogródki. Obszedł cały ciemny dom, pokój po pokoju, wyglądając przez okna ku nocy i przyglądając się wzorom światła na ścianach.

Potem wyszedł na dwór. Ruszył ulicą w stronę pawilonów. Zaglądał w okna restauracji, w których siedzieli ludzie, w okna otwartych sklepów, Walgreen's, Stu's Deli, oświetlone okna zamkniętych sklepów, sklepów żelaznych, księgarni. Wszedł do parku. Stromy stok pod ogromnymi drzewami. Było tak ciemno, że musiał wyciągnąć przed siebie ręce, by chronić oczy przed niewidzialnymi gałęziami. Po co tu przyszedłem? – pytał sam siebie.

Wpadli na to, zmieniając koło. Kiedy podeszli do samochodu Raya, żeby się naradzić. Zabierzmy je do przyczepy, zrobimy sobie bal. A co z nim? Kurwa, facet, trzeba się go pozbyć! Okay, zrobimy tak: rozdzielimy ich. On do jednego auta, kobitki do drugiego. Ty go zabierzesz, Lou. Kurwa, to niebezpieczne. Kurwa, facet, wszystko jest niebezpieczne!

Usiłował sobie przypomnieć łyżkę do opon, której używali. Czy leżała na ziemi, kiedy skończyli? Mógł ją podnieść. Trzymając w ręku łyżkę do opon, mógł nie wpuścić Raya i Turka do samochodu. Mógł ją trzymać oburącz przed sobą. A gdyby było trzeba, mógł się zamachnąć i rozwalić Rayowi łeb.

Zgubił się w parku. W końcu dostrzegł jakieś światło przez płataninę drzew

i kierując się nim, wrócił na chodnik. Światło było neonem salonu urody, już zamkniętego. Drżał, miał podrapaną twarz.

Siedział w ciemnym domu i wyglądał na zewnątrz. Zabierz mnie tam, powiedział. Zaczynaj jeszcze raz, od nowa, cofnij to wszystko. Zmień choćby jedną chwilę, tylko o to proszę, a potem wszystko potoczy się inaczej. Każ mi stanąć przy tej przyczepie, przy której się nie zatrzymałem. Postaw mnie przed drzwiami auta, żebym mógł walczyć z Rayem i Turkiem, nic więcej, tylko to: jedno ogniwo w całym logicznym łańcuchu. Każ mi zabrać tego autostopowicza, który jechał do Bangor, każ mi słuchać, jak epatuje go słodkim głosem moja własna córka – tego obszarpańca o powiewającej brodzie. Ojciec idiota.

Dom był pustym pojemnikiem wypełnionym żalem. Ich bezcielesne duchy unosiły się wszędzie tam, gdzie ich nie było. Nikogo nie było przy otwartej kasetce z biżuterią na komódce. Ani przy szufladach, ani w garderobie, gdzie wisiały jej sukienki, których dotykał. Wtulił twarz w jej gruby szary sweter, owinał sobie nim głowę. Sentymentalnie i nabożnie podlewał kwiatki, które przeniosła do przedsiionka. Podnosił błękitno-białe porcelanowe filiżanki. Nie siadał w fotelach, nie używał w kuchni elektrycznego otwieracza do konserw. Nie pisał listów przy jej starym sekretarzyku stojącym w pokoju, którego już nie nazwie szwalnią, choć nigdy w nim nie szyła. Nie dotykał jej sztalug, jej rozmazanej palety, nieoprawionych płócien stojących pod ścianą pracowni.

Jakże odległe wydają się teraz jej dwa duże obrazy wiszące w salonie. Jeden jest bladoniebieski jak zamglony świt nad morzem, a drugi różowawy i pomarańczowy, spokojny i spójny, jakby nie wiedział o tym, co się wydarzy w przyszłości, o brutalnej sile, przemocy, gwałcie i młotku. Idiotyczna wypchana panda Helen, symbol dziewczęcych wzruszeń, z wielkimi szklanymi oczyma i wielką głową. Robi to, do czego została stworzona. Siedzi na łóżku i jak w dziecięcej rymowance, szczeka na cały dom, który wybudował Tom.

Rano czekał na szum wody w łazience. Na trzask siatkowych drzwi i kroki zmierzające do szkoły. Wychodząc z domu, rzucał „do widzenia”, ale go nie słyszała, bo była na górze. Kiedy wróci po południu, zastanie ją w pracowni: będzie malowała, a on będzie nasłuchiwał u dołu schodów. Robiło się coraz później, więc zaczynał się niecierpliwić, kiedy nie trzaskały siatkowe drzwi, oznaczające powrót ze szkoły. Po obiedzie jak zwykle na nią zaczeka i pójdą razem na spacer.

Pisał scenariusze ich nieobecności, żeby go zaskakiwały, przyspieszając

puls, utrzymując stały poziom bólu. Dzięki nim uświadamiał sobie wszystko raz jeszcze, raz za razem. Najpierw celowo zapominał, a potem przywracał ustalony porządek. Dziwne obłe kształty przykryte w kościele białymi całunami były późniejsze niż płócienne kokony wynoszone z krzaków, a te były późniejsze od manekinów leżących pod krzakami. Manekiny pojawiły się po tym, jak w nocy zabrano je samochodem, a to wydarzyło się później niżli cokolwiek, co wydarzyło się w tym domu. W tym domu nie wydarzyło się nic od czasu tego wydarzenia na drodze, nic w nim nie jest nowsze ani świeższe od ich śmierci. Kiedy widziałeś je po raz ostatni, mówił do siebie ze zdziwieniem Tony Hastings, były dwiema przestraszonymi twarzami w odjeżdżającym drogą samochodzie. I takie pozostaną na zawsze.

Omawiał to z nią. Mówił jej: Najgorzej było wtedy, kiedy Ray i Turk wsiedli z wami do samochodu. Tak, to nie było przyjemne, zgadzała się z nim. Nie, poprawiał się, najgorzej było wtedy, kiedy coś zauważyłem w krzakach i zdałem sobie sprawę, że to ty. Uśmiechała się. Mówił wówczas: Szkoda, że nie możesz mi opowiedzieć, co się z wami działo. Ja też tego żałuję, odpowiadała.

Ta druga zbiega nocami po schodach, przeskakując po dwa stopnie, łomocząc obiema stopami na samym dole, puszczając siatkowe drzwi, żeby się zatrzasnęły. Pytał ją: Co mam zrobić z jej rzeczami, wypchanymi zwierzątkami, konikami z porcelany, potrzebna mi twoja rada. Wiem, odpowiadała.

Dwa

Na górze gruby, nieszczęsny, stary Henry gra *Marsz żałobny Zygryda* tak głośno jak heavy metal. Ścisza to, drze się Susan Morrow, a potem słyszy dzwonek telefonu. Z Nowego Jorku znów dzwoni Arnold. Po zakończeniu rozmowy wraca do maszynopisu, mając w uszach uniesienie Arnolda. To uniesienie przeszkadza jej w lekturze, przesłania Tony'ego Hastingsa, wymazuje go. Uniesienie wywołała wiadomość z Chickwash, uniesienie ją przeraża, choć Arnold o tym nie wie. Jeśli będą musieli opuścić ten dom dla kariery Arnolda? To pytanie wyostrza jej wzrok, każe jej przyjrzeć się własnemu życiu z tego miejsca na sofie. Tapeta, kominek, obrazy, schody, poręcz, boazeria. Na dworze trawnik, klon, róg ulicy, latarnia. Ma tu przyjaciółki. Marię, Normę. Zabrać dzieci ze szkoły dla jakiegoś Chickwash. Zrzuca im życie, będą płakać po cichu w poduszkę, koledzy, koleżanki, najlepsze przyjaciółki stracone na zawsze. Susan też będzie płakać po cichu w poduszkę, choć nie powiedziała o tym Arnoldowi przez telefon, bo czułaby się winna, że jest samolubna i drobnomieszczańska. Miała dosyć egzekwowania własnych praw tylko po to, żeby później czuć się podle. Nie miała zamiaru spierać się z Arnoldem.

Który zakłada, że podporządkuje się jego decyzji. Dojdzie nawet do wniosku, że razem ją podjęli. Będą o tym rozmawiać. Będzie zadawać pytania, jakich po niej oczekuje, żeby pomóc mu w podjęciu decyzji, która już została podjęta, będzie mu mówić, co go gnębi, i przypominać mu, co jest dla niego najważniejsze i leży w jego najlepszym interesie. Położy na jednej szali jego umiłowanie kardiochirurgii i troskę o pacjentów, a na drugiej prestiż i szansę na czynienie dobra w skali ogólnonarodowej. Jeśli coś jej się nie spodoba, nie wspomni mu o tym ani słowem, żeby nie odczytał tego jako próby odebrania mu szansy na samorealizację. Może wspomni o dzieciach i ich dobru, ale jeśli na to odpowie, że dzieci łatwo się adaptują, a waszyngtońskie środowisko i piastujący wysokie stanowisko ojciec zapewnią im świetlaną przyszłość, rzecz jasna zgodzi się z nim.

Mówił głosem chłopaka, którego drużyna wygrała mecz. Praktycznie obiecali mi tę posadę, powiedział. Czy to nie cudowne? Wspaniale, kochanie, odpowiedziała. Musimy o tym porozmawiać, dodał, musimy się zastanowić, co będzie dla nas i dla dzieci najlepsze. Nie przyjmę tej posady, nie zasięgnąwszy twojej rady. I wszystkich świętych. Dał jej do zrozumienia, kim

są wszyscy święci.

W tej rozmowie było coś jeszcze. W pewnym momencie rozmowa przyjęła zły obrót, kiedy Susan zadała jakieś pytanie, zupełnie nie na miejscu w obliczu mężowskiego triumfu. Zbyt późno zdała sobie z tego sprawę. Teraz nie da się już tego cofnąć, popełniła błąd i poczuła się winna po odłożeniu słuchawki. Czy zdoła powstrzymać nadciągający kataklizm? Nie ma sensu oddawać się czarnowidztwu. Przestań, mówi Susan do Susan, odpuść sobie. Mogło być gorzej. Wieczór służy lekturze, a chcąc ją kontynuować, musi pozbyć się myśli o sobie.

Tony Hastings zamiast Susan. Tony Hastings przeżywa żalobę, popada w apatię, miewa obsesje. Susan zastanawia się, co o nim myśleć, kiedy on gasi światła i przez okna wygląda na zewnątrz. Tony Hastings stał się postacią skomplikowaną dodatkowo przez tę szczyptę ironii Edwarda, widocznej w jego stylu. Ciekawe, czy jako czytelniczka zdoła utrzymać kontakt z bohaterem, czy jego żaloba nie zamieni się w uzalanie się nad sobą? Ma nadzieję, że powieść nie jest opisem depresji Tony'ego, bo komu chce się czytać o nieustannie przybitym bohaterze. Susan nie ma cierpliwości dla ludzi pogrążonych albo pogrążających się w depresji – inaczej niż Edward. Pamięta, jak on sam pogrążył się w depresji, kiedy usiłował pisać przed rozpadem ich małżeństwa.

Wtedy w łodzi na kamienistym brzegu, kiedy z sykiem zgasił w wodzie papierosa (a nawet jeszcze wcześniej), nie potrafił wybaczyć zamkniętej w szpitalu psychiatrycznym matce. Gdy Susan usiłowała jej bronić, ochlapał ją wodą z wioseł. Każdego miesiąca od dwudziestu pięciu lat Arnold wysyła okazały czek, żeby Selena mogła się pienić w luksusowej klatce w Gray Crest. Susan doskonale pamięta jego radosne słowa: Chwała Bogu, że jesteś normalna! Teraz już się do tego przyzwyczaił i więcej o tym nie wspomina.

Zwierzęta nocy 13

We wrześniu przyjechała Paula. Przyjechała, żeby rozdać niektóre rzeczy, a inne wyrzucić. Weszła do garderoby Laury i do pokoju Helen, spakowała ubrania i biżuterię, przeczytała listy, obejrzała obrazy, fotografie, zabawki i wypchane zwierzątka. Potem wyjechała i rozpoczął się semestr. Wrócili koledzy i studenci. To nie było złe, choć nadal przeszkadzały mu kwestie zupełnie niezwiązane z matematyką. Koleś, żona cię potrzebuje – odzywało się w jego głowie podczas wykładów albo rozmów ze studentami. No i ten nowy nawyk, żeby gasić światła i wyglądać w nocy przez okna. Spoglądał na

mokre gałęzie i plamy światła w domach, i słabą poświatę na niebie i czuł się w domu jak w ciemnej przestronnej jaskini, co było szczególnie ekscytujące, kiedy ktoś przechodził ulicą, nie wiedząc, że jest obserwowany.

Przypuszczał, że dochodzi do siebie. Poszedł na przyjęcie do Kevina Malka, dyrektora wydziału. Na przyjęciach u Malków grało się w różne gry. Szarady. Tony włączał się do zabawy, podpowiadał tytuły, które potem odgrywano. *Po słonecznej stronie ulicy, Upadek Zachodu*. Sam odegrał tytuł *W pawilonie zwierząt nocy*. Był zaskoczony aplauzem.

Odwiózł do domu Francescę Hooton. Była sama, bo jej mąż, prawnik, wyjechał do Nowego Orleanu. Tony zawsze lubił Francescę. Uczyła francuskiego, była wysoka, ładna, miała śliczną buzię o wyrazistych rysach i złociste włosy. W dawnych czasach zastanawiał się niekiedy, co by było, gdyby oboje byli wolni. Teraz nie czuł się najlepiej w roli jej towarzysza, ponieważ rola ta stwarzała jakieś możliwości, których nie chciał, cierpiąc po stracie i będąc w żałobie. Siedziała obok niego w samochodzie w eleganckiej jasnobrązowej sukience.

– Mają jakieś tropy? – zapytała.

– Policja? Nie wiem.

– Nie czujesz złości?

– Na kogo? Na policję?

– Na tych ludzi. Nie chcesz, żeby ich złapano i ukarano?

– Czy to coś zmieni? To nie przywróci życia Helen i Laurze.

Natychmiast, kiedy tylko skończył mówić, zdał sobie sprawę, że się popisuje.

– No, tak. Ale jeśli ty nie jesteś zły, to ja jestem. Jestem zła w twoim imieniu. Chcę, żeby ich zabili. A ty nie?

– Nie wiem... – mruknął.

Mieszkała na pierwszym piętrze. Przy schodach zapytała:

– Pewnie nie zechcesz wejść?

Coś się w nim przewróciło w środku i odpowiedział:

– Muszę pojechać do domu.

W ciemnym domu opowiedział o przyjęciu Laurze. Graliśmy w szarady, tłumaczył. Byłem w centrum zainteresowania. Potem odwoziłem Francescę Hooton do domu. Chce, żebym czuł złość i szukał zemsty. Ale ja nie chcę, nie chcę, żeby mi przeszkadzano w byciu z tobą. Liczyła, że nawiążemy romans, ale odmówiłem. Zapalił światła, a potem znów je zgasił i obszedł cały dom, wyglądając przez okna w ciemność, powtarzając: Nie zapomnę. Nic nie jest w stanie sprawić, żebym zapomniał.

Chodził sztywno z wykładów na wykłady, jak człowiek podpierający się laską. W jego gabinecie pojawiła się pewna doktorantka, Louise Germane, która miała miękkie jasnopszeniczne włosy. Powiedziała:

– Słyszałam, co się stało, profesorze Hastings. Chcę, żeby pan wiedział, że jest mi bardzo przykro.

Zdobył się na uśmiech i podziękował. Kiedy wyszła, powiedział: Muszę nauczyć się samotności. I tego, że posiwieję. Postanowił spisać historię swojego małżeństwa. Doszedł do wniosku, że pisanie nie pozwoli mu zapomnieć. Bał się utraty kontaktu z terażniejszością – żywotnego poczucia, że przeszłość jest nadal jej częścią.

Przywoływał konkretne wspomnienia, żeby udowodnić różne rzeczy: wieczór poświęcony Tolstojowi, mający potwierdzić inteligencję Laury, wyjazdy nad morze, żeby pokazać jej witalność, żarty i kalambury, których nigdy nie potrafił zapamiętać, rozmowy w kuchni o Malkach, dowodzące trzeźwości jej sądów, słynną wieczorną przechadzkę po Peterson Street, przypominającą o jej wspaniałomyślności i hojności. Jego pamięć była krnąbrna, nie lubiła być zmuszana do wysiłku. Usiłował wyzwolić Laurę z ramek stojącej na stole fotografii, na której fotograf uwiecznił na zawsze jej uśmiechnięte oczy, włosy odgarnięte z czoła na jedną stronę. Odwrócił głowę i czekał, aż wpadnie w pułapkę pamięci. Często wpadał w jej pułapki, ale nie wtedy, kiedy chciał. Żeby pokazać, że jest gotów na wpadnięcie w pułapkę, przepowiadał sobie stare nawyki: Laura setki razy odwoziła go na uczelnię po drodze do galerii; w galerii czasem pytała go o radę, co było bardzo miłe. Kiedyś wpadł w jej pułapkę, mając wizję, jak wraca ulicą do domu, jak żywa, i macha rękoma. Jakże ona nimi wymachiwała! Każde wspomnienie, które chwyciło go w pułapkę, tężało. Miał już całą kolekcję obrazów, ale pamięć coraz rzadziej zastawiała wnyki.

Potem mu się polepszyło. Wysiedział trzy godziny na radzie wydziału, spierając się namiętnie o dwa awansy i jedną profesurę. Dopiero wychodząc z budynku razem z Billem Furmanem, zauważył pierwszy śnieg i przypomniał sobie, że jest w żałobie. Zapomniał o tym na trzy godziny. Powracające wspomnienia – powracające w pustym domu, powracające wraz z pierwszym śniegiem – nie były już tak wstrząsające jak niegdyś. Zdarzało się to coraz częściej. Na zajęciach albo podczas lektur. Zdawał sobie sprawę, że przepracował wiele godzin, nie pamiętając, że jego życie nie jest normalne. Życie toczy się dalej, mawiał. Nie mogę zgrzytać zębami przez cały czas.

To był pierwszy śnieg tej zimy. Tony jechał z Billem Furmanem, a gęste płatki wirowały wokół auta, miotane wiatrem. Jezdnie były śliskie

i niebezpieczne. Spodziewał się, że śnieg na nowo przywoła żal, bo przykrywał miejsce, w którym zginęły. Wyobrażał sobie, jak śnieg pada na las: one nie zobaczą już tej zimy. Ale śnieg przynosił ukojenie. Potem patrzył przez okna, jak pada. Obszedł cały dom i pogasił wszystkie światła. Wpatrywał się w kłębowisko płatków w świetle ulicznej latarni. Myślał o śniegu na górskiej drodze biegnącej przez las. I na polanie, którą śnieg przykrywał. Zdjął buty i chodził po domu w skarpetkach. Światło latarni odbite od śniegu i nieba nad miastem wpadało przez okna wielkiego domu i rozjaśniało puste pokoje. Myślał o tym, że jest wolny w tym pustym domu, jest jego samotnym właścicielem, podobnie jak właścicielem ciemności rozjaśnianej upiorną poświatą z dworu. Chodził od okna do okna, tak jak wcześniej, tylko że teraz czuł się całkiem normalny. Wyjrzał przez okno na dom pana Husserla, na trawnik i na pokryte śniegiem dębowe konary. Na garaże, na przysypane auta. Czuł ekstazę.

Kiedy powiedział o tym Laurze, odrzekła: Ciesz się, że żyjesz. Wpatrując się w śnieg padający na trawnik i na ulicę, przypomniał sobie o swoim cieple, o którym nie pamiętał od początku żałoby. Wiedział tylko, że musi spać, golić się, myć zęby, jeść, pić i wydalac. Pilnował diety, żeby nie utyc, nie miec gazów, nie być głodnym. Wkładał czyste ubrania, bieliznę, koszule, buty, a brudne oddawał pani Fleischer do prania. Teraz, kiedy spadł śnieg, włoży płaszcz, szalik, czapkę i rękawiczki, a jutro rano będzie przytupywał na mrozie. Zwrócił uwagę na swój członek, uwięziony w slipach, zaniepokojony tą wieczorną uwagą, od której trochę się poruszył jak tancerz w roli brzasku. Ta część jego ciała przeżywała w spodniach własną żalobę i ciągle wydawała się smętna. A jeśli kiedykolwiek chciała się wyprostować, wystarczyło, że sobie przypomniał, co było jak napominanie psa – od razu się kurczył i cofał.

Tony zawsze żył niezależnym życiem. Nawet w najlepszych małżeńskich czasach. Zawsze był uparty i zwracał uwagę na różne rzeczy, na Francescę Hooton, na doktorantkę Louise Germane, na dziewczyny w bikini na plaży. I zawsze tkwiła w nim ta stłumiona anarchistyczna nadzieja, której się wypierał, jakby nie miał z nią nic wspólnego.

Teraz wszakże przypomniał sobie celowo o kobietach, które znał. Francesca Hooton. Eleanor Arthur. Louise Germane. Seks, a nie miłość. Miłość nie wchodziła w rachubę, myśl o kolejnym małżeństwie była niewyobrazalna, ale seks tak. Z tym że każda z tych kobiet stanowiła pewien problem. Francesca miała męża, a choć jej mąż prawnik wiele podróżował, Tony nie chciał kłopotów. Nie wierzył też za bardzo w wysyłane przez nią sygnały. Sygnały Eleanor Arthur były wyrazistsze i domyślał się, że jej mąż

nie miałby nic przeciwko temu, żeby żyła tak swobodnie jak on, ale jej neurasteniczność wprawiała Tony'ego w irytację, a poza tym nie potrafił zapomnieć, że jest od niego starsza. Przy Louise Germane czuł się bezpiecznie i spokojnie, lecz Louise była doktorantką, a nie można chodzić do łóżka z doktorantkami. Nie znalazłszy żadnej kandydatki, poddał się bez wyrzutów sumienia.

Kilka dni później jasnowłosa Francesca Hooton zabrała go do księgarni, żeby pomóc mu kupić prezenty dla dzieci Pauli. Lubił jej powściągliwy uśmiech i wyzywające spojrzenie. Później przyjął zaproszenie od George'a i Eleanor Arthurów – miał być zimny bufet, wielu gości. Siedział na skraju sofy, Roxanne Furman mówiła o wydziale, Eleanor była zbyt zajęta jako gospodyni, żeby się nim zajmować. Tuż przed świętami dostał kartkę od Louise Germane – taktowne życzenia, eleganckie pismo. Przypomniała mu o podejrzeniu – czysto teoretycznym za życia Laury – że Louise się w nim podkochuje.

Na Święto Dziękczynienia poleciał do Chicago i zjadł obiad z rodziną Alexa. Starał się nie być posepny przy stole. Podczas świąt spędził dziesięć dni u Pauli – na przedmieściach, dwadzieścia mil od Nowego Jorku. Teraz znów lubił Mertona i nie umiał sobie przypomnieć, dlaczego wcześniej przestał go lubić. Chodził na spacer z dziećmi po zaśnieżonych podmiejskich ulicach, jeździł z nimi na łyżwach i przyglądał się, jak wypróbowują nowe narty na stoku ponad domem. W pokoju w północno-zachodnim rogu domu, w sypialni nie większej od samego łóżka i biblioteczki z napisanymi przez nią książkami, czuł, że zaczyna nowe życie. Na ścianach była świeża tapeta, błękitna jak ośnieżone góry, pachnąca czystością. Okno sypialni wychodziło na stok ponad domem. Rosły na nim gołe teraz drzewa. Tony wpadł na pewien pomysł.

Wyjechał w czwartek po Nowym Roku. Pociągiem do Nowego Jorku – nie chciał, żeby Merton odwoził go na lotnisko. Postanowił rozwiązać kwestię seksu, zanim wróci do domu. Kiedy został sam, poczuł krótkie nerwowe spięcia w piersiach. Czuł je w pociągu jadącym nad rzeką. Oddychał płytko, meldując się w hotelu. Niezbyt eleganckim, blisko centrum. Powtarzał w duchu: Nazywam się Tony Hastings i jestem profesorem matematyki. Mieszkam gdzie indziej. Mam za sobą złe doświadczenia. Zjem obiad w drogiej, eleganckiej restauracji.

Znalazł taką w modnym hotelu, ale nie miał apetytu i cierpliwości na długie czekanie między daniami. Po obiedzie poszedł na spacer, przemykając

bojaźliwie wśród tłumów, zerkając kątem oka na nieprzyzwoite wystawy – jak myśliwy, który nie chce, aby zwierzyna go dostrzegła. Wydawało mu się, że Ray, Lou i Turk muszą być w tym mieście, ukryci w tłumie. Zobaczą mnie... Sklepy z płytami, knajpy, lombardy, arkady. Tłumaczył sobie: Jestem istotą płciową jak wszyscy, ale w głowie miał tylko to, że go napadną, a w najlepszym razie wyrolują. Zwiążą go w supeł, który ma w głowie. Wszedł do baru i zaskoczył sam siebie (choć dokładnie to zaplanował), siadając na barowym stołku obok kobiety. Trzydziestoparoletniej, w czarnej sukience w kwiaty i z białą wstążką. Miała okrągłą buzię i wyglądała na przestraszoną.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

– Masz jakieś imię?

– Tony. A ty?

– Sharon.

Pozwoliła mu zawieźć się do domu taksówką. Był zdenerwowany i zdumiony tym podbojem, gdyż żywił głęboką nieufność i strach wobec obcych i nigdy przedtem nie poderwał kobiety w miejscu publicznym. Nadal się bał i zastanawiał, czy idzie na pewną śmierć, ale niepokój Sharon niwelował nieco jego własny. Po drodze powiedziała:

– Tak na wszelki wypadek, nie jestem kurwą.

Czy to oznaczało, że odeśle go spod drzwi? Dodała:

– Pracuję. Pracuję w domu towarowym. Jestem sama.

Kiedy wchodzili po schodach, wytłumaczyła mu, że lubi poznawać mężczyzn, ale większość mężczyzn, jakich poznaje, to zboczeńcy. Powiedział jej, że nie jest zboczeńcem. Wyraziła taką nadzieję. Zmuszała się do tego, żeby mówić. Zauważył, że drży.

– Jest ci zimno? – zapytał.

– Nie bardzo.

Mieszkała na drugim piętrze. Kiedy stanęli przed drzwiami, wzięła głęboki oddech, żeby opanować drżenie.

– Denerwuję się – przyznała.

Chciał położyć dłoń na jej ramieniu, ale się odsunęła, a potem chwyciła go za rękę i pokazała mu obrączkę, którą miał na palcu.

– Zdradzasz żonę.

– Moja żona nie żyje.

Znalazła klucze w torebce i wpuściła go do środka. Kazała mu być cicho, bo dziewczyna, z którą wynajmuje mieszkanie, śpi w drugim pokoju.

Miała małą sypialnię. Nad łóżkiem na korkowej tablicy widniały pocztówki. W rogu stała otwarta szafa, w której wisiały sukienki.

– Na co umarła?

– Została zamordowana.

Usiadł na łóżku i opowiedział Sharon o wszystkim. Siedziała nieruchomo w fotelu, wpatrując się w Tony'ego martwym wzrokiem. Opowiedział jej o wszystkim skrótowo, podsumowując najważniejsze punkty. A potem, choć wcale tego nie chciał, zaczął się wdawać w szczegóły. Wrócił do początku opowieści i zrelacjonował ją krok po kroku. Patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Cholera – rzuciła. – Zaczynam się bać...

Opisywał manekiny w krzakach i nagle rozpoznał ten wyraz, który malował się na jej twarzy, wpatrzony w niego, gdy mówił. Przerazenie. Była nieznajomą, ale on też był nieznajomym.

Przerwał, wstrząśnięty samym sobą. Sharon nie była przerażona odmalowaną przezeń wizją Raya, Turka i Lou...

– Wybacz – powiedział. – Poniosło mnie.

Rozglądała się po sypialni, jakby szukając miejsca, w którym mogłaby się ukryć.

Po chwili zapytał:

– Mam sobie iść?

– Taa... – odpowiedziała. – Lepiej idź. – Znów drżała.

Kiedy znaleźli się w holu, ulżyło jej. Oparła się o drzwi, gotowa je zatrzaskać, gdyby zmienił zdanie.

– Przestraszyłem cię? – spytał. – Nie chciałem.

– Kurwa – zaklęła. – Przykro mi z powodu twojej żony i córki, okay?

Wyszedł na korytarz, również czując ulgę.

Kiedy wracał do hotelu, Ray, Turk i Lou byli na każdej ulicy, kryli się w cieniu bram, w wejściu do metra, śledzili go. Wielkie oczy Sharon chłoneły wizję Laury i Helen. Zabijała jego wspomnienia, bezcześciła je.

Przywołał je na powrót. W przyczepie Ray kazał im się rozebrać. Turk przystawiał nóż do szyi Helen, a Ray rzucił Laurę na łóżko. Potem przyszła kolej na Helen. Laura krzyknęła rozpaczliwie i rzuciła się na niego. Uderzył ją w głowę. Mamo! – pisnęła Helen. Piszcziała i płakała, a matka leżała nieżywa na podłodze. Ray wykręcił jej rękę, aż zgrzytnęła w niej kość.

Coś takiego. Niech ich jasna cholera, powiedział Tony Hastings.

Trzy

Susan odkłada maszynopis. Co mi się w tym nie podoba? – pyta. Towarzysząc Tony’emu, szukającemu seksu w obrzydliwym mieście, zastanawia się, czy to książka dla niej. Kiedy Tony był w lesie, zgroza wykraczała poza płęć. Ale walka o odzyskanie męskości to co innego. Tony szuka obiektu do rozładowania napięcia seksualnego – w ogóle jej to nie kręci.

Ale niepokoi ją coś jeszcze. Przebija się przez ocean powieści jak pływak poprzez fale. Stworzenia zamieszkujące dzienną połowę jej umysłowości – zwierzęta ziemne i napowietrzne – wpadają do tego oceanu i zamieniają się w delfiny, rozgwiazdy i ryby. Coś ją podgryza, kiedy płynie – jakiś mały rekin z ostrymi ząbkami. Musi wyciągnąć go z wody, żeby go obejrzeć. Tony Hastings pogrąża się w żałobie, a ją coś gryzie.

Podczas odpływu wraca do telefonu od Arnolda. Pamięta wyrzut w jego głosie. Wolałbym, żebyś o to nie pytała, powiedział.

O co zapytała?

W pewnym momencie rozmowy zasugerował, że może latać do Waszyngtonu do pracy. Ona i dzieci zostaną w Chicago, a on będzie wracał do nich na weekendy. Pamięta – dzięki myślowym skojarzeniom – że latanie do Waszyngtonu oznacza dla niego dwa domy, a dwa domy oznaczają...

Nieważne, jak brzmiało to pytanie, za które udzielił jej reprymendy. Zapytał, dlaczego chce wiedzieć, a ona coś odpowiedziała. To go nie usatysfakcjonowało i badał dalej, opierała się, więc zapytał wprost: Chodzi ci o Linwood?

Tego nie powiedziałam.

Poirytowany wciągnął powietrze. Powiedziałaś. A przynajmniej zasugerowałaś. Okay, odpowiem ci: Niczego nie postanowiliśmy. Dla niej to również szansa. Ma siostrę w Waszyngtonie. Powinnaś to zrozumieć. Wolałbym, żebyś o to nie pytała.

Wolałby, żeby o to nie pytała.

Nie ma co, czas wracać do morza. Z powrotem do Tony’ego, który przeraża biedną samotną dziewczynę. Zastanawia się, czy Edward, pisząc o żałobie Tony’ego, wyobrażał sobie, jak by się czuł, gdyby coś przydarzyło się Stephanie. Jeśli w ogóle zrobił coś takiego.

Zwierzęta nocy 14

Kiedy Tony wrócił wieczorem do domu, w skrzynce na listy było zawiadomienie z policji, że ma się z nią skontaktować.

– Ma się pan skontaktować? – zapytała kobieta. – Zaraz sprawdzę. Hastings to pan? Jest dla pana wiadomość: „Andes, Pensylwania, dzwonić natychmiast”. Wie pan, o co chodzi?

Możliwe.

– Nie napisali, do kogo ma pan zadzwonić w Andes.

– Andes to nazwisko.

Zadzwonił do Andesa. Odebrał ktoś o nazwisku Muskacs. Powiedział:

– Andesa nie ma.

Zostawił dla niego wiadomość i pobiegł na obiad do pizzerii, żeby zdążyć przed ósmą. Andes zadzwonił punktualnie.

– Hastings? Od trzech dni usiłuję się do ciebie dodzwonić.

– Wyjechałem na święta do Nowego Jorku. Do siostry.

– Wycieczka, co? To teraz zrobisz sobie jeszcze jedną.

– Że jak?

– Chcę, żebyś jutro przyleciał do Albany w stanie Nowy Jork, gdzie będę na ciebie czekał.

– Po co?

– Dobre wieści.

– Jutro?

– Stawiamy ci samolot. Jutro w południe czekam na ciebie na lotnisku.

– Jutro mam zajęcia.

– To je odwołaj.

– Ale o co chodzi?

– Chcę, żebyś rzucił okiem na paru gości.

– Mam ich zidentyfikować?

– Mniej więcej.

– Czy to są te dobre wieści?

– Możliwe.

– Myślisz, że to ci?

– Nic nie myślę, Tony, póki nie powiesz mi, co mam myśleć.

– Jak ich złapaliście?

– Nie mogę powiedzieć. Powiem później.

Tony poczuł dreszcz: Ray, Lou i Turk, twarzą w twarz.

– Mam jutro zajęcia, to ważne.

– Ważniejsze od tego? Człowieku!

– Sprawdzę, czy ktoś może mnie zastąpić.

– Teraz gadasz do rzeczy. Zapisz sobie: dzwonisz do US Air i potwierdzasz rezerwację, którą ci zrobiliśmy. Lecisz jutro rano, wracasz wieczorem. To tylko jeden dzień. Jadę do Albany samochodem i będę czekał na ciebie, kiedy przylecisz. Chyba nie możesz się na nas skarżyć, co nie?

Tony Hastings poleciał do Albany. Czuł narastający strach, kiedy patrzył przez okno na jednostajnie młeczne niebo. Stewardesa przyniosła mu piwo imbirowe i torebkę fistaszków. Żuł je, przywołując w głowie myśl o zemście, przypominając sobie, o co w niej chodzi. O sprawiedliwość, o zasłużoną karę, o kropkę nad i. Ciekawe, jak powinien się czuć według Bobby'ego Andesa. Powinien skakać z radości, patrząc im w twarz, widząc ich w kajdankach? Powinien im powiedzieć: Teraz wasza kolej?

Nie spuszcza przed nim wzroku. Czy tego właśnie się bał? Spróbuj sobie przypomnieć. Wyobrażał sobie tę scenę tyle razy, odgrywał ją w głowie tak często, że farba się rozmazała, kolory wyblakły, a smak i zapach stepiły. Ale wracał do niej, do niej właśnie. Postaraj się! Nie możesz zapomnieć!

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie przejścia miał czarną brodę. Był ubrany w garnitur i krawat, a na kolanach trzymał podstawkę do pisania. Wyglądał jak Lou, z wyjątkiem ubrania. Z tyłu siedział mężczyzna w okularach, z aktówką, i ten wyglądał jak Turk. Mężczyzna w kombinezonie ze słuchawkami na uszach na pasie startowym w Pittsburghu miał trójkątną twarz i wystające z ust zęby, jak Ray.

Będą na ciebie patrzeć, ale dlaczego masz się ich bać? Są więźniami, aresztantami. Bobby Andes nie pozwoli zrobić ci krzywdy.

Maszerując z samolotu wyłożonym wykładziną rękawem, zastanawiał się, czy pozna Bobby'ego Andesa.

Pamiętał Bobby'ego Andesa jako niskiego grubego mężczyznę o wielkiej głowie i gładkich lśniących policzkach pokrytych cieniem zarostu. Wiedział, że mężczyzna, który do niego podchodzi, jest Andesem, ale nie dlatego, że go poznał, tylko dlatego, że Andes miał na niego czekać. Miał coś dziwnego w oczach, coś, co szybko przestawało być dziwne. Tony przypomniał sobie te oczy i grube wargi, był to uproszczony obraz, który utrwalił się w jego pamięci, ale okazał się nieprawdziwy.

W następnej chwili szli razem przez długi hol do wyjścia, a uproszczony obraz zniknął, podobnie jak ten dziwny wyraz oczu.

– Jedziemy do Ajax – powiedział Andes. – To dwadzieścia mil stąd. Mamy

tam być o drugiej. Wszystko potrwa pięć minut. A potem wrócisz do domu.

– Mam ich zidentyfikować?

– Wystarczy, że powiesz, że któregoś poznajesz. A potem podpiszesz zeznanie.

– Macie wszystkich trzech?

– Nieważne, kogo mamy. Powiedz nam tylko, kogo znasz.

– Jak ich złapaliście? Po odciskach palców?

– Mówiłem ci, że to nieważne. Wcześniej nic ci nie powiem, dopiero po wszystkim.

Wyjechali z miasta drogą ekspresową biegnącą wśród pól. Ajax to przemysłowe miasteczko nad rzeką. Weszli do starego budynku z cegły z betonową kolumnadą. Na górę starą klatką schodową z witrażowym oknem. W pokoju wysoki siwowłosa mężczyzna o zniszczonej twarzy. Bobby Andes przedstawił ich sobie:

– Kapitan Vanesco, Tony Hastings.

Kapitan Vanesco był uprzejmy. Usiedli przy biurku.

– Porucznik Andes przedstawił mi pańską sprawę – powiedział. – Czy obawia się pan tych ludzi? Czy z jakiegoś powodu nie chciałby pan wskazywać ich palcem?

W gruncie rzeczy... Ale Tony wstydził się powiedzieć tak, więc powiedział nie.

– Ludzie, którzy nas interesują, są aresztantami. Nie zostaną zwolnieni, jeśli zdoła ich pan zidentyfikować.

– Posłuchaj, Tony – dodał Andes. – Twoje zeznanie jest cholernie ważne. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak.

– Poza twoim zeznaniem nie mamy prawie nic innego. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie wszyscy ludzie, których pan zobaczy, są podejrzanymi – wytłumaczył Vanesco. – Chodzi o to, żeby podejrzani mieli równe szanse. Jeśli zdoła ich pan zidentyfikować wśród innych, będziemy mieli mocne dowody.

Tony poczuł się nieswojo.

– Minęło dużo czasu.

– Wiem.

– Wszystko działo się w nocy.

– Chce pan powiedzieć, że nie widział pan ich twarzy? – spytał Vanesco.

– Widziałem, ale było ciemno.

– Rozumiem. Udzielę panu pewnej rady: jeśli nie będzie pan pewien, niech

pan nikogo nie oskarża. Bo rozpoznanie jest jak olśnienie, *gestalt*, zna pan to słowo? Tylko proszę nie rezygnować za szybko. Czasem trzeba się dobrze przypatrzeć, żeby doznać olśnienia. Początkowo możemy nie rozpoznawać twarzy, ale po paru minutach coś nas olśniewa. Więc jeśli nie będzie pan pewien, proszę poczekać na olśnienie.

Zeszli schodami do sali przypominającej klasę. Usiedli w pierwszym rzędzie.

– Pokażemy panu czterech mężczyzn – powiedział Vanesco. – Nie powiem, ilu z nich to podejrzani. Chcę, żeby przyjrzał się pan wszystkim, i jeśli któregoś z nich pan rozpozna, jeśli któregoś z nich widział pan kiedykolwiek w przeszłości, proszę mi powiedzieć.

– Kiedy mam panu powiedzieć?

– Kiedy będzie pan pewien.

– Zanim wyjdą?

– Nie martw się, Tony – wtrącił się Andes. – Nikt nie zrobi ci tu krzywdy.

Tony Hastings usiadł wygodniej na szkolnym krześle, próbował się odprężyć, oddychając miarowo. Przypomniał sobie drżącą Sharon w mieszkaniu w Village. Otworzyły się jakieś drzwi. Wszedł policjant, a za nim weszło czterech mężczyzn. Stanęli w jasnym świetle pod tablicą. Tony Hastings wpatrywał się w nich skonsternowany.

Pierwszy z mężczyzn był ogromny. Miał na sobie czerwony podkoszulek opięty ciasno na piersiach, do tego wielką głowę i obwisłą twarz z jasnym zarostem i wąsami. Drugi nie był taki duży: we flanelowej koszuli w kratę, o kościstej twarzy, wyrachowanych oczach i jasnej grzywce opadającej na czoło. Trzeci – mniej więcej takiego wzrostu jak drugi – był w okularach w czarnej oprawie, miał rzadkie ciemne włosy i gęste krzaczaste wąsy. Był w dresie i miał opuchniętą twarz. Czwarty był niski i chudy. Miał na sobie podniszczoną marynarkę bez krawata i okulary w srebrnej oprawce. Tony Hastings nie rozpoznał żadnego z nich.

Siedział bardzo długo, wpatrując się w ich twarze, usiłując sobie przypomnieć. Mężczyźni stali z rękoma na plecach, niecierpliwili się, przestępowali z nogi na nogę. Ci dwaj w okularach wpatrywali się w jakąś mistyczną wizję ponad głowami patrzących. Blondyn o kościstej twarzy wbijał wzrok w Tony'ego, jakby usiłował dociec, kim jest ten człowiek, a wielki mężczyzna o obwisłej twarzy omiatał salę wzrokiem. Wszyscy byli winni, ale żadnego z nich nie widział wcześniej na oczy.

Stojąc twarzą w twarz z tymi nieznanymi ludźmi, nie pamiętał już Raya ani Lou, ani Turka, choć ich twarze wypaliły się w jego wspomnieniach przez

ostatnie sześć miesięcy. Usiłował je przywołać. Czy Ray był tak wielki jak ten blondyn? Pomijając wąsy, czy mógł aż tak utyć? A ten o kościstej twarzy? Stopniowo przypominał sobie wygląd Raya, łysiejące czoło, trójkątną twarz, wielkie zęby, które nie mieściły się w ustach. Duże pogardliwe oczy. Nie, Raya tu nie było. A Lou, który wiozł go do lasu i wyrzucił z samochodu na polanie, gdzie wkrótce miały spocząć ciała jego żony i córki? Jak wyglądałby Lou bez czarnej brody? Nie, Lou trzeba wykluczyć. No a Turk? Pamiętał jego okulary, ale nie w czarnej oprawie. Może Turk zapuścił wąsy? Tony Hastings zaczynał się pocić. Nie przyglądał się wtedy Turkowi, który pozostawał w cieniu bardziej rzucających się w oczy towarzyszy.

Pomyślał: Mężczyzna w okularach w czarnej oprawie może być Turkiem. Dostrzegał pewne podobieństwo, jakby kiedyś rzeczywiście go widział. Dawno, bardzo dawno temu. Ale to nie było olśnienie, o którym mówił Vanesco. Mógł widzieć tego mężczyznę, ale nie umiał sobie przypomnieć Turka. Z Turka został mu tylko ogólny zarys – mężczyzna i okulary w metalowych oprawkach.

Słyszał obok siebie ciężki oddech Bobby'ego Andesa. Jeden z czwórki mężczyzn mruknął: Jezu!

Mężczyzna o kościstej twarzy rzucił:

– To trwa za długo. Zdecydujcie się wreszcie.

Tony był teraz pewien, że mężczyzna w czarnych okularach to Turk. Z drugiej strony jednak nie pamiętał Turka, więc nie mógł mieć pewności. Oskarżenie niewinnego człowieka byłoby gorsze od niewskazania nikogo. Westchnął i powiedział:

– Przykro mi.

Bobby Andes syknął.

– Wyprowadzić ich – rzucił Vanesco.

Bobby Andes cisnął notatnik na podłogę.

– Chryste Panie, człowieku!

– Przykro mi.

Vanesco zachował zimną krew.

– Nic się nie stało. Jeśli nie ma pan pewności, lepiej dać sobie spokój.

– Szlag trafił całą pierdoloną sprawę! – wściekał się Andes. Zwrócił się do Vanesco: – To oznacza, że nie mogę go zabrać?

– To zależy tylko od ciebie. Jeśli masz dowody...

– Kurwa! – zaklął Andes.

– Wydaje mi się... – zaczął Tony.

– Co?

– Jeden z nich mógł być... Ale nie mam pewności.
– Chcesz go zobaczyć jeszcze raz?
– Zaczekaj – wtrącił się Vanesco.
– Nie jestem pewien... W tym problem.
– Jeden? Przyrowadź ich!
– Zaczekaj – powtórzył Vanesco. – Który?
– Ten trzeci, ten w okularach, z wąsami. Jeśli zmienił okulary i zapuścił wąsy.

Bobby Andes i kapitan Vanesco spojrzeli po sobie wymownie.

– Który to był z tamtych trzech na drodze? Ray? Lou?
– Nie twierdzę, że to on. Nie mam pewności. Ale jeśli to on, to mówili na niego Turk.

– Turk.

– A pozostali?

– Pozostali nie wchodzą w grę.

– Czy jest pan gotów potwierdzić zidentyfikowanie Turka? – zapytał Vanesco.

– Nie mogę tego zrobić. Nie mam pewności. Wydaje mi się, że go poznaję, bo sprowadziliście mnie tutaj, żebym ich rozpoznał. Musicie mieć jakieś powody, żeby łączyć ich z tą sprawą.

Vanesco i Bobby Andes znów spojrzeli po sobie. Vanesco pokręcił głową.

– Za mało – powiedział.

Kiedy wychodzili, położył jedną dłoń na barku Bobby'ego Andesa, a drugą na ramieniu Tony'ego – jak ojciec.

– Spójrzmy na to tak – mruknął. – To dopiero początek. Musicie znaleźć więcej dowodów. – Zwrócił się do Tony'ego: – Nie ma powodu, żeby czuł się pan winny. Po ciemku trudno zapamiętać twarze.

Bobby Andes odwiózł Tony'ego na lotnisko w Albany. Był wściekły.

– Zawiodłeś mnie, maleńki, jak jasna cholera.

Jechali bez słowa przez wiele mil.

– Nie miałem pewności – powtórzył Tony.

– Taa...

W samochodzie znów zapadła cisza.

– Ten facet, który według ciebie może być Turkiem... Chcesz wiedzieć, kto to jest?

– Tak.

– To Steve Adams, chłopie. Gość, którego odciski były na twoim aucie. Tyle

że to o niczym nie świadczy. Położył pierdoloną rękę na twoim bagażniku, ale ty nigdy go nie widziałeś.

Steve Adams – mężczyzna z policyjnej fotografii: włosy długie do ramion, broda jak u proroka. Zmieniają wygląd. Turk, którego widział Tony, nie wyróżniał się niczym. Tylko okularami. Był bardziej zwykły niż którykolwiek z tych Steve'ów Adamsów.

Może Steve Adams pracował na stacji benzynowej i dotknął bagażnika, nalewając paliwo?

– Chcesz poznać resztę? – zapytał zgryźliwie Andes.

– Tak, oczywiście.

– Trzech gości chciało ukraść samochód z parkingu. Jeden uciekł. Dwaj wpadli. Odciski palców wskazują, że jednym z tych, co wpadł, jest poszukiwany przeze mnie Steve Adams. Gdybyś go zidentyfikował, mógłbym go zabrać. – Po długiej chwili milczenia Bobby Andes znów zaczął się wściekać: – Skąd mam wziąć więcej dowodów, jeśli świadek nie chce współpracować!

– Chcę współpracować.

Wysadził go z samochodu przy hali odlotów.

– Wątpię, czy się jeszcze zobaczymy – rzucił. – Czarno widzę tę sprawę.

Tony Hastings chciał mu podać rękę przez okno, ale Bobby Andes odjechał. W samolocie miał już pewność: mężczyzna w czarnych okularach to był Turk.

Cztery

Łazienka. Susan odkłada maszynopis, wchodzi na górę. Muzyka łomocze w całym domu. Za drzwiami gabinetu amerykańskie reklamy: płaczliwy męski głos próbuje sprzedać jej córce zalety posiadania samochodu i puszki piwa. Na piętrze *Parsifal* – uroczysty, egzotyczny. Muzyka jako perfumy.

– Rosie, kładź się do łóżka!

Ściganie morderców – nowy wątek w opowieści o Tonym, nowa komplikacja. Spodobała się Susan, która rozumie problemy Tony’ego związane z identyfikacją sprawców. Cała scena wywołała w niej zażenowanie – jakby to była jej wina. Zawsze się zastanawiała, w jaki sposób ludzie się rozpoznają. Kiedyś zdarzyło jej się pomylić mężczyznę sprzedającego żaluzje do okien z sąsiadem, Gellingiem, ale bez trudu rozpoznała Elaine na lotnisku, choć Elaine zmieniła się w kulę. W jej lekturze kryje się coś jeszcze: jakiś kłopotliwy, skrywany motyw, osad po stłumionej myśli albo sama myśl. Wolałaby, żeby znikła.

Zwierzęta nocy 15

Tony Hastings był w kiepskim stanie. Usiłował zracjonalizować sobie rozmowę telefoniczną, jaką przeprowadził o trzeciej nad ranem. Głos w słuchawce powiedział:

– A więc to Tony Hastings, czy tak?

– Kto mówi?

– Nikt. Chciałem tylko usłyszeć twój głos.

Ludzie zaczęli go unikać. Słyszał różne rzeczy na swój temat. Jack Appleby w gabinecie: To trwa już wystarczająco długo. Myra Lopez w kafeterii: Uważa, że zasłużył na specjalne traktowanie. Znajomi odkryli, że jego obecność w ich domach zależała w dużym stopniu od wdzięku i uroku jego żony. Wiedział, co myślą. Bez niej był mroczną czeluścią. Studenci naigrawali się z niego za plecami. Dziewczyny unikały jego wzroku i zwracały uwagę na ruchy, gotowe wnieść przeciw niemu skargę. Stał się pariasem, stał się Hindusem w turbanie, człowiekiem z najniższej kasty przykutym do własnej kozy, stał się wyrzutkiem sypiającym na plaży.

Obwiniali go, ale nikt nie powiedział mu tego prosto w oczy. Jak szybko

doszedł do siebie! Jak wesoło bawił się w szarady u Malków! Ale chodzi z nosem zwieszonym na kwintę, udaje żalobę i ból, jakby tylko jego spotykały nieszczęścia, jakby tylko on był przeklęty przez samego Boga. A nie zastanawialiście się przypadkiem nad tym, co się naprawdę wydarzyło? Dlaczego nie stawiał oporu?

Był już marzec. Skrzyczał studenta w gabinecie:

– Mówiłem ci na początku trimestru: jeśli chcesz złożyć skargę, złóż skargę.

Student był sportowcem. Przyszedł w podkoszulku z liczbą 24. Miał duże gniewne oczy i wygolone na czubku głowy włosy, które zostawił sobie po bokach. Miał też mały podbródek. Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

– Jeszcze pan o mnie usłyszysz – rzucił.

Właśnie wtedy nadeszła Louise Germane, żeby oddać testy, które dla niego oceniała. Musiała to usłyszeć, choć może nie... Spytała:

– Profesorze Hastings, czy dobrze się pan czuje?

Mruknął coś w odpowiedzi, na co dodała:

– Wiem, przez co pan przechodzi. Czy zadbał pan o profesjonalną pomoc?

– Chodzi ci o psychiatrę? Nikt nie wie, przez co przechodzę, i nie chcę, żeby doktoranci udzielali mi rad.

Och, jakże było jej przykro, a Tony Hastings – mniej rozgniewany, niżby mogło się wydawać – odesłał ją pod byle pretekstem. Potem było mu wstyd. Powinien udawać. Nieszczęsna Louise Germane. Prawdopodobnie ostatnia studentka, która go jeszcze lubiła. Ale załatwił to jakoś. Wybiegł za nią. Odnalazł ją w kafeterii.

– Chcę cię przeprosić – powiedział. – Postąpiłem głupio.

– Nic nie szkodzi, profesorze Hastings. – Wysoka dziewczyna, pszeniczne rozpuszczone włosy, uśmiech ulgi. – Proszę pamiętać, że gdybym mogła coś zrobić... Trzymamy za pana kciuki.

Jej oczy, szmaragdowe jak morze, łaknące, by w nie patrzeć i w nich czytać. Zgodził się na długą niezobowiązującą rozmowę przy kawie. Pozwolił sobie mówić o Laurze. Zauważył, że twarz Louise stężała, ale nie przerwał.

– Dziękuję, że mi pan o tym powiedział. To dla mnie ważne.

– Proszę mi opowiedzieć o sobie.

Mówiła o braciach i siostrach. Nie słuchał jej, nie umiał się na niczym skupić. Spytał, po co robi doktorat. Odpowiedziała.

Przyszło mu do głowy, że ma naiwne i dosyć głupie plany, po czym zapytał:

– A co, jeśli cały świat wyleci w powietrze?

Spojrzała na niego skonsternowana.

– Ma pan na myśli bombę?

– Bombę. Coś. Potop. Suszę.

Była zakłopotana.

– Może nie wyleci...?

Ha! Tony Hastings pokręcił głową, cmoknął i oparłszy się wygodniej, wszystko jej opowiedział. Opowiedział jej o białych pokojowych pociskach, pod których skórą kryje się przyszłość świata, o głowicach, z których każda kryje w sobie jedno miasto, i o zaprogramowanym odwecie, który nastąpi nawet wtedy, kiedy nie zostanie już ani jeden człowiek. Mówił o promieniowaniu przenikającym przez ludzkie ciała jak przez durszlak. Opowiadał o „uderzeniu uprzedzającym” i „fazie wyprzedzenia”. Wskazywał na ogniowe burze po wybuchu i opady radioaktywne, dosięgające tych, których nie strawi pożoga, mówił o nieustannym zachmurzeniu, o „nuklearnej zimie” i „radioaktywnej sadzy”.

– Uważasz, że to nigdy się nie wydarzy?

– Zimna wojna dobiegła końca – odpowiedziała.

Czuł lodowatą, pełną wyższości wściekłość.

– Tak sądzisz, prawda? Ale zwróć uwagę na resztę świata, który tylko na to czeka. Na Arabów, Pakistańczyków. Trzeci Świat. Każdy będzie miał bombę. Wydaje ci się, że oni nie mają do nas żalu?

– Bardziej martwi mnie efekt cieplarniany – stwierdziła.

Ale chyba nie martwił jej za bardzo.

– Świat kona – oświadczył. – Choroby postępują, rozpoczęły się przedśmiertne drgawki.

– Każdy może umrzeć. Zginąć. W wypadku... Nawet jutro.

Przypuścił atak:

– Tradycyjna wiedza, mówiąca o tym, że po naszej śmierci będą żyć inni, nie ma nic wspólnego ze świadomością zbliżającej się zagłady ludzkości, po której wszyscy i wszystko przestaną istnieć.

Średnio kulturalny Tony Hastings: nawiedzony, zakręcony gbur. Łatwo wyprowadzić go z równowagi. Czasami potrafi się złościć przez cały dzień. Poranne gazety przy śniadaniu: pełno w nich przemocy, artykułów redakcyjnych, listów, głupoty i uprzedzeń. Pewnego ranka w kwietniu zauważył, jak chłopak sąsiadów idzie na skróty przez jego trawnik za domem pana Husserla.

Pobiegł za nim.

– Zaczekaj!

- Myślałem, że możemy tędy przechodzić. – Dzieciak stanął.
- Ale najpierw wypada zapytać o pozwolenie. Poprosić o pozwolenie!
- Czy wyraża pan zgodę, proszę pana?

Machnął ręką. Trawnik i ogród zrudziały, świeża zieleń przebijała się przez patyki. Wschodziły chwasty. Zaraz rozpoczną marsz, podobnie jak pani Hapgood, która będzie dzwonić i się skarżyć. Ktoś zapomniał go poinformować o zebraniu wydziału, nie włożył okólnika do jego przegródki na listy. Do sekretarki, spokojnie:

- Chciałbym tylko wiedzieć, kto ponosi za to odpowiedzialność.

Ruth, która roznosiła pocztę.

– Zapomniałam o panu, profesorze? – spytała. – Jest pan pewien, że okólnik nie przypiął się do innych listów?

Opanuj się. Wróć do gabinetu.

Piłka baseballowa trafiła w przednią szybę. Zapiszczały hamulce. Otworzył drzwi auta, wybiegł, podniósł piłkę leżącą przy krawężniku, zanim dobiegłi do niej chłopcy.

– Jasna cholera! Chcecie kogoś zabić?!

– Niech pan nam odda piłkę...

Trzasnął drzwiami i je zablokował. Dobrze zapamiętał tę lekcję. Auto otoczyło pięciu chłopaków, przemocą uczynili z niego jeńca, stając przed maską, łomocząc w bagażnik, na przemian prosząc i grożąc.

– To nasza piłka!

Włączył silnik, nacisnął lekko pedał gazu. Co go zatrzymało? To mianowicie, że nie był zdolny do przemocy, że nie byłby w stanie nikogo rozjechać. Przemoc zastosowana przez chłopców zwiększała jego pacyfizm. Dodał gazu, odpychając ich na boki. Jakim prawem zakładali, że Tony Hastings chce przestrzegać prawa, jakim prawem chcieli to wykorzystać? Rozsunęli się posłusznie – wszyscy oprócz jednego, o pobielełej twarzy, który oparł się rękoma o maskę i cofał krok za krokiem, gdy samochód na niego napierał. Był tak samo wściekły jak Tony, zacisnął wargi, piorunował kierowcę wzrokiem. W końcu dał za wygraną, krzycząc: – Ty skurwysynu! – i uderzył pięścią w okno, kiedy Tony wcisnął gaz do dechy. Skręcając z piskiem opon w następną przecznicę, spojrzął w lusterko wsteczne. Ich piłka. Kolejne telefony. Otworzył okno i wyrzucił ją na ulicę. Chłopcy w lusterku puścili się ku niej pędem, wymijając zaparkowane samochody.

Uspokój się, Tony, w ogóle się tym nie przejmuj. Dom był świątynią, w której modlił się do swoich duchów, żeby zwróciły mu serce. Nabożeństwo: kładł książki na stole i podchodził do biblioteczki w salonie, gdzie na półce

stał album. Modlitewnik. Siadał wygodnie w fotelu i zamykał oczy. Portret rodzinny. Ona siedzi na sofie, on w fotelu, Helen na podłodze opiera się o stoliczek do kawy i mówi: „Naprawdę? Bez żartów?”.

Czytanie z Biblii: „Potem zaczęłam się zastanawiać, dlaczego zawsze z nim rozmawiam po lekcjach, i nagle zdałam sobie sprawę, że on na mnie czeka. Poczułam dreszcze”.

Helen rozbawiona: „Mówicie jak para zakochanych dzieciaków”.

„Byliśmy parą zakochanych dzieciaków”.

Nauka tradycji:

„Twój ojciec jest najwytrwalszym z mężczyzn. A to się liczy na dłuższą metę”. Chwała niech będzie tatusiowi.

Nauka historii. Wypytywanie, z chichotem: „Wiesz, o co mi chodzi: absolutnie nie potrafię wyobrazić was sobie jako pary kochanków”.

„Twój tatuś jest bardzo kochający na swój sposób”.

Tajemnica. Pytanie, które chciała zadać Helen, choć nie życzyła sobie poznać odpowiedzi. Nigdy go nie zadała, brak odpowiedzi byłby bowiem taką samą odpowiedzią jak odpowiedź.

Rytuał. Przed rokiem w kwietniu przejażdżki rowerowe po obiedzie. Oznaki budzącego się życia, pączki, małe ptaszki. Córka na przedzie, zmienia trasę każdego wieczoru, skręca w inne ulice i przecznice. Tatuś jedzie na końcu, strzegąc pozostałych, w spokojnych alejkach nadstawiając uszu na warkot nadjeżdżających samochodów, napinając mięśnie i nerwy, kiedy między zaparkowanymi samochodami wjeżdżają na drogę przelotową i włączają się do ruchu. Wracają do domu po zmroku. Czas na odrabianie lekcji, dziś, kochani, nie ma żadnej telewizji. Spokój. Wszystkie niebezpieczeństwa zostały gdzieś daleko.

Najwytrwalszy z mężczyzn, kochający na swój sposób, pije kawę w kawiarni, macha do Louise Germane, która siedzi niedaleko ze studentem o nazwisku Frank Hawthorne. Nie lubi tego Hawthorne'a, nie podoba mu się, że Louise się z nim zadaje, i zastanawia się, jak jej o tym powiedzieć. Frank Hawthorne zawsze miał kłopoty z przetłuszczającą się cerą. W dodatku nosił niechlujną brodę, miał zmierzwiłone gęste włosy, a jego oczy wyglądały jak ślepia jakiejś bestii wyzierające z gęstwiny. Wargi przebijały się przez zarost niczym organy wewnętrzne przez otwartą ranę. Pamiętał, że Hawthorne ściągał na testach, ale sprawę wyciszono, żeby dać mu okazję do poprawy. Pamiętał sprawę z gołębiami: dwóch studentów z piłką baseballową pod oknami gabinetu Tony'ego. Hawthorne stoi obok. „Dajcie mi piłkę”, woła do chłopaków, a potem rzuca ją z całej siły w stado gołębi. Gdyby któregoś

trafił, zabiłby go lub okaleczył. Jakaś studentka krzyczy: „Nie rób tego więcej! Lubię gołębie”.

„Są gorsze od szczurów!”, odpowiada Hawthorne, cny morderca szkodników. W kawiarni Tony Hastings mocno się głowił, jak ostrzec przed nim Louise.

Poprosił o to Francescę podczas następnego spotkania. Uśmiechnęła się.

– Nie musisz się tym przejmować. Jeśli to bydlak, Louise szybko się o tym przekona.

– Chcesz powiedzieć, że to nie mój interes?

– O ile nie masz w tym zawołanego interesu, o którym nie mówisz.

Jedli razem lunch.

– Często wpadam w złość ostatnimi czasy – wspomniał.

– Zauważyłam. Wyświadcz mi przysługę i nie nawiązuj romansu z doktorantką – powiedziała. – Nie potrzebujesz tego rodzaju problemów.

– A czego potrzebuję?

Zapadła cisza, podczas której Francesca przyjrzała mu się uważniej. Przyglądała się Tony’emu Hastingsowi przez długą chwilę. Znacząco, poważnie, bez uśmiechu, wymownie. A potem odwróciła wzrok i znów się uśmiechnęła w zwykły sposób, który był na poły oskarżycielski, a na poły wskazywał na współudział w winie. Coś mi umknęło, pomyślał. Coś mi przed chwilą powiedziano, a teraz jest już za późno.

Regularnie jadał z nią lunch w Klubie Wykładowców. Jej wygląd coś mu przypominał: emanowała łagodnością. Jest moją jedyną przyjaciółką, myślał. Pamiętała go takiego, jaki był kiedyś. Wiedziała, że nie chce już taki być. Spoglądał na nią i mówił do siebie: cudowna, piękna. Głośno zapytał:

– Dzisiaj czwartek?

– Owszem. Co z tego?

– Masz wolne popołudnie.

– I?

Spaghetti nawinięte na widelec; unikała jego wzroku. Skacz.

– Możemy się gdzieś przejechać?

Wargi uniesione ku górze, wciągające spaghetti. Otarła elegancko usta z sosu pomidorowego.

– Dokąd?

– Gdziekolwiek.

– Dobrze.

To wszystko. Pojechali nad rzekę, zatrzymali się przy punkcie widokowym. Słyszeli ciężarówki jadące niżej nad brzegiem. Podziwiali widok, stojąc obok

innego samochodu z parą podziwiającą ten sam krajobraz. Czuł przyływ pożądania, czuł, że pożądanie wzbiera w nim jak para. Nie doświadczył czegoś takiego od wielu miesięcy, nawet wtedy w Nowym Jorku.

Mówił o dwutlenku węgla, o ociepleniu, o stepowieniu i rakotwórczym słońcu. Czuł, że ponosi go własna elokwencja. Wiedział, że jest znudzona. Już nie jestem interesującą osobą, pomyślał, a żądze ostygły.

Zawiózł ją do domu, zastanawiając się po drodze, czy go zaprosi do środka, ale nie zrobiła tego. Podziękowała mu za wspólne popołudnie i obdarzyła zwykłym spojrzeniem, w którym nie było już żadnej magii. Podeszła do domu, z którego wybiegła na powitanie mała dziewczynka.

Odjechał z piskiem opon. Zatrzymał się na światłach i znów gwałtownie dodał gazu, by w rozpędzie wpaść na skrzyżowanie. Coś czuł, ale nie wiedział co. Wyjechał na drogę szybkiego ruchu, wyprzedził wlokący się przed nim samochód, jechał zygzakiem z pasa na pas. Zatrąbił na auto blokujące mu drogę, trąbił tak długo, aż tamten ustąpił.

Kiedy się uspokoił, wrócił do domu i odpoczywał w salonie. Co się z nim działo? Laura ciągle nie pozwalała mu odejść? Nie, to coś innego. Jakby potrzebna mu była jakaś uroczystość, żeby zwrócić Tony'ego Tony'emu. Wyobraził sobie prymitywnego bożka, gołego i dzikiego.

Obraz ten sprawił, że wybuchnął śmiechem, ale nie było w tym prawdziwego uczucia. W następnej chwili miał już głębokie przeświadczenie, że w żadnej z jego myśli nie kryje się żadne uczucie. Oglądał siebie na wielkim ekranie, przez który prześwitywało światło ukazujące pustkę. Widział swoją szaloną jazdę przed niecałą godziną – widowisko ukrywające coś, czego nie było. Objawienie zataczało coraz szersze kręgi i obejmowało przeszłość aż to tragedii. Ujawniało jego oszustwa i fałsz. Udawane, odgrywane uczucia. Przeraziło go to, choć nie ze względu na pustkę, ale dlatego, że nie miał pojęcia, co mogłoby się stać, gdyby ktoś to odkrył. Myślał: Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Tajemnica. Sekret. Późnym popołudniem szukał w domu własnej duszy i odnalazł tylko bezczelną obojętność, kryjącą się pod wykalkulowanym żalem i smutkiem, a ponieważ zmęczył go ten widok, zezłościł się i wściekł. Wiedział, jakie przywileje niosła ze sobą żałoba. Ale nikt nie wiedział, że wszystkich nabrał. Był nienaturalny jak jego prefabrykowane gesty.

Przemierzał dom, całkiem wyzwolony. Niesprecyzowany gniew zapędził go do biurka, przy którym napisał na maszynie list do Bobby'ego Andesa:

Chcę tylko powiedzieć, że jestem teraz pewien, iż ten, którego nie mogłem

zidentyfikować, to Turk. Mam nadzieję, że nadal szukasz tych ludzi. Obiecuję, że będę współpracował w każdy możliwy sposób, gdyż bardziej niż kiedykolwiek przedtem zależy mi na postawieniu zbrodniarzy przed sądem.

Pięć

Na następnej stronie widniał nagłówek CZĘŚĆ TRZECIA. Dobrze. Jakaś zmiana. Susan Morrow miała już dosyć. Zastanawiała się, czy Edward spodziewa się wyrazów uznania za „organy wewnętrzne wyzierające z zarostu”. Może zapomniał poprawić ten kawałek o pariasie w turbanie i kozie?

Ile jeszcze zdoła dzisiaj przeczytać? Liczy w myślach. Jesteśmy mniej więcej w połowie, powinniśmy jutro skończyć. Czas na przerwę.

– Rosie, do łóżka!

Cichutki głosik z góry:

– Leżę w łóżku, mammo...

Jeffrey chce wyjść. Otwiera drzwi, wypuszcza go. Nie wolno tego robić, ale jest już późno i nikt nie zauważy. Nie przejmuj się, koleś. Idzie do kuchni. Kanapka, cola? W kuchni ziąb, na dworze coraz chłodniej. Z gabinetu dobiegają głosy aktorów grających dla siebie w serialu komediowym. Nikt ich nie ogląda, ale ktoś zapomniał wyłączyć telewizor.

Czuje się okaleczona przez tę lekturę i przez własne życie. Zastanawia się, czy zawsze walczy z książkami, zanim im ulegnie. Miota się między współczuciem dla Tony’ego a irytacją. Gdyby tylko nie musiała rozmawiać o tym z Edwardem... Zanim powie, że Tony traci rozum – albo zamienia się w prawdziwego kutasa – musi mieć pewność, że Edward nie jest Tonyem.

Teraz jest Tonyem: mężczyzną nienaturalnym. Myśli o tym. Ogólnie rzecz biorąc, jest sceptyczna wobec takich słów jak „pusty” czy „powierzchowny”. Czy ona sama jest pusta, czy pełna? Nie ma zielonego pojęcia, ale nie chce, żeby decydował o tym ktoś inny. Jeśli Edward potępi Tony’ego jego własnym głosem, mamy do czynienia ze starym, dobrym, osądającym wszystkich i wszystko Edwardem. Opiera mu się, kiedy zaczyna osądzać. Ale gdzieś z tyłu głowy hołubi myśl o uczciwym drugim czytaniu – później, kiedy nie będzie już tak obolała i wszystko minie.

Tak czy inaczej, część trzecia. Coś dobiegło końca. Czy to trzecia część z trzech, czy z czterech części? Jeśli są trzy, to sonata: A B A. Tylko co by to mogło oznaczać? Powrót do lasu? Jeśli gdzieś czeka na nią część czwarta, czy Edward napisał symfonię? Opus magnum, marsz pogrzebowy, scherzo, finał? Mamy zbrodnię, ofiary, reakcję na zbrodnię i nieudany jak do tej pory pościg za zbrodniarzami. Myśli, myśli: Czy Tony Hastings przypadnie, czy zostanie

ocalony? Niedobre szczęśliwe zakończenie zrujnowałoby cały wysiłek Edwarda, ale trudno wyobrazić sobie, jak mógłby wyglądać dobry finał.

Zwierzęta nocy 16

Bobby Andes nie odpowiedział na jego list, więc napisał kolejny:

Powtarzam: mam nadzieję, że nadal ścigasz tych ludzi z taką samą determinacją jak na początku i że nie czekasz, aż coś Ci spadnie z nieba. Mam nadzieję, że powiadomiłeś policję w Ajax, żeby przycisnęła Adamsa, który zna nazwiska współników. Ta sprawa wymaga zainteresowania policji w całym kraju, więc mam nadzieję, że poczyniłeś stosowne kroki, aby wzbudzić takie zainteresowanie. Ta sprawa jest dla mnie priorytetowa. Mam nadzieję, że nie traktujesz jej rutynowo lub nie odłożyłeś jej ad acta.

Wieczorem, wracając samochodem do domu, w pełnym kwiatów maju, wygłosił do siebie wykład. Inni kierowcy myśleli, że lży ich pod nosem. Mówił: Nie chodzi mi wcale o korki ani wlokące się ciężarówki. Ani o chłopaków rzucających w auta piłkami. Ani o złowieszcze artykuły w porannych gazetach, ani zachłannych studentów usiłujących coś ode mnie uzyskać, ani nawet o obrzydliwego Franka Hawthorne'a. Nie chodzi mi o efekt cieplarniany i wojnę nuklearną. Jest tylko jedna zbrodnia, jedno zło i jedna krzywda. To wy mi to zrobiliście. Nie ci bandyci ani diabły, ale wy. Wszystko inne to zawracanie głowy.

Jeśli Bobby Andes uzna list za prowokacyjny, tym lepiej, myślał. Jeśli list go rozzłości, cudownie! Minęły dwa tygodnie i znów nie nadeszła odpowiedź. Zbolały Tony Hastings czekał na jedno słowo od detektywa z Pensylwanii, który sprawował pieczę nad jego zdrowiem i mógł dać mu nadzieję na ocalenie w maju. Zieleń na podwórku była jaskrawa, przebijała z niej żółć, zielone chwasty atakowały stare, zrudziałe. Zdarzały się słoneczne dni, koszone trawniki, przekopywano ogródki, choć nie ten, który należał do niego. Tony Hastings trwał uparcie przy wydarzeniach zeszłego lata. Wolał noc, kiedy nikt nie widział, jak chodzi po domu i wygląda przez ciemne okna.

Wiedział, czego chce, więc mógł czekać. Być mniej nieznośny dla zwykłych, niczemu niewinnych ludzi. Powiedział o tym Francesce Hooton podczas lunchu:

– Winiłem mnóstwo niczemu niewinnych ludzi. Teraz już wiem, czyja to wina.

– Postanowiłeś wreszcie pozwolić sobie na złość?

Gadał dalej do siebie w wielkim domu, wściekał się, co bardzo mu odpowiadało. Mówił: Wydaje się wam, że łatwo stać się Tonym Hastingsem? Potrzeba na to całych czterdziestu lat. Potrzeba kochającej matki i ojca intelektualisty, letniego domku, lekcji odrabianych na werandzie z tyłu. Siostry i brata panujących nad swoim temperamentem, uczących się wzajemnie wrażliwości. Lat czytania i studiowania, żony i córki czyniących z bólu nawyk, a z Tony'ego Hastingsa mężczyzną.

Ale stawanie się Laurą Hastings było jeszcze trudniejsze. Laura Turner stawiała się Laurą Hastings bardzo długo, dzień za dniem, przy Meyer Street i u doktora Handelmana, z Donną i Jean, z jeziorem pośrodku, wraz ze śmiercią Bobo, z pracownią. Laura Hastings jest (była) niedokończona, dopiero zaczęła czterdziesty rok życia. Laura Hastings nie jest (nie była) życiem, jakie wiodła, ale jest (była) czterdziestoma kolejnymi latami, które ją czekały zgodnie z obietnicą.

Bestie, czy myślicie, że łatwiej zastąpi się Helen Hastings? Czekają ją najdłuższe życie ze wszystkich, kolejne sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat, które dopiero się rozpoczęły, które zostały odebrane wyrośniętemu dziecku przez rozrośnięty świat, odebrane temu zarodkowi Laury i Tony'ego, który słuchał kołysanek i bajek, mówił „mamotato” i kochał psa, i przepisywał wiersze do zeszytu, i miał – co było nie do wyobrażenia – dorosnąć i odejść w świat.

Nic, bestie, nie jest trudniejsze do osiągnięcia lub bardziej niezastąpione od nieprzeżytych lat całej tej trójki. Ani wasze samochody, ani wasze kutasy, ani śliskie cipy, ani nawet wasze podłe dusze. Tony Hastings wyobrażał sobie te samochody, kutasy, cipy i dusze. Żył pośród nich i nie potrafił znaleźć słów, które oddałyby jego nienawiść. Ani przypowieści, ani odpowiednio uwłaczającej metafory. Ani zdań mówiących o dorosłych głupkach wychowanych na filmach i telewizji, o szkolnych bandytach uczących się, jak być mężczyznami przez rozpychanie się łokciami wśród ludzi. Wybierzmy się na przejażdżkę. Nastraszymy paru mieszczan i burżujów. Nikt nam nie zabroni, żadna zadzierająca nosa nauczycielka. Zabawimy się z tymi nadętymi dziewczynkami i ich mamusiami o ciasnych dupach, pokażemy im, co i jak. A jak coś pójdzie nie tak, damy im po łbie. Tony Hastings szukał słów, które oddałyby jego wściekłość. Podli, nikczemni, tchórzliwi. Niegodziwi, występni, wyrodni. Żli? Nie, nie. Nie zasługują na to słowo, gdyż słowo to kryje w sobie pewne dostojeństwo. Słowa, których szukał, brzmiały gorzej i plugawiej. Tą retoryką chciał zastąpić duszę, którą – jak mu się

wydawało – utracił.

Telefon po południu; podchodząc do aparatu, wiedział już, kto dzwoni. Usłyszał schrypnięty odległy głos – materializację własnych przypuszczeń.

– Dzwonię do Tony’ego Hastingsa. Czy to Tony Hastings?

Nie mylił się, obaj się nie pomylili.

– Mówi Andes.

Usłyszał:

– Chcesz zidentyfikować kogoś innego?

– Kogo?

– Nie powiem. Pytam, czy ty chcesz mi powiedzieć, kto to jest?

– Kiedy? Gdzie?

– Jak tylko przyjedziesz. Tu, do mnie. Tym razem to Grant Center.

Przygotował się do kolejnej podróży. Tym razem musi mu się udać. Tym razem przypatrzyć się im i będzie wiedział, czy to Ray, Lou, czy znowu Turk. Postanowił polecieć nocą i spakował torbę, nie mogąc opanować podniecenia. Wsiadł do jednego samolotu i wysiadł z innego – małego, latającego w tę i z powrotem – na niedużym lotnisku w dolinie. Bobby Andes czekał za ogrodzeniem. Wsiadł do samochodu i pojechali przez pola i lasy u podnóża wzgórz. Powrót do krainy strachu.

– Napisałeś dwa dosyć nachalne listy – zauważył Bobby Andes. – Naprawdę chcesz ich dostać?

– Co się stało?

– Najpierw mi odpowiedz. Masz zamiar sprawić mi zawód jak poprzednim razem?

– Mam zamiar postąpić tak, jak napisałem.

– Skąd ta zmiana?

– To żadna zmiana. Chcę, żeby złapano tych ludzi.

– Pamiętaj tylko, że nie wolno ci nikogo wrabiać. Żadnych fałszywych oskarżeń i identyfikacji. Powiem ci, co mamy. Mamy próbę napadu na supermarket w centrum handlowym w Bear Valley tuż przed zamknięciem. Mamy jednego gościa. Drugi został zabity. A trzeci dał nogę, tak jak poprzednio.

– Jak to się stało?

– Powiem ci. Było trzech napastników, kretynów, dwóch w sklepie, jeden w samochodzie na parkingu. Nie zauważyli kierownika na tyłach sklepu. Kasjerka podniosła ręce do góry, tak jak jej kazali, ale przy kasie pojawił się kierownik ze strzelbą. „Rzućcie broń!”, wrzasnął. Kretyn odwrócił się i zaczął

strzelać, nie patrząc. Trafił w płatki kukurydziane. Fruwały po całym sklepie. Kierownik odpowiedział ogniem. Umie posługiwać się bronią. Trafił kretyna prosto w pierś i poprawił kolbę dla równego rachunku. Operowali go w szpitalu. Po dwunastu godzinach zmarł.

Tony Hastings milczał, zastanawiając się, który z nich zginął. Nie miał pewności, czy to dobra wiadomość, czy zła.

– A co z pozostałymi?

– Zaczekaj. Ten drugi kretyn w sklepie ucieka. Kierownik biegnie za nim. Tamten chce wsiąść do samochodu, ale z za rogu wypada gliniarz. Kierownik woła do niego, gliniarz każe mu stanąć, gość w samochodzie uruchamia silnik, ale ten, co biegnie, nie ma szans, bo gliniarz strzela w oponę. Kierowca wysiada z podniesionymi rękami, ale ten, co był w sklepie, ucieka.

– Jakim cudem?

– Normalnie zniknął. Dodał gazu, kiedy usłyszał gliniarza, przykucnął za jakimś autem na parkingu... nie wiem. Nie było ludzi, żeby go ścigać. Nie wiadomo, co się z nim stało.

– Co mam zrobić? – zapytał Tony.

– Masz mi powiedzieć, czy rozpoznajesz tego, którego złapaliśmy.

– To może mi powiedz, dlaczego miałbym rozpoznać akurat tego?

– Później, później.

Wracali do miejsca, w którym to wszystko się zaczęło: do pól i wzgórz pokrytych wciąż świeżą zielenią, przenikającą brąz i szarość zimy, która oddzielała ich od zeszłego lata. Nie rozpoznawał okolicy, dopiero na policyjnym parkingu z motelem po drugiej stronie ulicy zorientował się, gdzie jest.

– Możesz też rzucić okiem na trupa, choć to nie jest konieczne – oznajmił Andes. – Wiemy, kim jest. Był.

– Kim?

– To Steve Adams. Ten, na którego mówiłeś Turk.

– Turk? Nie żyje?

– Zidentyfikowaliśmy go na podstawie odcisków palców.

– Myślałem, że siedzi w Ajax.

– Wyszedł za kaucją i zwiął. Tak mi powiedziano.

Tony Hastings usiłował nazwać różnice w wyglądzie Bobby'ego Andesa. Andes stracił na wadze, wokół nosa i ust pojawiły mu się głębokie bruzdy, miał worki pod oczami, a wcześniej był gładki i tłusty.

Tony Hastings zameldował się w motelu po drugiej stronie ulicy. Kiedy

wrócił, Andes powiedział:

- Chyba ustawimy ich w szeregu jak poprzednim razem.
- Tak myślałem.
- Mógłbym ci pokazać tego gościa samego i zapytać, kim jest, ale chyba wolisz mieć ich w szeregu, chyba się już przyzwyczaiłeś.
- Wszystko jedno.
- Idź, napij się kawy. Jeśli mamy zrobić profesjonalne okazanie, będę potrzebował paru statystów.

Okazanie nie było do końca profesjonalne, było jakieś... niepoważne. Odbyło się w biurze z biurkami. Posadzili Tony'ego przy jednym z nich. Bocznyymi drzwiami weszło sześć osób, które stanęły w szeregu przed ladą recepcyjną. Tony potrzebował kilku sekund, żeby się zorientować, co się dzieje. Na początku stała ubrana na brązowo kobieta, przed kilkoma minutami siedząca przy biurku, które on teraz zajmował. Chichotała. Za nią ustawił się policjant w mundurze powstrzymujący ironiczny uśmiezek. Wyglądał znajomo i Tony zastanawiał się, czy nie próbują go podejść, przebierając podejrzanego w mundur. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że policjant ma na imię George i tamtego dnia przywiózł go z lasu na posterunek. Trzeci osobnik był przykuty do czwartego kajdankami. Pierwszy był tęgim mężczyzną o jasnych włosach, ubranym jak mechanik z warsztatu samochodowego, a drugi starcem w rozchełstanej koszuli. Piąty i szósty też byli skuci. Obaj mieli brody i koszule w kratę. Broda pierwszego była krzaczasta i zakrywała pół twarzy. Mężczyzna wyglądał inteligentnie i swobodnie. Broda drugiego miała czarny odcień i była niezdarnie przycięta. Jej właściciel rozglądał się niespokojnie po biurze, a Tony stwierdził ze zdumieniem, że nieznana mu początkowo twarz zaczęła się wyostrzać jak w lornetce i stała się twarzą, którą znał.

Rozpoznał oczy, które wpatrywały się w niego zupełnie inaczej tamtej nocy, i usta, które w tamtej brodzie były zupełnie inne. Przyglądał się mężczyźnie o rozbieganym spojrzeniu, nierozumiejącemu, dlaczego się tu znalazł. Nie zauważył jeszcze Tony'ego za biurkiem, choć po chwili omiół go wzrokiem, ale nie poznał, nie dostrzegł nawet, z jakim napięciem Tony wpatruje się właśnie w niego. Tony chciał mieć stuprocentową pewność. Sytuował tę twarz w lesie i w samochodzie, nakładał ją na oblicze, które zachował w pamięci: na to, które widział przy przebitej oponie obok twarzy Raya i Turka, a później na siedzeniu pasażera w samochodzie, gdy usiłował zwolnić obok przyczepy w lesie. Twarz, która wypowiedziała słowa: Wsiadaj! Zginiesz, jak nie będziesz uważał.

Tamten zwrócił w końcu uwagę na wpatrującego się weń Tony'ego, ale jeszcze go nie poznał. Pustka, zagadka. Ale Tony doskonale pamiętał. Nie wiedział tylko, czy powinien... czy może się cieszyć. Nie wiedział, do czego może doprowadzić taka radość. Zwrócił się do Bobby'ego Andesa:

– Już wiem.

Andes głośno:

– Tak? Tak? Poznaje pan kogoś?

– Tego z brodą.

– Którego? Są dwaj z brodami.

– Tego na końcu.

– Mężczyznę z brodą, który stoi na końcu, ubrany w czerwoną koszulę w kratę i dżinsy, czy tak? Widział go pan wcześniej?

Mężczyzna z brodą, w czerwonej koszuli w kratę i dżinsach, osłupiały wpatrywał się w Tony'ego.

– To Lou.

– Jaki Lou? Kim jest Lou?

– Lou to ten, który ze mną jechał. Kazał mi prowadzić samochód, gdy reszta odjechała moim autem. Wywiózł mnie do lasu i zostawił.

– Mężczyzna, którego pan wskazał... chyba niczego nie rozumie. Lou! Do ciebie mówię! Masz na imię Lou?

– Wiesz, jak się nazywam. Mówiłem już ze sto razy. O co chodzi?

– Widziałeś kiedyś tego pana, Lou? Dobrze się zastanów. Widziałeś go?

Lou wbił wzrok w Tony'ego. Tony nie potrafił stwierdzić, co kryje się w tym spojrzeniu.

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Nie znam go. Kto to jest?

– Powiedz mu, Tony. Powiedz mu, Tony, kim on jest.

– Zeszłego lata... ty... Lou...

– Ten mężczyzna?

– Ten mężczyzna i dwóch innych zmusili nas do zjazdu z autostrady międzystanowej. Dwóch z nich wsiadło do mojego auta, w którym znajdowały się moja żona i córka, a ten mężczyzna...

– Ten, którego widzisz i nazywasz Lou?

– Tak, Lou. Lou kazał mi wsiąść do swojego samochodu i wywiózł mnie do lasu, gdzie kazał mi wysiąść. Później w tym samym miejscu znaleziono moją żonę i córkę. Martwe.

– Co masz nam do powiedzenia, Lou?

Na twarzy Lou malował się strach, który przesłonił wszystko inne.

- Nie wiem, o czym on mówi – rzucił.
- Co wiesz o córce i żonie tego człowieka?
- Nigdy go nie widziałem.
- Co wiesz o Rayu i Turku?
- Nie znam ich.

Andes do Tony'ego:

- Jeszcze jedno. Czy jest pan absolutnie pewien, że to ten mężczyzna?
- Absolutnie.
- Czy przysięgnie pan to w sądzie pod groźbą kary za krzywoprzysięstwo?

Tony wydyszał:

- Tak.

Zabrali go do kostnicy, gdzie pokazali mu woskową, szarą twarz pokrytą zarostem. Zamknięte oczy, nieprzesłonięte okularami. Nos jak dziób. Usta wykrzywione w grymasie. Mógł to być każdy. Tony nie potrafił sobie wyobrazić, jak ta osoba wyglądała za życia. Nie zapamiętał Turka na tyle dobrze, by nałożyć tamten obraz na twarz trupa. Nie umiał sobie nawet przypomnieć oblicza Turka, którego nie zidentyfikował w Ajax i na zdjęciu.

– To nie jest łatwe... – powiedział z wahaniem. – Ale domyślam się, że to Turk.

- Jesteś pewien?
- Tak.

Bobby Andes zaprosił go na obiad. Był w euforycznym nastroju.

- Doskonale się spisaliś – pochwalił Tony'ego. – Teraz go mamy. Rozradowany. Kaszłał i kaszłał.
- Oskarżymy go o morderstwo.
- Macie dowody?
- Mamy ciebie i mamy odciski palców. Pobierzemy też próbki jego włosów.

Zreferował sprawę.

– Ten Lou... Jego odciski były w przyczepie i w samochodzie. Dlatego chciałem ci go pokazać.

- Więc on wrócił do przyczepy! Po tym, jak wyrzucił mnie w lesie...
- Na to wygląda. Wrócił i pewnie powiedział reszcie, gdzie cię zostawił. I z tego powodu wrócili tam z ciałami...

- Żeby i mnie załatwić...
- Mogę się założyć, że trzecim uczestnikiem napadu był twój znajomy,

Ray.

– Ten, który uciekł?

– Rysopis pasuje jak ulał.

– I co teraz?

– Wniesiemy oskarżenie przeciwko Lou. Będziesz tu musiał wrócić. Jesteś na to gotów? A tymczasem znajdę Raya.

Tony Hastings wrócił do domu następnego ranka. Nie miał pewności, czy się cieszyć. Twarz Lou, w którą chciał napluć, wpatrywała się w niego przestraszonym wzrokiem.

Sześć

Wygląda na to, że będziemy ścigać bandytów, mówi Susan, mając część trzecią na poparcie tej hipotezy. Zabiliśmy Turka, złapaliśmy Lou i gonimy Raya. Dobrze. Ta zbrodnia wisi nad tą opowieścią jak radioaktywna chmura. Trzeba ją rozwiać, a tego, zdaniem Susan, nie da się zrobić bez schwytania sprawców. Konsternacja i przerażenie Lou wskazują na konieczność pojmania Raya.

Ale jednocześnie dzieje się coś dziwnego. To niepoważne policyjne okazanie. Identyfikacja Turka w kostnicy. Po co Edward ucieka się do takich tanich chwytów? Chce dodatkowo skomplikować całkiem prostą różnicę między złym Rayem a niewinnym Tonym? Robi się jej od tego niedobrze i zastanawia się, czy zdoła dalej zachować równowagę.

Zrobiło się jej niedobrze po raz pierwszy podczas krótkiego peanu na cześć żony i córki – bardziej manierycznego niż zazwyczaj, z bardziej niż zazwyczaj zagęszczonym frazowaniem, z dziwnie dobranymi, nielicznymi szczegółami. Mdłości przenoszą się na Arnolda. Gdyby miał wygłosić mowę pochwalną na jej cześć, myśli, do jakich odwołałby się detali? Bo jeśli chodzi o Edwarda i o nią samą, najlepsza byłaby łódka w zatoczce, kiedy był przygnębiony. Powiedział wtedy: Pograżę się w otchłani. Nikt nie będzie wiedział, co widziałem i myślałem. Odpowiedziała: Ja już się pograżyłam. Nikt nie wie, co widzę i myślę. Na co odrzekł: Nie jesteś pisarką. Dla ciebie to nie jest takie ważne.

Zwierzęta nocy 17

Powiedział o wszystkim Francesce Hooton podczas lunchu:

– Mamy już dwóch. Jednego zidentyfikowałem, a drugiego zabili.

Zapytała:

– Cieszysz się?

– Jak cholera.

– Jednego zabili. Z tego też się cieszysz?

– Tak.

– A co według ciebie powinni zrobić temu, którego złapali?

– Lou? Powinni mu wymierzyć sprawiedliwość.

– Która w tym konkretnym przypadku oznacza...

Tony Hastings nie był przygotowany na takie postawienie sprawy.

– Śmierć? Powinni go skazać na karę śmierci?

Pomyślał, że gdyby Francesca wiedziała, co się z nim dzieje, doszłaby do wniosku, że zabili w nim sprzeciw wobec kary śmierci.

– Nie wiem, jakiej kary dla nich chcę – przyznał otwarcie.

– Chcesz, żeby cierpieli, prawda? – spytała.

Myśl o tym sprawiła, że przygryzł wargę, tak jak w dzieciństwie. Powiedział:

– Chcę, żeby przeszli przez to, przez co ja przeszedłem.

– Chcesz, żeby pozabijano ich żony i córki?

– Nie. Tego nie chcę.

– Zatem powinni zabić ich samych.

– Tak przypuszczam.

– Jak tego Turka. Jesteś zadowolony, że go zabito?

– Turk był nieważny. Robił to, co mu kazał Ray.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Nie wiem. Zginął podczas napadu.

– Więc dostał to, na co zasłużył, i możesz być zadowolony.

– Niekoniecznie. To nie była kara. Nie wiedział, za co zginął.

– Chciałbyś, żeby wiedział?

– Chciałbym, żeby zdali sobie sprawę z tego, co zrobili. Chciałbym, aby im unaoczniono, na czym dokładnie polegała ich zbrodnia.

– Oni wiedzą, Tony.

– Ale nie wiedzą, co to oznacza.

– Może wiedzą. Może tylko mało ich to obchodzi.

– Więc chcę, żeby zaczęło ich to obchodzić.

– Pokuta? Chcesz, żeby powiedzieli, że jest im przykro?

– Chcę, żeby wiedzieli, że dopuścili się czegoś monstrualnego.

– Uważasz, że to możliwe?

– Chyba nie.

– Ale czy naprawdę właśnie tego chcesz? Powiedzmy, że Ray uzna, że dopuścił się czegoś monstrualnego. I stanie się inną osobą. Powinni go wtedy wypuścić?

– Nigdy!

– Ray wie, że cię zranił, Tony. Możesz być pewien, że on o tym wie.

– Więc chciałbym odpowiedzieć mu tym samym.

– Chciałbyś go zranić, ale nie zabić, czy tak?

- Chciałbym go zabić. I zranić. Razem.
 - I zabić, i zranić? Czy nie wystarczy, żeby cierpiał?
 - Chciałbym, żeby cierpiał udrękę umierania.
 - Czyli tortury.
 - Chciałbym, żeby wiedział, że umiera, i chciałbym, żeby wiedział dlaczego. Mówiąc o „udręce”, mam właśnie to na myśli.
 - Chciałbyś go zabić własnoręcznie?
 - Chciałbym, żeby wiedział, że umiera z mojego powodu.
 - Ha! – Klasnęła w dłonie. – Wcale nie chcesz, żeby zrozumiał, na czym polegało zło, jakiego się dopuścił! Guzik cię to obchodzi. Chcesz tylko, żeby wiedział, że nie można bezkarnie cię ranić. Bo jesteś kimś.
 - Nie może tego robić bezkarnie.
 - Teraz mówisz do rzeczy.
- Jej złociste włosy znalazły się po tej stronie twarzy, którą oparła na dłoni. Jej oczy płonęły i stały się piękne z jego przyczyny.
- Pamiętam, jak Helen zrobiła nam wykład, mnie i Laurze, o tym, jak prymitywnym uczuciem jest pragnienie zemsty. Dokonaliśmy wtedy rozróżnienia między zemstą a sprawiedliwością. Pamiętam, że sami sobie wydawaliśmy się wtedy bardzo kulturalni i cywilizowani.
 - Bo tacy byliście. A Ray nie.
 - To nakłada na moje ramiona pewien ciężar – stwierdził.
 - Tylko wtedy, jeśli tak uważasz.

W końcu zadzwonił telefon w biurze na uniwersytecie. Była u niego Louise Germane, właśnie weszła, zastanawiał się, czego chce. Od razu rozpoznał głos:

– Mówi Andes. Możesz znów do nas przyjechać?

Nie dowiedział się, czego chciała Louise.

Był już czerwiec i Tony Hastings mógł podróżować bez przeszkód, mógł wrócić tam po raz trzeci. Pojechał samochodem. Zabrało mu to cały dzień. Następnego dnia usiadł z Bobbym Andesem na trybunie, w ostatnim rzędzie, nad pierwszą bazą. Wiejski baseball w niedzielne popołudnie. Gospodarze występowali w białych strojach z napisem CHEVROLET na koszulkach, goście – na szaro – mieli na piersi napis Poleville. Poleville leżało piętnaście mil dalej w głąb doliny. Zapole boiska sięgało rzędu zabudowań oddzielonych od stadionu siatką. Nad domami wznosiło się porośnięte drzewami wzgórze, a po obu stronach stadionu dolina zamieniała się w szeroką równinę. Kibice siedzieli też w samochodach stojących na drodze przy trzeciej bazie. Trąbili

po zdobytych punktach.

Bobby Andes miał na głowie kapelusz, a na nosie ciemne okulary. Palił, a niedopałki wrzucał pod trybunę, gdzie rosła wyschnięta trawa. Jego zmęczoną twarz oświetlało słońce. Wiał wiatr. Po drugiej stronie doliny nad dwoma kopcami wzgórz wisiała burzowa chmura o czarnym podbrzuszu. Przez to czarne podbrzusze przeświecały jasne promienie.

Przyglądali się graczowi gospodarzy z numerem dziewiętnastym na koszulce. Siedział na ławce rezerwowych. Nie brał udziału w grze. Tony od czasu do czasu widział jego plecy między głowami kibiców siedzących w pierwszym rzędzie. Dziewiętnastka wiercił się, zrywał raz po raz. Krzyczał coś do zawodników w polu. Raz obrócił się i posłał uśmiech ku trybunom. Za daleko, żeby dostrzec twarz. Był opalony, miał małe rybnie oczka. Nazywał się Ray Marcus i ktoś widywał go często w towarzystwie niejakiego Lou Batesa i Steve'a Adamsa. Porucznik był pewien, że Ray Marcus jest poszukiwanym Rayem. Rysopis się zgadzał. Tony miał dreszcze mimo upału.

Nikt nie siedział obok nich w ostatnim rzędzie i Bobby Andes opowiedział o wszystkim Tony'emu podczas meczu. Dostał cynk od gości z baru U Hermana, bo przesłuchania Lou niczego nie przyniosły. Bar U Hermana jest w Topping, trzydzieści mil od Grant Center w tej samej dolinie. Ten Lou jest uparty jak wół i wie tylko, że ma trzymać gębę na kłódkę. Doskonała robota detektywistyczna ujawniła, że Lou przyjechał tu z Kalifornii razem ze Steve'em Adamsem. Ale Lou za nic w świecie nie chciał powiedzieć, kim był ten trzeci, który brał udział w napadzie w Bear Valley. No i twierdził, że nie mógł napaść na rodzinę Tony'ego, gdyż w tym samym czasie przebywał w Kalifornii.

Bobby Andes opowiedział mu następnie o żonie Lou z Kalifornii. Nie widziała męża od półtora roku i wcale się tym nie martwiła. Odnalezienie jej było również doskonałą robotą detektywistyczną, choć nie przyniosło żadnych pożytecznych informacji. Tymczasem Lou mieszkał sobie w Topping z niejaką Patricią Cutler, która była niemal tak głupia i uparta jak Lou, choć nie do końca. Okazała się nieco bardziej inteligentna i ujawniła rzeczy, które Lou w swojej tępotnie ukrywał, na przykład to, że w zeszłym roku nie byli w Kalifornii. A kiedy dowiedziała się od Bobby'ego Andesa, że ponieważ nie jest żoną ani bliską rodziną Lou, nie przysługuje jej prawo odmowy zeznań, przypomniała sobie takiego palanta, z jakim zadawał się Lou, prawdziwego kutasa, jak powiedziała. Nie umiała sobie tylko przypomnieć jego imienia ani wyglądu. Bo, jak mówiła, nigdy nie był u nich w domu i nigdy go nie widziała. Co niekoniecznie musi być kłamstwem, bo ten tu Ray ma własne

życie, inne od życia tamtych.

Według Andesa to nie ma znaczenia, bo dopadli tego, kogo szukali. Dobry detektyw zna się na ludziach. A Lou i Turk byli znani w okolicy, choć nikt nie miał ochoty poznać ich lepiej. Dali się poznać U Hermana, gdzie opowiadali, że mają w lesie takie jedno miejsce, w którym się umawiają z panienkami, żeby Patricia Cutler o niczym nie wiedziała. Detektyw Bobby Andes wydedukował, że miejscem tym musiała być przyczepa, w której zamordowano żonę i córkę Tony'ego.

A jeśli chodzi o tego tu Raya, to najpierw pojawił się cynk od kogoś z baru U Hermana, kto zapamiętał, że Lou i Adams pokazywali się tam często z trzecim gościem. Potem o tym trzecim gościu przypomnieli sobie inni. Klienci baru U Hermana byli chętni do współpracy (bo ludzie w tej okolicy są na ogół spokojni, szanują policję i traktowali tych dwóch z Kalifornii jak obcych, którzy prędzej czy później sprowadzą na tę dolinę nieszczęście) i wreszcie pojawił się ktoś, kto znał tego trzeciego z imienia i nazwiska. Tym trzecim okazał się niejaki Ray Marcus z Hacksport, gdzie oglądamy mecz. Według porucznika Andesa poszukiwania dobiegły końca, nawet zanim Tony zidentyfikuje Raya. Zgadza się nawet cholerne imię. Opowiedział o robocie detektywistycznej w Hacksport, gdzie Ray Marcus był dobrze znany. Pracował dorywczo tu i tam, obecnie w fabryce narzędzi, wcześniej i częściej – jako pomocnik, a to elektryka, a to hydraulika itepe. Był notowany za jakieś drobiazgi: włamanie, napad, bójkę w barze. Raz wniesiono przeciw niemu oskarżenie o gwałt, które potem zostało wycofane przez ofiarę. Nikt nie chce się przyznać, że go lepiej zna.

Bobby Andes opowiedział, że przyjrzał się Rayowi w fabryce. Pasuje do opisu Tony'ego i tego z napadu. Nigdzie nie zostawił odcisków palców, ale o tym wiedzieliśmy już wcześniej.

– Ciekawe dlaczego...? – zastanawiał się Tony.

– W twoim przypadku... Wybacz, jeśli będę brutalny, ale trzymał łapy na twojej żonie. Niech to szlag trafi. Mamy szczęście, człowieku, że ich dopadliśmy. Poznajesz go?

– Muszę przyjrzeć mu się z bliska.

– Mamy mnóstwo czasu.

Bobby Andes zasypywał go szczegółami.

– Przypuszczam, że Ray nie był zamieszany w tę sprawę z używanymi autami – powiedział. – Lou pewnie tak.

– Z używanymi autami?

– W Ajax. Gdzie nie rozpoznałeś Turka. Żywego. Bo po jego śmierci nie

miałeś z tym kłopotów.

– Byłem zdenerwowany. Wyglądał wtedy zupełnie inaczej.

– Wiem, wiem. Myślę, że to twój Lou uciekł wtedy w Ajax. Czarna broda. Myślę, że ten Lou i Turk wpadli na pomysł, żeby zmienić okolicę, i w Ajax znów narobili sobie kłopotów. Bo znów zadali się ze złymi ludźmi. Tylko ciekawe, dlaczego tutaj wrócili? Jak sądzisz? Z powodu Patricii czy z powodu Raya? Bo według mnie Ray się stąd nie ruszał.

Tony prowadził w głowie obliczenia. Znajdowali się w odległości trzydziestu mil od biura Bobby'ego. Piętnaście mil od miejsca w lesie, w którym Lou go zostawił. Nocni drapieżcy polowali na dużym obszarze.

Zawiał porywisty wiatr, który podniósł z boiska chmurę pyłu i sypnął piaskiem poprzez wiejski stadion ku trybunom. Przerwano grę, żeby zawodnicy mogli przetrzeć oczy. Burzowa chmura nad dwoma okrągłymi wzgórzami znikła po drugiej stronie pasma. Nad głowami mieli przejrzyste niebo i kolejne chmury ponad szczytami.

W siódmym inningsu meczu Marcus, numer dziewiętnaście, wszedł do gry i zajął pozycję w głębi pola po prawej. Ktoś do niego krzyknął, a on odpowiedział uśmiechem i zatańczył w miejscu. Poruszał biodrami jak w hula, jego twarz skryła się w cieniu daszka czapki.

Piłka poszybowała w jego stronę, grał ospale, stracił punkt. Rozległo się buczenie. Podniósł w górę środkowy palec. Buczenie stało się donośniejsze. Zdobył łatwą piłkę, ktoś przesadnie się ucieszył. Pod koniec dziewiątego inningsu stanął w kręgu, czekając na przejęcie kija.

– Zejdźmy na dół. Przyjrzymy mu się z bliska – zaproponował Andes.

Przedarli się przez tłumek i zajęli miejsca za plecami łapacza. Przyglądali się dziewiętnastce, który robił przysiady, wymachiwał nogami i rył stopami piach. Machnął kijem i wskazał nim miotacza. Zęby i oczy: maleńkie białe plamki w przysmażonej na czerwono gębie. Odpowiedni typ, można by powiedzieć. Stracił trzy piłki z rzędu, nie zdążywszy nawet się zamachnąć. Za każdym razem rzucał jakieś słowo pod adresem sędziego. Tony Hastings chciał dostrzec wyraz twarzy Raya, który wracał teraz na ławkę, krzycząc coś ku trybunom. Zatrzymał się z kijem w ręku. Niespodziewanie zapadła cisza, którą przerwał jego wrzask: „Pierdol się, ty skurwysynu!”

Zza pleców łapacza Tony Hastings widział go z profilu, kiedy siadał na ławce i pił wodę, nabierając ją chochlą z wiadra. Zdjął czapkę i otarł przedramieniem czoło. Wysokie czoło, łyse do połowy głowy.

– To on – powiedział Tony.

– Jesteś pewien?

– Chciałbym mu się przyjrzeć z bliska.

– Zaczekaj.

Mecz dobiegł końca. Tłumek zaczął się rozchodzić, kibice dołączali do zawodników i razem schodzili z boiska. Tony Hastings szedł za Bobbym Andesem w grupce kibicującej drużynie Chevroleta. Bobby Andes trzymał w dłoni piłkę. Podeszedł do miotacza Chevroletów.

– Panie Kazminski, czy zechciałby pan podpisać się na tej piłce dla mojego syna?

Kazminski – wysoki, młody, zaskoczony – roześmiał się i powiedział:

– Jasne! Z przyjemnością.

W pobliżu Tony Hastings przyglądał się Rayowi. Ray stał sam, zerkał raz po raz na drogę, z rękawicą u boku, z czapeczką w dłoni. Coś żuł, poruszając grdyką w górę i w dół. Wyglądał jak ktoś, kto nie bardzo wie, co ma zrobić. Stał tak przez długą chwilę. Przez cały ten czas Tony wpatrywał się w niego. Ray obrócił głowę. Tony spojrzał mu prosto w twarz. Ich oczy się spotkały. To był wstrząs. Ray go nie zapamiętał. Zerknął na kibiców otaczających Kazminskiego, splunął na ziemię i znów się odwrócił. Ruszył wolno ku drodze.

– I co?

– To on – odpowiedział Tony Hastings.

Siedem

Dała się złapać w pułapkę: schwytali Raya! Związane z tym podniecenie sprawiło, że na końcu rozdziału zapomniała o własnym sceptycyzmie wobec dialogu o karze śmierci prowadzonego przez Tony'ego i Francescę. W sprawie zemsty miała prostą odpowiedź: Zabiję każdego, kto skrzywdzi moje dzieci. Możecie mnie skazać na karę śmierci. Ściganie Raya jest dokładnie tym, czego potrzebuje: dreszczem. Ma nadzieję, że nie ulega manipulacji i nie jest zmuszana do wyrażenia zgody na jakąś ideologię, której nie aprobuje.

Zwierzęta nocy 18

Przyglądali się, jak Ray Marcus wsiadał do swojego auta, które stało za trzecią bazą. Był to brudny, zielony, piętnastoletni pontiac.

– Zobaczmy, dokąd pojedzie – powiedział Bobby Andes.

Przyjechali samochodem Tony'ego Hastingsa, zaparkowali nieopodal.

– Ja poprowadzę – rzucił Andes.

Przy wjeździe na drogę zrobił się korek. Samochód Raya stał z przodu. Jechali za nim do Hacksport oddzieleni dwoma autami. Czekali na niego, kiedy zatrzymał się przed sklepem i wyszedł z sześciopakiem piwa, śledzili go nieporuszeni, gdy przejechałszy dwie przecznice, skręcił w prawo.

– Jedzie do domu – oznajmił Andes. – Za nim!

Dojechali do miejsca, w którym zaparkował auto. Przy hydrancie na wąskiej jednokierunkowej ulicy zapchanej samochodami od góry do dołu. Dziewiętnastka szedł chodnikiem po lewej stronie z sześciopakiem i rękawicą baseballową. Przy ulicy stały nieduże białe bliźniaki. Andes jechał za Rayem, od którego oddzielał ich rząd zaparkowanych aut. Wychylił się przez okno.

– Hej, Ray.

Ray spojrzał na niego.

– Gdzie idziesz?

Zatrzymał się, nie odpowiedział.

– Co robisz?

Stał za zaparkowanym przy krawężniku samochodem i gapił się na nich.

– Chodź no tu, muszę z tobą pogadać.

– O czym?

– Chcę ci zadać parę pytań.

– Pierdol się.

Odwrócił się i poszedł dalej.

– Ray! Nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie wysiadł.

Znów przystanął.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

Bobby Andes wyciągnął przez okno rękę z plastikową legitymacją. Drugą rękę trzymał pod marynarką.

Ray zmrużył oczy, wpatrując się z daleka w policyjny dokument. Rozejrzał się. Przestąpił z nogi na nogę.

– Co to jest?

– Chodź tu i sprawdź.

Podszedł wolno, omijając zaparkowane samochody, pochylił się przy oknie i spojrzał na legitymację. Potem na Bobby'ego Andesa w ciemnych okularach, na pobrużdżoną twarz pod kapeluszem. Tony Hastings przyglądał się Rayowi z bardzo bliska. Ray był bliżej niżli kiedykolwiek przedtem.

– O co chodzi?

– Parę pytań. To wszystko. Wsiadaj z tyłu.

– Po co? Nic nie zrobiłem.

– Nie powiedziałem, że coś zrobiłeś.

– Możesz mnie tutaj przesłuchać – rzucił Ray.

– W samochodzie. Wsiadaj.

– Dobra, dobra... – Wzruszył ramionami, jakby robił Andesowi łaskę, i otworzył tylne drzwi auta Tony'ego Hastingsa. Bobby Andes wysiadł i usiadł na tylnym siedzeniu obok Raya.

– Ty prowadzisz – polecił Tony'emu.

Wskazywał drogę z tylnego siedzenia. Dojechali do końca ulicy.

– Gdzie mieszkasz, Ray? – spytał Andes.

– Właśnie tutaj – odpowiedział Ray, pokazując mały biały bliźniak o podwójnych drzwiach i z dwiema skrzynkami pocztowymi na ganku. Wyciągnął długą szyję, żeby spojrzeć na mijany przez nich dom. Nagle Tony'emu zrobiło się żal Raya.

– Pomożesz nam, odpowiadając na parę pytań – oznajmił Andes. – Skreć w prawo, Tony.

Przejechali przez dwie, trzy przecznice i wyjechali z Hacksport do doliny. Przy głównej drodze stała tablica informacyjna z napisami: Topping 10, Bear Valley 25, Grant Center 40.

– Mieszkasz sam, Ray?

- Co ci do tego?
- Nieważne.
- Nie mieszkam sam.
- Wiem. Mieszkasz z kobietą.
- Więc po co pytasz?
- Masz z nią ślub?
- Kurwa.

Bobby Andes się roześmiał. Tony za kierownicą nie widział twarzy Raya. Miał ogólną świadomość obecności dużego, białego, basebalowego stroju na tylnym siedzeniu. W lusterku widział tylko czubek czapki. Poczł obrzydzenie na myśl o własnej odpowiedzialności za tego człowieka: rezerwowego zawodnika drużyny Chevroletów, którego porwali z ulicy i będą męczyć z jego, Tony'ego, powodu.

– Chcę z tobą pogadać, Ray, bo mamy twojego kumpla w Grant Center i może zdołasz nam pomóc.

Ray milczał.

– Nazywa się Lou Bates, siedzi w areszcie, może o tym słyszałeś. W zasadzie mieliśmy dwóch twoich kumpli, Ray, ale jeden padł trupem. Niejaki Steve Adams. Znasz go?

– Nie słyszałem o żadnym.

– To ciekawe – mruknął Bobby Andes. – Jesteś pewien, że nigdy nie słyszałeś o Lou Batesie?

– Nie znam nikogo, kto by się tak nazywał.

– Może znasz go pod innym nazwiskiem. Zastanów się. Ale musiałeś słyszeć, za co trafił za kratki!

– Nie. Za co?

– Nie mów mi, że nie słyszałeś o napadzie na supermarket w Bear Valley. Musiałeś o tym słyszeć, tym bardziej że jeden z twoich kolesiów padł trupem.

– To nie są moi kolesie. Nie znam żadnego z nich.

– Jak powiedziałem, to ciekawe, co mówisz. Bo mam zeznania mnóstwa osób, które widywały was we trójkę.

– Jakich osób?

– Ludzi. Różnych ludzi. Znasz takie miejsce w Topping, co się nazywa U Hermana?

Długie milczenie. Ray zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Tak.

– No, wreszcie mamy jakiś punkt zaczepienia! Doskonale. Więc często bywasz u Hermana?

– Nie za często.
– Spotykasz się tam z różnymi facetami?
– Nawet jeśli tak, to nie znaczy, że ich znam.
– Nie znaczy, powiadasz? Ale różni ludzie mówią co innego. Różni ludzie mówią, że często widywali cię u Hermana z tym tam Lou Batesem i Turkiem Adamsem. Wiesz może, dlaczego tak mówią?

Kolejne długie milczenie.

– Może i tak się nazywali ci kolesie.
– Chcesz mi wmówić, Ray, że nie wiesz, jak się nazywali?

Ray umilkł. W samochodzie zapadła cisza. Wiatr owiewał maskę i okna, długą prostą drogę przez zieleniące się pola w dolinie między dwoma pasmami wzgórz. Przejechali z Rayem przez Topping, potem Bear Valley. Tony Hastings nie może zapomnieć o nienawiści. Przez niemal rok miał tego człowieka w głowie.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał Ray.
– Na tę chwilę odpowiedzi na parę pytań.
– Nic nie zrobiłem.
– Nie powiedziałem, że coś zrobiłeś.

Kolejna przerywana podmuchami wiatru cisza. Tony ledwo usłyszał następne pytanie Andesa:

– Masz coś na sumieniu, że się tak wszystkiego wypierasz?
– Co? To jakaś wasza sztuczka? Pułapka?
Bobby Andes roześmiał się po raz kolejny.

– Jaka pułapka, Ray? Po co miałbym zastawiać na ciebie pułapkę, jeśli nic nie zrobiłeś?

– Pieprzone głupoty.
– Co?

– Zadajesz mi głupie pytania. Co chcesz konkretnie wiedzieć? No, dalej, pytaj!

– Chcę się konkretnie dowiedzieć, co wiesz o napadzie, którego dokonali twoi kumple. Jeśli coś wiesz, oczywiście. Albo coś słyszałeś. Tyle tylko że ty się wszystkiego wypierasz, Ray, i mówisz mi, że to nie byli twoi kumple albo że nie znałeś ich nazwisk. Więc co masz mi do powiedzenia, Ray?

Tony Hastings wyteęzał słuch, czekając na przełom po pytaniu Andesa. Ale nie czuł się dobrze w sytuacji, w jakiej się znalazł. Miał za sobą gracza w białym baseballowym stroju, faceta, który kręcił biodrami przed tłumem, a chciał pamiętać tylko tamtego człowieka z lasu.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Nie pytali mnie o radę.

– A zatem ich znasz?
– Jeśli to ci goście od Hermana, to mogę ich znać. Słabo.
– Pod innymi nazwiskami?
– Nie pamiętam żadnych nazwisk.
– W porządku. Ustaliliśmy już, że kłamiesz.
– Nie kłamię! Dlaczego, kurwa, nazywasz mnie kłamcą?!
– Nieważne, Ray. Zauważyłem tylko, że nie chcesz podzielić się z nami prawdą. Nie ma powodu, dla którego musiałbyś wypierać się znajomości z Lou i Turkiem. Wielu ludzi, którzy przyznają się do znajomości z nimi, nie brało udziału w napadzie. Bo w napadzie brał udział tylko jeszcze jeden gość.

Ray nie odpowiedział.

– Nie wiesz przypadkiem, kto to był?
– Nie ja.
– Nie słyszałeś żadnych plotek, niczego?

Cisza.

– Bo ja słyszałem jedną plotkę... – ciągnął Andes.
– Taa?
– Różni ludzie gadają, Ray, że to ty byłeś tym trzecim.
– Sam mówiłeś, że nic nie zrobiłem!

Litość, jaką Tony odczuwał dla Raya, wstrząsnęła nim. Za wszelką cenę chciał sobie przypomnieć. Na przykład: Koleś, żona cię potrzebuje!

– Czy ja tak powiedziałem, Ray? Nie powiedziałem, że coś zrobiłeś, ale nie powiedziałem też, że niczego nie zrobiłeś.

– Hej! – wrzasnął Ray. – Czy to jest przesłuchanie?
– A jak myślisz? Bo ja słyszałem, że policja czasem przesłuchuje podejrzanych, nie?

– Nie przeczytałeś mi moich praw.
– Znasz swoje prawa, Ray.
– Ale masz mi je przeczytać!
– Przeczytałem ci je, Ray. Prawda, Tony?

Przeczytał? Oto zagwozdka. Andes wciągnął Tony'ego w tę grę.

– Kurwa! To jakieś bezprawie!
– Znasz swoje prawa, Ray. Znasz je na pamięć. I chcesz, żebym ci je powtarzał?

– To bezprawie! Przysługuje mi prawnik!
– Podczas jazdy samochodem, Ray? Kiedy sobie nieoficjalnie gawędzimy? Kiedy pomagasz policji? Jeszcze niczego nie zeznałeś, Ray, a my o nic cię nie oskarżyliśmy. Jeśli chcesz mieć prawnika, to zaraz pojedziemy do Grant

Center i zatrzymamy cię za składanie fałszywych zeznań.

– Przecież jedziemy do Grant Center!

– Niekoniecznie. Jeździmy po okolicy, a ty pomagasz policji. Po co ci prawnik, jeśli nic nie zrobiłeś?

– Jasne, kurwa, że nie!

– Załatwię ci prawnika w Grant Center.

– Powiedziałeś, że nie jedziemy do Grant Center.

– Zmieniłem zdanie. Bo przypomniałeś mi o swoich prawach.

Litość dla człowieka, który zepchnął jego samochód z drogi, porwał Laurę i Helen do przyczepy, zabił młotkiem. Teraz to tylko głupi wieśniak, który dał się zapędzić Andesowi w kozi róg. Tony Hastings próbował odnaleźć w tym wiejskim kretynie złowrogiego bandytę, diabła!

– Spokojnie, człowieku, nie musimy jechać do Grant Center. Odpowiadam na twoje pytania, nie?

– Nie wiem, Ray, naprawdę nie wiem. Nie wiem nic więcej o napadzie niż przedtem.

– Dla mnie to też jest zagadka.

– Mówiąc szczerze, Ray, napad nie jest dla nas zagadką. Znamy wszystkie fakty. Ale coś ci powiem: prawdziwą zagadką jest coś innego i o to właśnie chcę cię zapytać. Poznajesz ten samochód?

– Jaki samochód?

– Ten. Ten, w którym siedzisz.

Tony Hastings poczuł na plecach dreszcze. Obrzydzenie własną odpowiedzialnością za tego człowieka, z którym za chwilę dojdzie do konfrontacji. Będzie czuł obrzydzenie albo prymitywną radość, że go upolował jak kot. Prawdopodobnie obie te rzeczy naraz.

– Czemu miałbym znać ten samochód?

– Nie znasz go? Niczego ci nie przypomina? Nie masz żadnych wspomnień z tego auta?

– Nieee, człowieku! Nie wrabiaj mnie! Nie mam żadnych wspomnień z tego auta, prócz tych od wyjazdu z Hacksport.

To miał być żart. Przypomnij sobie, bydlaku, powiedział w duchu Tony. Żadnej litości.

– Nie pamiętasz, żebyś go prowadził?

– O co ci chodzi? Czy to był mój samochód? Nigdy takiego nie miałem!

Nie udaje. Nie zapamiętał auta.

– A może pamiętasz kierowcę?

– Co?

– Tego gościa, który siedzi za kierownicą, mojego kumpla, Tony’ego. Nie pamiętasz Tony’ego?

– Siedzi tyłem. Każ mu się odwrócić.

– Zatrzymaj się, Tony.

Tony Hastings zwolnił i stanął na zwirowym poboczu długiego prostego odcinka drogi. Czuł łomoczące serce, czuł jakiś niewytłumaczalny, pożądlivy strach i wiele innych rzeczy. Miał przed sobą sprawdzian. Zapomniał już, jakie to może być przerażające.

– Odwróć się i pokaż mu twarz.

Przejeżdżająca ciężarówka zakołysała autem, rozpierając przed sobą powietrze. Tony obrócił głowę. Na tylnym siedzeniu ujrzał mężczyznę w miękkim białym stroju sportowym z napisem CHEVROLET na piersi, w baseballówce zakrywającej twarz. Spod daszka wyzierały wpatrzone w niego oczy. Niżej małe usta ze zbyt dużymi zębami. Tak je zapamiętał, choć niezupełnie tak...

– Znasz go, Tony?

– Tak.

– Odśwież mu pamięć.

– To... to byłeś ty... – powiedział.

– Powiedz mu, gdzie się poznaliście.

– Na autostradzie międzystanowej, zeszłego lata, niedaleko zjazdu do Bear Valley.

Oczy Raya zwięziły się, wpatrywały, czekały.

– Powiedz mu, Tony, co według ciebie zrobił.

Patrząc prosto w te oczy, nie był pewien, czy się na to zdobędzie. Ale spróbował:

– Zabiłeś moją żonę i córkę. – Czuł drżenie głosu, jakby mówił nieprawdę.

Teraz oczy Raya stały się wielkie, zucie ustało, poza tym żadnych innych zmian.

– Oszalałeś, człowieku! Nigdy w życiu nikogo nie zabiłem!

– Opowiedz mu całą historię, Tony.

– Ty i twoi kumple na autostradzie międzystanowej. Zmusiliście nas do zjazdu na pas awaryjny. – Schrypnięty głos. Drżący, wyduszany z gardła.

– Powiedz mu, kim byli jego kumple.

– Lou i Turk.

– Pamiętasz to, Ray? Pamiętasz, jak się wygłupialiście na autostradzie? Jak graliście w kotka i myszkę z innymi samochodami?

– Oszalałeś, człowieku – powiedział cicho Ray.

– Zmusiliście nas do zatrzymania się. Mieliśmy przebite koło. Lou i Turk zmienili oponę. Potem ty i Turk wsiedliście do tego auta z moją żoną i córką. A Lou kazał mi prowadzić wasz samochód.

– Co było dalej, Tony?

– Lou wywiózł mnie do lasu i wyrzucił na polanie. Musiałem wracać pieszo.

Musi się cieszyć, myślał Tony, że poniża mnie po raz drugi. Ma na twarzy maskę, ale pod nią na pewno się cieszy, mogąc to wszystko usłyszeć.

Głos Tony'ego nabrał mocy. Sam Tony ujrzał wszystko we właściwym świetle: tamto poniżenie dziś stało się zemstą.

– Wróciliście do lasu moim samochodem. Wołałeś mnie, chciałeś mnie zwabić w pułapkę. Pojechaliście na polanę, na której Lou mnie zostawił. A kiedy wyjeżdżaliście z lasu, chcieliście mnie zabić. Przejechać samochodem.

– Po co pojechaliście na tę polanę, Ray?

– Oszalałeś, człowieku!

– Powiedz mu, Tony, co tam znaleźliśmy.

– Ty mu powiedz.

– Muszę, Ray? Przecież wiesz, co tam było, nie?

– Obaj oszaleliście! Nie mam, kurwa, pojęcia, o czym mówicie!

– Na polanie były ciała – powiedział cicho Tony. – Mojej żony i mojego dziecka. Zawieźliście je tam i wyrzucili.

Dwa białe manekiny, a potem dwa płócienne kokony, przywołały tamtą rozpacz. Do oczu Tony'ego Hastingsa napłynęły łzy. Ray to widział. Zauważył łzy, które przez chwilę wzbudziły w nim tamtą żądzę. Maską opadła. Przez ułamek sekundy – niezbyt długo, ale wystarczająco, by nigdy go nie zapomnieć – Tony widział ten sam uśmiezek co zeszłego lata: sadystyczny i pogardliwy. Ten grymas wzbudził na nowo zapomnianą wściekłość i wymazał resztki niedawnej litości. Ray znów miał maskę na twarzy, ale było już dla niego za późno.

– Ty to zrobiłeś! – stwierdził z naciskiem Tony. – Ty!

– Co na to powiesz, Ray?

– Oszaleliście! Obaj!

– W porządku. Jedziemy do Grant Center. Chyba cię wsadzę, Ray.

– Popełniasz błąd, człowieku.

– Nie wydaje mi się, Ray.

Prowadząc samochód do Grant Center, Tony Hastings nie oglądał się za siebie. Przygryzł wargę – nawyk z dzieciństwa, pomagający mu wziąć się

w garść i trzymać nerwy na wodzy. Towarzyszyła mu gniewna radość i jechał bardzo szybko.

Osiem

Susan Morrow czyta dalej, nie przerywa lektury. Jest w euforii po schwytaniu Raya, czeka na to, co będzie dalej. Czuje się świetnie – służy jej radość wspaniałej fikcyjnej wściekłości.

Zwierzęta nocy 19

Rozszyfrować Raya. Za którym zatrzasnęły się z łoskotem kraty celi po drugiej stronie ulicy. Tony Hastings nie mógł usnąć w zimnym motelu. Wydobywał słowa, które kryły się za tym plugawym uśmiezkiem: Pamiętam cię, koleś! To ty pozwoliłeś nam odjechać ze swoimi kobitkami! Tak bywa, koleś, jak kto nie umie się zajmować tym, co do niego należy.

Rano poszedł na posterunek policji i zjadł w kantine śniadanie razem z Bobbym Andesem. Andes miał przekrwione oczy, głębokie bruzdy na jego twarzy unosiły mu górną wargę: obnażał zęby. Wściekłość i frustracja naznaczyły jego oczy, nos i całą twarz. Niósł tacę jak starzec. Kulał, czego Tony wcześniej nie zauważył. Miał matową skórę.

– Kurwa – powiedział.

– Co?

– Powiedziałem: kurwa.

– Tak mi się wydawało.

Pochylił się nad jajecznicą, dopychał palcem to, co wypadło mu z ust. Przy trzeciej filiżance kawy usiadł swobodniej na plastikowym krześle.

– Posłuchaj – odezwał się. – Mam zamiar zabrać twojego kumpla Raya na małą, odświeżającą pamięć przejażdżkę. Chcę, żebyś z nami pojechał.

– Dokąd?

– Do punktów widokowych w okolicach Bear Valley.

Tony poczuł przerażenie.

– Czy muszę?

– Tak.

– Po co?

– Żeby odświeżyć mu pamięć.

Tony Hastings domyślał się, że Andesowi chodzi też o coś innego, ale wolał się nad tym nie zastanawiać.

Strażnik z bronią, gwizdkiem i kluczami otworzył stalowe zewnętrzne drzwi, a potem celę i wyprowadził Raya Marcusa w zielonym więziennym dresie. Bez czapki, bez baseballowego stroju. Ray Marcus miał łysinę, którą zapamiętał Tony.

– To znowu ty – powiedział.

– Zabieramy cię na przejażdżkę.

Wsiedli do dużego trójkolorowego wozu patrolowego ze światłami na dachu i tarczą wymalowaną na drzwiach. Policjant, który miał na imię George, usiadł za kierownicą, Tony obok niego, Bobby i Ray usiedli z tyłu.

– Gdzie jedziemy?

– Na wycieczkę.

– Po co on? – Ray wskazał głową Tony’ego.

– Interesuje się tą sprawą.

– Nie może z nami jechać. Nie możesz go zabrać.

– Coś ci powiem, Ray: mogę zabrać, kogo mi się żywnie podoba.

– Ale jego nie możesz! Jest uprzedzony. Będzie kłamał!

– Przykro mi, Ray, ale jak powiadają, gównu ci do tego.

– Przegrasz w sądzie!

– Tym lepiej dla ciebie, co nie, Ray?

George wjechał na główną drogę w dolinie i skręcił tam, skąd wczoraj przyjechali.

– Wracając do twoich praw, Ray, w tym samochodzie jest włączony magnetofon. Nagrywa każde twoje słowo.

– W porządku.

– Pojedziemy do kilku miejsc, które możesz znać. Jeśli nam o nich opowiesz, sąd uzna to za chęć współpracy. Jeśli niczego sobie nie przypominisz, o wszystkim opowie nam Tony.

Siedzący z przodu Tony oparł się o drzwi auta i przyglądał się Rayowi i Bobby’emu przez ramię. Ray cmokał jak niezadowolony z czegoś nauczyciel, kręcił głową, nie mogąc pojąć dziejącej się niesprawiedliwości.

– Jeśli uważasz, że powiem ci, kto zabił żonę i brata tego gościa, marnujesz czas.

– Brata, Ray?

– Kogokolwiek.

– Córkę, Ray, córkę. Jak można pomylić córkę z bratem?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć, kogo mu zabili!

– To wcale nie jest sprytne, Ray. W gruncie rzeczy to bardzo głupie i wstyd mi za ciebie. Bo to jest niemal przyznanie się do winy.

Ray opanował się, choć spiorunował wzrokiem Andesa.

– O czym ty, kurwa, mówisz! Jakie przyznanie się do winy! Co ty bredzisz!

– Głupota przez ciebie przemawia, Ray. Głupota każe ci udawać większego kretyna, niż jesteś.

Ray odwrócił głowę i wyrżał obrażony przez okno.

– Wiesz cholernie dobrze, że w lesie zamordowano żonę i córkę tego gościa. Nie trzeba być sprawcą zbrodni, żeby wiedzieć, kto zginął.

Ray dalej wyglądał przez okno.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Nie czytam gazet.

– Nie musiałeś czytać o tym w gazetach. Wczoraj powiedział ci o tym Tony.

– Nie słuchałem go.

– Podczas wieczornego przesłuchania pytałem cię o córkę ze dwadzieścia razy.

– W porządku. W porządku. Zamordowano córkę! Myślisz, że jestem idiotą?

– Uspokój się, Ray. Nikt nie chce zrobić ci krzywdy.

– Jak cholera!

– Pójdzie nam obu łatwiej, jeśli powiesz prawdę.

– Mówię prawdę.

– Powiedziałem „nam obu”, Ray. Czyli tobie też. Pójdiesz na współpracę, dostaniesz mniejszy wyrok.

– Mniejszy niż co?

– Mniejszy niż ten, jaki dostaniesz, jeśli nie pójdiesz na współpracę.

– Powiedziałem ci na przesłuchaniu, że mam alibi. I dlaczego to nie mogłem być ja. Czego jeszcze chcesz?

– Więc trzymasz się dalej tej historii?

– Kurwa! Jak mam się nie trzymać, jeśli to prawda!

– Opowiedz ją Tony’emu. Przekonaj go, żeby w nią uwierzył.

– Chuj mnie obchodzi, w co on wierzy.

– Ale mnie obchodzi, Ray. I to bardzo. Tony uważa, że zamordowałeś jego żonę i dziecko. Powiedz mu, dlaczego ich nie zamordowałeś. Powiedz, co robiłeś tamtej nocy.

– Sam mu powiedz.

– Zapomniałem. Już zapomniałem, co wtedy robiłeś.

– Skurwysyn!

– Przypomnij mi, Ray. Mamy włączony magnetofon, może dzięki temu nie zapomnę.

– Mówiłem ci i masz to też na taśmie! Tamtej nocy byłem z Leilą. Spędziłem z nią całą noc, wiesz, o co chodzi. Najsampierw oglądaliśmy mecz Bravesów z Dodgersami. Sześć do czterech, możesz se sprawdzić, kurwa mać. Piliśmy piwo i poszliśmy do łóżka. Dymanko. Spytaj się Leili. Pytałeś ją?

– Niech cię o to głowa nie boli, Ray.

– Więc lepiej ją zapytaj. To należy do twoich obowiązków. Jeśli tego nie zrobisz, nie potwierdzisz mojego alibi, a wiesz, co to dla ciebie oznacza.

– O mnie nie musisz się martwić, Ray.

Skręcili w prawo na czarną drogę prowadzącą do lasu. Wspinała się zygzakiem po zboczu. Tony przypomniał ją sobie, przypomniał sobie te ostre zakręty, to w jedną, to w drugą stronę. Oddychał ciężko.

– A skoro już mówimy o twoim alibi, Ray, przypomnij mi datę.

– Dziewiętnasty lipca. Mówiłem ze sto razy. Możesz se sprawdzić w ligowej tabeli wyników, jak mi nie wierzysz.

– Jesteś pewien, że to był dziewiętnasty? A nie dwudziesty albo dwudziesty pierwszy?

– Wiem, kiedy to było.

– No, tak. To pozwolisz, że zadam ci tylko jedno pytanie. Gdzie spędziłeś noc dwudziestego szóstego lipca zeszłego roku? Powtarzam: mówimy o dwudziestym szóstym lipca poprzedniego roku.

Zmieszanie.

– Czemu się o to pytasz? To nie było wtedy.

– Nie. Tylko zastanawiam się, czy pamiętasz, gdzie wtedy byłeś.

– Kurwa, to było rok temu, człowieku!

– No właśnie. Więc wytłumacz mi, Ray, dlaczego pamiętasz, co robiłeś dziewiętnastego lipca zeszłego roku, a nie pamiętasz, co robiłeś dwudziestego szóstego?

Popłoch. Zamglone oczy. Strach. Nagle na coś wpadł.

– To były chyba urodziny mojej mamy.

– Jesteś pewien, że to były urodziny twojej mamy, Ray? To łatwo sprawdzić, wiesz o tym.

Wahanie.

– Powiedziałem „chyba”. To znaczy, że może były, a może nie. Mogły być, ale nie były... – Znów na coś wpadł. – Pisali o tym w gazetach, dlatego pamiętam.

– Mów jaśniej, Ray, bo nie rozumiem. O czym pisali w gazetach?

– No, czytaliśmy o tym rano w gazecie, Leila i ja. Czytaliśmy, że zabili rodzinę tego gościa. No i któreś z nas powiedziało: „Ciekawe, nie? Ciekawe,

co robiliśmy, kiedy to się stało”. No, oglądaliśmy mecz, a potem poszliśmy do łóżka. – Ray spojrzał niespodziewanie na Tony’ego. – Przykro mi, że cię to spotkało, że straciłeś rodzinę. To wielka strata, człowieku, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– W gazecie następnego dnia rano, Ray?

Zastanowił się.

– Nie. Dzień później.

Minęli biały kościółek, a po chwili weszli szybko w zakręt, nad którym w lesie wciąż stała przyczepa. Jej widok był dla Tony’ego jak uderzenie obuchem w głowę, przeniósł wzrok na Raya, który na nią zerknął. Zerknął całkiem wyraźnie, choć udał, że niczego nie widzi, i znów włożył maskę. Rozszyfrowywanie myśli Raya, który myślał: Jesteście tacy sprytni, a nie wiecie nawet, gdzie się to stało. Tony spojrzał na Bobby’ego Andesa, który wpatrywał się w twarz podejrzanego.

Dojechali do rozwidlenia, gdzie zaczynała się droga prowadząca w dół, którą zszedł tamtej nocy. Po chwili skręcili w leśny dukt. Teraz dukt ten wydał mu się szerszy, a potem węższy i bardziej zarośnięty, niż go zapamiętał. Trawa między koleinami urosła już wysoko, a gąszcz zielonych krzaków zarastał ścieżkę i szorował gałęziami drzwi samochodu. Dukt skręcał ostro obok głązów, drzew i parowów. Minął już niemal rok, odkąd to miejsce wpisało się w pamięć Tony’ego, który nie mógł teraz uwierzyć, że był tu tylko dwa razy. Od tamtej pory na dukt spadły liście, konary drzew stały się gołe, potem przyszły śnieżyce, a wiosną spod śniegu przebiła się zieleń, a na gałązkach, gałęziach i konarach pojawiły się pączki. Cała ta zieleń była całkiem nowa, inna od tej, przez którą się przedzierał i którą sobie później przypominał. Była inna od krwawiącej na zielono udreki Tony’ego, jego rozpacz, zapomnienia, czasu, który minął; od wstydu, który sprawiał, że od tamtej pory wszystko stało się maskaradą, ukrywającą dawne zaniedbania i długą, głupią hibernację w pustym, zamkniętym domu.

Usłyszał udawane zdziwienie, udawany kretynizm głosu na tylnym siedzeniu:

– Co to za miejsce?

Przypomniał sobie tyrańskie brzmienie tego samego głosu w lesie: Koleś, żona cię potrzebuje! Spojrzał ponownie na twarz wyglądającą przez okno na drzewa, wpatrywał się w nią, jakby chciał zmusić oczy Raya, by się ku niemu zwróciły, by je zakłąć. Popatrz na mnie! Zdał sobie sprawę, że Bobby Andes odwrócił wzrok od podejrzanego i przypatruje się jemu. Z lekkim uśmiechem albo pozostałością po nim.

I Tony, a nie Andes, powiedział:

– Znasz to miejsce.

Ray patrzył na niego długo badawczo. A potem mruknął:

– Przysięgam, że nie znam.

Już nie udawał kretyna. Teraz w jego głosie kryła się z całą pewnością ironia, a jego wzrok nie wyrażał głupoty czy konsternacji. Tony Hastings miał przed sobą wroga – tamtego wroga. Jakby nie upłynął rok i nie musiał rozszyfrowywać tego nowego Raya. Bo jego słowa były zrozumiałe same przez się: No, cóż, koleś, tak łatwo ci nie pójdzie. Ty i twoi gliniarze sami kopiecie sobie dół, bo nie macie żadnych dowodów przeciwko mnie, macie tylko twoje słowo przeciwko mojemu słowu, a w sądzie to za mało.

Dojechali do polanki. Świeża trawa zarosła koleiny po policyjnych autach. Tony zauważył, że czegoś brakuje w krzakach, brakuje dojmująco – czegoś, czego nie widział.

– Chcesz wysiąść, Tony? – spytał Andes.

Tak, oczywiście. Podszedł do zarośli, gdzie je wtedy obie widział. Zbliżając się coraz bardziej, zdał sobie nagle sprawę, że może tutaj znaleźć coś, co do nich należało i co zostało przeoczone przez policję, i przezimowało. Taka ewentualność przeraziła go i chciał się zatrzymać, ale nie mógł. Stał przed rzędem krzaków i stwierdził, że nie pamięta, gdzie to było. Bobby Andes ujął go pod łokieć. Miał szkliste oczy.

Tony Hastings podszedł do okna, za którym siedział Ray. Spojrzał na niego z góry i powiedział:

– Chcę wiedzieć, czy przywiozłeś je tutaj żywe i zamordowałeś na tej polanie.

– Nikogo nie zamordowałem, człowieku! – Głos był teraz cichszy i szydrczy.

– Nie masz nam nic do powiedzenia, Ray? – spytał Andes.

– Już wam powiedziałem, że marnujecie czas.

Tony Hastings tak nie uważał. Z każdą chwilą był coraz bardziej świadom zdobytej niedawno władzy robienia i mówienia tego, na co ma ochotę. Odjechali z polanki. Kiedy skręcali na drogę, Tony wskazał rów i powiedział:

– W tym miejscu chciałeś mnie przejechać.

Ray wyszczerzył zęby, choć Andes tego nie zauważył. Kto ci kazał iść tą drogą, koleś? A w ogóle, to po coś tu przyjechał? Miałeś jechać na wakacje do Maine, nie?

Skręcili w drogę na szczyt wzgórza i zjechali po drugiej stronie. Przy zakręcie George stanął w wysypanej żwirem zatoczce przed przyczepą.

- Co teraz? – spytał Ray.
- Zajrzymy tam – powiedział Bobby Andes.
- Po co?
- Po nic.

Poszli wszyscy, Tony z tyłu wskutek nieoczekiwanego wstrząsu. George, policjant, trzymał Raya za ramię, a Bobby Andes wyjął klucz i otworzył drzwi. Tony wpadł w popłoch: za chwilę zobaczy miejsce, które rekonstruował nieustannie w wyobraźni. Nie był na to przygotowany, czy musi tam wejść? Bobby Andes nacisnął kontakt – światło wciągnęło Tony'ego do środka. Ściany przyczepy, które w jego wyobraźni były pokryte perkalową tapetą – taką jak zasłonka w oknie – miały jasnoszary kolor. Przy drzwiach stała mała kuchenka, w głębi widać było żelazne łóżko, na którym znaleziono odciski palców, i kosz pełen starych gazet.

- Przypuszczam, że zgwałciliście je na tym łóżku – powiedział Andes.
- Nigdy nikogo nie zgwałciłem.
- Znamy twoją kartotekę, Ray.
- Kurwa mać! Nikt nie wniósł oskarżenia! Nikogo nie zgwałciłem!

Tony stanął przed Rayem obok łóżka. Zdziwił go niewielki rozmiar tego mebla, przypominającego żelazną pryczę. Ray też był odrobinę od niego niższy.

– Chcę wiedzieć, Ray – powiedział z naciskiem. – Chcę wiedzieć dokładnie, co im zrobiliście. – Był zaskoczony siłą własnych słów, jakby nagle znalazł się pod parą.

– Musisz spytać kogoś innego, człowieku.

– Chcę wiedzieć, co mówiły. Chcę wiedzieć dokładnie, co powiedziała Laura i co powiedziała Helen. Tylko ty to wiesz.

Wpatrywał się w twarz Raya z bardzo bliska: w przekrwione oczy, za duże zęby, ironiczny uśmiezek. To prywatna sprawa, człowieku, między nimi a mną. Wybrałeś się na przechadzkę po lesie. Nie starczyło ci rozumu, żeby do nich przyjść, kiedy cię potrzebowały. Więc teraz to nie twój zaszany interes, co mówiły.

– Chcę wiedzieć, jak je zabiłeś. Chcę wiedzieć, czy zdawały sobie sprawę z tego, co się z nimi dzieje. Chcę wiedzieć, do cholery!

Chyba nie chcesz, człowieku. Ktoś taki jak ty, wychowany w pogardzie dla przemocy, mógłby się od tego porzygać.

– Przez co przeszły, Ray. Chcę wiedzieć, czy cierpiały. Chcę wiedzieć, co czuły.

Wcale nie chcesz, człowieku, wiesz, że nie chcesz.

– Odpowiedz mi, skurwysynu!

– Padło ci na rozum, koleś – odpowiedział Ray Marcus. Głos mówiący „koleś”. Kurwa, koleś, nie masz się co skarżyć. Myślałem, że już z nimi skończyłeś.

Oczy mówiły dalej. Powiedziałem, że cię potrzebuje. Jakbyś wyszedł, kiedy wołaliśmy... Nie umiałeś się nimi zająć, koleś. Myślałem, kurwa, że wyświadczam ci przysługę.

Miał przed sobą tę twarz: mały twardy podbródek, jak piłka baseballowa, przecięty bruzdą, niedopasowane zęby, lubieżny uśmiezek. Właśnie w niego – myśl szybko, czy zdołasz – tak, zdołasz, z zaskoczenia, zanim cię powstrzymają, z całej siły, prosto w niego. Bobby Andes chwycił Tony’ego za rękę i odciągnął.

– Spokojnie, spokojnie.

George wyjął broń i przykucnął nad Rayem rozciągniętym na podłodze obok kuchenki. Ray miał zakrwawioną twarz, rozbite usta i nos. Sekunda. Ray zerwał się na równe nogi, George wykręcił mu rękę na plecach, przygiął go do ziemi, a Bobby Andes stanął między nimi a Tonym. Kajdanki, szybko. Ray trzymał się za usta, wszędzie pełno krwi.

Ryczał do Tony’ego:

– Zafkarę cię, kurfooo.

– Co on mówi?

– Mówi, że nas zaskarży. Nie przejmuj się. Przez jakiś czas nikogo nie zaskarży.

– Fsyfkich waf, kurfa, zafkarę.

– Dam ci radę, Ray: na twoim miejscu nie podejmowałbym kolejnej próby uciezki.

– Uciefki? Kurfaaa, kurfooo.

Ray przykuty do George’a. Andes klepie go po ramieniu.

– Uspokój się, Ray. Załatwimy ci dentystę. Odzyskasz zęby. George? – George podał Rayowi chusteczkę.

Wrócili do samochodu.

– Ja poprowadzę – powiedział Andes.

George i Ray skuci kajdankami usiedli z tyłu. Tony na miejscu pasażera, jak poprzednio. Bobby Andes popatrzył na niego. Oczy mu lśniły.

– Całkiem nieźle – powiedział. – Nie myślałem, że masz w sobie to coś.

Tony Hastings, który nigdy w życiu nikogo nie uderzył, czuł się nadzwyczajnie. Dziki i szalony, pełen sprawiedliwego gniewu.

Susan Morrow uderza pięścią Raya Marcusa prosto w zęby i posyła go na podłogę obok kuchenki. Ha!

Odkłada maszynopis. Czas skończyć lekturę na dziś, choć przerywanie jej teraz wydaje się torturą. Kolejne bolesne interludium, zupełnie jak rozwód, narzucone przez nieprzystawalność praw rządzących lekturą do praw rządzących życiem. Nie można czytać przez całą noc, jeśli dźwiga się na swoich barkach taką odpowiedzialność jak Susan. Jeśli trzeba przerwać lekturę przed końcem, równie dobrze można zrobić to teraz.

W którymś momencie, kiedy czytała, Dorothy i jej kolega Arthur wrócili z randki, byli dobrze wychowani i przestrzegali wyznaczonych terminów. Od tamtej pory oglądali telewizję. Na górze, za zamkniętymi drzwiami, ciągle gra Wagner: Tristan zrównuje miłość ze śmiercią.

Idzie do łazienki rozradowana uczuciem, jakie przyniosło jej znokautowanie Raya, bez względu na powód, który nie musiał być taki sam jak powód Tony'ego. O co jej chodziło nie tak dawno temu, kiedy myślała o rozkoszy płynącej z niepohamowanej wściekłości? Na kogo dokładnie się wścieka? Na nikogo? Susan kocha każdego i ma dla wszystkich otwarte serce.

Przypomina więc sobie: przenosimy się do Waszyngtonu. Doprawdy? Pytanie zabił się, otorbiło jak gąsienica w kokonie, otuliło jedwabiem lektury. Ale wkrótce znowu się wyłoni i wtedy będzie musiała udzielić na nie odpowiedzi.

Czy powinna powiedzieć Dorothy i Arthurowi, że mają dać sobie spokój? Tłumi teatralny impuls nakrzyczenia na nich za to, że marnują młodość przed telewizorem. Telewizja, wyjazd do Waszyngtonu i znokautowanie Raya łączą się jakoś w jej głowie, jakby chciała w rzeczywistości rozbić telewizor. Wyobraża sobie przybysza z kosmosu, który zadaje jej pytanie, na czym polega różnica między gapieniem się w telewizor a gapieniem się w książkę. Martha i Jeffrey, jej ulubieńcy, którzy nie potrafią pojąć, dlaczego stanęła jak wryta, jak zaczarowana. Wolałaby nikomu nie udowodniać, że umiejętność czytania czyni z niej osobę kulturalną i cywilizowaną.

Drugie interludium

Jeden

Obudź się. Światło, jasny kwadrat, okno, właz w podłogze zamyka uciekający umysł. Bezrozumna szczelina przed pojawieniem się rozumu, świetlista i kwadratowa, wita ją przypomnieniem podstawowych danych: Dzień dobry, Susan, dziś mamy taki i taki dzień tygodnia, tę i tę godzinę, ubierz się i zajmij realizacją planu dnia.

Jest uporządkowana i rygorystyczna. Ale przez chwilę uciekający świat nadal ją oślepia jak mróz na szybie. W tym świecie wszystko się łączy ze wszystkim: Edward, Tony, rozmaite umysłowości Susan, z których jedna prowadzi do drugiej i z powrotem – te same, ale wymienne. Odzyskuje wzrok, wyłaniają się różnice i Susan znów staje się czytelniczką, a Edward pisarzem. Ale gdzieś tam pozostaje wizja Susan jako pisarki – jakby nie było między nimi różnic.

To zaintrygowało ją na tyle, że zatrzymuje się w kuchni po śniadaniu, przystaje z talerzem w ręce, próbując racjonalnie stwierdzić, cóż to może oznaczać. Obserwuje siebie. Widzi słowa. Mówi do siebie przez cały czas. Czy to czyni z niej pisarkę?

Myśli. Jeśli pisanie polega na oddawaniu językiem myśli, wszyscy piszą. Potrzeba rozróżnienia. Słowa, które chce wypowiedzieć, to mowa, a nie pismo. Słowa, których nie da się wypowiedzieć, to marzenia – jak te, którymi posługuje się teraz, z nawyku do uogólniania. Tworzy reguły, prawa i opisy rzeczy. Robi to przez cały czas, zamykając myśli w słowach do przyszłego wykorzystania. Dokonuje kolejnej generalizacji: pisanie to ocalanie słów na przyszłość.

Jej pisarskie aspiracje zawsze były skromne: listy, prowadzony z przerwami dziennik, wspomnienia o rodzicach. List do redakcji o prawach kobiet. Kiedyś bez wątpienia pragnęła więcej, choć tak samo pragnęła zostać kompozytorką, łyżwiarką i sędzią Sądu Najwyższego. Pozbyła się tych pragnień bez żalu, jakby to, czego się pozbywała, było nie pisanem, ale czymś innym, mniej ważnym.

Musi przeprowadzić rozróżnienie między pisarką, którą być nie chciała, a pisarką, którą zawsze była. Jasne, że to, czego nie chciała, dotyczyło nie pisania, tylko następnego kroku: rozpowszechniania. Adaptowania jej słów, nagłaśniania ich i reklamowania, żeby skłonić innych do czytania. Jest to skomplikowany proces, który zamyka się w słowie „publikacja”. Krząta się po

domu tego dnia, który początkowo jasny, potem staje się coraz bardziej pochmurny i zapowiadający śnieg dnia, i uznaje, że to niedobrze, iż zrezygnowała z szansy na publikację, gdyż tym samym zrezygnowała z szansy na prowadzenie pisarskiej rozmowy, odczytywania konsekwencji własnych słów w innych słowach pochodzących ze świata. Ta rezygnacja nie przysłużyła się także jej poczuciu własnej wartości, ale miała za przykład Edwarda (od którego to wszystko się zaczęło). Wie wszakże, iż jej umysł nie jest gorszy od jego umysłu, a gdyby poświęciła tyle czasu co on na praktykowanie rzemiosła, mogłaby napisać równie dobrą powieść.

Więc dlaczego nie napisała? Miała inne priorytety. Jakie? Męża, dzieci, nauczanie angielskiego na pierwszym roku w college'u? Musiały być inne powody. Coś w procesie publikacji, co ją lekko zniechęciło. Z czym spotkała się w dawnych czasach, kiedy Edward walczył o to, żeby zostać pisarzem. Pamiętała o tym, kiedy sama usiłowała pisać. Nieszczerość, subtelne przekłamania narzucane jej, jak się wydaje, podczas pisania czegoś, co mieli przeczytać inni. Nieprzyjemne uczucie okłamywania się. Nawiedzało ją wtedy i nawiedza ją teraz podczas skromnych prób pisarskich: listów, świątecznych kartek, które kłamią bez względu na to, co w nich pisze lub czego nie pisze.

Obecność innego – oto powód. Inny, czytelnik, zatruwa to, co pisze ona. Jego uprzedzenia, gust, zwykła inność kontrolują i cenzurują to, co mogłaby powiedzieć jak hollywoodzki producent albo specjalista od rynku. Wszelako nawet nieopublikowane książki w jej duszy są rozdzielone przepaścią między ich ostatecznym kształtem a zawartymi w nich zdaniem. Zdania wszystko upraszczają. Nie tylko upraszczają, ale też upośledzają, zabagniają, tworzą dodatkową przeszkodę – niejasność. Tworzy przejrzyste zdanie poprzez przycinanie, przesadę, zniekształcanie i zamazywanie farbą tego, czego brakuje. To daje jej złudzenie przejrzystości lub głębi, które przedkłada nad prawdę, i wkrótce sama zapomina, że przejrzystość i głębia prawdą nie są.

Immanentna nieszczerość pisania zniekształca samą pamięć. Susan pisze dziennik jak powieść. Ale powieść nie jest rozbłyskiem wspomnień, bo wspomnienia powstają przez długi, bardzo długi czas, przechowując w każdym wpisie jak w komórce wszystkie kolejne i przyszłe rozbłyski. Przekształcają pamięć w tekst, uwalniając umysł od konieczności przekopywania się przez własne zasoby, polowania na rozbłyski. Takim tekstem są spisane dawno temu wspomnienia o Edwardzie, o wczesnym Arnoldzie i ich małżeństwie. Zobligowana teraz do przeczytania tych starych wpisów, nie może ich nie przepisywać, nie może ich nie poprawiać. Przepisuje je więc najlepiej, jak umie, usiłując przywołać złudzenie żywej

pamięci, bo tradycyjna narracja jest już całkiem martwa.

Dwa

Powinna była wiedzieć – zgadzając się na przeczytanie książki Edwarda – że to się tak skończy. Powinna była przewidzieć, że Edward stanie przed nią jak żywy, jakby nie minęło dwadzieścia lat. Że wraz z Edwardem przypomni sobie rozwód i wczesnego Arnolda, i inne sprawy, których wołała nie poruszać. Ale czy mogła przewidzieć takie podniecenie połączone z zaniepokojeniem? Zaniepokojenia nie rozumie. Jest nieproporcjonalne do całej sprawy. Zastanawia się, czy sama powieść, sprawa Tony’ego, oddziałuje na nią w jakiś niezbadany sposób, pominąwszy już zmartwychwstanie Edwarda. Gdzieś tu kryje się zagrożenie, ale nie wie, na czym ono polega ani skąd pochodzi. Próbuje się tego dowiedzieć, zagłębiając się we własną pamięć podczas pracy w domu.

Sytuacja wyglądała tak: Susan była żoną Edwarda, któremu pisanie powoli odbierało rozum, a Arnold był mężem Seleny, której rozum odebrał nóż do krojenia mięsa. W przepisywaniu pamięci dokonywanym przez Susan kryje się pewien problem: jak przejść od tamtych stosunków małżeńskich do obecnych.

Sześć mieszkań, po dwa na każdym piętrze po obu stronach schodów. Susan i Edward mieszkali pod dwa b, a Arnold i Selena w trzy a. Za domem był trawnik ogrodzony płotem, a na trawniku rosło jedno drzewo i stały dwa drewniane stoły. Przy stołach urządzano pikniki: hamburgery, kukurydza gotowana w garnku na węglowym grillu. Susan i Edward nie znali Arnolda i Seleny. Arnold był nerwowym młodym stażystą w szpitalu, pracował o nieprawdopodobnych porach, ale tamtego dnia miał akurat wolne. Selena była przepiękna, była najpiękniejszą kobietą, jaką widział Arnold. Kruczoczarne włosy, szmaragdowe oczy, sztuczne rzęsy, skóra biała jak śnieg; uśmiech: promienny i wibrujący; głos: cichy i łagodny. Flirtowała z panami, paniami i dziećmi jak kocica. Wydawała się tak napięta, jakby przepływał przez nią prąd elektryczny. Arnold z kolei był duży, misiowaty i przejęty, kręcił się wokół Seleny, przynosząc jej hamburgery, colę i słodycze. Zachowywał się w sposób godny i nie mógł uwierzyć, że Edward rzucił prawo – czym Edward się chwalił – żeby zostać pisarzem, i przyglądał się Susan w miły sposób. Miał jasne, krótkie, lekko kręcone włosy, podkoszulek, jasne włosy na mocnych rękach i jasne brwi. Pracował w szpitalnej izbie przyjęć i przeżywał szok przy każdym przyjęciu pacjenta, które opisywał

wstrząśniętym głosem, Selena zajmowała się dziećmi niczym piękna wróżka, a oczy Edwarda się szklily.

Potem spotykali się na schodach, Arnold i Susan z Edwardem, bez Seleny. Susan nigdy jej wtedy nie widziała, choć czasem słyszała na schodach jej operowy sopran.

Hospitalizowano ją w październiku, w połowie miesiąca, który Edward spędzał samotnie w lesie w towarzystwie maszyny do pisania. To było wygodne: jeden mąż i jedna żona odpadli, zostawiając drugą parę samą, żeby się nawzajem odkrywała. Wszelako żadne z nich nie miało takiego zamiaru, a podstawowym problemem Arnolda było odebranie noża żonie. Niedzielne popołudnie. Susan całkiem sama i samotna oglądała mecz footballu w telewizji, co przyznaje ze wstydem, gdyż nigdy nie interesowała się footballiem, ale była zbyt rozkojarzona, żeby czytać, wobec tego postanowiła wziąć się do prasowania, ale tuż przedtem zdobyto punkt przez przyłożenie. Więc oglądała mecz, myśląc nie o Edwardzie, ale o Jake'u, który zabierał ją na stadion w każdą sobotę i na trybunie wsuwał chłodną dłoń pod jej stanik. Wspominała to, kiedy rozległo się głośnie pukanie do drzwi: szybkie i na tyle nerwowe, żeby ją zaniepokoić. To ono przyniosło jej przyszłość. Pukał Arnold – duży i przerażony jak dziecko. Spytał, czy mogłaby mu pomóc przy Selenie, która dostała ataku. Nie wiedziała wtedy, że Selena miewa ataki, zrozumiała wszakże, że potrzebna jest pomoc, i pobiegła za nim na górę. Dopiero później przypomniała sobie, że jej życie z Edwardem zaczęło się również od udzielania pomocy.

Selena zamknęła się w łazience z nożem do krojenia mięsa. Uważaj na ten nóż, prosił Arnold. Po tych słowach Susan uzbroiła się w kij od szczotki. Doskonale pamięta to wejście do mieszkania Arnolda z kijem od szczotki trzymanym oburącz. Kij od szczotki miał służyć do wytrącenia noża z rąk szalonej kobiety, która była najpiękniejszą, jaką widział Arnold; choć Susan dowiedziała się o tym znacznie później, gdy Arnold powtarzał to więcej razy, niż było konieczne.

Weszli do mieszkania, drzwi były otwarte, przez świetliki wpadało chłodne światło, a Arnold zawołał: Seleno, przyszła Susan. Nie chcesz z nią porozmawiać?

Jaka Susan? Stłumiony głos brzmiał jak skrzypienie metalu za drzwiami łazienki w holu. Operowy sopran zniknął. Chryste, chcę wejść do łazienki! Jaka Susan? Sąsiadka? Poszedłeś po nią, ty bydlaku?

Nie wygłupiaj się, Seleno.

Daj mi skończyć.

Arnold do Susan, na boku: Zadzwoiłem do szpitala. Kogoś przyślą. Drzwi się otwały, Selena wyszła. Dżinsy i brudny biały podkoszulek, zmierzwiłone włosy, oszalała piękność. Zapomniała o nożu, który trzymała w ręce i przed którym Susan miała bronić się szczotką.

Cześć, Susan. Co u ciebie?

Arnold: Seleno, co masz w ręku?

(O, kurwa). Arnoldzie, powinieneś się wstydzić, skazując żonę na takie poniżenie. Sprowadzasz obcych, by brali udział w naszych domowych problemach. (Przepraszam, Susan). Ja nie zrobiłabym ci czegoś takiego. Nie sprowadziłabym sobie mężczyzny, żeby się przyglądał i wyśmiewał.

Nikt się nie wyśmiewa, powiedział Arnold.

Przy mnie. Oczywiście. Przepraszam, Susan. Przepraszam za Arnolda. Kroiłam mięso na obiad, więc nie rozumiem, po co to całe zamieszanie. Czy nigdy nie zdarzyło ci się, Susan, wejść do łazienki z nożem? Przez roztargnienie? Nie wynosisz czasem noży z kuchni, Susan Sheffield?

Uspokój się, Seleno, powiedział Arnold.

Przez te wszystkie lata Susan pamiętała najlepiej głos Seleny w chwili, gdy pojawili się sanitariusze: nie był operowy, był rozczarowany.

A więc o to ci chodziło. Mogłam się domyślić.

Duży zmartwiony Arnold, mieszkający sam podczas hospitalizacji żony, nieprawdopodobne godziny pracy, Susan zrobiło się żal. Schodzi po schodach o wpół do jedenastej w nocy, idzie do pracy w izbie przyjęć: wystawiła głowę przez szparę w drzwiach, żeby zapytać o Selenę i czy może jakoś pomóc. Nikt z obecnych nie mógł przypuszczać, że w przyszłości będą małżeństwem.

Co robić? W kolejce do kasy w sklepie stoi za nią, tłumaczy, że kupił sobie coś do jedzenia. Selena? Może puszczą ją do domu w przyszłym tygodniu. Widziała prosty, przyjazny, misiowaty wyraz jego twarzy, który tłumaczyła sobie jako nawiedzony, upośledzony przez nieodgadnioną przeszłość z Seleną, wymachującą regularnie nożem do krojenia mięsa, przez lata wzywania sanitariuszy, którzy ją zabierali na chwilę, a potem wypuszczali do domu – resztki najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widział – dopóki znów nie zaczynała bawić się nożem. Pełna współczucia Susan miała powód, żeby nie napisać do męża, który, równie regularnie jak Selena, oddawał się gdzieś w dziczy we władanie swojej muzie.

Nieszczęsny młody mąż, pichący sobie coś do jedzenia przed koszmarnymi dyżurami w szpitalu. Czy mogła nie zaprosić go na obiad? Pytajcie: Czy mogła nie mieć sumienia w kolejce do kasy, za którą siedziała

stara obojętna kasjerka? Czy mogła się przejmować niestosownością ugotowania obiadu dla męża kobiety zagubionej w labiryntach swojej psychiki? Ona, żona męża zagubionego w lasach? Był to jeden z owych kluczowych momentów w historii, do których wracają – ze względu na konsekwencje – ludzie pokroju Susan.

Czy grzechem jest dobry uczynek wobec cudzego, chwilowo pozbawionego żony męża, który sam sobie gotuje albo jada byle co u Gordona? Czy uczynek ten nadal jest dobry, jeśli własnego męża nie ma w domu? Każdy medal ma dwie strony. Po jednej widać to, co myślą o tym sąsiedzi. Susan zupełnie się nimi nie przejmowała: mieli własne, bardzo odległe sprawy i nie pamiętała nawet ich imion z letnich pikników. Po drugiej stronie widać to, co samemu się myśli. Ma się do wyboru dwie opcje: po pierwsze, można w ogóle nie myśleć. Z nieskalanej niewinności biorą się zmiany, których nikt nie mógł przewidzieć. Drugą opcją jest myślenie do woli. Ale to oznacza, że istnieje coś, o czym trzeba myśleć. Rozumowała tak: sprawa ta stanie się kwestią wartą rozważenia, jeśli za taką ją uznają z Arnoldem. Rzecz jasna nie uznawali, gdyż chodziło przecież o zwykłą sąsiedzką przysługę, wyświadczoną przez dobrą sąsiadkę, harcerkę, przyjaciółkę. Befszytk, przysmażone ziemniaki, sos, pieczywo, mrożony groszek. Twarzą w twarz przy małym stole w jadalni, przy którym siadywała z Edwardem. Rozmowa o Selenie i Edwardzie. O życiu w izbie przyjęć. O jego godzinach pracy, zabójczych dyżurach przez całą noc i następny dzień. Prawie się nie znali. Próbowwała odgadnąć, jaki jest naprawdę i jak dał się opętać komuś takiemu jak Selena. Jeśli dał się opętać tej najpiękniejszej... Jak to o nim świadczyło? Uznała, że jest zwykłym durniem, choć trzeba przyznać, miłym durniem. Wzmacniała indukowany winem smutek, który się z niego wylewał podczas rozmowy o matkach, ojcach, braciach, siostrach i dawnych nadziejach z czasów sprzed Seleny i problemów, jakie ze sobą przyniosła. Powoli godził się już z myślą, że nie zapewni rodzicom wnuków – był to tego rodzaju smutek. Godził się z myślą o okresowych hospitalizacjach – taki smutek też. Towarzyszył mu strach, gdyż przez resztę życia będzie miał do czynienia z zamiennikami noży do krojenia mięsa. Z tym wszystkim będzie musiał żyć, a ona pozwoliła mu o tym mówić.

Żadnej myśli o tobie i o mnie. Edward wracał za dwa tygodnie: kreował własną przyszłość jako pisarza. Arnold słuchał tego nieuważnie. Problemy Edwarda zupełnie go nie dotyczyły.

Nie był to wszakże zwykły obiad, zgodzisz się z tym, prawda? Zapalone świece nie były potrzebne, nie były nawet zamierzone. Podobnie jak kwiaty

(hibiskus z kuchni) na środku stołu i srebrne sztucze babci, i porcelanowa zastawa. Myślała o nim: to dobroduszny sąsiad, facet, który ma problem i który musi się najeść przed pójściem do pracy. A potem – pięć minut przed jego przyjściem, kiedy mięso było już prawie gotowe – wpadła w przerażenie nędzą, jaka panowała w pokoju w zwykłym dziennym świetle. Potrzebny jej był półmrok z płomykami świec, żeby ukryć prostotę otoczenia. Nie było to takie łatwe, bo pokój nie różnił się od tego, w którym jadała obiady z Edwardem, a jego wyraźna nieobecność sprawiała, że wszystko wydawało się barbarzyńsko gołe. Więc jedyne, co jej przyszło do głowy, żeby ukryć ten brak, to świece. Świeczniki dostali w prezencie ślubnym i używali ich tylko raz; odkurzyła je i osadziła w nich świece z szuflady.

Lecz nawet w świetle świec Susan Sheffield i Arnold Morrow pozostali w przebraniu: ona, żona swojego męża, i on, mąż swojej żony. Mimo to usłyszała ten wysoki ton we włosach, w uszach, w szyi i w splocie słonecznym – ton ten sprawił, że chwila stała się nadzwyczajna. Elektryczne napięcie, jak u Seleny na pikniku, jak u Seleny mruczającej jak kotka, jak u Seleny, której masa była w pełni przekształcalna w energię w Einsteinowskim sensie $e=mc^2$. Elektryczna Selena zmieniona w elektryczną Susan, jakby Arnold był transformatorem. Myśli: Jakże łatwo być wolną, jakież cudowne rzeczy można robić podczas błogosławionej nieobecności Edwarda. Jeśli jest się osobą, która może robić takie rzeczy. Susan taką osobą nie była. Susan była Susan. Z Edgar's Lane. Nauczycielką angielskiego na pierwszym roku, dobrze zorganizowaną, spójną i zwartą, zgodną z zasadami gramatyki, z marginesami po obu stronach, zawsze gotową do bycia lepszą, wznioślejszą. Tę Susan nawiedzały rozkoszne, szalone myśli o górach i lasach, i bystrych strumieniach, w których pluskały się rybki, ponad którymi przelatywały ptaszki; myśli koncentryczne i falliczne, z penisami przebijającymi się przez mgłę, z badaniem jaskiń w dwupłciowym nimbie. Ale myśli były tylko myślami – niewypowiedzianymi, niewprowadzanymi w czyn. Były nieobecnym podbrzuszem Susan Łaskawej.

Nie wydarzyło się nic, o czym mógłby zameldować Edwardowi czy Selenie sąsiad podsłuchujący z magnetofonem pod stołem. Mimo to, kiedy Arnold sobie poszedł na conocone spotkanie z krwią i kośćmi, atakami serca i okaleczeniami czy nawet obciętymi głowami, Susan była tak podniecona tym najwyższym tonem, że ledwo mogła to znieść. Musimy to powtórzyć, kolejny raz mówiła sobie w duchu, poznawszy coś, czego zapragnęła, ale o czym jeszcze nie pozwalała sobie myśleć. Kiedy stał już w drzwiach,

wdzięczny i misiowaty, spytała: Zjesz ze mną obiad pojutrze?

Położyła się do łóżka, usiłując sobie przypomnieć, jak to było kochać Edwarda. Następny obiad, jaki ugotowała dla Arnolda, był odważnie mało wykwintny i funkcjonalny, podała go w świetle gołej elektrycznej żarówki, ale nie opierała się później temu, co robił z nią Arnold w małżeńskim łóżu Edwarda, gdy Selena ciężko dyszała, usiłując usnąć w pasach w szpitalnej sali, a przygnębiony właściciel łóżka próbował odnaleźć siebie w leśnej chacie. Kiedy Arnold tej samej nocy wrócił do kryzysowej izby przyjęć, Susan wzbudzała w sobie spóźniony żal.

Trzy

Susan i Arnold – tak szacowni w późniejszym czasie – cudzołożyli w przerwach między nauczaniem w college’u i obowiązkami w izbie przyjęć. Najpierw w łóżku Edwarda, w ciemnej sypialni, której okna wychodziły na ślepy zaułek – w sypialni pełnej książek, z koszem na brudną bieliznę, ze skrzynką na pomarańcze i małym telewizorem – a później w łóżku Seleny, w sypialni, której duże okno wychodziło na dachy, z otwartą garderobą, w której wisiały zwiewne suknie i unosił się zapach perfum.

Kiedy ta młoda Susan ujrzała na łóżku Edwarda niepokojący penis Arnolda, ukazujący się jej oczom z nabrzmiałą celowością, usłyszała w głowie gong. Zaraz potem usłyszała drugi, kiedy zgodziła się wpuścić go do środka. Bim-bom, powiedział jej rozum, żegnaj, Edwardzie. Witaj, Arnoldzie. Była wstrząśnięta sobą – tym, kim była. Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, że małżeństwu – jej małżeństwu – coś może zagrażać.

Nie chciała, żeby się skończyło. Było skończone i nie było. Edward wróci i o niczym się nie dowie, a Arnold wróci do Seleny, a Susan już na zawsze zostanie niewierną żoną. Naelektryfikowana radość nowości! Zderzała się głową ze złem, które wyrządzała. Skrzywdzony Edward, zdradzone ich wspólne nadzieje – gdyby tylko wiedział! Stała się kobietą ze skazą, z tajemnicą. Spytała o to Arnolda, który wszystko już wiedział.

Kto mu powie, zapytał retorycznie, ty? W jego filozofii seks – którego znaczenie jest przesadnie podkreślane przez osobników wiążących z seksem własne ego – z Susan nie miał nic wspólnego z odpowiedzialnością za Selenę (której nigdy nie porzuci) ani też z odpowiedzialnością Susan wobec Edwarda. Arnold gardził zazdrością – najgłępszym z uczuć, które jest wyrazem poczucia własności i władzy, uznających, że są miłością. Taką mam filozofię, powiedział, kiedy leżeli bezwstydnie w pościeli, gawędząc ze sobą w postcoitalnym znużeniu.

Pamiętała, że użyła podobnego argumentu (seks jest czymś naturalnym), żeby uwieść Edwarda. Ale sytuacja była inna. Doprowadziła, po pierwsze, do małżeństwa. A teraz temu pikantnemu smaczkowi grzechu (lub natury – wszystko jedno) towarzyszył rozbłysk lepszego życia. Zanim Arnold pokazał jej to swoje niepokojące coś, pomyślała: Gdybym tylko mogła za niego wyjść! Przez dwa tygodnie podczas tego niezobowiązującego, wyzutego z ego romansu porównywała przewagę Arnolda nad starym nieszczęsnym

Edwardem.

Był bardziej umięśniony, pyzaty na twarzy, jasnowłosy, mezomorficzny w przeciwieństwie do ektomorficznego Edwarda; był łatwiejszy we współżyciu i bardziej naturalny. Zachowywał spokój i miał łagodne (jak do tej pory) usposobienie. Był bezpretensjonalny, inteligentny (bez pozy intelektualisty), będzie bez wątpienia błyskotliwy w swojej dziedzinie i atrakcyjnie tępy we wszystkich innych. Podobał się jej ten brak intelektualnej pozy, jego uznanie dla jej własnej umysłowości. (Później, kiedy pojawiła się kwestia małżeństwa, łatwo dał się przekonać do porzucenia swojej filozofii, z której zrezygnował bez słowa sprzeciwu w uznaniu dla potęgi jej umysłu. Tak jej się przynajmniej wydawało).

Ale najpierw czuła się okantowana. Zazdrościła Selenie, która nie potrafiła docenić tego, co miała, a co Susan mogła tylko pożyczać. Zająła się zwykłymi obowiązkami – uczeniem, ocenianiem esejów, kupowaniem – lecz była tak naelektryzowana (pośrednio przez Selenę), że myślała z przerażeniem o powrocie Edwarda, zupełnie jak Kopciuszek po balu. Seks z Arnoldem miał powab i czar – Arnold nie był co prawda doskonałym kochankiem, więc chodziło zapewne o okoliczności czy inność... Dzisiejsza Susan nie potrafiłaby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Arnold był tak powabny...

Czuła się nie w porządku wobec Edwarda i usiłowała sobie przypomnieć, dlaczego go pokochała. Dzisiejsza Susan ma z tym jeszcze większy kłopot, gdyż po ślubie z Arnoldem musiała ze wszystkich sił uczynić pamięć o Edwardzie nieznośną. Próbowwała go odbudować jak zburzony zamek, zbierając okruchy czasu i miejsc unieśmiertelnione miłością lub czymkolwiek – wkrótce zamek legł w gruzach po raz drugi, nieodwołalnie. Pamięta żal, jakby odbudowywała nie tylko Edwarda, ale też Edgar's Lane albo dzieciństwo, albo matkę czy coś w tym rodzaju.

Co poszło nie tak? Nie mogła rozwieść się z Edwardem i wyjść za Arnolda, żeby usprawiedliwić pozamażeńską przygodę. Miała wobec Edwarda wiele zarzutów. Nie liczyła na to, że zostanie pisarzem; była wściekła, że wyrzekł się wszystkiego i pozwolił, żeby go utrzymywała z nauczycielskiej pensji. Nie brała pod uwagę, że będzie znikał na całe miesiące, żeby się odnaleźć. Miała mnóstwo powodów, żeby się wkurwiać; mnóstwo, prawda, Susan?

Z drugiej strony dzisiejsza Susan pamięta, jak – chcąc zachować status quo – znajdowała i pielęgnowała smętne resztki uczuć, zupełnie jak małe, żywe albo wypchane zwierzątka. Edward był jej drogi. Pielęgnowała też to, co odnalazła ostatnio: Arnold również był jej drogi. Ponieważ zarówno drogi Arnold, jak i drogi Edward byli pod tym względem bardzo do siebie podobni,

stali się jednym i tym samym wypchanym zwierzątkiem, które w oczach Susan było wprost bezcenne.

Arnold i Susan zaplanowali orgię przed powrotem Edwarda, ale nic z tego nie wyszło ze względu na nagłą zmianę dyżurów Arnolda. Poświęciła wieczór na sprzątanie mieszkania. Musiała je doprowadzić do stanu umysłowości Edwarda, a odrobina pracy wpływała dobroczynnie na jej stan ducha. Gdyż była niemal w panice, nie zaplanowali bowiem z Arnoldem kolejnego spotkania, a ona nie miała pojęcia, jak powinna wyglądać ich przyszłość. Zapomnieli o tym porozmawiać.

Potem Edward wrócił do domu. Zadzwoił z jakiegoś miasteczka po drodze i zjawił się na obiad. Cieszył się z powrotu, biedny Edward, do kochanej Susan. Wypili drinka i zjedli obiad, a Susan zastanawiała się, czy jest na tyle przenikliwy, żeby dostrzec głębokie zmiany, jakie zaszły w ich małżeństwie. Niewierność żony. Nie dostrzegł. Był przygnębiony, był przygnębiony przed wyjazdem i nadal czuł przygnębienie. Las go zawiódł. Susan spuściła nos na kwintę. Mówił tak dużo, że nie potrafiła mu współczuć, choć starała się jak nigdy dotąd. Nic nie osiągnął. Wyrzucił wszystko, co napisał w leśnej chatce. Dlaczego? Nie dosłownie, zabrał ze sobą parę stron, ale wszystko, co napisał, wyrzucił z głowy.

Przez cały wieczór, słuchając jego lamentu, zastanawiała się, co by było, gdyby wiedział. Był zbyt zajęty sobą, żeby cokolwiek zauważyć. Poszli do łóżka. Poczula zaniepokojenie. Woląta sposób, w jaki robił to Arnold – delikatniejszy i wolniejszy od sportowych wyczynów Edwarda – ale wmawiała sobie, że woli Edwarda, i na nowo wzbudzała w sobie miłość, bo co miała zrobić?

Przestała widywać Arnolda, nawet na schodach. Żadnej wiadomości. Po tygodniu dowiedziała się, że Selena wróciła do domu. Ukrywając zdenerwowanie, opowiedziała Edwardowi o nożu do krojenia mięsa. Musiała, gdyż sprawa ta była znana publicznie. Nie był nią zbyt zainteresowany.

Doszła do wniosku, że brak wieści od Arnolda oznacza koniec romansu. Była skonsternowana i zła, ale wykorzystała tę złość z pożytkiem dla Edwarda. Zaangażowała się w jego problemy. Potrafił to docenić. Nie chodzi o to, że nie jest pisarzem, tłumaczył, chciał tylko osiągnąć wszystko za szybko. Musi przejść spokojnym krokiem przez okres młodzieńczy. Próbowwała udzielać mu rad, nie raniąc przy tym jego uczuć. Jego uczucia łatwo dawały się zranić. Stał się przewrażliwiony i zależny od niej. Wyszperał skądś swoje literackie pierwociny i pytał, co jest nie tak z jego stylem. Z tematyką. Bądź

szczerą, nalegał, więc spróbowała, spróbowała wytłumaczyć mu, co ją irytuje. Popęłała błąd. Nie musiałaś być aż tak okrutna, powiedział.

W głębi duszy (dzisiejsza Susan to rozumie) chciała, żeby przestał pisać i zajął się czymś naprawdę. Nie znaczy to, że pisanie jest na niby, ale uważała, że Edward wpadł w sidła romantycznego marzenia, do którego się nie nadawał. Był tak samo mieszczański jak wszyscy inni. Miał logiczny, dobrze zorganizowany umysł i z pewnością odniósłby sukces na kierowniczym stanowisku, podczas gdy pisanie było dla niego chorobą, na którą zapadło jego ego – zaraziwszy się gdzieś – chorobą wstrzymującą rozwój. Usiłowała tak nie myśleć, bo czuła się hipokrytką, zachęcając go do dalszej pracy, na czym bardzo mu zależało. Kiedyś poprosił ją, żeby była brutalnie szczerą, więc podjęła próbę wytłumaczenia mu tego wszystkiego. Spytała, czy jest wystarczająco utalentowany, żeby osiągnąć to, co zamierzył. Czy musisz być akurat pisarzem? – pytała. To był błąd. Zareagował tak, jakby kazała mu się zabić. Równie dobrze mogłabyś mnie prosić, żebym przestał widzieć, powiedział. Pisanie jest jak widzenie, mówił, a niepisanie jest ślepotą. Nie popełniła tego błędu po raz drugi.

Krótki list od Arnolda, wysłany na uczelnię: „Chcę ci tylko powiedzieć, że Selena wie. Nie ma problemu, wszystko jest pod kontrolą”.

Selena wie. To zmusza do postawienia paru pytań. Skąd wie? Sam jej powiedział czy się domyśliła? Czy doszło do awantury? Czy Selena znów zapragnie noża do krojenia mięsa? Jak należy rozumieć fakt, że wiadomość ta jest jedyną, jaka nadeszła od Arnolda od czasu powrotu Edwarda?

List zwiększył prawdopodobieństwo, że Edward wszystkiego się dowie. Susan i Arnold mogą milczeć, ale Selena nie ma powodu. Edward siadał do stołu, jakby popadł w niełaszkę, myśląc tylko o swojej porażce, a Susan zastanawiała się, co robi Selena, kiedy dostanie ataku. Nikt nie będzie musiał mówić o tym Edwardowi wprost, wystarczy, że usłyszy plotki, które nawet odludków oplatają jak pnącza trującego bluszczu.

By zapobiec wstrząsowi nagłego odkrycia prawdy przez Edwarda i towarzyszących mu rozpacz i utracie wiary, chcąc uniknąć własnego zażenowania i poniżenia, powinna wszystko mu wyznać w taki sposób, by dowiedział się o zdradzie na jej warunkach. Dobrowolne przyznanie się do winy da mu pewność, że sprawa dobiegła końca. Zapomniałam się podczas twojej nieobecności, źle znoszę samotność, mówię ci o tym z własnej woli, żebyś mógł mi dalej ufać i wierzyć. To już się nie powtórzy.

Mijał czas. Łatwiej jest zaplanować takie wyznanie, niż wprowadzić je

w czyn. Arnold nie dawał znaku życia; zastanawiała się, czy sprawa wybuchnie. Spotkali Selenę na schodach. Susan i Edward szli na górę, Selena schodziła. Obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem. Na Edwarda spojrzała inaczej – z zamyśleniem. Susan zamarło serce. O co chodzi, spytał Edward. Nieśli torby z zakupami.

Jak mu to powiedzieć, jak przekazać mu tę informację? Czego się bała? Że zrani jego uczucia? Pogłębi przygnębienie? Doprowadzi do samobójstwa? Nie udawaj, Susan, bałaś się czegoś jeszcze! Że go stracisz? Raczej, że stracisz twarz. Domowy status. Że zdrada rzuci na ciebie nowe światło. Nie mówiąc już o zwykłej awanturze, która wybuchnie, o anarchii uczuć w najczystszej postaci.

Najpierw powinnaś zastanowić się nad swoim stanowiskiem. Chciała zostać z Edwardem. Kochać go, dać mu pewność, być pokorna. Taktyka: chwila, w której najłatwiej go podejść, kiedy leży obok niej w łóżku, całkiem nagi, i bawi się jej włosami, oplata ich kosmyk wokół jej nosa, co sprawia mu ulgę w cierpieniach. Edwardzie, mój kochany, muszę ci coś wyznać. Nie, to zbyt proste. Zbyt bezpośrednio. Trzeba mu to ułatwić: Edwardzie, mój drogi, przypuśćmy, że twoja żona... Nie, nie tak.

Można mu to zasygnalizować pośrednio, obsypać go czułością, dać mu taką pewność miłości, że zanim cokolwiek mu powie, będzie wiedział, że nie chciała go skrzywdzić. Może stanąć za nim podczas lunchu, przyłożyć policzek do jego ucha i powiedzieć, mój najdroższy, mój Edwardzie, jakże cię kocham.

Najlepiej zrobić to przypadkowo podczas zwykłej krzątania. Dzień za dniem przyglądała się Edwardowi, który mówił, żuł, podpierał głowę, jęczał, czał. Wiedziała, że o niczym nie ma pojęcia. Zmiana dopiero nadejdzie, jeszcze nie ujawniły się jej konsekwencje.

Najlepiej wściec się na niego i rzucić mu to w twarz, mieć za sobą własną krzywdę, która zrównoważy krzywdę Edwarda. I tak się to wydarzyło: podczas rozmowy o pisaniu, które było jedyną sprawą, o jakiej obecnie rozmawiali. Powiedziała: Chryste, powinieneś być skończyć to prawo! Odpowiedział: Popelniasz zdradę, mówiąc w ten sposób.

Warknęła: Nie masz najmniejszego pojęcia, czym jest zdrada.

Edward z naciskiem: Nie ma większej zdrady niż to, co powiedziałaś.

Nie ma? No i wywaliła mu to prosto z mostu. Co prawda bez wściekłości i gdy tylko nadarzyła się okazja, spokorniała, a nawet zasmuciła się, ale powiedziała mu o tym tak czy inaczej i dodała: Zresztą to już bez znaczenia, bo wszystko dobiegło końca. Ten romans nie miał przyszłości. Nie kochałam

go.

Edward jak dziecko. Wpatrywał się w nią wielkimi oczami, jakich nigdy u niego nie widziała. Potulne pytania: Z kim? Gdzie? Kiedy? Chcesz się rozwieść? Czy było warto?

Jęknął, wyciągnął ręce w górę, obszedł pokój, eksperymentując z własnymi reakcjami. Co mam zrobić? – spytał. Jak mam się zachować?

To wszystko, co zapamiętała. Nie wpadł w złość. Pytał ją raz po raz, czy nie chce rozwodu, jakby musiał się upewnić. Nie ośmielił się zapytać, czy go kocha, więc powiedziała mu o tym sama z siebie.

Dzisiejsza Susan uważa, że jej wyznanie dodało mu sił. Wydobyło go z depresji. Kiedy następnym razem poszli do łóżka, rozglądał się, jakby szukając w pobliżu nienazwanego kochanka. Był na tyle taktowny, że nie prosił o porównania. Doszła do wniosku, że rozbiła jakiś mur, z którego obecności nie zdawała sobie sprawy aż do tamtej pory. Teraz znamy się lepiej, myślała. Nie jesteśmy tacy romantyczni, jesteśmy słabsi, niż nam się wydawało, co w sumie nie jest niczym złym i dobrze, że o tym wiemy. Nasze małżeństwo stanie się silniejsze, myślała, uważając, że się z tego cieszy.

Cztery

W oficjalnych wspomnieniach Susan jest pewna luka – niemal rok od powrotu Edwarda z lasu do jej małżeństwa z Arnoldem. Patrząc wstecz na ten okres, widzi pustkę. A przecież coś musiało się wydarzyć. Jeździła codziennie na uczelnię, padał śnieg, a potem na ulicach było błoto. Robiła zakupy, sprzątała, gotowała dla Edwarda. Mieli nastroje, kłócili się, chodzili do kina, raz czy dwa spotkali się z przyjaciółmi. Pamięta mieszkanie: ciemne ściany, maleńką kuchnię, sypialnię z książkami na podłodze i widok na ślepy zaułek.

Powodem tej blokady jest to, że okres ten zakończył się rewolucyjną zmianą. Edwarda zastąpił Arnold, który wprowadził nowe prawa, wartości i ikony – wszystko. Nowa władza pisze historię od nowa, żeby się chronić. Edward odszedł do średniowiecza. Powrót Edwarda przypominał dzisiejszej Susan o tym, co skrywane, i zmusił ją do spisania na nowo starej sagi za pomocą kreatywnej archeologii.

Czytając teraz tę sagę, chciałyby wiedzieć, czy ten finalny okres wydaje się jej tak okropny tylko dlatego, że spogląda na niego w świetle późniejszych wydarzeń, czy może naprawdę był straszny? Jak mroczne były mroczne wieki? Krząta się po domu i myśli. Saga zwraca uwagę na zmianę, jaka się dokonała w Edwardzie. Stał się nerwowy i zgryźliwy, spięty i bardzo ironiczny. Rzucił przypadkowo sprośne żarty. Czytając gazety, wymyślał politykom, redaktorom, autorom listów do redakcji i tym, którzy udzielali porad. Krytykował i wyśmiewał się z jej współpracowników, choć nie utożsamiał jej z nimi.

Saga powiada, że przestał mówić o pisaniu. Zaskakujące, choć Susan nie była zdziwiona. Nie lamentował, nie skarżył się, nie prosił o ocenę. Pisał potajemnie, nawet nie nazywał czynności, którą wykonywał u siebie.

Saga pomija – choć Susan doskonale o tym pamięta – jego milczenie w sprawie romansu. O nic jej nie oskarżał, przynajmniej na zewnątrz. Po tych kilku wstępnych pytaniach nie kazał niczego sobie tłumaczyć. Unikał propozycji pójścia do łóżka. Stał się ostrożny, jakby się jej bał.

Dokładnie pamięta przemowę Arnolda, która stała się biblijnym przełomem sagi, choć nie umie sobie przypomnieć, gdzie i kiedy rozmawiali, gdyż po powrocie Edwarda romans pozornie dobiegł końca. Tak jej się wydawało. Ale Arnold bardzo chciał z nią porozmawiać i znalazła na to sposób: kazała mu zadzwonić do biura na uczelni – pokoiku, który dzieliła

z innymi nauczycielami kreatywnego pisania. Jego przymuszający szept wprost do ucha: najdroższa Susan, dobra, inteligentna, mądra, tylko ona może sprawić, że znów poczuje się człowiekiem. Anegdota o Selenie, które mroziły krew w żyłach: wściekłość i zazdrość, nóż, tabletki, szczypce. Sukienki wyrzucane przez okno, kapelusz frunący jak frisbee przez ulicę. Naga wyszła w nocy do miasta. Przywiozła ją policja.

W tej narracji Arnold prosił ją o pomoc i pocieszenie. Miał już dosyć. Chciał wiedzieć, co jest właściwe, na czym polegają i dokąd sięgają jego obowiązki. Co na to Susan? Wszystko w granicach stosowności rzecz jasna. Te same pytania pod jego adresem. Wszystko ma dwie strony. Arnold chce się uwolnić od obowiązków, bo miłość umarła, nie mają dzieci, a kobieta, z którą się ożenił, już nie istnieje. To absurd, żeby poświęcać własne szczęście dla kogoś takiego, składać je w ofierze wariatce, która nie potrafi tego docenić. Z punktu widzenia Seleny wygląda to tak, że ją porzuca w chorobie. Kiedy nic nie może zrobić, jest zamknięta, bezradna i samotna. Selena stawia na przysięgę małżeńską o zdrowiu i chorobie. Chryste, powiedziałyby Arnold, a jeśli spędzi resztę życia w domu wariatów. A jeśli nie, to udręka i awantury awantury awantury.

Poproszona o mediację, próbuje spojrzeć na to wszystko z jeszcze jednej strony – trzeciej. Wszystko zależy od ciebie, powiedziałyby jak kobieta postać z Henry'ego Jamesa. Czasem wybuchał. Nie został stworzony do życia w celibacie, celibat nie leży w jego naturze. Czy Selena bierze to pod uwagę? Czy oni biorą to pod uwagę? Jacy oni? – zapytała. Wy. Porównał jej sytuację do swojej: jesteście szczęśliwą parą, masz dobrego męża, kochacie się, uprawiacie seks, jesteście normalni, ty i on, prowadzicie normalne rozmowy o miłości miłości miłości i niczym się nie przejmujecie. Nie mogła temu zaprzeczyć.

Życie sekretne. Nie mogli się spotykać tam, gdzie mieszkali, więc dzwonił na uczelnię. Zaufali jednemu z przyjaciół Arnolda, mogli się u niego spotykać, w przeciwnym razie musieliby się spotykać, co zresztą robili, w odludnych zakamarkach parku lub na uczelni po zajęciach, a Edward nie zwracał uwagi na jej późne powroty do domu. Stara saga na nowo stawia przed Susan tamten dylemat, wywołany niewiedzą, w jakiego rodzaju narracji przyszło jej żyć. Żona podejmuje na nowo romans z żonatym kochankiem. Mąż wie o dawnym romansie, ale nie ma pojęcia o tym, co dzieje się teraz. Kochanek chce się uwolnić od hospitalizowanej żony, ale nie robi nic, żeby zakończyć małżeństwo, nie wie nawet, co należy do jego obowiązków. W tej sytuacji Susan znów jest niewierną żoną. Jaka czeka nas

przyszłość, gdy jest się niewierną żoną? Czy bycie niewierną żoną jest przejściem do nowego życia, jest krokiem do rozbrojenia Edwarda? Czy jest tylko ciągłym ustępstwem wobec własnej słabości, jedną zdradą po drugiej? To trudne pytania, Susan bowiem jest z natury lojalna i szczerą. Jeśli ma pozostać żoną Edwarda, nawet niewierną, powinna bronić jego zamku, strzec jego bóstw. Jeśli stan, w którym się znalazła, jest przejściowy, powinna niezwłocznie zburzyć zamek, powiedzieć Edwardowi prawdę i przeciąć łączące ich więzy. Miłość, miłość. Ale Edward wydawał się zadowolony z istniejącego stanu rzeczy, a Susan nie wiedziała, co zrobić. Musiały jej towarzyszyć silne emocje, choć w narracji zachował się jedynie tamten dylemat.

Według kronik wznowienie romansu doprowadziło do rozwodu z Edwardem i ślubu z Arnoldem. Ale kiedy Susan patrzy na to z dzisiejszej perspektywy, widzi siebie rozdartą, niezdolną do podjęcia decyzji, niepodejmującą jej do czasu, gdy podjęli ją za nią inni. Nie pamięta, ile dyskusji odbyła z Edwardem, ilu dokonała zwrotów – wspartych decyzjami niejednoznaczными, które szybko odwoływała – zanim wszystko się ułożyło. Pamięta jego milczenie, jak przypuszczała, spowodowane pisarską porażką; bała się, że myśli o samobójstwie. Kiedy wracała do domu po przeżytych przygodach, mając zupełnie egzotyczne poczucie winy, czuła wstyd z powodu własnej radości, widząc jego rozpacz. Był taki wieczór, kiedy powiedziała Edwardowi, że musi do późna pracować w bibliotece, sprawdzając źródła. W nocy wzdychał i jęczał, jakby chciał zwrócić na siebie jej uwagę. Rano wstali, poszli kolejno do łazienki, przygotowali i zjedli śniadanie bez słowa. Siedzieli, milcząc, przy kawie. Edward wyglądał przez okno na zabudowane podwórko, na tyły księgarni. Padał deszcz. Odezwał się zupełnie nieoczekiwanie: Wreszcie wiem, dlaczego się nie udało. Zbyt wiele od ciebie oczekuję.

Powiedziała coś błahego na zgodę, ale nie dał się zvekslować na zwykłe tory. Zamknij się, mruknął. Dam ci radę. Powinnaś się ze mną rozwieść, im szybciej, tym lepiej. Nikt nie ma prawa oczekiwać od innej osoby tego, czego ja oczekuję od ciebie.

Rozmowa, która później miała miejsce, była pełna zamętu. Przez kilka następnych tygodni podejmowali decyzje i często je zmieniali, a czas ten był wypełniony częstą retoryką i paradoksami. Żadne z nich nie było pewne swojego stanowiska. Sprawy przyjmowały obrót odwrotny do zamierzonego. Ale stopniowo po każdym kolejnym powrocie do punktu wyjścia wszystko stało się prostsze. Oficjalnym powodem była jej niezdolność do towarzyszenia

mu w karierze pisarskiej, co jego zdaniem było poważnym mankamentem ich związku, bardzo poważnym. Nie szanujesz mnie, powtarzał. Nie dostrzegasz mnie. Susan w głębi ducha zawsze uważała pisarstwo Edwarda za przejściową infekcję, więc nie mogła brać takich zarzutów poważnie. Zakładała, że prawdziwą przyczynę stanowił jej romans z Arnoldem, co wynikało pośrednio z niechęci Edwarda do wspomnienia o tej sprawie, jakby zazdrość była poniżej jego godności.

Więc się rozwiedli – Edward i Susan oraz Arnold i Selena – by pobrać się na nowo – Arnold z Susan i później Edward ze Stephanie. A Selena została w domu wariatów. Oficjalnie rozwodzili się bez orzekania o winie. Rozstawali się w przyjaźni i nie kwestionowali swoich praw własności, ale nad wszystkim wisiała burzowa chmura. Rozmowy były trudne, szczególnie po jej wyprowadzce. Kiedy spotkali się w sądzie, nie doszło do awantury, ale Susan czuła się tak, jakby do niej doszło.

Szybko rozpoczęła się nowa romantyczna idylla – druga w sadze o Susan i ostatnia. Nowe ucieleśnienie starych form zniwelowało trywialność. Wydmy Indiany. Zoo Brookfield. Muzeum Nauki i Przemysłu. Swoboda pokazywania się publicznie. Prezenty, biżuteria i ubrania. Wielką ulgą okazało się to, że nie musi oceniać jego pracy i liczyć na przyszły dobrobyt. Jedyłą łyżką dziegciu była jego seksualna filozofia i znów – być może? – niewystarczający namysł nad tym, czego oczekuje od żony. Zażądała rewizji filozofii w sprawach seksu. Nie ma problemu, odpowiedział, zastępując ją doktryną wierności i szczerości. A jeśli chodzi o oczekiwania wobec Susan, uporządkowała tę sprawę metodą prób i błędów.

Był to radosny czas, ale często płakała. W narracji trudno przywołuje się uczucia, bo uczucia rzadko miewają manifestacje zewnętrzne, chyba że należy do nich płacz, który da się opisać w narracji. Płakała nad uczciwą Susan, którą musiała odnaleźć. Płakała nad ojcem i matką, nad piętnastoletnim Edwardem, nad godzinami w łódce, mitem młodzieńczej miłości i nad pełnym wyrzeczeń życiem artysty. Płakała, kiedy do Chicago przyjechała matka, która chciała ją przekonać, żeby dała Edwardowi drugą szansę. Powiedziała, że Edward nigdy nie przestanie być jej adoptowanym synem.

Płakała, że Arnold nie rozwiedzie się z Seleną, i płakała nad Seleną, kiedy się z nią rozwiódł. Płakała nad płaczącą Seleną i nad lekarzem, który powiedział, że Selena nigdy nie opuści szpitala, i nad prawnikiem, który zobowiązał Arnolda do utrzymywania jej przez resztę życia.

Susan nigdy tyle nie płakała, ale to był bardzo trudny dla niej okres.

Dawna płacząca Susan była jeszcze dziewczynką. Dojrzewająca Susan, która wyszła za Arnolda, była mądrzejsza, choć niewiele, spodziewając się, że drugie małżeństwo naprawi błędy pierwszego. Dzisiejsza Susan przyznaje, że coś takiego miało miejsce, lecz nie dlatego, że Arnold okazał się lepszy od Edwarda, ale z tej przyczyny, że są ze sobą dłużej. Miało miejsce. Arnold był inny, ale pod wieloma względami podobny, a Susan nigdy się nie dowie, czy podobny proces naprawczy nie mógłby się odbyć, gdyby została z Edwardem, który przecież podjął taki trud z zawsze wierną Stephanie.

Ale to bez różnicy. Dojrzała Susan wie, że bez względu na to, jak się zaczęło – w ciemnej uliczce czy pod burzową chmurą, wskutek zdrady i niewierności czy w dobrej albo złej wierze – to, co stworzyli, jest światem. Ten świat należy do niej i musi go chronić. Czasem wyobraża sobie jeszcze inny świat. Rozpoczęła studia z myślą o doktoracie. Miałaby już profesorski etat, uczyłaby na wyższych latach, pisała książki, kierowała wydziałem, wyjeżdżała z wykładami. Zamiast tego uczy na zastępstwach, na pół etatu, dorywczo, nie dla pieniędzy ani dla kariery, ale po to, żeby nie wyjść z wprawy. Mogłaby wiele osiągnąć, ale wpada w irytację, kiedy Lou Anne z anglistyki mówi o jej poświęceniu, lituje się nad nią i oskarża Arnolda o tyranie i zniewolenie żony. Bo choć Susan nigdy się nie dowie, jak to się stało – czy dokonała świadomego wyboru, czy sprawy same tak się potoczyły (wszystko działało się powoli i stopniowo) – była oto matką rodziny i nikim więcej. Rodziny Dorothy, Henry’ego i Rosie, Arnolda i jej. Rodziny, w której odgrywa rolę matki. To jedyna rzecz, jaka się liczy w jej życiu – nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Czy mi się to podoba, czy nie, oto kim jestem, mówi. Wie o tym. Arnold też o tym wie. Wiedzą o tym oboje.

Ustalili to na zawsze przed trzema laty podczas zawierania porozumienia w sprawie Marilyn Linwood. Porozumienia domyślnego, niezwerbalizowanego, zawieranego w odpowiedzi na to, co się wydarzyło. Że Arnold zostanie, że będzie dalej odgrywał rolę męża i ojca, że po tym, co zostało powiedziane, nie trzeba do tego wracać, gdyż doskonale wiadomo, że takie Linwood przychodzą i odchodzą. Na dłuższą metę nic nie znaczą.

Trwa u jego boku – do tego wszystko się sprowadza. Nigdy nie myślała o tym w takich kategoriach. Zawsze uważała się za zdrową egoistkę, dbającą o własne interesy. Ale to prawda, nie? Trwa u jego boku i zawsze trwała. Nie dlatego, że jest Arnoldem, ale z tej przyczyny, że kiedyś w przeszłości zgodziła się być jego żoną. A potem świat się skryształizował wokół nich. Wytrwała u jego boku mimo Linwood w taki sam sposób, dosyć automatyczny, w jaki trwa u jego boku podczas sprawy pani Macomber

i w jaki wytrwa, jeśli on wyjedzie do Waszyngtonu (sprzedając dom, wykorzeniając dzieci i wszystko) dla własnej kariery. Zrobi to, oczywiście, że to zrobi.

Wcale nie chodzi o to, że stworzyli we dwoje – wraz z dziećmi, domem, samochodem, psem, kotem, grawerowanymi laserowo czekami i własną papeterią – instytucję taką jak bank; chodzi o to, że świat jest zimnym, nieprzyjaznym i niebezpiecznym miejscem i potrzebują siebie, żeby się nawzajem chronić. Ta książka, którą czyta, mówi o tym. Doświadczony przez los Tony powinien docenić, jak bardzo zależy jej na tym, żeby to zachować, jak mocno się tego trzyma. Powinien. Ale świadomość tego wywołuje w niej niepokój, gdyż nie ufa książce Edwarda. Nie wie jeszcze dlaczego. Książka wzbudza w niej pewien niepokój – lęk, którego źródła nie zna, lęk inny od obawy o to, jak potoczy się ta historia, tkwiąca raczej w niej. Jeśli Edward ma zamiar, myśli, wstrząsnąć jej życiem w posadach – przez Tony’ego czy w jakiś inny sposób – stawi mu opór, to wszystko. Najzwyczajniej stawi mu opór. W życiu są takie rzeczy, których nie zmieni żadna książka.

Trzecia sesja

Jeden

Susan Morrow wraca do lektury po dniu ciężkiej pracy. Sprzątanie, odkurzanie, zbieranie skrawków papieru, prezentów i zabawek. Płacenie rachunków zajęło jej godzinę, kolejną rozmowa z Maureen przez telefon. O wszystkim oprócz tego, o co jej chodziło.

Dorothy i Henry poszli na łyżwy z dziećmi Fowlerów. Pada śnieg, drogi będą śliskie podczas powrotu. Rosie ogląda telewizję w sypialni, ściszą troszkę głos, moja droga. Jeffrey leży na sofie: spadaj, psie, wiesz, że nie wolno. Tęsknota za pizzą piecze ją w kąciakach ust.

Susan Morrow otwiera pudło, wytrząsa maszynopis do góry nogami na stoliczek do kawy i szuka czerwonej zakładki. Odkłada przeczytaną część drukiem na dół do pudła, część nieprzeczytana leży na stoliku. Część nieprzeczytana jest już mniejsza od przeczytanej. Czuje, że zbliża się chwila, w której braknie miejsca na to, co powinno się wydarzyć. Spodziewa się końcowego rozczarowania, które już na nią czeka, wpisane w leżące przed nią kartki.

Siada z kartkami na kolanach i usiłuje sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Tony Hastings stracił rodzinę, zabili ją nocą bandyci. Zerka na ostatnią stronę, którą czytała wieczorem: W przyczepie Tony Hastings wybija Rayowi Marcusowi zęby. Przypomina sobie własny sprawiedliwy gniew. Trochę wcześniej Tony i Bobby Andes zatrzymali Raya w stroju baseballowym, a jeszcze wcześniej Tony zidentyfikował Lou Batesa, choć nie poznał Turka. To wszystko napisał Edward. Powinna się wstydzić. Podnosi kartki z kolan, może czytać dalej.

Zwierzęta nocy 20

Ray Marcus i Lou Bates staną przed sądem w Grant Center, kiedy wniesiemy akt oskarżenia. Będziesz musiał przyjechać na rozprawę. Nad wszystkim będzie czuwał prokurator okręgowy, pan Gorman. Potrzeba nam najwyżej dwóch miesięcy.

Na pierwszym przesłuchaniu przed sądem był stanowczy, odpowiadał na pytania pana Gormana, patrząc prosto w oczy Rayowi, który nie odwracał wzroku. Sińce na twarzy. Zafkarę cię, kurfoo. Nie zrobisz tego. Wystarczy

trwać mocno przy prawnikach i przysięgłych, przy stojącej w rogu amerykańskiej fladze i przy prasie.

Wracając do domu, nucił piosenkę, a potem przekrzykiwał wiatr wpadający do auta przez otwarte okno. Ulga. Czerwiec na autostradzie, świeża zieleń na polach, żyzna, obrócona ziemia, konie i krowy przywiązane do korzeni tego, co jemy, mocny zapach gnoju.

Śpiewaj śpiewaj śpiewaj, Krzysztofie Kolumbie! Zrobiłem to! Ciągłe bolały go stawy w palcach, czego wcześniej nie zauważył. Na jednym palcu miał głębokie otarcie, kawałek skóry zdarty, kiedy trafił pięścią w ząb. Ta rana była pamiątką.

Wracał do domu na przyjęcie, jechał szybciej niż kiedykolwiek przedtem, pruł wspaniały czerwcowy wieczór, czuł jego chłodne ciepło i wiatr, widział zapowiadające pogodę chmury, wyprzedzając ciężarówki i cadillaki, i volkswageny. Nie odbierając niczego ukochanej, mógł rozpocząć życie na nowo – śpiewał. Załatwił to, co należało. Dotknął niedotykalnego, znokautował go. Uwolnił niewolnione, stłukł butelkę i wyjął żaglowiec, nadzwyczajny Tony. Szybki Tony omija sprytnie kontrole prędkości, żaden gliniarz dzisiaj go nie złapie. Dojechał do domu z zapasem czasu. Nagi pod prysznicem, dostrzega samego siebie, żywi nadzieję. W istocie ma do wyboru dwa przyjęcia: dla wykładowców u Furmanów i dla doktorantów, na które zaprosiła go Louise Germane. „Mam nadzieję, że pan przyjdzie”. Przyjęcia o tej samej porze.

Zalepił plastrem ostatnie ukąszenie Raya. Ubrał się na przyjęcie do Furmanów, żałując, że musi wybierać. Konieczność wyboru zmniejszyła rosnące nadzieje – jakiegokolwiek, nie wiedział dokładnie jakie. Pragnienie powiedzenia komuś czegoś ważnego. Czego? Komu? Dostosował własne oczekiwania do przyjęcia u Furmanów. Francesca Hooton? Przed wyjściem rozejrzał się szybko po domu, wygładził narzutę na łóżku, wyjął drugi ręcznik i położył w łazience, a potem stwierdził, że jest idiotą.

Malkowie, Arthurowie, Washingtonowie, Garfieldowie; Francesca Hooton stała obok wyjścia na werandę z kieliszkiem w dłoni, towarzyszył jej mąż. Zapomniał, że ma męża. Wszyscy goście trzymali w dłoniach kieliszki – na werandzie, na trawniku i w ogrodzie w czerwcowym zmroku o dziewiątej wieczorem. Egzotyczny wieczór, światło, które nie chce zgasnąć, choć zapalono lampy, świetliki, tego rodzaju rzeczy. Wszystko przypominało mu Laurę. I światło, i lampy, i świetliki. Szwenda się tu i ówdzie z drinkiem w ręku.

Żałuje, że nie wybrał drugiego przyjęcia. Usiłował sobie przypomnieć, co

chciał powiedzieć Francesce, zanim odkrył, że ma męża, i dlaczego było to takie ważne. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to wiadomość, że złapali Raya i że osobiście uderzył go w twarz. Wiadomość ta wydawała się pełna ukrytych znaczeń, które uciekły jak powietrze z przekłutego balonu, kiedy wyszedł na werandę i ujrzał starych dobrych znajomych, i zdał sobie sprawę, o czym będą mówić.

W ogrodzie Eleanor Arthur coś do niego mówiła, a mówiąc, szła spacerkiem nad krawędź ciemnego jaru poniżej, co zmusiło go do dotrzymania jej towarzystwa. Mówiła o nauczaniu matematyki, które przeciwstawiała nauczaniu angielskiego, czym się zajmowała. Usiłowała uczynić z tego spór. Nie miał zamiaru nie zgadzać się z nią ani w tej, ani w żadnej innej kwestii, więc była poirytowana, że się z nią zgadza. Spróbowała wywołać spór o to, dlaczego nie zajmuje stanowiska w różnych sprawach. Nie chciało mu się niczego jej tłumaczyć, więc poczuła się w obowiązku wygłosić pełną współczucia orację o tym, jak bardzo przeżywa stratę. Nie zaprzeczył, choć przez cały dzień wmawiał sobie, że to nieprawda. Eleanor mówiła o kościelnych grupach wsparcia, o towarzystwie miłośników przyrody, o przyjaciółach, którzy tylko czekają, żeby poprosił ich o pomoc. Splótł dłonie na plecach, pochylił w zamyśleniu głowę – jak krowa albo byk – i spróbował szarpnąć postronek, na którym go uwiązała, chciał wracać, ale Eleanor stała jak wryta, więc w końcu wpadł na pomysł, że przyniesie jej drinka. Wrócił z Francescą, a potem coś go napadło i powiedział im o Rayu.

– Straciłem panowanie nad sobą i uderzyłem go w twarz.

Eleanor Arthur wpadła w zachwyt.

– Mordercę? Niech cię Pan Bóg błogosławi. Założę się, że przemyśli to, co zrobił.

Mało prawdopodobne, pomyślał. Spojrzał na Francescę, szukając wiadomości dla siebie wśród labiryntu innych. Wciąż miała jasne spojrzenie, ale nie wiedział, co ono oznacza. Czuł się głupio, a tamto oczyszczające doświadczenie stało się zwykłą, wygłoszoną na przyjęciu przechwałką. Było mu wstyd, a Francesca wpatrywała się w niego oczami Laury.

Postanowił pojechać na przyjęcie dla doktorantów. Zaczekał na ciepłe przekąski, żeby nie być nieuprzejmy, a potem pożegnał się z Francescą Hooton, Geraldem i Eleanor Arthurami oraz Billem i Roxanne Furmanami. Wyszedł na dwór wprost w przepiękną czerwcową noc. Zbliżała się północ. Ruszył szybkim krokiem do samochodu zaparkowanego pod okrytym świeżymi liśćmi klonem. Zastanawiał się, czy zdąży.

Do mieszkania na drugim piętrze starego domu przy wąskiej uliczce.

Musiał zaparkować trzy przecznice dalej. Już stamtąd słyszał muzykę. Znowu poczuł niepokój, kolejna głupota, co może go łączyć z tymi młodymi ludźmi i ich głośną muzyką, dlaczego chciał tu przyjść? Odpowiedź nazywała się Louise Germane. O której nic nie wiedział. Czy Louise Germane spotyka się z kimś? Czy ma kochanka? Nie wiadomo. Tylko pochlebstwa, jakie od niej słyszał, i liścik, który dołączyła do zaproszenia.

Kiedy wspinał się po wąskich schodach, z góry dobiegały go odgłosy dzikiej wrzawy. Drzwi na szczycie schodów stały otworem, a w pokoju za nimi panował tłok i hałas. Znany mu z uczelni Gabe Dalton z fajką w zębach, z brodą, z plastikowym kubkiem piwa w dłoni opierał się o framugę. Prowadził wykład przed trzyosobową grupką studentów. Słuchali go z zainteresowaniem i szacunkiem. W środku Tony dojrzał studentów ze swojego seminarium. „Panie profesorze, piwo w kuchni”.

Dzięki obecności Gabe’a Daltona nie czuł się aż tak skrępowany. Gabe perorował głośno. Jego autorytet podkreślały broda i wymachiwanie fajką najpierw w jednej, a potem w kolejnej sprawie. By nie przerywać monologu, dotknął ramienia Tony’ego, co zawierało wiele niewypowiedzianych znaczeń, na przykład takich: „Dobrze cię widzieć, kolego; dobrze, że się wreszcie wyłoniłeś ze swojej jaskini”. Tony rozglądał się z narastającym rozczarowaniem. Przeszedł do kuchni i odnalazł Louise Germane.

Stała oparta o lodówkę i rozmawiała z Oscarem Gamettim i Myrą Slue. Zauważyła go i pomachała. Jakże ona była barwna! Wysoka. Niebiesko-czerwony podkoszulek, niebieska przepaska w długich pszenicznych włosach.

– Przyniosę panu piwo.

Beczka z piwem w rogu. Pompowała aż do napełnienia szklanki. W kuchni było ciszej niż gdzie indziej. Ucieszyła się, że przyszedł, jakby w to głęboko wierzyła. Oscar Gametti zapytał go o coś, więc zaczął mówić. Studenci otoczyli go uprzejmie, więc gadał jak najęty z coraz większą swobodą, mając za sobą pozycję i wiek, i wiedzę. Rozprawiał o polityce i matematyce, i wydziale. Uważał, że okazują mu szacunek i patrzą na niego z podziwem.

Zauważył, jak niewielkie piersi ma Louise Germane pod podkoszulkiem. Chciał porozmawiać z nią w inny sposób, powiedzieć coś innego. Słuchała z zainteresowaniem, chętnie, myślał, jej oczy lśniły, kiedy na niego patrzyła. Chciał odseparować ją od pozostałych. Zastanawiał się jak. Zastanawiał się, jak tu przyjechała i jak zamierza wrócić, czy uda mu się na przykład odwieźć ją do domu. Czy może jej to zaproponować całkiem naturalnie, nie wywołując w niej niepokojów i nie zwracając uwagi innych.

Zaczął opowiadać swoją historię – całą, rozpoczynając od nocy na

autostradzie. Domyślał się, że i tak ją znają, ale nigdy wcześniej nie opowiadał jej studentom. Słyszał sam siebie i nie mógł w to uwierzyć, i czuł się sobą zażenowany, ale nie potrafił przestać. Mówił o tym najzwyczajniej, z niedowierzaniem, ale nie pominął niczego. Opowiadał tak, jakby każdy powinien o tym wiedzieć, jakby kryła się w tym jakaś nauka dla świata. Mieli poważne miny, kręcili głowami i wyglądali na skonsternowanych. Widział duże, przerażone oczy Louis Germane, która wyglądała tak, jakby chciała rzucić mu się w ramiona.

Kiedy skończył, Myra Slue powiedziała:

– Muszę już iść do domu.

Tony rzucił:

– Ja pewnie też. Wkrótce. – A potem dodał niezbyt głośno: – Mogę kogoś podwieźć?

Myra Slue nie usłyszała, pozostali odwrócili się i rozmawiali między sobą. Spojrzał prosto na Louise. Powtórzył, tym razem mówiąc do niej:

– Czy mogę cię odwieźć?

Łagodne oczy i twarz, którą chciał obsypać pocałunkami, wyrażały przyjemne zaskoczenie.

– Tak, oczywiście. Dziękuję – powiedziała z wahaniem i dodała: – Przyjechałam z Norą Jensen.

Nie ukrywał rozczarowania. Szepnęła:

– Pójdę i zapytam Norę... – I jakby o czymś sobie przypomniawszy: – Spotkamy się na dole. – Zabrzmiało to jak intryga, tajemnica, którą muszą ukryć.

Zabiło mu serce. Dostrzegł jej lekki, skrywany uśmiech, kiedy odchodziła. Jego godność zachwiała się nieco w posadach. Pożegnał się i zszedł samotnie na dół, gdzie czekał na Louise Germane, zastanawiając się, czy to naprawdę zrobi, i słysząc nierówne bicie własnego serca.

Dwa

Spacja w tekście nie oznacza początku nowego rozdziału, ale Susan Morrow przerywa lekturę, bo coś jej przeszkadza. Spodziewa się sceny erotycznej, która musi się wydarzyć. Nie jest pewna, czy tego chce, chyba że zdoła oddzielić Edwarda od opisywanego przezeń seksu. Nerwowy Edward – w życiu nie był zbyt pomysłowy, jeśli chodzi o seks. Złości się na niego. Snobistyczny obraz przyjęcia dla wykładowców. Lubi takie przyjęcia i uważa, że nauczyciele akademicki są inteligentniejsi i bardziej kulturalni od większości ludzi. Tony też ją złości, jest wstrząśnięta, kiedy opowiada studentom o tragedii, jest zła na niego za typowo męskie preferencje: wybiera młodszą Louise, a nie starszą Eleanor. Czy Tony lub Edward wzięli pod uwagę, że pieprzenie studentek jest nieetyczne?

Co jej dolega, co jej przeszkadza w lekturze? Rosie okupuje telefon, rozmawia z Carol. Jeśli Arnold będzie chciał zadzwonić z Nowego Jorku... Nieważne, niech rozmawia. Susan ma nadzieję, że Arnold nie zadzwoni. Ta myśl ją zaskakuje. Dlaczego ma taką nadzieję? Boi się rozmowy z nim zupełnie bez przyczyny i nagle zdaje sobie sprawę, że boi się również jego powrotu. Jutro – jutro? Potrzebowałaby jeszcze jednego dnia, żeby się przygotować. Wyobraża sobie, jak dostaje od niego jakiś przerażający prezent. Podarunek, który nie jest podarunkiem – straszne. Ciekawe co? Nie ma pojęcia. Ma niejasne pojęcie – amorficzne i nieprzejrzyste jak węgiel.

Słyszy zmianę w dźwiękach miasta, wywołaną padającym śniegiem. Słyszy, jak śnieg pada na samochód, który jutro będzie musiała skrobać, i na chodnik, z którego będzie musiała odgarnąć śnieg: ona albo Henry. Zdaje sobie sprawę z dziwności tego, co robi teraz – z dziwności czytania wymyślonej przez kogoś historii. Wprowadza się w jakiś osobliwy stan, przypominający trans, i pozwala komuś innemu (Edwardowi) pokazywać sobie obrazy, które nie są rzeczywiste. Na później odkłada pytanie: Co ja tak naprawdę robię? Czy uczę się czegoś? Czy świat stanie się lepszy, Edwardzie, dlatego że z tobą współpracuję?

Świat Tony'ego przypomina świat Susan, jeśli pominąć przemoc, która legła u jego podstaw i wywróciła wszystko do góry nogami. Co mi przyjdzie z tego, zastanawia się Susan, że jestem świadkiem czyjegoś nieszczęścia? Czy ta powieść uwypukli różnice między życiem Tony'ego a moim, czy może zbliży nas do siebie? Czy jest dla mnie groźbą, czy ukojeniem?

Takie pytania przebiegają jej przez głowę, lecz nie znajduje na nie odpowiedzi podczas przerwy w lekturze.

Zwierzęta nocy 20 (ciąg dalszy)

Czekał na dole przy schodach obok dwóch palących papierosy studentów. Louise Germane nie spieszyła się, nie nadchodziła. Wyobrażał sobie, jak Nora Jensen mówi: Nie wygłupiaj się, ja cię odwiozę, i zastanawiał się, czy Louise zdoła odpowiedzieć: Ale ja chcę jechać z profesorem Hastingsem!

Z góry zaczęli schodzić goście: Gabriel Dalton z dwoma studentami. Nora Jensen. Sama. Myra Slue. I ani śladu Louise. Może się wymknęła przez wyjście przeciwpożarowe? Tylnymi schodami? Ogarnęła go desperacja, ale w końcu dostrzegł na samej górze szczupłe nogi, usłyszał rozmowę prowadzoną z kimś, kto był jeszcze wyżej, a potem zobaczył dzinsy, sznurowane tenisówki, czerwono-niebieski podkoszulek i, tak, samą Louise Germane. Spojrzała na niego przepraszająco, przez chwilę wydawało mu się, że weźmie go za rękę.

– Komplikacje – rzuciła.

Szedł z nią do samochodu na oczach pozostałych studentów, wysnuwających wnioski. Szła szybkim krokiem, wyciągając nogi.

– Jakie komplikacje?

– Nic ważnego – odparła. – Jestem bardzo wdzięczna.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Zauważył zadowolenie na jej twarzy. Wpuścił ją do samochodu. Pochyliła się, by otworzyć drzwi kierowcy. Siedziała, złożonywszy dłonie na udach, a kiedy znalazł się obok niej, westchnęła – przesadnie, jego zdaniem.

– Co się stało?

– Jack Billings chciał mnie odwiedzić. Musiałam mu powiedzieć, że jadę z panem.

Tony Hastings z zaniepokojeniem:

– Wolałabyś jechać z nim?

– Już za późno.

– Nie chciałem pozbawiać cię towarzystwa przyjaciół.

– Proszę się tym nie martwić. – Ciekawe, czy Jack Billings jest jej kochankiem? – Chciałam pojechać z panem... – I szybko dodała: – Jeśli to panu nie przeszkadza...

Oto Louise Germane, myślał, osoba całkiem mi obca, którą odwożę do domu. Zastanawiał się, czego mu nie wolno. Siedziała obok jak bliski członek

rodziny. Czy myśli, że jest Laurą? Nie ma prawa, które nie pozwalałoby odwieźć jej do domu, wyświadczyć jej uprzejmości, przysługi. Ale czy ona wyobraża sobie, że wyświadczam jej tylko uprzejmość i przysługę? Studenci, którzy nas widzieli, pomyślą, że jesteśmy kochankami. Ale przecież nie jesteśmy kochankami. Chyba że Louise Germane uważa, że nimi jesteśmy.

Cóż to był za imperatyw, myślał, który kazał mi tu przyjechać, żeby coś jej powiedzieć? Czy wiem, co robię? A co, jeśli zaprosi mnie do siebie? Zakaz. Znów. Czy to wygląda tak, myślał, jakbym chciał uwieść Louise Germane? Czy ona tak uważa? Jeśli tak, to powinna zachowywać się ostrożniej, posiłkować się wymówkami, unikać mnie. Więc może na to liczy? Czy to możliwe, że to Louise chce uwieść jego?

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała.

Zrodziło się rozpaczliwe pytanie, to znaczy... Jakie pytanie? Długi biały dom, cofnięty w głąb, sześć skrzynek na listy.

– Czy zechciałby pan wejść?

Szukał powodu, dla którego nie powinien.

– Nie jest za późno?

Jej twarz w cieniu.

– Byłabym zaszczycona, gdyby pan zechciał...

– Muszę gdzieś zaparkować.

Prawdopodobnie nie chciała go uwieść, prawdopodobnie chciała tylko poczęstować go kawą, a w takim wypadku nie musi się martwić żadnymi zakazami. Zaparkowali kawalek dalej i wrócili razem przed dom. Spękany chodnik, dotykali się ramionami. W oknach domu nie paliło się światło, ale korytarz był oświetlony. Sprawdziła skrzynkę na listy z napisem GERMANE. Poszedł za nią na górę, stanął obok niej przed odrapanymi sosnowymi drzwiami, a gdy szukała w torbie klucza, serce łomotało mu nierówno jak szalone.

To nie cudzołóstwo, bo Laura nie żyje. Nie był już w żałobie, bo minęło jedenaście miesięcy i okrutne życie chciało żyć dalej. A ona nie jest już dzieckiem, jest dorosłą kobietą swojego pokolenia, która – w wieku dwudziestu ośmiu albo trzydziestu lat – odbyła prawdopodobnie więcej stosunków płciowych z przypadkowymi partnerami niż on, czterdziestopięcioletek. Nie było w tym niczego przerażającego, gdyż rana, której nie potrafiła uleczyć niekochana, samotna kobieta z Nowego Jorku, dawno się zabiłżniła. Louise nie jest już jego doktorantką, bo właśnie skończyła studia, i od tego wieczoru nie miał nad nią żadnej oficjalnej władzy ani przewagi.

Weszli do środka. W salonie nie było zbyt wiele mebli: sofa, stół. Zapaliła lampę przy sofie, włączyła płytę, jazz na fortepianie. Na ścianie wisiał plakat z Montmartre'em. Usiadł na sofie, która była zarwana i niemal dotykała podłogi.

– Wina?

Usiadła obok. Kolana mieli prawie pod brodą. Jeśli chciał jej coś powiedzieć, to właśnie nadszedł odpowiedni moment. Zapewne chciał jej powiedzieć coś o wydarzeniach w Grant Center, ale opowiedział już wszystko na przyjęciu, a mimo to coś pozostało niedopowiedziane. Jakby tamta historia miała jakiś tajemniczy, nieznanym nikomu komentarz – zarezerwowany tylko dla niej. Tak tajny, że nawet on nie znał kodu. Poza tym jedyne, co przyszło mu do głowy, to konstatacja, że zmienił się z kogoś, kim był, w kogoś zupełnie innego. Wiadomość ta miała ogromne, aczkolwiek niezbyt jasne znaczenie.

Gdyby tylko zdołał przekazać jej wielką emocjonalną wymowę faktu, w którym wszystko skupiło się jak w soczewce... Siłę, z jaką uderzył Raya.

– Naprawdę go uderzyłem – powiedział.

– Nie wie pan, profesorze Hastings, ile dla mnie znaczy to, że mogę siedzieć obok, gościć pana u siebie... – Oczy w łagodnym świetle, twarz, która chce się całować. Studentka zakochana w nauczycielu, to oczywiste, jak dobrze, że nie jest już jego studentką.

Zdjęła niebieską przepaskę z włosów i rozpuściła je szaleńczo wokół twarzy.

– Od dawna chciałam zaprosić pana do siebie... To znaczy, odkąd został pan sam.

– Jesteś dobrą przyjaciółką – powiedział.

– Chcę być pana przyjaciółką. Nie chcę być tylko studentką. Czy to panu przeszkadza?

– Ależ skąd! Wcale nie myślę o tobie jak o studentce. Myślę o tobie jak o...

– Wypełnij puste miejsce, napomniał się. Nie dam rady sam tego zrobić.

– O kim, Tony?

– O przyjaciółce. – Już to mówiłeś (zwróciła się do siebie „Tony”?).

– Myślałam, że powiesz „jak o kobiecie”...

– Chciałem tak powiedzieć.

Wpatrywała się w niego poważnym wzrokiem, mówiła powoli. Miał wrażenie, że gra w jakiejś sztuce, ona też, mimo napięcia. Odwróciła głowę, a potem znów nań spojrzała i zapytała:

– Czy to oznacza, że chcesz się ze mną przespać?

Głęboki oddech, człowieku, kto mógł przypuszczać, że to wydarzy się tak szybko.

- Czy to tak zabrzmiało?
- A nie powinno? – Zrobiła wielkie oczy.
- Chyba powinno.
- Chyba?
- Powinno. Na pewno.
- Chcesz, żebyśmy to zrobili?
- Tak.

Szeptem:

- Ja też. Ale jest pewien problem – dodała.
- Nie masz żadnych...
- Nie, nie. Tylko nie jestem pewna, czy nie wpadnie tu za chwilę Jack Billings. Nie jestem pewna, czy dał za wygraną.
- Czy on chciał pójść z tobą do łóżka?

Kiwnęła głową.

- Jesteście kochankami?
- On tak uważa... – Rozłożyła ręce. – Przepraszam. Nie sądziłam, że kiedykolwiek się spotkamy... ja i ty.

A więc na tym polegał zakaz.

- Nie powinienem wchodzić między ciebie i Jacka.
- Chcę, żebyś to zrobił. – Zamyśliła się. – Zaryzykujmy. Jeśli przyjdzie, nie wpuszczę go do domu. Powiem, że jest mi niedobrze.

Miał lepszy pomysł. Dlaczego nie?

- Czy zechciałabyś pojechać do mnie?
- Tak. Oczywiście.

Szybko, zanim nadejdzie Jack Billings. Pobiegnęła do sypialni, zabrała białą koszulę nocną, rozejrzała się gorączkowo, zastanawiając się, co jeszcze, ale nic nie przyszło jej do głowy oprócz szczoteczki do zębów.

- Szybko – rzuciła, jakby Jack Billings stał już przed drzwiami.

Kiedy wyszli na dwór, ulicą wolno jechał samochód.

- Chryste! – zawołała. – To on! – Samochód pojechał dalej. – Dlaczego się nie zatrzymał? – spytała retorycznie.

Przypomniał sobie las.

- Spojrzał prosto na mnie.
- Nie chcę sprawiać ci kłopotów...
- Nie martw się, proszę. To nie twoja wina.

W samochodzie oznajmiła:

– Jutro wszystko mu wytłumaczę. Coś wymyślę.

Czy w tym kryje się jakaś komplikacja? – zastanawiał się. Czy powinienem brać na siebie odpowiedzialność za zerwanie między kochankami? Czy wiem, jak powinienem się zachować oficjalnie?

Louise Germane weszła do jego domu w środku nocy. Zapalił światło. Rozejrzała się uszczęśliwiona.

– Zawsze chciałam tu przyjść. Nawet przed śmiercią twojej żony.

Stała na środku salonu Laury, oglądając jej obrazy, fortepian, bibliotekę z książkami, sofę, fotel, stoliczek do kawy. Bezczeszcząc pamięć Laury, gdyż nie była nią. Nie była jego żoną ani jego córką, ledwo ją znał, ale chciał ją przygarnąć, niczym najbliższego członka rodziny. Od tego paradoksu zakręciło mu się w głowie.

– Chcę, żebyś mi wszystko pokazał – poprosiła.

– Teraz?

Roześmiała się i stanęła tuż przed nim.

– Może być jutro.

Potem sam pocałunek, pierwszy, ale już francuski – ta młoda osoba, którą kiedyś uznawał za nieśmiałą, wiedziała wszystko o takich pocałunkach, znała się na nich zapewne lepiej od niego. Przycisnęła tułów i biodra do Tony’ego, odchyliła się, żeby na niego spojrzeć.

– Gdzie będziemy świętować?

– Na górze?

– W sypialni pana domu? Wspaniale! Chodźmy!

Czuł pewną irytację. Poszli na górę. Zapalił światło przy drzwiach i stanął jak wryty: duch Laury. Był zaskoczony, miał wrażenie, że zniosła zakaz, ale oto stała przed nim i nie chciała wyjść. Zajrzał do sypialni Helen. Zakaz obowiązywał również i tu. Potem do chłodnego pokoju gościnnego.

– Chodźmy tutaj.

Świętowanie. Skrzyżowała ramiona i ściągnęła podkoszulek. Rozbierali się, wpatrując się w siebie przez cały czas. Nie ukrywała już triumfalnego uśmiechu. Była chuda, jej biodra rzucały cień na prześwit między udami. Dotknęła jego prącia – dziewczyna, która była jego studentką.

Słumione śmiechy, pomruki, ocieranie się o siebie, łaskotanie. Znał jej ciało, znał je od zawsze. Dotknij, tak dobrze, chcę, żebyś to zrobił. Marzyłam o tej chwili. Nie trzeba niczego przyspieszać, ale nadeszła najwyższa pora, spełniało się i nie można było tego odkładać – uniósł się nad Louise Germane, próbując ją odnaleźć, a potem był już w środku. Jakież to cudowne uczucie, jakież wspaniałe powrót, myślał.

We własnym pokoju gościnnym, wniknąwszy pod jej porośniętą włoskami kość łonową, czując na sobie jej uścisk, zdał sobie sprawę z czyjejs obecności, zdał sobie sprawę, że ktoś obserwuje ich z progu. Jack Billings. Wyrugowany. Świętowanie przeradzało się w trans, wzrastały ciśnienie i temperatura. To nie był Jack Billings, ktoś leżał na sąsiednim łóżku, zmieniały się kolory, zachód słońca na śniegu, samotny narciarz – uwolniony, by upaść – mknął w dół stoku po ognistym śniegu i zniknął poniżej w szarym półcieniu późnego dnia. Na drugim łóżku ktoś jest gwałcony przez mężczyznę odwróconego do nich plecami. Bobby Andes wali go po tych plecach pałką. Tony Hastings, dobywający pełnymi garściami szczerozłote ostatki Louise Germane, czuje się podzielony, wznosi się jak duch ponad własnym miotanym spazmami ciałem, by szarpnąć gwałciciela na drugim łóżku, oderwać go od ofiary, ale nic mu nie może zrobić, gdyż jest bezcielesnym duchem.

W pokoju było tak cicho jak na pogrzebie. Głaskała go po głowie. Ludzie umilkli, może odeszli. Spojrzał na drugie łóżko i przekonał się, że nie ma żadnego drugiego łóżka. Jest natomiast Louise Germane – czuła i delikatna, uśmiechająca się niepewnie jak dziecko obudzone ze snu. Poczował ulgę, że Louise wciąż żyje, ogarnęła go wielka dla niej tkliwość. Był zmieszany przemocą, jakiej właśnie doświadczyli, był wstrząśnięty brakiem drugiego łóżka. Musiało to oznaczać, że oba łóżka były jednym i tym samym, a w takim wypadku mężczyzną gwałcącym kobietę był on sam. Usiłowano go powstrzymać, jego duch, który interweniował, był tylko duchem.

Poczował rozczarowanie, bo choć wiedział, że czas, jaki spędził z Louise Germane, był sam w sobie dobry, to nie był to czas sam w sobie, gdyż sprawa nie została jeszcze zamknięta.

– Zostaniesz ze mną na całą noc? – zapytał.

– Przecież już to ustaliliśmy.

Chciał ją obudzić w środku nocy i zapytać: Hej, a pamiętasz, jak mnie uwiodłaś na jagodowej łące za domem w Maine? Helen jeździła na rowerku z przyjaciółką, a on i Laura wybrali się z koszykami na jagody. Laura była w szortach i zwiewnej bluzce, dzień był ciepły i słoneczny, zupełnie bezwietrzny, usłyszał jej śmiech za plecami, odwrócił się i ujrzał rozpiętą bluzkę i jej dłonie za paskiem szortów, wpychające się coraz głębiej, żeby je zdjąć. „Co ty na to, mój mężczyzno?” – spytała, a zaraz potem coś brzęczało i bzyczało na kłującej ziemi. „Odpreź się – szepnęła mu do ucha. – Nikt tu nie przyjdzie”. Potem woda, gonił ją zbiegającą po skałach, z których zanurkowała zupełnie naga, a on za nią, lodowate zimno, szybko do wody i szybko z wody, i: „Jezu, zapomnieliśmy ręczników”, i bieg do domu,

i pokłuta wściekle skóra. Laura sportsmenka, jej sprężysty krok. Łyżwy zimą, czasem chodził z nią na lodowisko, żeby oglądać piruety i figury, uczyła go jeździć, ale miał słabe kostki i żadnych uzdolnień. Kiedyś pojechała na łyżwy z Mirą, przyjaciółką, na północ stanu i spóźniła się z powrotem. Nie mógł zasnąć do piątej rano, a jej wciąż nie było i przyszło mu do głowy, że wpadła w poślizg na drodze. Spóźnienie nie wynikało z jej winy i miała dobre wytłumaczenie, dlaczego nie zadzwoniła, zapomniał już jakie. Ciemne noce, o których opowie Louise Germane. Zazwyczaj martwili się o Helen, udawali, że śpią, choć każde wiedziało, że jest inaczej. W końcu Laura siadała w łóżku i pytała: „Czy to dziecko już wróciło?”. Małżeństwo i zmartwienia, Louise. Kiedy lekarz podczas badań znalazł jakąś podejrzaną tkankę, musieli czekać, aż krok po kroku wyeliminowano najgorsze, a potem uczcili to obiadem w chińskiej restauracji, bo znów czekała ich beztroska i jasna przyszłość.

Myśląc o Louise: jeśli wyjdiesz za mąż, będziesz miała same zmartwienia. Kiedy umarła, zmartwienia odeszły wraz z nią, co można uznać za korzyść. Spojrzał na Louise Germane – kształt w pościeli – i pomyślał: Weźmy ślub, kiedy wszystko się wyprostuje.

Trzy

Następna strona była oznaczona jako początek CZĘŚCI CZWARTEJ. Ponieważ nie ma już miejsca na część piątą, będą tylko cztery – symfonia, której trzy czwarte mamy za sobą. Forma jest zgrabna, ale trudno przewidzieć, jak to się skończy.

Za domem w Maine była jagodowa łąka, na której Susan i Edward zbierali do koszyków jagody. Ale nie kochali się na niej, niestety. To nie ona rozpięła bluzkę i ściągnęła szorty, nie pytała go: „Co ty na to, mój mężczyzno?”. Czy Edward – pisząc – żałował, że tak nie było? Erotyzm w jego powieści wywołuje w niej niepokój. Myśl o tym, że Tony przyłożył Rayowi i odzyskał męskość. Obraz gwałtu i walki podczas seksu z Louise. Czy życie seksualne Tony’ego jest napiętnowane przez gwałt i przemoc z powodu traumy, jaką przeżył za sprawą Raya, czy może Edward uważa teraz, że tak wygląda seks? Szkoda, że nie może porozmawiać o tym ze Stephanie.

Powiedziałyby Edwardowi, że Arnold nie łączy penisa z przemocą. Nigdy nikogo nie zgwałcił, nie mógłby uprawiać seksu wbrew czyjejś woli. Susan Morrow wierzy Arnoldowi pod tym względem. Czy mężczyźni naprawdę różnią się między sobą jak dzikie plemiona, myśli, z których część jest pocziwa, a część się tylko tłucze? Porywczosć Arnolda znajduje inne ujście: w profesjonalnych rytuałach, myciu rąk, w gumowych rękawiczkach, w skalpeli i innych narzędziach chirurgicznych, w odpowiednim nacisku ostrożnego cięcia, w koncentracji i opanowaniu.

Ich wersja życia seksualnego wygląda tak: Susan wchodzi do sypialni, ale najpierw bierze prysznic, Arnold czyta w łóżku przy nocnej lampce, drzwi są zamknięte. Rozbrykane dzieci hasają po domu, na dole gra telewizor, za zamkniętymi drzwiami na górze Brunhilda składa siebie w ofierze głosem Nilsson. Susan ma na sobie krótką nocną koszulę, lekki zapach perfum na szyi i za uszami. Staje przy łóżku, na którym Arnold czyta. Spogląda posepnie na jej kolana, odkłada książkę. Jego dłoń – bardzo wrażliwa – przesuwają się w górę z tyłu uda, dotyka lekko pośladków, muska ją z przodu. Susan lubi wpatrywać się w pęczniejącego kutasa swojego męża – wielkiego chirurga – w jego oczy chłopca przed rozpoczęciem meczu, uwielbia jego szorstki zarost na policzku, jego wzwód w sobie.

Kiedy to się dzieje, fantazjuje czasem, że kochają się po raz pierwszy – jak wtedy, gdy Selena trafiła do szpitala – albo że są nastolatkami, co wymaga

pisania historii na nowo. Czasem są rozwiedzeni, ale żyją w przyjaźni i spotkali się przypadkowo w restauracji. Albo leżą nocą na plaży, albo odbywają rejs dookoła świata, a jacht płynie sam. Mogą też być parą gwiazd filmowych, pędzą do domu po nakręceniu sceny łóżkowej; albo nie pędzą, tylko sprawy wymykają się spod kontroli na planie, na oczach całej ekipy. Dlaczego nie mieliby zostać dwójką polityków wymykających się do sypialni po spotkaniu na szczycie? Jak Ronald Reagan i Margaret Thatcher. Nie mówi o tym Arnoldowi, który zakłada, że jej podniecenie jest efektem grubości penisa.

Tego rodzaju myśli wywołują w niej dziwny smutek, jakby wszystko dobiegło już końca. Jeszcze nie – napomina się – przestań! Czytaj, czytaj. Tego wieczoru książka się jej podoba. Pasuje do nastroju. Zastanawia się, w jaki sposób ktoś tak pochłonięty sobą jak Edward zdołał rozpylić się niezauważenie po całej opowieści i – znów niezauważenie – wyprowadzić ją z równowagi. Książka sprawiła, że żywi dla niego cieplejsze uczucia – taką przynajmniej ma nadzieję.

Zwierzęta nocy 21

Kolejny telefon od Bobby'ego Andesa. Dzwonek telefonu, Tony Hastings pod prysznicem przed drugą randką z Louise Germane, musiał usiąść przy aparacie stojącym na biurku, z ręcznikiem na biodrach, ociekał wodą. Po drugiej stronie ulicy para w szortach myje jaskrawoczerwony samochód.

Głos w telefonie oznajmił:

– Mam wiadomość, która może ci się nie spodobać.

Tony czekał. Trzaski w słuchawce, ciche, nic nieznaczące słowa, zła wiadomość: Wypuszczają Raya Marcusa. Kogo? Raya Marcusa, Ray Marcus to Ray, ten Ray! Wypuszczają go.

– Jak to wypuszczają? – zapytał Tony.

Głos zaczął wyjaśniać, Bobby Andes mówił cicho i przez nos. Powiedział, że nie wniosą oskarżenia, że sprawa upadła. Pan Jebany Prokurator Okręgowy Gorman nie wniesie oskarżenia z powodu braku dowodów.

Tony wycierał głowę ręcznikiem, widział własne prącie, mokre owłosione nogi, a po drugiej stronie ulicy idealnie zbudowaną dziewczynę w szortach opierającą się piersiami o dach jaskrawoczerwonego auta, które polerowała do sucha.

– Musi potwierdzić dowody – powiedział głos.

Kiedy dziewczyna wyciągnęła ręce ku przeciwnej stronie dachu, szorty

uniosły się, ukazując linię pośladek.

– Co powiedziałaś?

– Została ci satysfakcja obicia mu ryja.

Inne głosy na linii, kobiece śmiech.

– To polityka, Tony, na tym to polega.

Zapadła cisza, dziewczyna oblała wodą z węża chłopaka, który rzucił w nią gąbką. Louise Germane czeka na niego o szóstej.

Głos Bobby'ego Andesa prawie niesłyszalny przez setki mil pól i lasów. Chce, żeby Tony znów przyjechał do Grant Center. Pomóc.

Tony próbował się opierać.

– Jazda zajmuje mi dziesięć, dwanaście godzin – stwierdził. – Nie mogę jeździć w tę i z powrotem.

Usłyszał głos Andesa, który mówił:

– Musisz tu być najszybciej, jak się da. Marcus będzie chciał opuścić stan. Musisz natychmiast wyjechać, prześpisz się w motelu.

Wojskowa apodyktyczność, nie mówiąc już o naruszeniu jego prywatności, prywatności Louise Germane i umytego skonsternowanego prącia między nogami Tony'ego Hastingsa.

– Umówiłem się dzisiaj.

Szum.

– Co?

– Wystarczy ci, że obiliś mu ryj? Uważasz, że to odpowiednia kara?

Więc Tony odpowiedział, że przyjedzie, ale dopiero jutro. Nie ma powodu do paniki, myślał, i ja nie wpadam w panikę. Będę panikował później, niestety. Będę wstrząśnięty i nie będę mógł przestać o tym myśleć, ale później.

Zastanawiał się, czy wpadnie we wściekłość. Spotkał go afront. Wydawałoby się, powiedział, że moje słowo waży przynajmniej tyle samo co słowo Raya. Dlaczego ława przysięgłych nie miałyby tego rozważyć? Wydawałoby się, że moja pozycja społeczna, nie wspominając już o tym, że jestem ofiarą, zapewnia mi niejaką wiarygodność, natomiast ten człowiek był wielokrotnie notowany.

Wyruszył więc następnego ranka w pierwszych promieniach słońca, o szóstej; prowadził, wspominając krótki wieczór z Louise Germane, ich drugi wspólny wieczór, podczas którego znów przywiózł ją do domu, a ona pomogła mu się spakować. Usiłował myśleć tylko o niej i cieszyć się nią, i maskować strach. Budzik zadzwonił o wpół do piątej; przeżył szok: dzieje się coś strasznego, a on śpi. Obudził Louise, śpiącą obok, zjedli śniadanie

w kuchni i zawiózł ją do domu, zostawił ją na ulicy, z podkrążonymi oczyma, wśród radosnego śpiewu ptaków w pierwszym słońcu o szóstej rano. Miała zamiar wrócić do łóżka i dobrze się wyspać.

Machała sennie ręką na pożegnanie. Odjechał pustymi o tej porze ulicami ku autostradzie międzystanowej, która wyprowadziła go na płaskie zamglone pola. Kiedy Louise znikła, strach, który maskował do tej pory, wziął górę niczym najeźdźca. Stanie się coś strasznego. Nadciąga katastrofa. Ciekawe, jak zniesie ten dzień, nie mając nic innego do roboty oprócz prowadzenia auta.

Długa męcząca droga – znał ją dobrze, każdy szczegół w tej samej powolnej kolejności, krok za krokiem, kolejny zakręt, za którym otwiera się kolejny widok, gdzie nie ma niczego zaskakującego, farmy za farmami, mosty za mostami, lasy i pola przez cały dzień. Wycie wiatru, szum, dudnienie i nieustanna świadomość opon, które w każdej chwili mogą eksplodować, silnika, który może się zatrzeć, i nadwozia, które może się rozpaść. Coraz większe zniecierpliwienie przy kolejnych znakach pokazujących odległość i znów senność po wyjściu z łagodnego łuku. Szosa chroniła go przez pewien czas, hipnotyzowała go, osłaniając przed wyobrażonymi niebezpieczeństwami, trzymała wszystko inne z daleka.

Usiłował pojąć, czego się boi. Prawdopodobnie chodziło o Raya. Ray na wolności, mściwy, poluje na niego, żeby dokończyć to, co mu się nie udało zeszłego lata. Koleś, twoja żona. Ma dodatkowy powód, gdyż stracił zęby. Nieco później strach przybrał inne oblicze. Ray zapoluje na Louise Germane. Oczywiście, że tak robi. Niszczy mnie, zabijając kobiety. Tym bardziej trzeba się spieszyć, przechwycić go, zanim się wymknie.

Jego uwagę odwróciła jazda przez miasto i chęć napicia się kawy. Ale zaraz znów był wolny i pojawił się Bobby Andes, widziany poprzez dziewczynę polerującą dach auta, ukazującą linię pośladków. „Wystarczy ci, że obieś mu ryj?”. Andesowi można zaufać, ma asa w rękawie. Nie chodzi tylko o Raya, myślał Tony. Bał się także Bobby’ego Andesa. Czego dokładnie? Jego moralnego fundamentalizmu, jego wzgardy. Może wydarzyć się coś nieprzyjemnego, coś, co nie jest jeszcze zbyt jasne, ale co prawdopodobnie przysporzy mu masę kłopotów, jeśli w porę nie zachowa ostrożności.

Po lunchu żadne wytłumaczenie nie wyjaśniało jego dyskomfortu. Czuł się tak, jakby czegoś zaniedbał. Jakby zaciągnął olbrzymią pożyczkę, nie spłacił jej w wyznaczonym terminie i stał w obliczu licytacji. Prześladowała go taka myśl: Jestem coś komuś winien. Nie chodziło o pieniądze. Chodziło o Raya Marcusa albo o Bobby’ego Andesa, albo o Laure i Helen. Być może o Louise

Germane, choć to mało prawdopodobne, bo Louise była całkiem nowa. Wszystko znów pociemniało. Było w tym coś nadprzyrodzonego, jakby prześladował go duch. Wydarzy się coś potwornego. Wydarzyło się coś potwornego. Jedno albo drugie, albo obie te rzeczy naraz.

Byłoby jeszcze gorzej, gdyby teraz działo się coś strasznego. Działo się, bo coś równie strasznego się nie wydarzyło. Pan Jebany Prokurator Okręgowy Gorman stwierdził, że nie wniesie oskarżenia z powodu braku wystarczających dowodów. Bo to, co przeżył pan Tony Hastings, to za mało. Identyfikacja Raya, trzech sprawców z lasu, zbrodnie, nic nie zostało potwierdzone: Ray Marcus nie był Rayem Marcusem, sprawcy z lasu nie byli sprawcami z lasu, w ogóle nie było lasu i zbrodni. Tony Hastings się pomylił. Chciało mu się wyć. Kimże ja jestem, jeśli mi nie wierzą? Jeśli to, co pamiętam, to za mało, to może niczego nie pamiętam? Co się stało z moim życiem? Może nic się nie stało, tylko nie wiem, dokąd ono zmierza?

Po południu, na wzgórzach wschodniego Ohio, po kolejnej kawie, przejaśniło mu się w głowie, a świat znów stał się zwykły, choć towarzyszyło mu poczucie, że zamknął najpilniejsze pytania na siedem spustów, z których część już puściła. Zadał więc sobie racjonalne pytanie: Jaki dokładnie jest cel tej podróży? Ze zdziwieniem stwierdził, że nie wie. Ray Marcus wyszedł z więzienia, a Bobby Andes chce, żebym przyjechał. Przyjechał pomóc, ale w czym? To cholernie długa wyprawa nie wiadomo po co.

Policzył wszystkie długie wyprawy na prośbę Bobby'ego Andesa. Po raz czwarty odwiedzi Grant Center w ciągu jednego roku. A wszystko po to, żeby dopaść trzech mężczyzn. Chyba zwariowałem, pomyślał. To czyste szaleństwo.

Ostatecznym dowodem stał się niejasny cel czwartej podróży. Wszystkie pozostałe miały jakiś konkretny powód, który nadawał im sens. To może oznaczać, że Bobby Andes ma jakiś plan, tajny plan, o którym nie mógł mówić przez telefon. I to właśnie jest czystym szaleństwem. I to nie ja oszalałem, tylko Bobby Andes.

Tym razem spotkali się nie w Grant Center, ale w Topping, w restauracji, w której była lada. Usiedli w łoży pod oknem, naprzeciwko zaparkowanych samochodów. Tony zjadł na obiad twardy stek polany sosem. Siedział naprzeciw Bobby'ego Andesa, który pochylał się nad obiadem, nawijał spaghetti na widelec i unosił go do ust, ale nie jadł i odsuwał pełny talerz na bok. Tony Hastings spojrzał na niego uważniej i powiedział do siebie: Ten człowiek jest szalony. Po chwili dodał: Podobnie jak ja. Bobby Andes

mruknął:

– Gdyby nie ten rak...

– Jaki rak?

– Mówiłem ci, kurwa, że zostało mi tylko pół jebanego roku. – Bobby Andes spiorunował go wzrokiem.

Tony Hastings nie spuścił oczu.

– Mówiłeś? – Czyżby przespał tę wiadomość?

Bobby Andes mówił o adwokacie, którego tamten dostał, o adwokacie wyznaczonym przez sąd, nazywa się Jenks, i ten Jenks i Gorman zawarli układ, i Ray wyszedł. Układ, polityka, ja ci daję tego, ty mi tamtego.

– Kiedy mówiłeś mi o chorobie? – spytał Tony.

– Wszystko przez Jenksa i Gormana.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Chcą mnie zwolnić.

– Dlaczego mieliby to zrobić?

Bobby Andes nie odpowiedział.

– Rezygnują ze sprawy o morderstwo, żeby wylać cię z pracy?

Tak, chodzi o sprawę. Tłumaczył Bobby Andes. Powiedzieli, że sprawa była źle przygotowana, śledztwo do dupy, wtopa, żadnych dowodów, a te, co są, źle zebrane – sprawa nie utrzyma się w sądzie. Według Andesa Gorman karał go za to, że sam, chuj jeden, boi się jak wszyscy diabli przegrać sprawę w sądzie. Zapytał, czy to go nie wkurwia. Czy to nie wkurwia Tony'ego.

– Widziałem ich, Bobby.

– Taa, i co z tego!

– Lou też zwolnili z aresztu?

Nie, Lou nie. Mają jego odciski palców. Stanie przed sądem oskarżony o całą sprawę Hastingsa. Jeśli to ci wystarcza, to w porządku. Jeśli ci wystarcza, że Lou beknie za to, do czego doprowadził Ray, to nie ma o czym mówić.

– Jeśli nie skażą Raya, wszystko się nie liczy – powiedział Tony.

– Pomyślałem, że tak właśnie pomyślisz – mruknął Andes.

Ray wyszedł, bo jedyne, co na niego mieli, to zeznania Tony'ego Hastingsa, słowo Tony'ego Hastingsa, a Jenks postraszył Gormana, że słowo Tony'ego Hastingsa nie utrzyma się w sądzie. A poza tym to była sprawa Andesa, a Gorman uważa, że Andes już dawno powinien być na emeryturze i czerpać korzyści z raka na Florydzie.

– Nigdy nie mówiłeś mi o raku.

– Obecnie modnym terminem, jeśli chodzi o mnie, stała się

„niekompetencja”. I Gorman chce to udowodnić.

– A gdybym z nim porozmawiał?

Bobby roześmiał się głośno: Cha, cha. Problem polega na tym, że Ray ma wodoszczelne alibi. Wodoszczelne na sto procent. Był z Leilą Jakałtam, która go kryje, jej ciotka go kryje, nic nie można zrobić.

– Jest też inny problem.

– Jaki?

– Posłuchaj... Według Gormana dokonana przez ciebie identyfikacja Raya jest niewiarygodna. Uspokój się, nie chodzi mu o ciebie. To sztuczki prawników. Ray ma alibi i dwa potwierdzenia. Poza tym było ciemno, więc mogłeś się pomylić. Poza tym nie potrafiłeś zidentyfikować Turka. Gorman przywiązuje do tego wielką wagę: nie potrafiłeś zidentyfikować Turka!

– Ale Ray był ważniejszy od Turka, przewodził im wszystkim!

– Nie musisz mi tego mówić, bo ja ci wierzę. Przydałby się nam dodatkowy świadek, ten głuchy gość z pikapa...

– Kto?

– Ten stary i głuchy facet, który przejeżdżał i się zatrzymał. Mógłby zidentyfikować Raya.

– Pewnie w ogóle o niczym nie wie.

– Wszyscy w całym hrabstwie o tym wiedzą. Skurwiel zesrał się ze strachu i nie ujawnił. Pilnuje własnego kurnika, skurwysyn.

– Więc co chcesz zrobić?

No cóż, według Bobby'ego Andesa najprostszy sposób polega na tym, żeby zmusić kogoś do puszczenia farby. Chciał zmusić do tego Lou Batesa, ale Gorman mu nie pozwolił, bo Gorman pozwala tylko na uprzejme zadawanie pytań. A takiego wała jak Bates nie da się zmusić do niczego za pomocą uprzejmych pytań. Według Bobby'ego Andesa Bates był zwykłym kretynem. Stosował w życiu tylko jedną zasadę: imię, nazwisko i numer seryjny. Nie zna Raya, kropka. Kiedy Bobby opowiedział mu, co zeznali goście od Hermana, Lou stwierdził: „Jeśli wypilem z nim piwo, nie miałem pojęcia, kim jest”. Kiedy Bobby wspomniał, że to niesprawiedliwe, żeby beknął za wszystko i za każdego, Lou stwierdził, że nie wie, o czym Bobby mówi. Kiedy Bobby zapytał, kim był ten trzeci, który uciekł po napadzie w Bear Valley, Lou zrobił głupią minę. Jaki trzeci, jaki napad? Kamienna twarz z brodą.

Bobby Andes odłożył widelec i zapalił papierosa. Delektował się własną frustracją. Wydawało mu się, że przymknął Raya za udział w napadzie, przynajmniej za to, ale kierownik sklepu nie umiał go zidentyfikować. Zacytował Gormana, który miał powiedzieć: Wszystko, co masz, to ci goście

od Hermana, którzy widzieli ich razem przy piwie, i Hastingsa (znaczy się ciebie), który poznał go po numerze na plecach, kiedy mu powiedziałeś, kim jest. Nie mogę odwoływać się do dawnych oskarżeń wobec Marcusa, bo to wbrew prawu.

Przyglądał się Tony'emu przez długą chwilę, aż Tony wpadł w irytację.

– Wszystko sprowadza się do tego, jak bardzo ci zależy na tym, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

George przez cały czas ma Raya na oku, więc Ray nie czmychnie tak, żeby Bobby o tym nie wiedział.

– Co to znaczy „jak bardzo ci zależy”?

– Dobre pytanie.

Tony czekał. Bobby Andes odsunął niezjedzone spaghetti jeszcze bardziej na bok.

– Nie mogę jeść – powiedział. – Bo się porzygam.

– Coś cię boli?

– Którą masz godzinę? Jest już ósma?

– Tak.

– Tak myślałem. Ma do mnie zadzwonić George. Ma tu zadzwonić o ósmej.

– Co to wszystko znaczy?

Bobby wzruszył ramionami.

– Nie możesz w ogóle jeść? Jak sobie dajesz radę bez jedzenia?

Znów wzruszenie ramion.

– To zależy.

– Doceniam to, że zadałeś sobie tyle trudu.

– Czasem mogę jeść, a czasem nie. Śmierdzi tu.

– Masz jakichś krewnych albo przyjaciół?

Bobby Andes zapalił kolejnego papierosa i zgasił go, nie włożywszy po raz drugi do ust.

– Zadam ci osobiste pytanie – zaczął. – Tak między nami: Co chcesz, żebym zrobił Marcusowi?

Pytanie zaskoczyło Tony'ego, dziwny styl i dziwne brzmienie.

– A co możesz mu zrobić?

Bobby Andes zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Wszystko, co, kurwa, chcesz.

– Myślałem, że powiedziałeś...

– Nie mam nic do stracenia.

Tony próbował to pojąć. Bobby Andes zapytał:

– Mam inaczej sformułować pytanie? Okay, zapytam tak: Jak daleko jesteś

w stanie się posunąć, żeby Marcus dostał to, na co zasłużył. – Zapalił następnego papierosa.

O co ci chodzi, zastanawiał się Tony. Bo według niego Andes zapytał tak: „Czy jesteś gotów wyjść nieco poza prawomocne i praworządne procedury, nagiąć je trochę do własnych potrzeb?”. Zastanawianie się nad tym było jak rozważanie, czy lekkie drżenie stołu jest trzęsieniem ziemi.

– Ja?

– Albo ja.

Szukał w głowie właściwego eufemizmu.

– Chodzi ci o to, że mamy złamać prawo?

Bobby Andes wytłumaczył; chodzi mu, kurwa, o to, co można zrobić, żeby sprawiedliwości stało się zadość, jeśli jebane kruczki prawne na to nie pozwalają.

Tony był przerażony. Nie chciał rozmawiać ogólnie. Zapytał:

– Co konkretnie masz na myśli?

Andesa ogarnęło zniecierpliwienie.

– Chcę się przekonać, czy naprawdę zależy ci na tym, żeby dopaść tego chuja.

Tony’emu oczywiście zależało. Andes był zdegustowany. Chce tylko wiedzieć, czy Tony nie popiera jego metod. Co jest nie tak z twoimi metodami? – zastanawiał się Tony.

Bobby Andes uspokoił się, wziął głęboki oddech, odczekał chwilę.

– Niektórzy z tych młodych brzydzą się moimi metodami. Boją się, że moje metody doprowadzą do skandalu, gdyby Ray Marcus stanął przed sądem, że moje metody spowodują wybuch, który osmali ich delikatne prawnicze rączki i ubrudzi tyłki.

Tony poczuł przedsmak innego rodzaju przerażenia.

– Czy to możliwe, żeby...

– Nie, to nigdy nie byłoby możliwe i żaden skurwiel nie wniósłby żadnych oskarżeń przeciwko ofierze, gdyby jebana policja trzymała się razem, jak powinna. Skurwysyny. – Głęboki oddech, koniec świata. – Dlatego muszę wiedzieć.

Co wiedzieć?

– Czy ty też masz zamiar dać dupy? Czy cierpisz jak oni na wrodzoną awersję do brutalnych metod policyjnych?

Tony nie chciał na to odpowiadać. Dlaczego mnie o to pytasz, zastanawiał się.

– Ten kutas zgwałcił i zamordował twoją żonę i córkę.

– Nie musisz mi o tym przypominać.

Bobby Andes uważał, że musi. Żeby mu coś udowodnić. Prawo stanowi, że powinien zostać ukarany, ale prawo nie może lub nie chce go ukarać, więc pytanie brzmi: Czy ty chcesz puścić go wolno? Czy prawo rzeczywiście chce to zrobić?

– Ale co jeszcze można zrobić?

– Można, jak ci mówiłem, pomóc prawu.

Tony wolałby się nie zastanawiać, jak jeszcze można to nazwać. Nie chciał się stawiać Bobby'emu Andesowi. Zapytał:

– Mamy wziąć sprawiedliwość we własne ręce?

– Mamy działać w imieniu prawa.

– I co zrobić?

Andes nie odpowiedział. Poruszał ustami, jakby coś przeżuwał, odwróciwszy wzrok.

– Co mamy zrobić, Bobby?

Bez odpowiedzi.

– Mamy działać w imieniu prawa i co z jego mocy zrobić?

Andes podniósł wzrok, rozejrzał się i znów na niego spojrzął.

– A jak myślisz?

Tony widział dwie możliwości. Jedna go przerażała. Wspomnił więc o tej drugiej:

– Zebrać nowe dowody?

Andes uśmiechnął się lekko, nieszczerze.

– Myślisz, że to przejdzie?

– Skąd mam wiedzieć?

Kobieta stojąca za ladą zawołała do nich:

– Który z was to Andes?

Bobby Andes wstał i podszedł do telefonu. Wrócił po kilku minutach.

– Okay – rzucił. – Ray Marcus jest u Hermana. Mam zamiar po niego pojechać. To twoja jebana sprawa, więc muszę wiedzieć, czy weźmiesz w tym udział, czy dasz dupy.

– W czym mam wziąć udział, Bobby? Nie powiedziałaś mi.

Bobby Andes mówił powoli, spokojnie, z namaszczeniem:

– Chcę, żeby tego skurwysyna spotkała sprawiedliwa kara. – W jego głosie brzmiała nuta skrywanych emocji, którą usłyszał Tony. – Chcę go zabrać do siebie. Chcę, żebyś przy tym był.

– I co mam dalej robić?

– Nic. Wystarczy, że będziesz i mi zaufasz.

– No, a co potem? To znaczy, masz jakiś plan?

Bobby Andes zastanawiał się przez chwilę, jakby nie wiedział, czy może podzielić się szczegółami.

– Pytałem cię o to wcześniej: Co chcesz, żebym zrobił?

– Nie wiem. A co chcesz zrobić?

– Chcę, żeby tego skurwysyna spotkała sprawiedliwa kara.

– W porządku.

– Ty mi powiedz jaka. Bądź sędzią.

– Jak to?

– Ile powinien dostać? Pięć lat i zwolnienie warunkowe? Zastanów się.

Zastanawiał się, w co został wmanewrowany i czego od niego w związku z tym oczekiwano, również werbalnie. Wolał się nie odzywać.

– A może trochę więcej? He?

Tony spoglądał na świat gdzieś z głębi siebie, kręciło mu się w głowie, było mu niedobrze.

– Mam nadzieję, że nie należysz do tych wymoczków, którzy sprzeciwiają się karze śmierci.

– Nie. Wcale nie.

Tony przeżył lodowaty wstrząs: zgoda na zabicie Raya – czy tego oczekuje Bobby Andes? Kiedy znów zapytał o to samo, głos mu się załamał:

– Co chcesz zrobić?

Bobby Andes obrzucił go rozbawionym pytającym spojrzeniem. A potem się roześmiał.

– Odpręż się – powiedział. Po chwili znów się odezwał, zająknął i zaczął raz jeszcze, ciszej: – Zabiorę go na wycieczkę i trochę potrzymam. Popracuję nad nim. Może zacznę być brutalny? Może każę mu trochę pocierpieć? Wszystko zależy od niego. Od tego, co zrobi i powie. Masz coś przeciwko temu?

Tony wyobraził sobie, że mógłby nie mieć żadnych zastrzeżeń; że to, o czym mówił Bobby, mogłoby mu się spodobać. Dostrzegł taką ewentualność jak światełko w tunelu.

– To twoja sprawa. Chcę, żebyś był świadkiem. Możesz pomóc.

Ulgę przyniosły nie słowa, ale ton Andesa. Tony Hastings miał sporo obiekcji: dwie lub trzy całkiem wyraźne, resztę mniej skryzalizowanych, ale dostrzegł zniecierpliwienie w oczach Bobby'ego, niczym strach przed śmiercią albo końcem świata.

– Jeśli zmusisz go do przyznania się do winy, zupełnie mi to wystarczy – powiedział.

Bobby Andes się roześmiał.

Cztery

Susan Morrow widzi nowy wątek kształtujący się w bitwie na eufemizmy, no, chyba że to fałszywy trop. Ale to mało prawdopodobne, bo rzecz wygląda obiecująco: Bobby Andes bierze sprawiedliwość we własne ręce. Tony Hastings spotyka Johna Wayne'a. Do końca zostało już niewiele, góra pięć rozdziałów albo cztery, więc ryzyko rozczarowania staje się całkiem realne – większe niż kiedykolwiek przedtem.

Tymczasem dialogi. Susan lubi dialogi. Druk wtapia efemeryczne słowa w tekst jak opony samochodów rozjechane zwierzęta w asfalt, można do nich wracać i badać je osobno, na przykład taką niezwiązaną z niczym obserwację Bobby'ego Andesa: „Śmierdzi tu”. Za całą tą wyobrażoną Pensylwanią i Ohio stoi wielkie ego Piszącego Edwarda. Tony Hastings, Ray Marcus, Bobby Andes, Louise Germane, cienie Laury i Helen – wszyscy oni, tak przypuszcza, mają jakiś związek z jej skromną osobą i są emanacją wielkiego ego Edwarda rzucanego na ekran. Przed dwudziestu pięciu laty wyrzuciła – niezdarnie i topornie – ego Edwarda ze swojego życia. Teraz wróciło – subtelniejsze i bardziej wyrafinowane – by sycić jej własne ego i zamieniać je w jego.

Zwierzęta nocy 22

Dwa samochody: Tony Hastings, w swoim, jedzie za Bobbym Andesem przez spokojne ulice Topping do Hermana. Duży parking przed barem: rozłożystym parterowym barakiem z czerwonym neonem w oknie. Neon jest jaśniejszy od zmroku i przyspiesza nadejście nocy. Bobby podszedł do auta Tony'ego.

– Zaczekaj tu – rzucił.

Tony czekał w samochodzie, wpatrując się w drzwi baru. Robiło się ciemno. Po jakimś czasie z baru wyszło dwóch mężczyzn. Rozpoznał Bobby'ego Andesa. Tym drugim był Ray. Rozmawiali w neonowej poświacie: Ray z rękoma na biodrach, zgarbiony Andes unosił ku niemu głowę. Ray machnął ręką z obrzydzeniem, odwrócił się do drzwi, ale zmienił zdanie. W drzwiach stali dwaj policjanci. Ray coś im pokazał, policjant położył mu rękę na ramieniu, Ray wyrwał się, a potem uspokoił, kiedy policjant skuł go kajdankami i zaprowadził do samochodu porucznika. Bobby Andes podszedł do auta Tony'ego.

– Jedziemy na mój kemping. W Bear Valley. Jedź za mną.

Była już ciemna noc, kiedy wyruszyli: konwój trzech samochodów, z policyjnym wozem na przedzie. Jechali szybko drogą w dolinie. Jakieś auto wyprzedziło Tony'ego i oddzieliło go od Bobby'ego. Potem wyprzedziło Bobby'go, ale nie odważyło się wyprzedzić wozu patrolowego, więc przez następne pięć mil konwój liczył cztery samochody.

Auta jadące przed nim włączyły kierunkowskazy, Tony też to zrobił, choć nikt za nim nie jechał. Boczna droga w lewo, tablica z napisem WHITE CREEK. Droga zwęziła się, biegnąc prosto między dwoma polami, stała się wyboista, musieli zwolnić. Tony dostrzegł zarysy wzgórz na końcu płaskiej doliny. Pola urwały się nagle i droga skręciła w lewo. Z prawej strony pod wzgórzami płynął bystry strumień, za nim były lasy. Światło z przodu: drewniana chata w zagajniku nad strumieniem. Dwa samochody wjechały między drzewa, Tony zatrzymał się obok nich. Wszyscy wysiedli, Tony poszedł za nimi.

– Mój kemping – rzucił przez ramię Andes.

Weszli przez ganek. W środku, w niewielkim pokoju, zrobiło się tłoczno. Przez chwilę Tony nie potrafił się zorientować, kto jest kim. Bo w domu czekała kobieta. Reszta przyjechała od Hermana: dwaj policjanci, Bobby Andes i Ray. Bobby Andes trzymał w ręku strzelbę. Widok broni zszokował Tony'ego – jak obnażony penis. Bobby piorunował wzrokiem kobietę.

– Jak się tu dostałaś? – spytał.

Była od niego większa. Miała na sobie sweter, luźne spodnie. Zmęczona twarz. Po czterdziestce, prawdopodobnie nauczycielka.

– Lucy mnie przywiozła.

– Kurwa.

Ray dopiero teraz zauważył Tony'ego.

– Co on tu, kurwa, robi?

Na środku pokoju stół, dalej prycza i parę niedobrych krzeseł. We wnęce kuchenka i zlew, siatkowe drzwi na tyły, otwarte drzwi do sypialni. Kajdanki Raya lśniły w świetle lampy zawieszanej na stropowej belce. Usiadł na pryczy.

Policjanci wyszli. Tony usłyszał warkot ich samochodu. Bobby przedstawił kobietę Tony'emu:

– Ingrid Hale – powiedział.

– Fajnie, że wpadłaś, Ingrid – rzucił z przekąsem Ray.

Ingrid przypatrzyła się Tony'emu uważniej.

– A więc to pan jest Tonym Hastingsem. Moje wyrazy współczucia.

– A czy mnie ktoś współczuje? – zapytał Ray.
– Zamknij się – warknął Andes. – Mogłaś mi powiedzieć... – zwrócił się do Ingrid.
– Skąd miałam wiedzieć? A poza tym co ty tu w ogóle robisz?
Mówiła tak, jakby wstydziła się z nim spierać przy obcych.
– Robota policyjna – powiedział Bobby. – Muszę odwalić jebaną policyjną robotę, do kurwy nędzy!
– Tutaj? Od kiedy to miejsce służy do wykonywania policyjnej roboty, Bobby?
Stał z pobielaną twarzą, jakby nagle otrzymał złą wiadomość.
– Kurwa, niedobrze mi... – Podał strzelbę Ingrid. – Potrzyj ją.
– Co? – Przerzucała broń z ręki do ręki jak gorący kartofel. – Nie chcę tego, zabierz to ode mnie! – Oddała mu ją.
Wepchnął strzelbę Tony'emu.
– Nie wahaj się jej użyć – sapnął. – Zastrzel go. Zaraz wracam.
Tony spojrzął na broń: była ciężka, zastanawiał się, jak działa. Bobby wyszedł na tyły domu. Usłyszeli, jak wymiotuje na dworze za siatkowymi drzwiami. Ray zachichotał.
– Wiesz, jak się z tym obchodzić? – zapytał.
Bobby Andes nie wracał. Z dworu dobiegały kolejne nieprzyjemne odgłosy.
– Jezu Chryste – mruknął Ray.
Kiedy Bobby Andes wrócił, Ray powitał go słowami:
– To wbrew prawu! Zgodnie z prawem masz mnie przewieźć do Grant Center, a nie do tej jebanej nory!
Bobby wyjął strzelbę z rąk Tony'ego i przeładował.
– Pokazać ci kodeks? – rzucił.
– Zapłacisz za to.
Tony usłyszał, jak Ingrid Hale cmoka z niesmakiem.
– Okłamałeś mnie – perorował Ray. – Nie masz żadnych nowych dowodów. Zabierz mnie do Grant Center, jak masz dowody.
Bobby Andes wpatrywał się w strzelbę.
– Tu mi się bardziej podoba. Spokojniejsza atmosfera.
– Już tego próbowałeś. Jeśli myślisz, że ten tam jest w stanie zmusić mnie do czegokolwiek, to się grubo mylisz. Zresztą już tego próbowaliście.
– Bobby – syknęła ostrzegawczo Ingrid.
– Okay, wiem, że tu jesteś, wiem, że tu jesteś – rzucił w jej stronę. – Nie spodoba ci się to, co zobaczysz, ale nie mam zamiaru zmieniać planów z twojego powodu.

Tony usłyszał w jego głosie coś w rodzaju przechwałki, jakby Bobby chciał jej powiedzieć: Teraz się przekonasz, co tak naprawdę robię.

– Może powinnam się położyć.

– Najprawdopodobniej. Hej, Ray – odwrócił się do Marcusa. – Co robiłeś po południu na Cargill Mountain?

– Wiedziałem, że mnie śledzisz.

– Masz tam kryjówkę. I panienkę, o której Leila nie wie?

Ray milczał.

– Nie chcesz mi powiedzieć? Twoja sprawa. Gównu mnie to obchodzi, Ray.

– Więc czego chcesz?

– Odetchnąć świeżym powietrzem, Ray.

– Po co? Czekasz na kogoś?

– Chcę ci dać czas do namysłu na świeżym powietrzu, Ray. Potrzeba ci oddechu, bo musisz podjąć ważne decyzje. Bo twoje całe pieprzone życie wisi na włosku.

– Nie mam się nad czym zastanawiać, człowieku. Mam czyste sumienie.

– Posłuchajcie go! A co byś powiedział, Ray, gdyby się okazało, że twój kumpel Lou Bates oskarżył cię o zamordowanie żony i córki Hastingsa?

Ray zastanawiał się przez chwilę.

– Jaki Lou?

– Już to przerabialiśmy, Ray. Nie masz wielu przyjaciół, ale Lou Bates z pewnością do nich należy.

– Mam przyjaciół, skurwysynu!

– Jasne, że masz, kolego, masz mnóstwo przyjaciół. Tylko że na ciebie kapują. Na przykład Lou Bates, który złożył zeznanie. O tobie i Turku Adamsie. O sobie też. Opowiedział nam całą historię.

Ray siedział i myślał.

– Kłamie.

– Nie sądzę. Po co miałby sam siebie oskarżać?

Ray rozejrzał się po pokoju.

– Ty kłamiesz! Gdyby Lou złożył zeznanie, zabrałbyś mnie do Grant Center.

– W swoim czasie pojedziesz do Grant Center. Niech cię o to głowa nie boli. Chcesz piwo?

– Naszczałeś do niego?

Bobby Andes się roześmiał. Skinął głową na Ingrid Hale.

– Przynieś nam piwo, kobieto.

Wyszła na tyły domu i wróciła z sześciopakiem. Rozdała piwo mężczyznom, jedno wzięła sobie. Bobby Andes otworzył puszkę, ale nie pił.

Ray pił piwo oburącz, trzymając puszkę w skutych kajdankami dłoniach. Bobby zwrócił się do Ingrid:

– Pomożesz teraz Tony’emu przypilnować tego gościa, bo ja muszę zadzwonić.

Zaniepokoiła się. Tony również.

– Gdzie chcesz dzwonić?

– Robota policyjna, okay? Robię to, co do mnie należy. Przypilnujcie go, a ja wrócę za parę minut.

– Mamy go pilnować? Jak, Bobby?

– Tony go przypilnuje, prawda, Tony? Weź strzelbę. Pokażę ci, jak się z niej strzela.

Przeszli do kuchennej wnęki i odwrócili się plecami, żeby ukryć pokaz przed Rayem, który siedział na pryczy z uśmiechem na twarzy. Tony bał się przyznać, jak bardzo jest przerażony. Ingrid zwróciła się do niego z rozpaczą:

– Umiesz się z tym obchodzić?

– Spróbuję – powiedział.

– Chyba mnie z kimś mylicie. Nie jestem niebezpieczny – odezwał się Ray.

– Nie jesteś niebezpieczny, gnido – rzucił Bobby. – Gnidy nie są niebezpieczne. Wystarczy je wytłuc w porę. I to właśnie mamy zamiar zrobić.

– Nie zostawiaj nas, Bobby – powiedziała Ingrid.

– Spokojnie – odrzekł. – Tylko pięć minut. Mam go związać? Poczujesz się lepiej? – Spojrzał na Raya. – Dobra, gnido, zaraz cię do czegoś przywiążemy... – Rozejrzał się. – Okay, do ramy łóżka. Tony, weź kluczyki i rozkuj go z jednej strony, a potem przykuj do łóżka.

Bobby Andes stanął po drugiej stronie pryczy i wycelował w Raya. Tony czuł się nieswojo, zbliżając się do bandyty, który uśmiechał się do niego tym samym złośliwym uśmiechem, jaki pamiętał sprzed roku. Śmierdziało od niego cebulą. Tony’emu drżały dłonie, gdy rozkuwał lewą obręcz na przegubie Raya. Przyciągnął kajdanki do ramy łóżka i Ray musiał się pochylić. Bał się, że go zaatakuje, i powtarzał sobie w duchu, że Bobby na to nie pozwoli.

– Kurwa mać! – wrzasnął Ray. – Nie możecie mi kazać tak stać! – Stał zgięty w pół.

– Możesz usiąść – powiedział spokojnie Andes. – Na podłodze.

– Kurwa! – Przysiadł odwrócony plecami do pryczy, a Tony przykuł go do żelaznej ramy. – Jak mam pić piwo?

– Nie umiesz jedną ręką?

Bobby cofnął się o krok i przyjrzał się dziełu Tony’ego niczym portretowi.

– Teraz nic wam nie grozi...

Ingrid wpatrywała się w niego błagalnie.

– Okay – rzucił. – Zadbam o wasze bezpieczeństwo jeszcze bardziej. Tony, idź do mojego auta. W bagażniku są kajdanki na nogi.

Skuli mu nogi. Ray siedział na podłodze z uniesioną ręką, przykutą do łóżka na wysokości barku. Nogi miał połączone łańcuchem. Sącył piwo, które trzymał w wolnej ręce.

– To okrucieństwo – stwierdziła Ingrid.

– Taa, to okrucieństwo – ucieszył się Ray.

– Wolisz, żebym go rozkuł? Poczujesz się bezpieczniej? – spytał Bobby. – Wrócę za pięć minut. Jeśli będziecie musieli użyć broni, użyjcie jej. – Wyszedł; słyszeli zawracający i odjeżdżający drogą samochód.

Nagle zrobiło się cicho, jakby Bobby zabrał ze sobą wszystkie dźwięki. Strzelba leżała ciężko na kolanach Tony'ego. Spojrzał na skutego Raya, wyciągniętego na podłodze przy łóżku. Oparł dłoń o lufę, powtarzał w pamięci ruchy niezbędne do odbezpieczenia i załadowania broni. Mój Boże, pomyślał, siedzę tu ze strzelbą w rękę, porwałem człowieka... wroga, który mnie torturował przez rok. Dobrze, że go skuliśmy, bo w przeciwnym razie musiałbym całkowicie polegać na broni, której nigdy nie używałem.

– Odbiło wam, chłopaki – odezwał się Ray. – Twojemu facetowi najbardziej – zwrócił się do Ingrid.

– To dobry człowiek – odpowiedziała.

– Ale pomyłony. Ty też jesteś pomyłony – rzucił w stronę Tony'ego.

Przez siatkowe drzwi dobiegały odgłosy nocy, odległe kumkanie żab (gdzieś musi być staw), bliższy szmer strumienia płynącego nieopodal ganku. Cisza zagłuszała odgłosy samochodów na drogach. Tony przypomniał sobie zamęt i anarchię panujące w dziczy i poczuł wagę odpowiedzialności. To... to wszystko z mojego powodu.

Bobby Andes nie wracał.

– Gdzie jest ten telefon? – zapytał Ingrid.

– Przy stacji benzynowej – odpowiedziała.

Zastanawiała się, co go zatrzymuje. Wyjęła piwo z lodówki, podała Tony'emu, który podziękował, więc podsunęła je Rayowi rozciągniętemu na podłodze. Usmażyła jajka na bekonie.

– Ojej, mamusiu! – ucieszył się Ray. – Dasz nam jeść?

Bali się go rozkuć, więc jadł z trudem, używając jednej ręki. Pochwalił Ingrid, powiedział, że jest dobrą kobietą, a on czuje się jak jebana małpa w zoo.

Przytupywała nerwowo.

– Bobby... Bobby... – powtarzała.

– Wygląda na to, że uciekł i was zostawił – mruknął Ray. – Was i mnie, wszystkich nas wykiwał i zostawił.

W chacie panował półmrok, świeciła się tylko jedna żarówka – sześćdziesięciowatowa, zawieszona na belce. Brązowe kartonowe ściany, obrazki z pism przypięte do nich pinezkami: dzikie zwierzęta, góry, kalendarz sprzed trzech lat. Wędkę, szpadel, piła dla dwóch pilarzy – wszystko rzucone w kącie. Zapach stęchlizny, resztki smrodu skunksa. Mimo ciemności Tony zdawał sobie sprawę, że znajduje się w norze pośród drzew. Towarzyszyły mu wilgotny smutek, przegniłe wspomnienia, rozpacz Bobby’ego Andesa.

Nieco później Ingrid zapytała go o żonę i córkę. Ray nadstawił ucha.

– Każdego lata jeździliśmy do Maine – powiedział Tony.

– Byliście dobrym małżeństwem?

– Wspaniałym. Idealnym.

– Nie mieliście problemów?

– Nie przypominam sobie.

– To niezwykle – skomentowała.

Chichot Raya.

Powiedziała, że małżeństwo Bobby’ego nie było udane. Bobby lubił zaszaleć, co nie podobało się jego żonie, która się z nim rozwiodła. Nastoletnia córka Bobby’ego popełniła samobójstwo, jego syn wyjechał z miasta i nie odzywał się od sześciu lat. W dawnych czasach przyjeżdżali tu na lato.

– Mówił mi, że miał tylko jedno dziecko – powiedział Tony.

– Tak mówi.

Ona sama nie wierzy już w małżeństwo. Pracowała w recepcji u doktora Malcolma, a w wolnych chwilach pisała romans historyczny. Przyjeżdżała na ten kemping w weekendy od pięciu lat. Wspomniała o chorobie Bobby’ego, o jego pechu. Była gotowa poświęcić własne zasady i dać mu pół roku szczęścia, bo obawia się, że grozi mu załamanie. Zrobił się ostatnio zupełnie nie do wytrzymania, jakby zachorował na wściekliznę. Głównym problemem jest doktor Malcolm. Spojrzała surowo na Raya.

– To żaden sekret – powiedziała. – Wiedzą o sobie.

Ray zachichotał.

Ktoś mógłby uznać, że jest rozwiązła. Ale to nieprawda, jest opanowana i zwyczajna. W zasadzie, powiedziała, nie interesuje jej miłość. Miała tylko dwa związki, w których wszystkim było przyjemnie i dobrze. Nie afiszowała

się z tym, nie należy do kobiet nazbyt emocjonalnych.

Zwróciła się wprost do Tony'ego:

– Zupełnie nie mogę cię rozgryźć. Każdy, kto uważa, że ma świetne małżeństwo, jest dla mnie podejrzany. – Przeniosła wzrok na Raya. – A ty... Bóg wie, kim ty jesteś...

– Jestem całkiem zwykłym facetem, proszę pani.

– No jasne.

– Wiesz, co on wymyślił? – spytała Tony'ego.

Nie wiedział.

– Policyjna robota? – zastanawiała się głośno. – Tutaj? Nie wiadomo, kiedy położymy się spać.

– Ma pani rację, proszę pani! Muszę się trochę zdrzemnąć – oznajmił Ray.

Nie zwracała na niego uwagi. Spojrzała na Tony'ego.

– Może ty mógłbyś pomóc Bobby'emu.

– Ja?

– Jesteś profesorem. On podziwia takich ludzi jak ty. Może mógłbyś z nim porozmawiać, uspokoić go.

Zrobiło mu się niedobrze, bo miał wrażenie, że to Bobby Andes pomaga jemu. Nie przyszło mu do głowy, że mogło być na odwrót.

Dostrzegła wyraz twarzy Tony'ego i wzruszyła ramionami.

Skuty Ray odezwał się z podłogi:

– A może by tak pani mnie pomogła?

– Nie chcę mieć z tobą do czynienia.

– To okrucieństwo. Sama pani tak powiedziała. Boli mnie krzyż, nie mogę się ruszyć, czuję się jak jebana małpa w zoo.

– Musisz poczekać na powrót Bobby'ego.

– Chryste, on nie wróci!

– Czego chcesz? Nie myśl sobie, że cię wypuszczę.

– Nie chcę, żeby mnie pani wypuściła. Chcę tylko usiąść, chcę, żebyście mi rozkuli nogi. Macie broń. Czego jeszcze potrzebujecie? Nigdzie wam nie ucieknę.

Tony nie chciał odwracać głowy do Ingrid. Wiedział, że na niego patrzy. Wiedział, że jej zdaniem powinni rozkuć Rayowi nogi. Prawdopodobnie sam był podobnego zdania, bo czuł zażenowanie, patrząc na leżącego bandytę. Czuł się bardzo nieswojo.

– Co myślisz? – spytała.

– Zaczekajmy na Bobby'ego – odpowiedział.

I wtedy usłyszeli samochód, snop światła omiótł okna. Ingrid, która czytała

w fotelu, mruknęła:

– Dzięki Bogu!

Trzaśnięcie drzwiami, kroki na żwirze. Otworzyły się drzwi i do chaty weszła młoda kobieta w czerwonej minispódnicy. Stała skonsternowana. Ray podniósł głowę.

– No, no... – powiedział.

– Mój Boże, to Susan! – zawołała Ingrid.

Dziewczyna o imieniu Susan spojrzała na rozciągniętego na podłodze Raya.

– Co tu się dzieje? – zapytała.

– Gdzie Bobby? – zapytała z kolei Ingrid.

– Skąd mam wiedzieć? Nie ma go tutaj?

– A co ty tutaj robisz?

– Leslie znów mnie wyrzucił.

Ingrid się zaśmiała.

– No, tak, i masz ochotę przespać się w lesie albo coś w tym rodzaju.

Dziewczyna o imieniu Susan wpatrywała się w kajdanki na nogach Raya.

– To jakaś gra?

– Mamy tu małą policyjną robótkę. Poznaj Tony’ego Hastingsa i Raya Marcusa. Ray Marcus jest więźniem.

– Prawdziwym więźniem?

– Cześć, Susan – mruknął Ray. – Fajnie, że wpadłaś.

– Tony nie jest stąd. Ray jest oskarżony o morderstwo.

– Już nie – sprzeciwił się Ray. – Nie wniesiono oskarżenia.

Susan miała na twarzy ciężki makijaż podkreślający jej rysy. Podmalowane ciemno oczy. Zerknęła na Raya i skurczyła się w sobie.

– Posłuchaj, Susan – zwrócił się do niej Ray. – Powiedz swojej przyjaciółce, żeby pozwoliła mi usiąść.

– O czym on mówi?

– Chce, żebyśmy mu zdjęli kajdanki z nóg.

Susan otworzyła usta. Dopiero teraz zauważyła strzelbę na kolanach Tony’ego.

– Jest pan policjantem?

– Tony jest ofiarą przestępstwa, o które oskarżono Raya.

– Mówiłaś o morderstwie...

– Chryste, oni myślą, że im ucieknę. Mają dwururkę i kajdanki, ale im mało, bo boją się, że im ucieknę.

– Kurwa mać – zakląła Ingrid. – Posadź go, na rany Chrystusa!

Hastingsa ucieszył jej nieznoszący sprzeciwu ton. Wiedział, że środki

ostrożności Bobby'ego były przesadą. Czuł się przez to jak tchórz. Należało tylko zachować ostrożność. Zrobili to rozważnie: Ingrid przystawiła lufę strzelby do skroni Raya, a Tony rozkuł kajdanki przy ramie łóżka i spiął Rayowi nadgarstki, a potem zdjął mu obrycze z nóg. Cofnął się i wyjął strzelbę z rąk Ingrid. Ray podniósł się z trudem i usiadł na krześle.

Przyglądał im się z nienawiścią.

– Jezu – zwrócił się do Susan. – Biorą mnie za kosmitę.

– Co Bobby chce z nim zrobić? – spytała Susan.

– Nie wiadomo. Policyjna robota – odpowiedziała Ingrid. – Boże, dlaczego wciąż go nie ma?

– Dokąd pojechał?

– Zadzwoń. Nie ma go od godziny.

– Odbiło mu. – Ray wyjaśniał wszystko Susan. – Ona sama tak mówiła temu tam, Tony'emu. Mówiła, że mu odbiło i że nie wie, co ma ze sobą zrobić.

– Zamknij się. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Boisz się, że go wywalą z roboty.

– Zamknij gębę. Nic nie wiesz.

– Nie jestem taki głupi, proszę pani.

– Jesteś potworem. Mordercą. Gwałcicielem. Nie zasługujesz na miano człowieka.

– Nie wkurwiał się, kobieto. Nie jest ci z tym do twarzy.

Pięć

Susan myśli przelotnie o nowej postaci noszącej jej imię, która pojawiła się na kartach książki, o tym, że nowa postać została nazwana jej imieniem przez Edwarda, który nie musiał tego robić. Myśli przelotnie o tchnącym melancholią kempingu Bobby'ego, o atmosferze rozpaczki przenikającej wszystkie letnie domki, chaty i posiadłości w lasach czy nad morzem, nad zatoką Penobscot i na Cape Cod, i teraz w Michigan. Nie jest to zapamiętana rozpacz towarzysząca końcu dzieciństwa czy żegnaniu się na zawsze z wakacjami, ani rozpacz rodzajowa, jak podczas zabijania okien deskami, jest to rozpacz pełni sezonu, słonecznych i przejrzystych dni poświęconych na zwiedzanie i mglistych dni w hamaku, sierpniowej ciszy, odlotu ptaków, kwitnących nawłoci, pożegnania w każdym powitaniu. Smutny nawyk – wynikający z próżności – odmierzania czasu latami, unikania zim i pozostałych pór roku.

Docień terażniejszość. Śnieg pada na koleiny na ulicach. Na lodowisku ósemki i piruety, krzyki, głośna muzyka pod wysokim dachem. Henry ciągnie się za wszystkimi na ugiętych kolanach, zapatrzony w bajeczną pupę Elaine wystającą spod krótkiej spódniczki, gdy Elaine pędzi stową na godzinę ku środkowi lodowiska z dużymi chłopakami. I kolejne okrążenie.

Zwierzęta nocy 23

Mamy więc Tony'ego Hastingsa ze strzelbą na kempingu Bobby'ego Andesa, pilnującego Raya Marcusa, który usiadł na pryczy ze skutymi dłońmi na kolanach. Mamy Susan w czerwonej minispódniczce na wiklinowym fotelu. I Ingrid Hale krzątającą się we wnęce. Ray podziwiał nogi Susan z uśmiechem na twarzy. Czekali na Bobby'ego Andesa, zastanawiając się, co się z nim stało. Ten człowiek jest więźniem tylko dlatego, myślał Tony, że wierzy, iż użyję broni, żeby go zabić, gdyby zechciał uciec.

Susan przedstawiła się Tony'emu i Rayowi.

– Jestem kuzynką Bobby'ego. Kiedy Leslie wyrzuci mnie z domu, przyjeżdżam tutaj.

– Wpadaj, kiedy chcesz – mruknął Ray.

Wiedziała, że wpatruje się w jej uda, i spojrzała na niego groźnie.

– Hej, koleś – zaczęła. – Kogo zabiłeś?

– Nikogo nie zabiłem.

– Kogo zabił? – spytała Tony’ego.

– Moją żonę i córkę.

Zrobiła wielkie oczy.

– Kiedy?

– Przed rokiem.

Spojrzała raz jeszcze na mężczyznę na pryczy, który natychmiast stał się inny, obcy, jakby nie z tej ziemi. Szeptem, żeby nie usłyszał – choć rzecz jasna słyszał doskonale – zapytała:

– Jest pan pewien?

– Tak – odpowiedział Tony. – Byłem tego świadkiem.

Wstrząs. Ray pochylił się nad kolanami.

– Kłamiesz, koleś, i doskonale o tym wiesz.

Tony opowiedział więc swoją historię raz jeszcze, mając teraz prawdziwą publiczność na pryczy – publiczność, która udawała, że nie słucha. Miał wrażenie, że to opowiadanie czyni całą tę historię zupełnie nierzeczywistą.

– To straszne, to straszne... – pomrukiwała Susan. A potem: – Doszedł już pan do siebie? O mało nie powiedział: tak, ale spostrzegł strzelbę na swoich kolanach w obcej, pogrążonej w półmroku chacie i Raya po przeciwnej stronie izby, więc odparł:

– Nie.

– Nie?

Chciałbym zamordować wszystkich, którzy tu są, pomyślał. Nie, to głupie. Zmienił zdanie.

– Nic mi nie jest – powiedział.

Ucieszyła się.

– A co pan robi?

– Jestem profesorem matematyki.

Nie miała nic do powiedzenia o matematyce.

– A ty? – zapytał.

Wyobrażał sobie, że nie jest kobietą godną szacunku. Może jest prostytutką? Zastanawiał się, jak mu to powie.

– Śpiewam.

– Naprawdę? Gdzie?

– Teraz akurat nigdzie. Pracuję w Green Arrow.

– Co to jest?

– Bar – odpowiedział Ray.

– Nocny klub – dodała, a Ray uśmiechnął się pod nosem.
Ziewnęła.
– Przepraszam.
– Bobby... Bobby... Robi się bardzo późno – powtarzała Ingrid. Zerknęła na Susan. – Połóż się.
– Może wszyscy się położymy – rzucił Ray.
– Chcesz iść do sypialni? – Ingrid spojrzała pytająco na Susan.
– Wybacz, że nie będę ci towarzyszył – powiedział Ray. – Żona na mnie czeka.
– A co na to Bobby?
– Do diabła z Bobbym – odpowiedziała Ingrid.
– Święta prawda – wtrącił Ray. – Krzyżyk na drogę.
– Nie chcę zajmować wam łóżka – powiedziała Susan.
– Połóż się przy mnie – zaśmiał się Ray. – Śpij tutaj. Nikomu nie będziesz przeszkadzać. – Wyszczrzył zęby do Tony’ego. – Co nie, Tony?
Tony przypomniał sobie, że go nienawidzi.
– Tony też chce się przespać – ciągnął Ray. – Położycie się z Tonym na leżance? Mnie to nie przeszkadza. Ingrid mnie popilnuje, co nie, Ingrid?
– Jesteś obrzydliwy – stwierdziła Susan.
– Nie wściekaj się, maleńka. Znam dziewczyny z Green Arrow. Palce lizać, co nie, Susan?
– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała Ingrid. Spojrzała na Tony’ego.
– Bobby chciał, żebyś został na noc?
– Pojadę do motelu – odpowiedział Tony.
– Mogę się przespać na podłodze – wtrąciła Susan.
– Możesz się położyć na łóżku. Już ci to proponowałem – powiedział Ray. – Razem z nim. Albo możecie zgasić światło i pojechać do miasta. Mnie i Ingrid to nie przeszkadza.
– Zamknij się – rzuciła twardo Susan. – A jeśli chcesz wiedzieć, kutasie, to w Green Arrow nie ma żadnych dziewczyn. Jestem jedyną dziewczyną, która tam pracuje. Nie wiesz, o czym mówisz. – Zwróciła się do Tony’ego: – Niech mi pan wybaczy, ale kutas zawsze zostanie kutasem.
Ray był niespokojny. Wiercił się. Podnosił, jakby chciał wstać, lecz za każdym razem Tony mocniej ścisnął broń. Zastanawiał się przy tym, na czym dokładnie polega siła, którą teraz dysponował. Stał się człowiekiem, który posiada środki przymusu wobec innego: strzelbę, tę kobietę. Czy wiem, jak użyć tej broni? – myślał. Gdybym musiał, czy zdążyłbym wycelować i trafić go, zanim by mnie dopadł? A jeśli wstanie i zacznie chodzić? Czy mogę mu

zagrozić, że go zastrzelę? Czy zdołam to zrobić? A jeśli to zrobię, jak wytłumaczę się przed wymiarem sprawiedliwości? To pytanie go zaskoczyło – nie przyszło mu wcześniej do głowy. Wykonywałem polecenia porucznika. A jeśli okaże się, że polecenia te były bezprawne? Morderstwo i porwanie. Nie użyję tej broni, pomyślał. Równie dobrze mogę ją komuś oddać.

Jedyne, co sprawia, że jesteśmy bezpieczni, myślał od nowa, to fakt, że ten człowiek nie wie, co myślę. Wierzy, że mógłbym użyć broni. Na tym polega różnica między nim a mną. Ale kiedy stwierdzi, że jest inaczej, będziemy zgubieni.

Mroczna, zasnuta pajęczynami chata, czuł pleśń toczącą drewno. Wpakowany przez Bobby'ego Andesa w poważne kłopoty, które według Bobby'ego Andesa były nie kłopotami, tylko sprytnym planem, doskonale się sprawdzającym. Tony świadek i beneficjent. Różnica między Bobbym Andesem a nim. Dzięki Bogu za Ingrid, pomyślał. Ona wie, ona rozumie, stanie po mojej stronie. Żeby tylko ten Andes się pospieszył.

Może powinienem znów skuć Rayowi nogi, pomyślał. Może powinienem zaproponować to Ingrid. Choć nie wiadomo, czy w obecności Raya to dobry pomysł.

Bogu niech będą dzięki po raz kolejny, bo po chwili usłyszeli następny samochód, ujrzeni snop światła omiatający okno i znów usłyszeli trzaskające drzwi i głosy – męskie, zachrypnięte – i kroki na żwirowej ścieżce przed chatą. Do izby wszedł mężczyzna z czarną brodą, a za nim porucznik z bronią. Mężczyzną z brodą jest Lou Bates, wmawiał sobie Tony, wyciągając pośrednie wnioski, bo tak od razu nie rozpoznał przybysza. Brodacz szedł pochylony, miał skute na plecach rękę.

Lou Bates rozejrzał się po twarzach siedzących w pokoju osób, próbując rozgryźć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Skurwysyn – rzucił Ray.

Bobby Andes popchnął Lou ku pryczy. Kazał mu usiąść obok Raya. Spojrzał na Susan.

– Co ty tu robisz? Myślisz, że to jakaś cholerna impreza?

– Leslie wyrzucił mnie z domu.

Spojrzał gniewnie na Ingrid.

– To ty ją tu ściągnęłaś?

– Gdzie byłeś, do cholery? Odpowiedz mi, Bobby!

– Pytałem, czy ją ściągnęłaś?

– Przyjechała, bo zawsze tu przyjeżdża.

– Mogę zostać? – zapytała Susan piskliwym głosem.

Tony zastanawiał się, kiedy Bobby zauważy, że zdjęli kajdanki z nóg Raya.

– Musiałem pojechać do miasta – wyjaśnił Bobby. – Musiałem sam go przywieźć.

– Dlaczego nam o tym nie powiedziałeś?

– Nie wiedziałem, że tak się to ułoży. Myślałem, że George jest na służbie. Myślałem, że George go przywiezie. – Był poirytowany, bo ludzie niczego nie rozumieli.

– Kim jest ten człowiek? – zapytała Ingrid.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Dlaczego ci dwaj, co tu byli, nie mogli go przywieźć?

– Nie wracali do miasta. – Mówił z pogardą człowieka, który tłumaczy komuś, że dawno powinien pójść do domu, że w ogóle nie powinno go tutaj być. Stał na środku izby, rozglądając się po twarzach zgromadzonych. Był bardzo błydy i bardzo zde gustowany. – Chryste, niedobrze mi. – Usiadł w wiklinowym fotelu.

Ray przyglądał mu się uważnie, z zaciekawieniem. Bobby nie spostrzegł braku kajdanek na jego nogach. Uspokoił się z pewnym wysiłkiem i spojrzał na Susan.

– Przepraszam za niegościnnosć – powiedział – ale mam tu policyjną robotę do załatwienia. Nie oczekiwałem gości.

– Pan Policjant! – rzucił z przekąsem Ray.

– Liczę, że zachowacie dla siebie to, co tu widzicie. A najlepiej byłoby, gdybyście obie udały się na spoczynek, jeśli macie ochotę.

– Panie Policjant, muszę iść do kibla.

– Gównu musisz.

– Zgadza się, muszę się wysrać, Panie Policjancie. I to szybko.

– Wstawaj – warknął Bobby. Zaprowadził Raya na tyły domu. Słyszeli szuranie ich kroków w liściach za domem.

Susan spojrzała pytająco na Ingrid i Tony'ego. Ingrid uniosła brwi. Lou Bates gapił się w podłogę. W końcu Susan nie wytrzymała:

– Kim ty jesteś? – spytała.

Nie odpowiedział. Powtórzyła pytanie, lecz on ciągle milczał.

– To Lou Bates – powiedział Tony. – Razem z tym pierwszym zabili moją żonę i córkę.

Lou podniósł głowę i spojrzał posepnie na Tony'ego, a potem znów wbił wzrok w podłogę.

– Chyba zacznam rozumieć – powiedziała Susan.

Ingrid podała jej książkę.

– Lepiej sobie poczytaj.

Po pewnym czasie Ray i Bobby wrócili do domu. Ray nie był skuty. Usiadł na pryczy obok Lou, a Bobby zajął miejsce w wiklinowym fotelu. Ray spojrzał na Ingrid i odezwał się miłym głosem:

– Coś pani poradzę: musi pani wsypywać więcej wapna, bo brzydko pachnie i rani nozdrza kobiet i dzieci.

– Zamknij się – rzucił Bobby. Zerknął na Susan. – Mogę ci zaufać? – spytał. Kończył to, o czym zaczął mówić, zanim przerwał mu Ray.

– Komu? Mnie? Jasne. Chyba.

– Hej – odezwał się znowu Ray. – To wszystko jest jednym wielkim bezprawiem. To pierdolenie o zaufaniu nie brzmi dobrze, koleś.

– Naprawdę? – spytał Bobby. – Przejmujesz się bezprawiem? – Wargi Bobby'ego miały barwę policzków. Dyszał ciężko, ale wyszczerzył zęby. – Mówiłem ci parę razy, żebyś się tym nie przejmował. – Opadł na fotel i przyjrzał się wszystkim, jakby ich widok sprawiał mu wielką radość.

Tony spojrzał na Raya i Lou – tego samego Raya i tego samego Lou, którzy byli teraz więźniami z jego powodu i płacili za to, co mu wyrządzili, bo to, co stało się w zeszłym roku w lesie, wcale nie dobiegło końca, ale miało ciąg dalszy, w dodatku taki, jakiego nie mógł sobie wyobrazić.

– No to do roboty – rzucił Bobby.

– Hej, Lou – przerwał mu Ray. – Co powiedziałaś temu pierdolniętemu glinie?

– Nic mu nie powiedziałam.

– A on mi wciskał, że oskarżyłaś mnie o morderstwo żony i dzieciaka tego tam gościa.

– Kurwa, człowieku, mnie wciskał ten sam kit o tobie.

Ingrid Hale cmoknęła. Odwróciła się plecami i z wściekłością zaczęła czytać.

Ray zaśmiał się groźnie.

– Chyba poleciał se z nami w chuja, co nie?

Oburzony i wstrząśnięty Lou obrzucił Bobby'ego gniewnym spojrzeniem.

– Ty, kurwa, reprezentujesz prawo? W co ty teraz pogrywasz, koleś?

Bobby Andes się zaśmiał.

– Pierdol się – rzucił. – Macie sobie coś jeszcze do powiedzenia?

– A co niby? Że ochujałaś?

– Powinieneś oddać odznakę. Nie reprezentujesz prawa – stwierdził Lou. Mówił z prawdziwym bólem i rozczarowaniem.

– Coś wam powiem.

– Co?

– Że gównu mnie obchodzi, kto kogo oskarżał. Wszyscy w tym domu wiedzą, co zrobiliście, i każdy ma głęboko w dupie, co macie do powiedzenia.

Nikt się nie odezwał.

– Ja wiem, co zrobiliście. I to mi wystarczy. Kapujecie?

– Więc co tu robimy? – spytał Ray.

– Nie my, kolego. Co ty tutaj robisz.

– Co?

– Robisz to, co robisz, bo ja wiem, co zrobiłeś.

– Nie kapuję.

– Skapujesz. Zważ, że nie mam nic do stracenia.

– Grozisz nam?

Bobby Andes znów się roześmiał. Miał chrapliwy i nieprzyjemny śmiech.

– Umieram na raka, ale liczę, że wy umrzecie pierwsi.

– Nie mścij się za to na nas, koleś!

– Urządzimy sobie imprezę.

Ray wyglądał na bardzo zaniepokojonego, bardzo.

– Powinieneś na siebie uważać, człowieku.

– Coś ci jeszcze powiem, cipo. Myślałeś, że znów się wyłgasz, myślałeś, że się wymigasz, Ray, no i popatrz, co się stało. Siedzisz u mnie w domu. Wyobrażasz sobie? Kurwa, szkoda mi ciebie, gościu.

Milczenie.

Bobby Andes przeciągnął się i skulił, jakby bolał go brzuch albo krzyż.

– Pożalujesz, gnido, że zaczepiłeś tego faceta i jego kobiety w samochodzie. A może wolicie, żebym od razu was zastrzelił, co? Bo jesteście jak śmieci, które cuchną. Jesteście jak skunksy, zdechłe skunksy.

Wiercił się w fotelu.

Tony Hastings czuł zażenowanie, że Bobby mówi w jego imieniu, że mówi to, co myśli Tony. I w dodatku jest chory.

– Co ci jest, Bobby? – spytała Ingrid.

Bobby spojrział na Raya.

– Miałeś kiedyś katar żołądka? Miałeś kiedyś katar żołądka, prócz raka?

– Bobby... – szepnęła Ingrid.

Bobby Andes do Raya Marcusa:

– Nie uśmiechaj się do mnie, ty skurwysynu.

Ingrid do Bobby'ego:

– Powinieneś się położyć.

Bobby Andes do Lou Batesa:

– Jesteś trupem, śmieciu.

Ingrid dotknęła jego ramienia.

– Miałeś kiedyś kulkę w brzuchu?

Chwytał łąpczywie powietrze. Ingrid przyniosła mokrą ścierkę i położyła mu na czole.

– Zabierz to, kurwa. – Zdarł szmatę z głowy i spojrzał na Tony'ego. – Czas ich wykończyć.

– Wykończyć? – Tony aż podskoczył. Tamci również, choć zaraz zeszywnieli.

– Teraz albo później, jeszcze nie wiem. Może lepiej później, z zaskoczenia. Wiesz, co mówi prawo. Im się zdaje, że się wyłgali z pomocą prawników, ale się mylą, wyrok śmierci już zapadł, nie wiadomo tylko, kiedy się ich wykończy. – Popatrzył na Raya i Lou. – Wiecie, co to znaczy? Co znaczy „wykończyć”? To znaczy wykonać wyrok jak na krześle elektrycznym, choć dla was szkoda krzesła. Żałuję, Ray, człowieku, że nie mogę ci powiedzieć, jak i kiedy cię wykończę. To przykre, jak się tego nie wie, ale nie mogę ci tego zdradzić... – Znów do Tony'ego, jakby chcąc wyjaśnić mu to wszystko: – Chodzi o to, że jak ich wypuszczę, będą się męczyć jeszcze bardziej niż tutaj, czekając na kulę w łeb. Wszędzie wokół jest policja, mają godziny nadliczbowe. Ray może zginąć, na przykład stawiając opór władzy. Albo włamując się do jubilera z jakimś gościem, którego nie zna. Może też zginąć w domu od kuli włamywacza. Chuj wie. W dzisiejszych czasach nie wiadomo, komu można zaufać. Nic nie wiadomo.

– Uważaj, co mówisz, koleś. Tu są świadkowie.

– Mówisz o moich kobietach, palancie? Wiedzą, kogo mają przed sobą, prawda?

Cały ten cyrk, całe to przedstawienie zorganizowano na cześć Tony'ego, który czuł irracjonalny wstyd i zastanawiał się, co Bobby Andes chce w ten sposób osiągnąć. Skąd Bobby wie, że to, co robi, przyda się w sądzie przeciwko Rayowi Marcusowi.

Skuty na plecach Lou unosił na przemian barki.

– Niewygodnie ci, synu? – spytał Bobby Andes. Podszedł, rozkuł go i poklepał ojcowsko po plecach. Teraz obaj, Ray i Lou, mieli wolne ręce, a schorowany Bobby uśmiechał się do nich szeroko.

Wrócił na fotel. Odezwał się do Tony'ego, jakby kontynuował przerwana rozmowę:

– Prowadziłem badania nad torturami.

Tony usłyszał ciężkie westchnienie Ingrid.

– Ci dwaj są w tym nieźli, jak słyszałem – ciągnął Bobby. – Ale to amatorzy. Badałem tortury dopuszczone prawem. Tortury stosowane przez rządy, znacznie skuteczniejsze od amatorszczyzny, która skupia się na kobietach i dzieciach.

– Zapłacisz za to – mruknął Ray.

Do Tony'ego trafiła wreszcie ostatnia ewentualność, że Bobby w istocie zrezygnował z rozwiązań zgodnych z prawem, że ma zamiar wprowadzić w życie własne rozwiązania. Zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić, jeśli tak się stanie. Czy powinien interweniować, jeśli w ogóle interweniował w jakiegokolwiek sprawie przez całe swoje życie. Chcąc interweniować, powinien wiedzieć, czemu przeciwdziała. Męskim rozmowom, brutalnej robocie policyjnej? Megalomanii, zastraszaniu, psychologicznej manipulacji? A co on sam ma w zamian do zaproponowania?

– W dopuszczalnych prawem torturach stosowanych przez rządy – ciągnął Bobby – kryje się pewien cel. Uzyskanie zeznania. Tak muszą mówić, choć jest to cel pozorny. Wiecie, chłopaki, co znaczy słowo „pozorny”? Prawdziwy cel jest inny. Prawdziwy cel polega na tym, by torturowani żalowali, że nie są martwi.

Problem z interwencją sprowadzał się do tego, że Bobby miał jakiś plan, którego dosiadł jak konia i żadne najostrożniejsze pytania o prawomocność i wspinałomyślność nie są już w stanie zrzucić go z siodła.

– Wszyscy mają w dupie zeznania. Najwspanialsze w torturach jest to, że przywracają nam w stopniu maksymalnym całkiem naturalne i instynktowne życzenie śmierci. Podoba ci się ta definicja, Tony?

Więc Tony odpowiedział:

– Bobby.

– Co?

Tony nie wiedział co. Jeśli Bobby tylko sobie gada, Tony wyjdzie na durnia.

– Co powinniśmy z nimi zrobić, Tony?

– Nie wiem.

Bobby Andes się zastanawiał. Spojrzał na swoją strzelbę, zważył ją w dłoni, podniósł i wycelował na próbę w głowę Raya. Ray odsunął się i znów usiadł wyprostowany. Bobby Andes przeładował broń, wycelował, odłożył ją. Przyglądał się przez długą chwilę Rayowi i Lou, Lou i Rayowi, a potem wstał. Mrugnął do Raya i podał strzelbę Ingrid.

– Masz, potrzyмай.

Oddała mu zaraz broń i zniknęła we wnęce kuchennej.

Podał ją Susan, która trzymała ją w paluszkach, z dala od siebie. Poszedł na tyły i otworzył jakąś szafkę, przykucnął i szukał czegoś na dnie.

Ray założył ręce za głowę i przyjął pozycję półleżącą na pryczy, a Lou siedział na krawędzi. Tony z bronią siedział na twardym krześle i patrzył.

Ray zachichotał.

– Boisz się, Lou? – mruknął. Szturchnął go pod żebro.

– Odpierdol się – warknął Lou.

– Ten gość nie jest miły. Będzie miał masę kłopotów, jak dorośnie – stwierdził Ray. Wpatrywał się w plecy Bobby'ego, który postawił na kuchennym stole skrzynkę ze sprzętem wędkarskim.

Na drugim krześle dziewczyna o imieniu Susan, bez nazwiska, trzymała strzelbę Bobby'ego jak kawałek metalowego gówna – jak najdalej od gołych białych ud. Ingrid tłukła garnkami we wnęce.

– Nie myślałam, że będę kiedyś pilnowała więźnia – powiedziała Susan.

Przyglądali się Bobby'emu, który wyjął coś ze skrzynki i podniósł do góry, żeby lepiej się przyjrzeć. Potem wyjął z szafki zardzewiały sierp, dotknął ostrza, schował sierp do szafki i wyciągnął z niej coś, co przypominało stary samochodowy akumulator, postawił to na stole. Usiadł odwrócony do nich plecami i podniósł wyżej długi zwój drutu. Przeciął coś nożem, a potem skreślił drut razem, pochylił się i poskrobał o metal scyzorykiem. Wokół niego leżały haczyki i kawałki drutu. Tony nie miał pojęcia, czym w tej chwili zajmuje się Bobby.

Ingrid zmywała naczynia. Tłukła metalowymi garnkami. Susan pisnęła. Lufa strzelby opadła jej na uda.

– Nie wiem, czy umiałabym tego użyć, gdybym musiała – stwierdziła.

Ray wyprostował się na pryczy.

– To niebezpieczna broń – powiedział. – Trzeba umieć się z nią obchodzić.

Ray coś kombinował. Dla Tony'ego było to całkiem jasne. Wpatrywał się w Lou, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale przybity Lou niczego nie zauważył. Bobby rozejrzał się i wrócił do pracy. Pochylony nad stołem, tarł czymś o coś.

– Muszę siusiu – powiedział Ray.

– Przed chwilą byłeś.

Ray wstał.

– Uważaj – rzucił Tony.

– W porządku, w porządku, chcę tylko rozprostować nogi. – Podeszedł do ściany i spojrzął na przypięte pinezkami obrazki.

- Siadaj – polecił Tony.
- Chryste, muszę się poruszać.
- Siadaj.
- Tak jest, szefie. – Usiadł.

Bobby, przy stole we wnęce, spojrział w ich stronę. Trzymał w dłoni nóż i dwa druty. Wrócił do pracy.

– Róbcie, co wam każe. Wyjdzie wam to na zdrowie – powiedział, nie odwracając się.

– Strzelałeś kiedyś z tego? – spytał Ray.

Tony nie odpowiedział.

– Założę się, że nie... – mówił cicho, choć nie tak cicho, żeby nie słyszał go Bobby.

– Hej, Tony, a jak się wytłumaczysz, że do mnie strzeliłeś?

– To moja sprawa, nie twoja.

– To wbrew prawu, to się nazywa porwanie. A jeśli mnie zastrzelisz, to nie będzie żadna policyjna robota, to będzie morderstwo.

Tony zeszywniał. Miał nadzieję, że Rayowi nic nie przyjdzie do głowy. Nic takiego, co kazałoby Tony'emu zastrzelić kogoś innego. Wolałby, żeby Bobby już skończył.

– Gdzie uczysz, profesorze? – spytał Ray. Znów wstał. – Spadamy, Lou.

– Co? – pisnął tamten.

A więc mamy Raya skradającego się zakolem ku ścianie, zmierzającego ku drzwiom.

– Idziemy. Rusz dupę.

Lou spojrział na niego pustym wzrokiem.

– Siadaj – zawołał Tony. – Bobby!

– Rusz dupę, baranie. Musimy spadać!

Tony zerwał się z krzesła. Próbował załadować swoją broń i zagrozić Rayowi drogę do drzwi. Bobby Andes stał w cieniu wnęki.

– Zastrzel go, Tony – powiedział.

– Spierdalamy stąd, spierdalamy!

– Oszalałeś, człowieku! Przecież on ma broń!

– Rusz dupę, rusz się.

Tony stanął przed drzwiami. Uniósł strzelbę i wycelował.

– Stój! Zatrzymaj się!

Ray szedł prosto na niego, więc Tony odsunął się na bok, żeby nie wyrwał mu strzelby z rąk. Lou, widząc to, zerwał się z miejsca, a Susan pisnęła.

Drzwi zatrzymały Raya, który zmagął się z zamkiem i w końcu otworzył je

kopnięciem. Ruch Bobby'ego. Tony widział, jak rzuca się do przodu, chwytając Susan za rękę, wołał:

– Daj mi to!

Skrzydło drzwi zatrasnęło się prosto na twarzy Lou, stopy Raya załomotały po deskach ganku, Lou pchnął drzwi i puścił się za Rayem, Bobby przebiegł obok Tony'ego, odepchnął go i wrzasnął:

– Teraz was mam, skurwysyny!

Huk tuż za drzwiami ogłuszył Tony'ego, zupełnie go dezorientował.

Bomba, pomyślał i spojrzał na kartonowy sufit, który mógł się za chwilę zapaść. Zobaczył niebieski dym, poczuł proch, widział strzelbę uniesioną wysoko w rękach Bobby'ego, który zeskoczył z ganku, goniąc Lou. Krzyczała Susan. Widział ją, widział, jak podniosła nóż do krojenia mięsa, a Ingrid miskę z pomyjami, którymi chciała oblać napastnika.

Na dworze kolejny wybuch, potem następny. Wybiegł na ganek, zobaczył mężczyznę z rękoma wyciągniętymi do przodu, celującego ze strzelby, rozejrzał się i zobaczył innego mężczyznę biegnącego brzegiem strumienia. Jeszcze jeden strzał, biegnący nie zatrzymał się, pędził ścieżką nad brzegiem i zniknął między drzewami. Trzeci mężczyzna leżał w trawie nad strumieniem.

Susan stała na ganku obok Tony'ego, dyszała, a Ingrid wycierała ręce w ścierkę. Na żwirowej ścieżce stał Bobby Andes, mały i gruby, chował koszulę w spodnie. Spoglądał ku lasom za strumieniem – tam, gdzie zniknął uciekający.

– Weź kluczyki – powiedział. – Musimy go dopaść.

– Zaczekaj, Bobby – poprosiła Ingrid.

Tony miał kluczyki w kieszeni. Mężczyznę, który leżał na trawie, był Lou. Jęczał, próbując wstać, oparł ręce o ziemię, ale nie był w stanie się podnieść. Patrzył na nich błagalnie, wołał:

– Pomóżcie mi, proszę.

Ingrid weszła do domu i wróciła ze ścierką. Bobby Andes wpatrywał się w strumień i milczał.

– Jestem ranny, człowieku – poskarżył się Lou.

– To nie ma sensu – stwierdził Bobby. – Dorwiemy go później. – Spojrzał na Tony'ego. – Chryste, dlaczego nie strzeliłeś?

Tony miał na końcu języka szybką odpowiedź: To należy do ciebie. Ale opanował się, choć nie potrafił odpowiedzieć inaczej. Ingrid, ze ścierką do naczyń w dłoni, szła do miejsca, w którym leżał Lou.

– Trzymaj się od niego z daleka – rzucił Bobby.

- Jest ranny. Musimy się nim zająć.
- Wracaj!
- Daj spokój. Ubierz się. Musimy zawieźć go do szpitala.
- Zamknij się.
- On może umrzeć.

Bobby stał nieruchomo, stał jak zaczarowany. Głęboko się nad czymś zastanawiał. W końcu się poruszył.

- Cofnij się – rzucił. Podszedł do Lou i strzelił mu w głowę.

Któraś z kobiet krzyknęła:

- Matko Boska!

Jeszcze raz to samo. Mamy więc leżącego na ziemi Lou, płaczącego z bólu, patrzącego błagalnie na Bobby'ego Andesa maszerującego ku niemu żołnierskim krokiem. Lufa strzelby kata wycelowana w głowę Lou, przerażenie na jego twarzy, instynktowny gest rąk osłaniających głowę, instynktowny obrót na bok. Potem wybuch, ciało kurczy się spazmatycznie jak strączek niecierpka, przewraca się na plecy, ryje stopami ziemię, bezwładnieje.

Susan płakała jak dziecko.

Mamy więc Bobby'ego trącającego lufą Lou, który musi już być martwy, pochylającego się nad nim, odwracającego się ku stojącym na ganku lub ku czemuś nad ich głowami. Uniósł strzelbę, wycelował prosto w nich i strzelił. Krzyk przerażenia Susan, która wbiegła do domu.

- Zamknij się! – ryknął Bobby. – Nie strzelam do was.

Trzymał się za brzuch, kuśtykając w ich stronę, pochylił się, opuścił strzelbę.

- Wejdźcie do środka – polecił. – Wyglądacie jak banda idiotów.

W cokolwiek celował nad ich głowami, trafił w zawias u drzwi, który drząc jeszcze, zawisł obok wyrwanej siatki.

Sześć

Zwierzęta nocy 24

Stali w chacie Bobby'ego Andesa, a w lasach zamierało echo katastrofy: dziewczyna o imieniu Susan w czerwonej minispódniczce, Ingrid ze ścierką do naczyń, Tony Hastings ze strzelbą, której nie użył. Wszyscy wstrząśnięci. Przy stole. Bobby Andes jak policjant po rutynowej robocie podciągał spodnie, trzymając pod pachą strzelbę, której użył. Lou Bates na trawie z dziurą w głowie.

– Kurwa – zaklął Bobby. – Co się stało, Tony, broń nie chciała wystrzelić?

Wściekłość, jaką chciał odczuwać Tony, dławilo poczucie wstydu, że nie wiedział, co należy zrobić. Nie odezwał się.

Bobby spojrział na Susan.

– Przepraszam, że cię wystraszyłem, ale zobaczyłem nietoperza.

– Nietoperza, Bobby? Strzelałeś prosto w nas!

Wyraz twarzy Andesa się zmienił. Położył strzelbę na stole i wyszedł tylnymi drzwiami. Wymiotował, szczekając jak foka. Wrócił.

– Chryste, nie miałem kiedy się rozchorować!

Usiadł przy stole i oddychał głęboko.

– Pora ruszyć w drogę.

– Bobby – zaczęła Ingrid. – Tam leży człowiek, którego zabiłeś.

– Daj mi trochę czasu.

Spojrziała na Tony'ego i Susan. Wszyscy spoglądali po sobie.

– Bobby? Co my z tym zrobimy?

– Nic się nie stało – odpowiedział. – Wszystko jest pod kontrolą.

– Co my z tym zrobimy, Bobby? Zabiłeś człowieka.

– Zgadza się. Chciał uciec.

– Nie. Zabiłeś go specjalnie.

– Chciał uciec. – Spojrział na nią. – Coś nie tak?

– Strzeliłeś do niego po raz drugi. Strzeliłeś mu w głowę.

W pokoju panowała cisza. Wszyscy wpatrywali się w Andesa, słysząc było żaby kumkające gdzieś nad stawem. Przeczesał palcami włosy, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo nie trafiłem go za pierwszym razem. Jezu! – Pomacał kieszeń i wyjął

kluczyki do samochodu. – Muszę jechać.

– Dokąd, Bobby?

– Zadzwoń.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Strzepnął ją.

– Nie dotykaj mnie. Nic mi nie jest.

– Nie możesz wysłać Tony’ego?

To zaniepokoiło Tony’ego, ale Bobby spojrział na nią tak, jakby oszalała.

– Tony tego nie załatwi – powiedział.

– Nie załatwi czego? Nie może pojechać na posterunek? Chyba o to ci chodzi?

– Nie. Chcę dopaść tego skurwiela, jak wyjdzie na drogę.

– O, nie, Bobby. Nie rób tego.

– O, tak, Ingrid. Zrobię to.

– Zostawisz nas samych?

Wstał, wyprostował się i podszedł do drzwi.

– Bobby! – zawołała.

– Uspokój się – powiedział. – Tony ma broń. Jeśli sobie przypomni, jak się z niej strzela.

– Ale tam leży ten człowiek.

– Daj mu poleżeć. Nie dotykaj go. Siedź w domu i módl się, żeby żaden wędkarz się o niego nie potknął.

Wyszedł. Usłyszeli samochód.

– Niech go piekło pochłonie! – rzuciła Ingrid.

– Czy to zgodne z prawem? To, co zrobił? – spytała Susan.

– Że go zastrzelił?

– Czy policjant może to zrobić?

– On chciał uciec. Tyle tylko... – zawahała się Ingrid – ...że strzelił po raz drugi. W głowę. To nie było potrzebne.

– Będzie miał kłopoty?

– Różne.

– Jakie jeszcze?

– Nie miał prawa zatrzymywać tego, który uciekł.

– Tego Raya?

– To było wbrew prawu – powiedziała Ingrid.

– I za to też odpowie?

– Wolę o tym nie myśleć.

– Może... jeśli nic nie powiemy...

– Dowiedzą się – przerwała jej Ingrid. – Poznają po ranach. Chodzi o to,

czy kumple zechcą go kryć.

Wstrząs Tony'ego mijał.

– Co on chciał przez to osiągnąć? – pytała Susan. – To znaczy, kiedy się dowiedzą, będzie skończony.

Ingrid zaśmiała się półgębkiem.

– Kiedy kto się dowie? – mruknęła. – On się tym nie przejmuje. Doszedł chyba do wniosku, że skoro prokurator okręgowy umywa ręce, sam będzie ich ścigał, sam się wszystkim zajmie. – Ingrid próbowała rozgryźć Bobby'ego Andesa. – Nie rozumiem tylko, dlaczego stał się tak nieostrożny.

– Kiedy? – zapytała Susan.

– Kiedy usiadł sobie przy stole i zaczął dłużyć. Liczył na to, że Tony ich zatrzyma? To zupełnie do niego niepodobne. – Spojrzała na Tony'ego. – Chyba się cieszysz, że go zabił?

Nie był w stanie o tym myśleć. Jego uwagę odwróciło pytanie, czy Bobby liczył, że Tony zatrzyma uciekającego Raya. Śmierć Lou Batesa wydawała się nieważna. Lou Bates przestał tylko być Lou Batesem. Tony nie miał z tego żadnej satysfakcji, podobnie jak po śmierci Turka. Czas wysublimował zbrodnię i jedynym bandytą, który miał znaczenie, był Ray. Ray i tylko Ray, którego Tony znów się przestraszył i któremu pozwolił uciec.

– Jesteś pewna, że on nie żyje? – spytała Susan.

– Dostał kulę w łeb – odpowiedziała Ingrid.

– Ale mógł przeżyć. Może powinniśmy sprawdzić?

– Jest trupem. Na pewno.

– Myślę, że ktoś powinien pójść i się przekonać.

– Ja nie.

Ani ja, pomyślał Tony i powtórzył to na głos, gdy Susan spojrzała na niego. Stanęli w drzwiach i przyglądali się oboje, jak młoda kuzynka policjanta – którą razem z Rayem wzięli za prostytutkę, ale która była tylko dziewczyną w minispódniczce – wychodzi na dwór z latarką i zbliża się ostrożnie do ciemnego kształtu w trawie nad potokiem, przyglądali się, jak odważnie przykuca i przypatruje się ciału, świecąc gołymi kolanami. Widzieli snop światła z latarki przesuwający się po ciele i dłoń dotykającą twarzy tamtego. Wróciła blada.

– Miał otwarte oczy – powiedziała.

– Tak robią, kiedy umierają – odezwała się Ingrid. – Otwierają oczy, ale niczego nie widzą.

Wszystko się psuje. Jedzenie pleśnieje, mleko kwaśnieje, a mięso gnije. W panującym na kempingu półmroku wyczuwało się atmosferę jak po

nieszczęśliwym wypadku albo po zerwaniu. Śmierć Lou Batesa nie była potrzebna. Tony zastanawiał się, czy doprowadził do niej, nie zatrzymując Raya i Lou. Ale jak mógł ich zatrzymać? Tylko strzelając, co sprawiłoby, że to on, a nie Bobby, stałby się zabójcą. Więc to nie była jego wina. Ujrzał własną tępą wściekłość w nowym świetle: czy Bobby zamierzał uczynić go katem Raya i Lou? To pytanie było nie do zniesienia. Cokolwiek poszło nie tak, uznał, on sam był tylko świadkiem, a nie sprawcą tego, co się stało.

Susan ziewnęła. Tony przypomniał sobie, jak bez snu całymi godzinami szedł przez lasy i po drogach, póki o świcie nie znalazł farmy.

– Chcesz się położyć? – zapytała Ingrid.

– Nie usnę z tym tam na dworze – odpowiedziała Susan.

– Ja też nie – stwierdziła Ingrid. – Bobby niedługo wróci.

– Jesteś pewna? Myślałam, że chce złapać tego, który uciekł.

– Jeśli to zrobi, zabiję go.

Ale Bobby był już z powrotem. Usłyszeli samochód na podjeździe, snop światła omiótł okno, trzasnęły drzwi. Bobby Andes maszerował dziarsko do chaty i wszedł do pokoju całkiem odmieniony.

– Szybko ci poszło – skomentowała to Ingrid. – Przyjadą?

– Muszę pojechać do miasta – oznajmił.

– Nie, Bobby. Drugi raz tego nie zniosę.

Zmiana, jaka w nim zaszła: kamienna twarz, żadnych wyniszczających mdłości, hart wywołany chorobą.

– Rozmawiałem z Wickhamem. A muszę się spotkać z Amblerem.

Bez paniki, ale ze zniecierpliwieniem. Popatrzył na nich, jakby chciał skupić na sobie uwagę wszystkich obecnych, choć przecież już skupił.

– Musicie wiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło.

– Co się wydarzyło?

– Co się wydarzyło tutaj. Co widzieliście.

– Widziałam, co się wydarzyło – powiedziała Ingrid.

– Doprawdy? – Spiorunował ją wzrokiem.

– Och... – westchnęła. Cisza, mdląca.

– Chcesz, żebyśmy kłamali? – zapytała Ingrid Hale. – Bobby, proszę, nie każ nam kłamać.

– Nie chcesz kłamać? Chcesz mówić prawdę i tylko prawdę, i tak ci dopomóż Bóg? O tym, co dzisiaj widziałaś? Tego chcesz?

Spojrzała żałośnie. Tony dygotał. Powiedziała:

– Och, Bobby, kochanie...

Kochany Bobby miał podkrążone i przekrwione oczy, otwarte usta jak karp

wyjęty z wody. Zawsze miał takie usta, ale Tony zauważył to dopiero teraz.

– Dobra. Gównu mnie to obchodzi – rzucił. – Myślałem, że chcecie poznać naszą wersję wydarzeń. Jeśli nie, do diabła z tym.

Opadła na fotel.

– W porządku, Bobby. Jak brzmi nasza wersja wydarzeń, którą mamy opowiedzieć? Powiesz nam?

– Lou Bates zginął zastrzelony przez Raya Marcusa. Ray strzelił do niego dwukrotnie. Za pierwszym razem go zranił, a za drugim dobił strzałem w głowę.

– Mój Boże... – szepnęła Ingrid.

– Ray zastrzelił go, bo Lou zgodził się zeznawać w sądzie.

Cisza, podczas której zastanawiali się nad tym. Ingrid spojrzała rozpaczliwie na Tony'ego: pomocy, pomocy. Unikał jej spojrzenia.

– To nie ma sensu – powiedziała w końcu.

– Ma tyle cholernego sensu, ile trzeba.

Tony próbował wyobrazić sobie, jak Ray Marcus strzela do Lou Batesa.

– Chcecie wiedzieć, jak to zrobił? – zapytał Bobby. – Chcecie, prawda? Bo Ray nie wyskoczył nagle z krzaków z bronią ręką, bo przecież był więźniem, zgadza się? Więc chcecie wiedzieć?

– Lepiej nam powiedz – poprosiła Ingrid.

– Powiem wam. Ray nie był aresztowany. Był tutaj, ale poszedł. Przeprowadziliśmy z nim rozmowę i odwiozłem go na skrzyżowanie w drodze po Lou Batesa. Tyle że Ray nie wrócił do domu. To znaczy wrócił po broń albo pojechał gdzieś po broń i wrócił tu autostopem. I wtedy to zrobił. Zaczaił się. Czekał gdzieś w lesie blisko domu i zastrzelił Lou, kiedy wyprowadzałem go z auta. Zaskoczył mnie. Bach-bach.

– Wszystko obmyśliłeś – powiedziała Ingrid.

– Wystarczy.

– To absurd.

– Wcale nie.

– Nikt w to nie uwierzy. Wiesz o tym.

– A w co mają wierzyć? Mam Amblera, mam George'a. Wystarczy, że wy to potwierdzicie i nie będziecie gadać więcej, niż trzeba.

– Krzywoprzysięstwo?

– Chryste, kobieto! Taka sytuacja była potencjalnie możliwa, pomyśl o tym w ten sposób. Taka sytuacja mogła się wydarzyć, gdybyśmy spędzili tutaj więcej czasu.

– Nie wygłupiaj się, Bobby.

– Co to znaczy „nie wygłupiaj się”? Daję ci bezproblemowe wyjście z sytuacji, dopóki żyję. Bez względu na to, jak długo to potrwa. Jeśli uważasz, że to krzywoprzysięstwo, możesz mnie zakapować, gównu mnie to obchodzi.

Popatrzyła na Tony’ego i Susan.

– Wchodzicie w to?

– Czy ja w to wchodzę? – spytała Susan. – A co mam zrobić?

– Masz powiedzieć, że Raya Marcusa w ogóle tutaj nie było – powiedziała Ingrid.

– Zabrałem go, zanim przyjechałaś.

W końcu pojęła.

– Aha. A potem przyszedł i zastrzelił tego gościa z brodą.

– Zgadza się. Jeśli będą pytać, tylko tyle widziałaś. Tylko... zaczekaj... nie widziałaś też tego gościa z brodą. Usłyszałaś strzały, kiedy wyprowadzałem go z samochodu.

– Tak mam powiedzieć, hm?

– Tak właśnie masz powiedzieć.

Chyba mu ulżyło. Był zadowolony z siebie. Tony – myśląc: jeśli się temu sprzeciwię, zniszczę Bobby’ego Andesa – szukał w głowie pytań, jakie mogą mu być zadane za pulpitem dla świadków.

– Marcus temu zaprzeczy – zauważyła Ingrid.

– Jego zaprzeczenie jest gównu warte. Zaprzeczał, że zabił rodzinę Tony’ego.

– Pójdzie na policję i zamelduje.

– Nie jest tak głupi.

– Pójdzie na policję i powie, co widział. Powie wszystko, Bobby. Że go porwał, skuł i zabił Lou.

– Nie robi tego.

– Skąd wiesz? Ja bym tak zrobiła na jego miejscu.

– Nie pójdzie na policję, bo wie, że go aresztują za zabicie Lou. Wie o tym, bo mnie zna i zna moich przyjaciół, i wie, że wy troje będziecie świadkami. I dlatego nie pójdzie na policję. A jeśli pójdzie, to właśnie tego się dowie. Dowie się, że nikt mu nie wierzy.

– To cyniczne, Bobby.

– Co jest cyniczne? Nie kłóć się ze mną. Jeśli uważasz, że to jest cyniczne, wymyśl coś innego. Wymyśl niecyniczne rozwiązanie tej sytuacji. – Mówił melodramatycznie jak w operze.

Co do Tony’ego: był rozżalony, czuł się winny, bo stał się powodem tego wszystkiego. Wyłuskiwał słabe punkty historii, którą miał opowiedzieć,

rozmyślał nad pytaniami.

– Bobby – zwrócił się do Andesa. – Jeśli Ray Marcus zabił Lou Batesa, to kiedy stąd wyszedł? – Dalej. – Dokąd poszedł? – I jeszcze. – Skąd wziął broń? Jak tutaj wrócił?

– Ja się będę tym martwił – odpowiedział Bobby. – Wyszedł ze mną. Zawiozłem go na skrzyżowanie... nie, do miasta. Ta, do miasta, zawiozłem go tam, bo nie chciałem go przesłuchiwać przy Ingrid, która przyjechała niespodziewanie. Tak było. Nikt nie wie, co Ray robił potem. I skąd wytrzasnął broń. Wrócił tutaj autostopem. Nie martw się o to.

Wpatrywał się w nich jak drużynowy. Zrozumieliście już wszystko? Mogę wam zaufać? Czy wszystko jest już jasne?

– Podsumowując – powiedział. – Chcecie, żebym to podsumował? Tak, chcecie. Więc przywiozłem tu Raya. Kiedy zobaczyłem, że przyjechała Ingrid, zabrałem go z powrotem do miasta. Ty czekałeś na mnie z Ingrid. Przyjechała Susan. Zastanawialiście się, gdzie przepadłem. Po jakimś czasie wróciłem. Kiedy wysiadłem z samochodu z Lou, bach! Bach-bach. Dwa strzały. Wybiegliście z domu i zobaczyliście tego gościa na ziemi. Drugi uciekał. Proste, nie?

Tony Hastings pomyślał o ironii losu. Ray Marcus stał teraz po stronie prawa, a Tony Hastings nie.

– Nie martwcie się o Raya – dodał Andes. – Prawdopodobnie zastrzelą go podczas próby aresztowania. Tak? – Do Ingrid: – Czujesz się wstrząśnięta?

Nie odpowiedziała.

– Mam robotę do wykonania i muszę się zastanowić, jak zrobić to najlepiej. Nikt nie odpowiedział.

– Kurwa! Wszyscy jesteście tak kurewsko uczciwi? Ty też, Tony? Zgwałcili i zabili twoją żonę i córkę, a ty siedzisz i dzielisz włos na czworo.

– Bobby – odezwała się Ingrid. – Czy zawsze tak pracujesz? – Patrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Nie podoba ci się sposób, w jaki wykonuję swoją pracę?

Wpatrywali się w siebie. Po chwili dał za wygraną.

– Nie, nie pracuję w taki sposób. – Brzmiało to całkiem rozsądnie. – Nigdy w taki sposób nie pracowałem. – Z żalem.

– Jesteś upartym sukinsynem, Bobby – powiedziała Ingrid. – Dlaczego nie możesz powiedzieć po prostu, że uciekł ci więzień? Że straciłeś głowę i zastrześliłeś go? Zabiją cię za to?

Bobby zastanawiał się nad tym.

– To nie takie proste – powiedział w końcu. – Więźniowie nie uciekają

Andesowi. Moja wersja jest lepsza.

Tony pomyślał o wrogich przedstawicielach prawa, którzy będą go przesłuchiwać.

– Wyłumaczę wszystko Amblerowi – powiedział Andes. – On się tym zajmie. Prawdopodobnie w ogóle nie będziecie musieli zeznawać.

Wytarł strzelbę chusteczką i podszedł do drzwi.

– Zaraz wrócę.

Patrzyli za nim z ganku. Podszedł do ciała Lou, które przypominało wielki korzeń drzewa. Przystąpił przez nie i stanął nad strumieniem. Zamachnął się i wrzucił strzelbę do wody. Kiedy wrócił, powiedział:

– Jeśli martwi was to, że mówicie nieprawdę, pomyślcie o tym jak o prawdzie wewnętrznej. To, co się nie stało, jest tym, co mogło się stać. – A potem: – Tony, będę cię potrzebował. Pomożesz mi złapać Marcusa.

Tony znów wpadł w przerażenie, a Ingrid zaprotestowała:

– Jak chcesz go złapać? Ukrył się w lesie!

– Jeśli ukrył się w lesie, wytropimy go psami. Jeśli wyjdzie z lasu, będzie łapał stopa. A my złapiemy go, zanim ktoś go podwiezie.

– Ale on może być wszędzie!

– Nie. Są tylko dwie drogi, do których może dojść przed świtem. Jeśli wyjedziemy natychmiast... – Spojrzał wymownie na Tony'ego, który przeżywał katusze. – Ty pojedziesz swoim autem, a ja moim.

– Polować na Raya?

– Odpreż się. – To nie był śmiech. – Chcę, żebyś pojechał do George'a Remingtona. Masz go obudzić i powiedzieć, że potrzebne nam są psy.

– Sam to zrób – rzuciła Ingrid.

– Jasna cholera, kobieto! Muszę złapać Amblera, póki ma służbę!

– Dlaczego akurat Amblera?

Łypnął na nią tajemniczo.

– Wolę zameldować o tym Amblerowi niż Milesowi.

Bobby Andes podszedł do stołu z kartką papieru. Narysował mapę.

– Spójrz, Tony. To jego dom. Masz łomotać do drzwi, póki George nie wstanie. Daj mu ten liścik ode mnie i powiedz, że potrzebuję psów. Powiedz mu, że ktoś uciekł i ktoś został zabity, ale nie mów nic więcej, póki z nim nie porozmawiam. A potem tu wrócisz.

– Chcesz nas zostawić z tym trupem na trawie? – zapytała Ingrid.

– Nie mam wyboru.

Nic nie powiedziała, ale Andes i tak to usłyszał.

– Pierdol się – rzucił. – Idziemy, Tony.

Posłuszny Tony wstał, ale czuł się strasznie.

Bobby Andes odwrócił się w progu i wygłosił pożegnalną przemowę.

– Kiedy zobaczysz mnie następnym razem, będę w towarzystwie policji. Powiem im, że Ray zabił Lou. A jeśli ci się to nie podoba, możesz im powiedzieć, co tylko chcesz, bo ja mam to głęboko w dupie.

Tony chciał oddać mu niepotrzebną strzelbę.

– Trzymaj ją. Na wypadek, gdybyś spotkał Marcusa.

– Czy to możliwe?

W samochodzie, powtarzał sobie, nie będzie się musiał niczego obawiać.

– Gdyby stał na drodze, zatrzymaj się. Każ mu wsadzić ręce do środka auta przez pierwszą boczną i drugą boczną szybę. I skuj go.

Każ mu, używając broni, której nie potrafił użyć.

– Gdzie mam go przywieźć?

– Tutaj. Zostawisz go skutego w samochodzie, dopóki nie przyjedziemy.

– A jeśli będzie chciał uciec?

– To go zastrzelisz.

Tony popatrzył na Andesa.

– W samoobronie – dodał Bobby. – Zastrzelisz go w samoobronie, Tony. – Spojrzał na Ingrid, jakby coś powiedziała. – To tylko sugestia. Może robić, co chce. Jeśli będzie go musiał zastrzelić, zrobi to w samoobronie. Tylko tyle chcę powiedzieć. – Poklepał Tony'ego po ramieniu. – Gdyby doszło do najgorszego, nie daj się. Znajdziemy cię.

Tony Hastings i Bobby Andes podeszli do samochodów. Przedtem jednak Bobby chciał odegrać pożegnanie z Ingrid. Najpierw odwróciła się do niego plecami, a potem poddała. Tony wsiadł do samochodu. Bobby podszedł do auta i pochylił się przy szybie.

– I jak ci się to podoba? – zapytał. – Załatwiliśmy tego skurwysyna z brodą, więc mamy już dwóch. Teraz czas na tego z wystającymi zębami. Dostaniemy go, zobaczysz.

Tony w potrzasku. Miał ostatnią szansę, żeby zwerbalizować swój protest. Nie każ mi kłamać. Bał się gwałtowności i pogardy Bobby'ego Andesa. Bał się powiedzieć cokolwiek wprost, więc zapytał:

– Będziesz miał problemy?

– Nie wiem. Ale głównie mnie to obchodzi.

Tony siedział nieruchomo w aucie, walcząc z przygniatającym go wewnętrznym oporem. Przyglądał się, jak Andes wsiada do samochodu, zapala silnik, włącza światła, patrzy na niego i krzyczy:

– Na co czekasz?

– Pojadę za tobą.

Jakby nie dowierzając jego słowom, Andes zaczekał, aż Tony zapali, a potem pojechał. Nie dowierzając mu dalej, przystanął na zakręcie i czekał, aż go dogoni. Tony wyjechał z zagajnika, światła omiotły trawę i ciało nad potokiem – jakieś skarłale w szarej koszuli w kratę, z czarną brodą, spod której wystawała biała grdyka. Zastanawiał się, dlaczego nie czuł satysfakcji z powodu tej śmierci, co zmąciło jego słuszną wściekłość i sprawiedliwy gniew przeciwko temu drugiemu. Noc była przejrzysta, co zdumiało Tony'ego. Nigdy wcześniej nie zostawił martwego człowieka na ziemi.

Siedem

Książka dobiega końca. Zostały najwyżej dwa, trzy rozdziały. Strzał wybuchł jak bomba na kartce maszynopisu i wszystko wiruje jak w splywie ku jakiemuś katastrofalnemu zakończeniu.

Przemoc ekscytuje ją jak trąby w orkiestrze symfonicznej. Susan, która przeżyła już dobre czterdzieści parę lat, nigdy nie była świadkiem zabójstwa. W zeszłym roku w McDonalddie widziała, jak policjant z bronią naskoczył na jedzącego bułkę faceta. Taki mniej więcej kształt ma przemoc obecna w jej życiu. Przemoc dotyka świata, dzieje się gdzieś w parkach, gettach, Irlandii, Libanie, ale nie w jej życiu – jeszcze nie.

Odpukać w niemalowane, odpukać. Bezpieczna, ubezpieczona Susan żyje na krawędzi katastrofy, bo wszystko, o czym wie, już się wydarzyło, natomiast przyszłość jest białą plamą. W tej książce nie ma przyszłości. Jej miejsce zajęła przemoc, zastępująca strach dreszczem, takim jak ten podczas jazdy kolejką górską. Nigdy nie zapominaj o tym, co może się wydarzyć – informuje ją książka – gdybyś (tak, ty, szczęśliwa Susan, mieszkająca z rodziną w przytulnym, bezpiecznym domu – zupełnie inaczej niż reszta świata) kiedykolwiek miała spotkać, jak Tony, bezwzględnego bandytę w środku nocy. Czy mając broń, użyłabyś jej lepiej od Tony'ego?

Przyjeżdża Edward, podobnie jak Arnold. Im bliżej do końca książki, tym bliżej do nich. Zbliżają się obaj jak tygrysy. Postać nosząca jej imię to fujara. Susan Fujara – poczuła się dotknięta. Brakuje jej uczuciowych zasobów na przeżywanie zranienia, więc czyta dalej.

Zwierzęta nocy 25

Tony Hastings ujrzał Raya Marcusa na górskiej drodze prowadzącej do domu George'a. Ray wyłonił się z ciemności w reflektorach Tony'ego na łuku szosy, szedł poboczem w szarej koszuli, dzinsach ze srebrną sprzączką, obejrzał się, a Tony go nie poznał. Poznał go dopiero wtedy, kiedy go minął i Ray zniknął w ciemności za samochodem. Nie poznał go, choć od początku myślał o tym, że może go spotkać. Widząc go, pomyślał: To nie jest Ray, gdyż oznaczałoby to triumf myśli nad materią, a potem – gdy reflektory opuściły łyse czoło, wąską szczękę i twarz – było za późno, by się zatrzymać. Instykt

podpowiadał Tony'emu, żeby zasłonił twarz, żeby wyraźnie napomniał się jasnymi i zrozumiałymi słowami, że nie musi się bać, gdyż podróżuje autem, a na dworze jest zbyt ciemno, by Ray mógł rozpoznać kierowcę. Pojechał dalej i dopiero wtedy przypomniał sobie, że miał złapać Raya, zatrzymać go za pomocą broni, którą zabrał.

Wchodząc w następny łuk, zastanawiał się, czy powinien się zatrzymać i zawrócić, lecz zdał sobie sprawę, że gdyby to zrobił, Ray ukryłby się w lesie. Zatem prawdziwą przyczyną, dla której się nie zatrzymał, nie był strach przed Rayem, ale to, że miejsce się do tego nie nadawało. Nie mógł tu stanąć, wciskając hamulec i cofając się z piskiem opon, bo spłoszyłby Raya i pozwolił mu uciec. Może zawróci dalej i podjedzie od drugiej strony.

Szosa zaczęła opadać, a kiedy pomyślał, że zna skądś tę okolicę, zauważył coś białego w lesie, a przy następnym łuku rozpoznał w ciemności nieoświetloną przyczepę – straszliwą przyczepę śmierci. Nie zdawał sobie sprawy, że mapa narysowana przez Bobby'ego – którą miał w głowie – przywiedzie go do tego miejsca. Poczul wstrząs, a potem chłodny dreszcz, który podpowiadał mu, żeby się zatrzymał, zaczął jak duch i czekał na Raya Marcusa zbliżającego się piechotą do szczytu wzgórza.

Jechał teraz wolniej, ciągle zastanawiając się nad tym, dlaczego się nie zatrzymał i nie schwytał Raya Marcusa. Wolał nie myśleć, co powiedziałyby na to Bobby Andes: tchórzostwo, gnuśność. Zastanawiał się, czy można schwytać kogokolwiek, jadąc samochodem po tej drodze. Łuki, lasy, noc. Ale wiadomo, co się chce zrobić, gdy ma się broń i jest się przygotowanym. Myślał myślami Bobby'ego: za wiele wymówek. Postanowił, że to zrobi: tak, naprawi błąd, wymaze tchórzostwo, jest im to winien. Pytanie brzmi: Kiedy? Teraz czy później? Czy Ray zniknie, jeśli nie zrobi tego teraz? Z drugiej strony Ray nie ma się gdzie ukryć na tej drodze. Musi przejść spory kawał, zanim dojdzie do następnej. Kolejne pytanie brzmi: Czy wolno mu przerwać misję, z jaką jedzie do George'a, żeby złapać Raya, czy najpierw powinien zajechać do policjanta? Nie chciał łapać Raya sam, ale to nie podstawowy powód. Pojedzie najpierw do George'a, bo jak miałby wytłumaczyć mu potem obecność więźnia w samochodzie?

Jest jeszcze lepszy powód. Nie jest zastępcą szeryfa, nie składał żadnej przysięgi, nie do niego należy łapanie zbiegów. I coś jeszcze: policja sama zwolniła Raya Marcusa, więc niech teraz policja go łapie, o ile uzna to za stosowne. Tony Hastings nie zastrzelił Lou Batesa, zrobił to Bobby Andes. Tony Hastings nie jest Bobbym Andesem. Powtórz to sobie. Czy to jego wina, że Andes porwał Raya? Czy to jego wina, że Andes zabił Lou Batesa? Do tej

chwili jest tylko przypadkowym uczestnikiem wydarzeń, świadkiem, a nie podejrzanym. Miał nadzieję, że nikt nie będzie go podejrzewał. Lecz gdyby z własnej woli zatrzymał Raya Marcusa, stałby się współnikiem, współsprawcą.

Łapcie go sami, powiedział. Nie wciągajcie mnie w wasze brudne sztuczki. Fala gniewu, jakiejś radości, wzbierające słowa. Nie złapiesz mnie, Bobby, na haczyk współczucia. Sam sobie urządź przedśmiertne igrzyska. Nie zrzucaj mi własnego fatum na głowę. Zdziwienie, jak wiele Andes przyjmował za pewnik. Zakładał, że wszyscy potrafią dostrzec związek między rozpaczą, stratą i zemstą. Zakładał, że nikt nie zwróci uwagi na to, jak zginął Lou, bo jego śmierć sprawi wszystkim ulgę. Zakładał, że nikt nie będzie się sprzeciwiał współudziałowi w morderstwie, żeby pomścić morderstwo. Zakładał, że wszyscy są równie zdesperowani jak on sam. Czy to moja tragedia? – pytał Tony. Kim ty, do cholery, jesteś?

Powiedzą: Powiesimy morderców, ale możemy powiesić i was. Detektywi będą szukali sprzeczności w jego opowieści. Adwokaci wezmą go w krzyżowy ogień pytań. Sędziowie zapytają, dlaczego dał się w to wciągnąć. Prokuratorzy, nie wierząc jego słowom, będą doszukiwali się premedytacji. Przypadkowi świadkowie, nieznajomi i dawni przyjaciele będą się doszukiwali czegoś jeszcze gorszego, co nie zostało ujawnione. Jadąc sam autem, Tony powiedział na głos: – Niech cię cholera, Bobby. Przez chwilę Bobby Andes był tak zły jak Ray Marcus. Ale tylko przez chwilę, bo myśl o tym wywołała wstrząs, bo ignorowała wielkie zło, jakie mu wyrządzono, i człowieka, który chciał wypalić to zło żywym ogniem. Nigdy, przenigdy nie zapominaj o różnicy, jaka dzieli Raya Marcusa i Bobby'ego Andesa. Przypomniawszy sobie o długu wdzięczności wobec Bobby'ego Andesa, który dla niego narażał nie tylko karierę, ale też dobre imię. Nie musiał go za to lubić, ale powinien czuć wstyd. Gdyby teraz zawiódł Bobby'ego Andesa.

Ciemny dom, który minął po lewej stronie, musi być domem George'a. Cofnął się i wjechał na podjazd. Biały dom z ciemnymi oknami. Psy szczekające z tyłu muszą być psami, po które przyjechał. Przypomniawszy sobie inne pogrążone we śnie domy sprzed roku – domy, obok których przechodził, bojąc się zatrzymać, bojąc się być nieznajomym w nocy łomotającym do wiejskich drzwi. Zastanawiał się, czy przełamał już w sobie strach łomotania do obcych drzwi. George go pozna. A jeśli nie, to krzyknie: Przysyła mnie Bobby Andes!

Powtórz wiadomość: Chce, żebyś zabrał psy na kemping. Teraz, w nocy, uciekł mu człowiek. Ten człowiek – Tony właśnie zdał sobie z tego sprawę –

nie kryje się już po lasach, ten człowiek idzie drogą jakąś milę czy dwie od tego miejsca. Zmierza w tę stronę. Więc po co ci psy?

Tak, to absurd. I co teraz? Zastanawiał się, co robić. Stał skonsternowany na podjeździe George'a Remingtona. Co mu powiedzieć, kiedy się obudzi? Albo co zrobić zamiast tego? Wrócić do Bobby'ego i powiedzieć mu: Nie obudziłem George'a, bo widziałem Raya Marcusa na drodze i psy są niepotrzebne? Nie złapałem Marcusa, ale mogę ci powiedzieć, gdzie jest.

Przypomniał sobie, że George był jednym z policjantów, którzy pomogli Bobby'emu złapać Raya. Może nie trzeba przed nim kłamać? Ten, którego pomogłeś złapać, uciekł. Bobby chciał wziąć psy, ale ten człowiek idzie tu drogą, więc łatwo go schwytasz.

Na górze zapaliło się światło. W oknie pojawiła się głowa: zarys, cień, włosy, bez twarzy. Kobięcy głos:

- Kto tam?
- Szukam George'a – zawołał Tony z samochodu.
- W jakiej sprawie?
- Mam wiadomość od porucznika Andesa.

Pauza. Pomyślał: Poproszę George'a, żeby zszedł na dół, nie będę krzyczał na całe gardło. Przysyła mnie Bobby, ten człowiek uciekł, nie powiem nic o zastrzeleniu Lou. Kobieta w oknie odezwała się w końcu:

- Nie ma go w domu. Ma nocną służbę.
- W porządku, dziękuję.

Dzięki Bogu, pomyślał. Ale zaraz zdał sobie sprawę, co go czeka; zdał sobie sprawę z idiotyzmu ulgi, którą poczuł. Nie ma George'a. Włączył silnik, ale nie wiedział, czy wracać, bo nie miał pojęcia, co dalej robić. Są dwie rzeczy, jedyna alternatywa. Albo wróci na kemping (omijając i ignorując Raya Marcusa na drodze) i zaczeka na powrót Bobby'ego z policją, która zajmie się Lou, i powie Bobby'emu: „Widziałem Raya Marcusa na drodze przed godziną, ale go nie zatrzymałem; pewnie już zniknął, ale właśnie tam go widziałem”. Albo też zawróci i odszuka Raya, zatrzyma się, wyceluje w niego strzelbę i zagrozi mu na tyle przekonująco, że Ray wsiądzie do samochodu i wystawi ręce przez dwa otwarte boczne okna, żeby mógł go skuć i wrócić do Bobby'ego i policjantów ze słowami: „Złapałem go dla was”.

Jechał wolno z powrotem. Strzelba leżała w pogotowiu na siedzeniu obok. Wpatrywał się w najdalszy zasięg świateł na drodze, szukając wzrokiem idącego mężczyzny. Nie wiedział, co zrobi, kiedy go zobaczy – to była przyszłość, nieodkryta jeszcze, tak nieznana jak czyjeś wybory, jak decyzje obcego, którym mógł być on sam.

Poprzedni obraz Raya na drodze był zaledwie migotaniem slajdu na ekranie – bezbarwną poświatą. Szedł, przyglądał się bez strachu przejeżdżającemu autu, nie łapał okazji, ale też nie brał pod uwagę, że może być ścigany, bo gdyby chciał, mógłby ukryć się w lesie, zanim zbliżające się światła wyłuskały go z mroku. Tony pamiętał zbliżające się samochodowe reflektory omiatające drogę, rzucające na niego biały snop, który zepchnął go do rowu. Znów widział ten sam snop światła, po roku, tylko że teraz zwierzyną był Ray, a Tony myśliwym. Samochód był ten sam.

Minął biały kościółek, wiedział, że za chwilę zobaczy przyczepę, i zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od tamtej nocy przemieszcza się po tych drogach całkiem sam. Wyobrażał sobie, że z własnej nieprzymuszonej woli przyjechał tu specjalnie po to, żeby samotnie i z dystansem odwiedzić miejsca, które tak bardzo go poraniły. Ale wola, która nim kierowała, nie należała do niego: wypełniał misję Bobby’ego Andesa, choć nie bardzo już wiedział, na czym miała polegać. Ray Marcus zbliżał się drogą. To było najważniejsze: zbliżający się drogą Ray Marcus. Zastanawiał się, dlaczego jeszcze go nie spotkał. Powinien dawno go wypatrzeć.

Zobaczył łuk, nad którym stała przyczepa. Teraz to miejsce już go nie zaskoczy. Oto ono. Wpatrywał się w zakole drogi. A potem, upewniwszy się, że Ray Marcus nie ukrył się po niewidocznej stronie drogi, zatrzymał samochód. Ujrzał ciemne okienko, w którym wtedy paliło się światło i wisiała perkalikowa zasłonka. Przypomniawszy sobie wnętrze przyczepy oglądane z Bobbym i George’em – wnętrze, w którym uderzył Raya. Jakże ono było małe! Małe łóżko z mosiężnymi gałkami, piecyk, kosz na śmieci pełen gazet. Ciekawe, czy odważyłby się zajrzeć tam raz jeszcze? Ale przyczepa może nie jest już pusta, ktoś mógł w niej zamieszkać, ktoś mógł w niej być. Ale nikogo tu nie było, bo nigdzie nie stał żaden samochód. I wtedy przyszło mu do głowy, że w przyczepie jest Ray Marcus.

Istnieje taka możliwość, zaledwie możliwość, mówił sobie, raczej mało prawdopodobna. Powiedz zatem: Nie jest całkiem niemożliwe, że Ray Marcus siedzi w przyczepie. Bo gdyby Ray szedł dalej od miejsca, w którym go minął, powinni byli dawno się spotkać, o wiele dalej stąd. Mógł złapać okazję, ale nie zatrzymywał samochodów, kiedy Tony go mijał. Zatem jest wielce prawdopodobne, że Ray Marcus siedzi w przyczepie. Doszedł tu parę minut po tym, jak Tony go minął, i włamał się do środka, żeby odpocząć. To tłumaczy, dlaczego Tony nie spotkał go po raz drugi na drodze.

Jeśli siedzi w przyczepie, wygląda zapewne przez okno, sprawdzając, co to za samochód. Tony podniósł strzelbę z siedzenia. Zabezpieczył ją, żeby nie

wystrzeliła przypadkowo, kiedy będzie szedł. Wyjął latarkę ze schowka. Szansa na to, że Ray rzeczywiście siedzi w przyczepie, jest niewielka, ale Tony chciał tam zajrzeć, był bowiem całkiem sam, a nigdy sam jej nie oglądał. Albo inaczej: chciał się upewnić, że Raya nie ma w przyczepie. A jeśli jest, Tony ma strzelbę.

Wysiadł z samochodu ze strzelbą i latarką, starając się nie hałasować. Obszedł samochód, przywarował w rowie, zbliżył się do przyczepy od przodu. Zgrzytnęły nadepnięte kamienie, przystanął, odczekał, aż zrobi się cicho. Słyszał daleki szum cywilizującej się ludzkości, ale w pobliżu cisza, tylko czujne milczenie śpiących lasów. Jeśli Ray przyglądał mu się z przyczepy, to widział, że Tony ma strzelbę. Ray nie miał broni, nie mógł w żaden sposób zaopatrzyć się w broń. Jeśli chciał tu odpocząć, pewnie już spał. Jeśli Ray śpi w przyczepie, mówił do siebie Tony, złapię go. Zrobię to, żeby pomóc Bobby'emu Andesowi. Nie, nie, napomniał się, to Bobby Andes pomaga mnie. Jakiś inny powód. Szukał go; ten dług, który powinien spłacić. To bez różnicy, czy Ray zabił, czy nie zabił Lou Batesa, mówił sobie, czy jego aresztowanie było, czy nie było prawomocne, bo Ray zabił Laurę i Helen, o czym doskonale wiem.

Przeszedł ostrożnie przez krzaki od przodu przyczepy ku drzwiom. Drzwi są pewnie zamknięte, myślał. A jeśli tak, to dam sobie spokój. Przyjmę, że w przyczepie nikogo nie ma, i wrócę na kemping Bobby'ego. Jeśli nie natknę się znów na Raya, zamelduję, że mi uciekł i nic nie mogłem zrobić. A może – jeśli drzwi będą zamknięte – oświetlę wnętrze przyczepy latarką.

Drzwi nie były zamknięte, zamek puścił. Chwila zaniepokojenia, ale już za późno: zostawił odciski palców na klamce. Przed rokiem jego odciski palców na klamce bardzo zagmatwałyby sprawę. O ile nie zdjęliby później odcisków palców Lou i Turka. Wyjął latarkę zza paska. Lewą ręką, bo w prawej trzymał strzelbę. Jeśli Ray jest w środku, myślał, mógł się zaczaić za drzwiami. Odbezpieczył strzelbę, podniósł ją do góry, pchnął lufą drzwi. Zapalił latarkę, omiótł nią wnętrze. Pusto. Zauważył kontakt przy drzwiach, zapalił światło i zobaczył Raya Marcusa leżącego na łóżku.

Który nagle obrócił się na bok, osłonił oczy, odwrócił głowę i zmrużył powieki. Usiadł.

– Chryste – syknął. Oparł się na łokciu. – To znowu ty! A gdzie twój kumpel?

– Jaki kumpel?

– Ganges czy jak mu tam.

– Andes. Nie ma go tutaj.

– A twoi kumple gliniarze? Gdzie są?
– W okolicy.
– W tej okolicy? – Wyciągnął szyję, odsłonił okno i wyjrzał.
– Przyszedłem sam – powiedział Tony.
– Sam? Z jebaną dwururką? Co ty, kurwa, kombinujesz?
– Szukam cię.
– Mnie? A po co mnie, kurwa, szukasz?
– Wiesz.
– Kurwa mać. – Przesunął dłonią po prawie łysej głowie. – Spałem, człowieku! – Tony czekał. – Co się stało z Lou?
– Został zabity.
– Co?! Ten skurwysyn go zabił?!
– Nie żyje. – Jakiś osobliwy wstyd nie pozwolił Tony’emu potwierdzić, że to Bobby zastrzelił Lou, wstyd, którego wcale nie musiał czuć.
– No to wpadłeś jak śliwka w gówno, wiesz o tym. Razem ze swoim kumplem.
– On nie jest moim kumplem – powiedział Tony, choć sam nie wiedział dlaczego.
– Nie jest? To ciekawe.
– Rusz się – poleciał.
– Dokąd?
– Zabieram cię.
– Gdzie?
– Z powrotem na kemping.
– Nigdzie mnie nie zabierasz, koleś.
– Idziesz ze mną. Rusz się. – Podniósł lufę.
– Myślisz, że mnie zmusisz, żebym z tobą poszedł? – Ray się zaśmiał.
Tony przeładował broń. Ray wstał i ruszył w jego stronę. Przez chwilę wydawało mu się, że chce go posłuchać, ale zaraz przekonał się, że nie.
– Nie podchodź – ostrzegł.
– Spoko – mruknął Ray. – Nie zrobię ci krzywdy. – Skręcił ku drzwiom. – Idę w swoją stronę. *Adios, amigo.*
– Stój! – krzyknął Tony. To nie może się zdarzyć ponownie, myślał rozpaczliwie. Mam silne postanowienie, myślał, jestem innym człowiekiem. Wycelował w drzwi tuż przed Rayem. Rozległ się huk, zobaczył błysk, coś szarpnęło jego dłonią do góry. Ray stanął, cofnął ręce jak oparzony. Widział wyrwaną aluminiową framugę w miejscu, w które trafiła kula.
Widział Raya przyglądającego mu się ze zdumieniem.

– No tak... – syknął. – Spudłowałeś.

Tony Hastings poczuł dreszcze.

– Nie strzelałem do ciebie – powiedział. – To było ostrzeżenie.

– Ostrzeżenie. W porządku. Czy mogę usiąść na łóżku, panie władzo?

– Wyłaż na dwór. I do samochodu.

Ray odwrócił się i usiadł na łóżku.

– Powiedziałem, wychodź!

– A jak mnie zmusisz?

– Przed chwilą widziałeś.

– Jeśli mnie postrzelisz, nic ci z tego nie przyjdzie. Będziesz mnie musiał nieść.

– Mogę cię zastrzelić.

– Taa?

Nie poruszył się. Tony czekał, ale Ray nie zmienił pozycji.

– Idziemy – ponaglił go Tony.

Ray otworzył szeroko oczy i wzruszył ramionami, rozłożył szeroko ręce. Tony znów przeładował i cmoknął: tsyk, tsyk.

– Zastrzele cię.

Słyszał napięcie w swoim głosie. Ray się nie poruszył. Tony myślał. Przyciągnął do siebie małe krzeselko, usiadł na nim okrakiem, przywierając piersią do oparcia.

– Okay, jeśli wolisz poczekać, poczekamy. Zaraz tu będą.

Myślał: Zgadza się, będą szukać jego auta, jeśli się nie pojawi, i znajdą je na łuku.

A potem zastanawiał się, czy to ustępstwo nie jest błędem.

– Chcesz, żebym na nich poczekał? – zapytał Ray.

– Nie musiałbyś czekać tak długo, gdybyś wsiadł do samochodu.

– Nie mam na to najmniejszej ochoty, koleś. I posłuchaj, co ci powiem: Spadam stąd. Miło się rozmawiało.

Wstał i znów ruszył ku drzwiom.

– Ostrzegam cię – rzucił Tony. – Uważaj! – Mówił coraz głośniej. – Nie chcę cię zabić, ale jeśli spróbujesz uciec, przysięgam, że to zrobię.

Ten dziwny głos Tony'ego powstrzymał Raya, który wystawił ręce – okay, okay – i wrócił na łóżko. Jeśli nie mogę zmusić cię do wyjścia, myślał Tony, mogę cię tu zatrzymać. Kolejny dreszcz władzy.

Siedzieli, patrząc na siebie.

– Posłuchaj, koleś – odezwał się Ray. – Co taki miły gość jak ty robi w takim towarzystwie? Ten Ganges czy Andes to żądny krwi pojeb. Zabija

ludzi. Jeśli mnie do niego zaprowadzisz, to mnie zastrzeli jak Lou. A tego byś nie chciał, co nie?

Ma rację co do Bobby'ego Andesa, myślał Tony.

– To ty zabijasz ludzi – stwierdził.

– Kurwa mać.

– Przestań! – warknął Tony. – Skąd się tu wziąłem? Skąd ty się tu wziąłeś?

Irytacja na twarzy Raya. Jakby się pojawiła jakaś niewygodna kwestia, o której wolałby nie rozmawiać. Tony'emu bardzo się spodobała jego konsternacja.

– Doskonale o tym wiesz – ciągnął Tony. – Zapamiętałem cię.

– Masz papierosa?

– Nie palę.

– Nie, no jasne.

Ray patrzy na niego, wpatruje się w niego. Znow się odzywa:

– Doigrały się.

– Kto?

– Twoja jebana żona. I córka.

Tony'emu załomotało serce. Po tylu miesiącach, po całym roku. Dowie się, wreszcie się dowie.

– Więc się przyznajesz. Najwyższa pora.

– Nie zrozumiałeś mnie, koleś – mruknął Ray. – To był wypadek.

– Jaki wypadek?

– Z twoją żoną, tak? Pamiętam twoją jebaną żonę.

– Moją żonę i córkę, które zabiłeś.

– Spokojnie, człowieku. To był wypadek, jak mówiłem.

Zaczekaj. Nie ciesz się, okiełznaj emocje.

– Doprawdy? Jakiego rodzaju wypadek?

– Posłuchaj, koleś. Wiem, że to były twoje kobiety, i szczerze ci współczuję, ale to nie znaczy, że mogły nas tak potraktować.

– Jak was potraktowały?

– Same się o to prosiły – powiedział Ray.

No, tak. To brzmi nieźle. To woła o niczym nieskrępowany, radosny wybuch furii. Opanuj ją, skieruj parę w tłoki, nie puszczaj jej przez komin. Zapanuj przede wszystkim nad własnym głosem.

– Co dokładnie masz na myśli, mówiąc, że same się o to prosiły?

– Chcesz wiedzieć? Nie, koleś, nie chcesz tego wiedzieć.

– Nie. Chcę wiedzieć, co masz na myśli, mówiąc, że same się o to prosiły.

– Wyzywały nas.

– Niesłusznie, jak mniemam.

– Były bardzo podejrzliwe i myślały tylko o jednym. Od początku były przeciwko nam, koleś. Nie zostawiły nam wyboru. Odkąd tylko nas zobaczyły, brały nas za bandytów, morderców i gwałcicieli. Widziałeś swoją córkę, jak ci naprawialiśmy oponę. Zachowywały się tak, jakbyśmy byli śmieciami. Kiedy pojechaliśmy z nimi autem, wrzeszczały, jakby to był koniec świata, jakbyśmy chcieli poderznąć im gardła i wyruchać ich martwe ciała. Mówię ci, koleś, że mogę wiele znieść, ale nie lubię, jak ktoś mnie nie szanuje, i są pewne rzeczy, których lepiej nie mówić mi prosto w oczy.

Jak to pięknie idzie.

– Okazało się, że miały rację – stwierdził Tony.

– Same się o to postarały.

– Jesteś mordercą i gwałcicielem. Zgwałciłeś i zamordowałeś moją żonę i córkę.

– Coś ci powiem, człowieku: kiedy ktoś mnie o coś oskarża, to jest obelga, po której mam prawo do satysfakcji. Jak Leila oskarża mnie, że pieprzę Janice, to, kurwa, pieprzę Janice. Jak twoja córka wrzeszczała, że jestem gwałcicielem, to, kurwa, została zgwałcona.

– Bały się was. I wszystko, czego się bały, musiało się sprawdzić.

– Bo same się, kurwa, o to prosiły.

– Miały rację, mówiąc, że jesteście najgorszymi śmieciami, bo właśnie tacy jesteście.

– Pojebało cię, koleś.

– Nie masz już żadnych praw, Ray. Straciłeś je, kiedy zabiłeś Laurę i Helen.

– Mam tyle samo praw co ty, koleś.

– Nie masz już żadnych praw. Czekałem na to aż rok.

– Taa?

Tony wiedział, że ta przyjemna waga broni w jego ręku i to prawo do obrażania czy oskarżania Raya, jakie dawała mu broń, są zdradliwe i niebezpieczne. Każda kolejna obelga i każde kolejne oskarżenie muszą być wsparte jego bezwzględną wolą użycia broni. Był dumny z siebie, że podejmuje takie ryzyko, że z minuty na minutę staje się coraz bardziej mężczyzna.

– Coś ci powiem, Ray – oznajmił. – Nie da się uniknąć odpowiedzialności za to, co mi wyrządziłeś.

– Nie da się?

– Sam z własnej woli zrujnowałeś mi życie. To błąd, którego nigdy nie zapomnisz.

- Już się boję.
- Słusznie, bo zrujnowałeś mi życie.
- O, kurczę, gdybym wiedział, że zrujnuję ci życie...
- Chcę, żebyś cierpiał. Chcę, żebyś to sobie zapamiętał. Chcę, żebyś wiedział, że cierpisz za to, co zrobiłeś.

Mówię jak Bobby Andes, pomyślał Tony. Jego słowa nie zrobiły na Rayu żadnego wrażenia.

- Jak masz zamiar tego dokonać?

Myślał nad tym. To był błąd przewagi, jaką posiadał, bo nie znał odpowiedzi. Chwilowej przewagi, kiedy byli sami, a on miał broń. Zastanawiał się, jak przedłużyć niepewność Raya, jednocześnie chroniąc przyjemność, jaką z tego czerpał.

- Oddam cię Andesowi.
- Nic z tego – zachichotał Ray. – Już postanowili, że nie wniosą oskarżeń. Teraz śmiało można go nastraszyć.
- Andes ma w związku z tobą inne plany.
- Andes musi teraz kryć własną dupę.

Prawdopodobnie tak. Co będzie jeszcze bardziej prawdopodobne, jeśli przyjąć, że ten orgazm potęgi i władzy opiera się na założeniu – którego wcześniej nie brał pod uwagę – że zastrzeli Raya Marcusa. Nie brał pod uwagę, dopóki nie pojawiła się ekstatyczna myśl, że może to zrobić, że wyzwolił się z jakichś niewidzialnych oków, które mu tego zabraniały. Nie wiedział, skąd wzięła się ta myśl. To poczucie, że ma prawo, zostało mu dane. Nie tylko prawo, ale też obowiązek, który ozłacał prawo i czynił z niego orgię. Przypominał sobie usilnie i usilnie szukał w głowie idei, która uzasadniała zrzucenie niewidzialnych oków, transformację morderstwa w prawo i obowiązek.

Przypomniał sobie, jak Bobby Andes mówił: Zastrzel go w samoobronie. Ale nie, samoobrona nie była ideą, której szukał.

Tony Hastings, profesor matematyki, myślał. Niezbyt szczęśliwa chwila na takie myśli.

Myślał: Czy Tony Hastings, profesor matematyki, jest w stanie zgodzić się na pełne współczucia i sympatii z jednej strony, a z drugiej sensacyjne i skandaliczne nagłośnienie zatrzymania przez policję za zbrodnię popełnioną z zemsty, którą każdy będzie w stanie zrozumieć?

- Ray przyglądał mu się uważnie i powiedział:
 - Dlaczego mnie po prostu nie zastrzelisz, człowieku?
 - Zrobię to, jeśli będę musiał. Myślisz, że się nie odważę?

– Ależ skąd, człowieku! Nic nie wiesz. Nie wiesz, jak fajnie zabija się ludzi. Musisz kiedyś spróbować.

– Fajnie? Owszem, dla ciebie to jest fajne.

– A jak!

– Fajnie zabijało ci się moją żonę i córkę?

– Bardzo fajnie. Tak, to było fajne.

Fajne? Tony usłyszał wyraźnie to słowo. Wziął się w garść i wyraził swoje oburzenie:

– Jak śmiesz mówić mi, że zabicie mojej żony i córki było fajne?

– Bo tego trzeba się nauczyć, człowieku. – Ray zachichotał. – Jak polowania. Trzeba pokonać barierę. Musisz kogoś zabić, żeby się przekonać.

Tony poczuł coś, widział coś, jakby oślepiające światło.

Ray nie przestawał mówić:

– Moi kumple, Lou i Turk, w ogóle tego nie kapowali. O mało się nie zesrali ze strachu, kiedy te twoje umarły. O mało się nie zesrali. Myśleli, że od razu skończą na krześle elektrycznym. Myśleli, że od razu ich złapią. Ale niektórych ludzi łapie się dłużej niż innych, a jeszcze innych w ogóle się nie łapie.

– Nie zasługujesz na to, by żyć – powiedział Tony.

– Musisz tego spróbować, Tony. Zabij kogoś, a gwarantuję ci, że będziesz chciał zrobić to jeszcze raz. Jesteś taki sam jak inni.

– Czy dlatego je zabiłeś? – zapytał Tony. – Dlatego, że to fajne?

– Jasna sprawa. Właśnie dlatego.

W tym momencie Tony poczuł eksplozję, która powinna być wybuchem niesmaku, choć w istocie była radością. Światło, jakie go oślepiło, ujawniało wyraźnie różnice między nim a Rayem. Jakież to proste. Chodzi o to, że Ray się mylił: Tony nie był taki jak inni, należał do zupełnie innego gatunku, o którym dzicy, tacy jak Ray, w ogóle nie słyszeli. Nie chodzi o to, że Tony miał jakieś zahamowania czy był głuchy na rozkosze zabijania, ale o to, że za dużo wiedział i miał zbyt wyostrzoną wyobraźnię, by poważić się na tego rodzaju uniesienia. Nie chodzi wcale o to, że nie dorósł jeszcze do takich przyjemności, ale o to, że już z nich wyrósł, co było naturalną konsekwencją procesu dojrzewania. Potencjalne rozkosze płynące z zabijania zostały wyeliminowane i usunięte z Tony'ego w cywilizującym procesie socjalizacji, o którym Ray jako socjopata nie miał najmniejszego pojęcia, co zwiększało wściekłą, mściwą pogardę, którą Tony wobec niego żywił. Pogarda ta jaśniała i rozświetlała mroki oraz niepewność. Czuł ufność. Czuł się dobrze, wiedząc, że może ufać swoim instynktom i uczuciom. Czuł się wzmocniony i w tym

nastroju podjął decyzję.

– Okay, Ray – powiedział. – Dosyć gadania. Idziemy.

– Mówiłem ci już, że nigdzie się stąd nie ruszam.

Siedzieli w milczeniu przez dobrą minutę. Tony znów przeładował broń.

– Dlaczego stąd nie wyjdiesz?

– Pozwolisz mi wyjść?

– Myślałem, że to nie ma znaczenia, czy ci pozwolę, czy nie.

– To zależy od tego, czy chcesz użyć tej broni, czy nie.

– Użyję.

Ray spojrzał na niego, a Tony odkrył brak pewności w jego wzroku. Ray odkrył zmianę, jaka dokonała się w Tonym.

– Więc lepiej zostanę.

– Nie. Lepiej będzie, jeśli stąd wyjdziemy razem, a ty wsiądziesz do samochodu.

– Nie zrobię tego.

– Więc chcesz poczekać, aż po ciebie przyjadą.

– No dobra. Skoro już o tym wspomniałeś, to wyjdę stąd sam.

– Na to ci nie pozwolę.

– Więc zostanę.

– Spróbuj wyjść. Poważ się.

– Raczej nie.

– Powinieneś przynajmniej spróbować.

– Myślę, że będzie lepiej dla wszystkich, jak zostanę.

– Nie sądzę.

– Nie sądzisz, co? Dobra, może masz rację.

Wstał.

– Może w takim razie wyjdę. – Zrobił krok, wpatrując się w strzelbę w dłoniach Tony'ego. Przystanął, cofnął się.

– Lepiej nie.

– Też tak myślę.

– Nie wiesz, co masz zrobić, prawda?

– Wiem, co robię.

– Nie strzeliłem do ciebie poprzednim razem. Strzelał Bobby Andes. Skąd wiesz, że strzelę do ciebie teraz?

– Wolę grać bezpiecznie.

– Uważasz, że coś się zmieniło, prawda? Uważasz, że teraz jestem w stanie cię zastrzelić.

– Masz niebezpieczną broń. Z taką bronią trzeba ostrożnie.

- Więc zrobisz najlepiej, wychodząc ze mną do samochodu.
- Nie ma takiej potrzeby.
- Boisz się mnie. Naprawdę się mnie boisz.
- Nie przeceniaj się, człowieku.
- To spróbuj wyjść sam.
- Chyba tak zrobię.
- Nikt cię nie trzyma.

Spojrzał prosto w oczy Tony'ego. Zaczął się uśmiechać tym samym bezczelnym uśmieszkiem, który Tony tak dobrze pamiętał.

- Tak mi się zdaje – powiedział i postąpił o krok.

Ku drzwiom. Od których nic go nie dzieliło. Tony'emu zaparło dech w piersiach, siedział jak sparaliżowany. Odwaga prysła. Porażka i poniżenie do końca życia. Strzelba wystrzeliła sama. Usłyszał krzyk: – Ty skurwysynu! – tuż po eksplozji, która podrzuciła broń w jego dłoniach tak wysoko, że dostał zamkiem w czoło. Krzesło, na którym siedział, przechyliło się. Upadł na plecy. Ray ryczał nad nim jak wściekły i trzymał coś w dłoniach. Tony zdążył tylko przeładować broń, a potem wybuchło słońce.

Osiem

Słońce wybuchło jak książka. Susan Morrow przerywa lekturę po raz ostatni, aby oszacować dzieło, które doczytała niemal do końca – został jej tylko jeden rozdział. Dorothy i Henry są na górze, wrócili z łyżew, kiedy Tony zostawiał odciski palców na klamce w drzwiach przyczepy. Słyszała, jak przytupują na ganku, jak żegnają się w śniegu z przyjaciółmi, a potem, ciężko dysząc, chichoczą w korytarzu. Teraz rozmawiają na górze, Rosie też – prawdopodobnie zdają jej relację.

Susan znów myśli o innym ganku, osłoniętym siatką, w Maine, o ścieżce i kamiennych schodkach prowadzących do szopy na łodzie, o cichej zatoczce lśniącej wieczorem jak lustro między drzewami. O umieraniu jak matka i ojciec. Jak Bobby Andes. Jak jej zazdrość. Jak pisarstwo Edwarda. Jak jego książka.

Edward i Arnold już jadą. Susan – zupełnie bez powodu – jest pełna obaw.

Zwierzęta nocy 26

Przyczepa otwarła się na las, ściany przepadły, a dach stał na palach jak szalas. Leżał pod drewnianym stołem, Ray uciekł potokiem, a inni go szukają, bo wiedzą, że Tony nie może. Ludzie, którzy się przy nim krzątali, też przepadli, na piersiach miał drewnianą ławkę, nie mógł jej zepchnąć i pomyślał, że jeśli trochę odpocznie, wszystko będzie dobrze.

Niebo ponad drzewami było kopułą ciemności jaśniejącą słabym światłem, ciemnozielonym. Dalej była jeszcze jedna kopuła, której nie widział: jeden świat w drugim świecie. Było to wnętrze powieki wielkości świata – powieki, której nie miał siły otworzyć. To sen, powiedział.

Nie było nieba ani powieki. I to nie był sen. Wszędzie było ciemno, a drewnianą ławkę i drzewa sam wymyślił. Czasem we śnie człowiek zastanawia się, czy to, co widzi, jest rzeczywiste, ale na jawie nigdy nie miewa się takich wątpliwości. Wiedział o tym. Nie śpi, lecz ma przesłonięte oczy. Prawdopodobnie bandażem. Nie widzi, ale nie śni.

Pamiętał przyczepę. Pochyłego nad nim Raya, wybuchające słońce. Leżał na podłodze z głową opartą o ścianę, prawą rękę przygniotło mu coś masywnego. Coś spadło mu na nogi. Coś innego popychało mu głowę.

Nie wiedział, co ma na oczach. Uniósł rękę z podłogi, mógł to zrobić, i przesunął dłoń ku oczom, a potem ją zatrzymał, przerażony. Nie miał bandaża na oczach. Nie chciał ich dotykać, bojąc się tego, co tam wymaca. Chciał tylko wiedzieć: czy leżę w ciemności, czy ciemność jest we mnie? Czy Ray zgasił światło i czy na dworze jest jeszcze noc? Chciał to sprawdzić, odszukać wzrokiem okno, drzwi, ale nie wiedział, jak patrzeć – czegoś brakowało w przedniej części jego głowy, gdzie została biała plama, jakby ktoś przeciął druty. Coś szeptało za potylicą: oślepiłem – w młodości byłaby to najgorsza wiadomość, jaką mógłby usłyszeć.

Ruszył prawą nogą, okay. Lewa noga też. To, co leżało na jego nogach, było krzesłem. Pamiętał, że upadł na plecy. Uniósł kolano i odsunął krzesło na bok. Zastanawiał się, co Ray mu zrobił z oczami, czy oślepił go ciosem w głowę, czy dobrał mu się wprost do gałek palcami albo nożem czy widelcem i wyrwał je albo przebił, a ból zaraz nadejdzie. Zastanawiał się, dlaczego Ray nie wyszarpnął mu strzelby i nie położył go trupem. Zastanawiał się, ile czasu minęło od tamtej pory, jak daleko Ray zdążył uciec. Na pewno odjechał moim autem, powiedział Tony. Jeśli odjechał. Jeśli nie siedzi tu i nie wpatruje się we mnie, czekając, aż się ocknę, by móc mnie torturować.

Czuł się zbyt zmęczony, zbyt wyczerpany, by ta myśl mogła go przerazić. Nawet ślepotą jeszcze go nie przeraziła, choć wiedział, że zbliża się chwila, kiedy przeora go jak lemiesz. Było mu zimno, drżał. Żołądek podchodził mu do gardła, Tony obrócił głowę, żeby zwymiotować, ale nie dał rady.

Tony Hastings wiedział, że czas upływa, ale nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie swędzenie w miejscu, w którym miał kiedyś oczy. Paliły go oczodoły, otwory wykopane z przodu twarzy, w które ktoś wbijał haczyki. Ból był hałaśliwy, zagłuszał myśli, sądy, oceny, obliczenia, zagłuszał wszystko oprócz tych słów: niech to się skończy. Nie mogąc się ruszyć – coś leżało mu teraz na głowie – walił stopami i nogami w podłogę. Wepchnął rękę do kieszeni, szukając chusteczki, za mała, zdarł z szyi krawat, zwinął go, przyłożył ostrożnie do twarzy, ale to wciąż za mało. Wyciągnął koszulę ze spodni, próbował odedrzeć połę, ale nie zdołał, przypomniał sobie jak przez mgłę o ścierce do naczyń nad zlewem i po długiej mobilizacji zmusił się do zmiany pozycji mimo obezwładniającego bólu głowy. Ale żaden ból głowy nie jest tak bolesny jak to, dzięki czemu odkrył, że może się podnieść. Zachwiał się i oparł o ścianę, potknął o jakiś duży przedmiot u stóp, wymacał zlew, poszukał wyżej i trafił na miękką szmatkę, potem drugą, chwycił je obie, zgniótł w dłoniach i przyłożył ostrożnie do otworów w głowie, a potem

przycisnął mocniej, żeby zablokować dopływ kwaśnego powietrza.

Ból był ostry, świdrujący i nie ustępował, ale nie palił już żywym ogniem. Odnalazł stopą krzesło, podniósł je i usiadł, nie odrywając szmat od oczu, żeby nie dopływało do nich powietrze. Nie wiedział, czy ma oczy, czy tylko oczodoły, nie śmiał dotykać tej okolicy palcami, nie chciał się przekonać, czy Ray wyłupił mu gałki, czy tylko uderzył go między oczy pięścią albo czymś innym – a może to nie Ray, tylko strzelba, która eksplodowała za blisko jego twarzy. Kiedyś ktoś go zbada i mu powie. Po policzkach płynęły mu strumienie o zaskorupiałym dnie.

Myślał: Czy mam pewność, że nie widzę na jedno oko i drugie? Oderwał szmatę najpierw od lewego, a potem od prawego oka. Powietrze było jak niegaszone wapno. Powtórka wiadomości: oślepiłem. Nie umarłem, oślepiłem. Sprawdził się najgorszy z dziecięcych lęków. Przez resztę życia będę ślepcem szukającym drogi. Zieleń, czerwień, drzewa, góry, morze, odcienie szkarłatu i purpury, półtony fioletu.

Spojrzenie w przyszłość i pytanie: Czy to wytrzymam? Czy zdołam nauczyć się czytać brajlem? Czy ktoś będzie mi czytał? Pies przewodnik? Biała laska?

Na krześle w tragicznej pozie. Naznaczony przez fatum. Zło, jakie może się wydarzyć, lecz nie przydarza się tobie. Trzecie wydanie wiadomości: oślepiłem – było jak melancholijne spełnienie długotrwałego procesu upadku, jak przypieczone losu. Życia i kariery Tony'ego Hastingsa, myślał żałościwie, matematyka. Louise Germane. Louise Germane i ślepiec. Nie, nie. Facet miał pecha.

Usłyszał samochód na łuku drogi. Niczym antyczny mit wieszczący tragedię. Potrzebował pomocy. Powinni go szukać. Jeśli w ogóle zauważyli, że go nie ma. Powinni już tu być. Usiłował sobie przypomnieć, co nie pozwala mu myśleć dobrze o przyjaciółach. Coś, co wydarzyło się całkiem niedawno.

Uświadomił sobie, że jeśli Ray odjechał jego autem, nikt nie będzie go tutaj szukał. Sam musi się uratować.

Musi wyjść jakoś z przyczepy i odnaleźć drogę. Będzie musiał stanąć przy drodze z zakrwawionymi szmatami przy głowie i liczyć na to, że jakiś kierowca zlituje się nad nim. Powie: Niech mnie pan zawiezie na posterunek policji w Grant Center. Miał jakiś powód, żeby nie jechać na posterunek policji w Grant Center. Bobby Andes. Musi coś sobie przypomnieć. Wymacał na podłodze krawat, obwiązał nim szmaty na oczach. Dzień czy noc? – zastanawiał się. Nasłuchiwał. Usłyszał daleki, oziębły śpiew ptaka, dwie czyste nuty, a za nimi wzmocniony, odległy szum cywilizującej się ludzkości.

Więc to dzień.

Każdy ruch męczył go tak bardzo, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Weź się w garść. Gdzie są drzwi? Obrócił się i zawadził stopą o coś dużego na podłodze. Dużego jak worek ziemi. Przypomniał sobie, że czuł coś takiego na rękach i nogach, kiedy leżał. Czuł coś takiego na całym sobie. Opuścił dłoń, dotknął grubej tkaniny kryjącej coś twardego – ręka, bark, osoba.

– Ha! – powiedział Tony Hastings. – To ty!

Ray. Ray nie uciekł. Od barku przeszedł do głowy i cofnął dłoń. Lodowata skóra. Podniósł rękę i puścił. Uderzyła głucho o podłogę. Łup.

W końcu cię zabiłem, szepnął Tony Hastings.

Kupił coś tą ślepotą.

Żeby się upewnić, że tamten jest trupem, Tony zmusił się – mimo obrzydzenia – by dotknąć jeszcze raz jego głowy, pomacać wokół oczu aż do tyłego czoła. Poczul wstrząs, dotykając Raya, ale pozwolił dłoni spocząć na chwilę na brwiach, na włoskach brwi, pomacał wysokie czoło. Coś takiego wcześniej byłoby niemożliwe. Szatan miał taką samą czaszkę jak Tony. Szatan miał bebechy i inne organy wewnętrzne, powielane w nieskończoność w atlasach anatomicznych na kształt i podobieństwo bebechów i organów wewnętrznych Tony’ego. I wszystkich innych ludzi. Co znacznie ułatwia pracę lekarzom, którzy wszędzie znajdują to samo.

Zastanawiał się, w jaki sposób go zabił i czy Ray miał przed śmiercią czas na refleksję, czy zrozumiał, dlaczego ginie. Ale z rozmowy, którą odbyli przedtem, jasno wynikało, że Ray niczego nie rozumiał, nie pojął, czego się dopuścił, nie ujrzał tego, co zobaczył Tony, nie doświadczył zbrodni ani kary. Jedynym zrozumieniem, poznaniem i iluminacją, jakie mógł wyobrazić sobie Tony dla umierającego Raya, byłaby jego obecność w wyobraźni Tony’ego i cierpienie, jakiego tam zazna. To wystarczyłoby w ostatecznym rozrachunku, byłoby tego aż nadto i sprawiłoby mu to ogromną satysfakcję, ale dopiero później, kiedy Tony znów będzie sobą, w tej chwili bowiem niczego nie odczuwał, a Ray był dla niego tylko zwykłym trupem.

Próbował wskrzesić swą nienawiść, by móc w pełni cieszyć się jego śmiercią, wyobrażając sobie, że Ray umierał powoli. Wykrwawiał się na śmierć, bez specjalnego bólu, ale czuł osłabienie, całkowitą bezradność. I wiedział, że umiera. Jednak zarówno nienawiść, jak i zemsta były teraz odległe, zupełnie nie interesowała go czyjaś śmierć. Pamiętał, z jaką przechwałką w głosie Ray mówił o przyjemności, jaką sprawia zabijanie, i płynącej z niej domniemanej wyższości. Zastanawiał się, czy Ray go oślepił, żeby on, Tony, zapłacił za to poczucie wyższości. Oślepił go, bo chciał, żeby

on również się czegoś dowiedział. Sublimacja zemsty.

Szukał dłońmi strzelby. Wymacał chłodne miejsce na podłodze: lepkie i zaskorupiałe. Skrzepnięta krew Raya Marcusa. Cofnął się, uderzył głową o stół. Spróbował wstać, opierając się ręką o blat, i znalazł na nim strzelbę. Zastanów się nad tym, Tony. To oznacza, że Ray Marcus trzymał broń w dłoniach, zanim umarł. To oznacza, że był świadom, iż wykrwawia się na śmierć.

Nie chciał zostać w przyczepie z trupem. Zabrał broń, wstał i podjął próbę obejścia przeszkody, szukając drogi stopą. Podłoga wszędzie była lepka. Potknął się o łóżko w miejscu, w którym przedtem nie było łóżka. Odnalazł ścianę, kuchenkę w miejscu, w którym przedtem nie stała, przesunął ją, znalazł drzwi. Wyszedł ostrożnie na dwór, ale przedtem, mimo usilnych poszukiwań, nie zdołał wymacać podłoża. Upadł, uderzył się o korzeń, zapomniał, że pod drzwiami przyczepy nie było schodków.

Od upadku rozboleła go głowa, wrócił ból, czekał, żeby dojsć do siebie. Bolał go brzuch, w który go kopnięto. Wiał lekki orzeźwiający wietrzyk, było ciepło, czuł na sobie słońce. Spróbuje odnaleźć samochód. Jeśli pójdzie w dół, trafi na rów przed łukiem drogi, a z rowu wyjdzie na pobocze. Stanie na nim, a kiedy usłyszy samochód, wyjdzie na drogę i będzie machał. Ziemia obsunęła mu się spod stóp, poślizgnął się i prawie upadł. Przytrzymały go jakieś gałęzie, chwycił je, potykał się o korzenie i omszałe głązy, splątane witki. Schodził – dłużej, niż powinien. Stanął na gołych kamieniach i znów się poślizgnął, stracił oparcie i wpadł do wody. Chłodny strumyk sięgał mu do kostek.

Był tak zmęczony, że siedział w wodzie. Od nasiąkniętej zimną wodą odzieży rozboleły go plecy i krzyż; nie mógł tu zostać. Odczekał chwilę, żeby złapać oddech, i postanowił wrócić. Usiłował wspiąć się na brzeg, ale śliskie kamienie spychały go do wody. Pokuśtykał w górę potoku, rozłożył szeroko ręce i chwyciwszy jakiś pęd, zdołał wyjść na brzeg. Stał na trawiastej łączce. Czuł słońce, którego nie widział. Nie miał pojęcia, gdzie jest przyczepa i droga. Opuściły go siły, postanowił odpocząć i zaczekać na przejeżdżający samochód, który pomoże mu się zorientować w przestrzeni.

Usłyszał samochód po kilku dobrych minutach. Usłyszał go bliżej, niż się spodziewał, z lewej strony, i niżej, tam, skąd przyszedł. Pomyślał: Będę siedział w słońcu i czekał. Jestem na tyle blisko, że kiedy się zjawią, będę mógł ich zawołać, o ile nie zobaczą mnie sami. Tutaj, tutaj! Zrobiło mu się słabo – może wskutek wstrząsu, jaki przeżył, odkrywwszy, że oślepl, a może dlatego, że kopnięto go w brzuch – jakieś plamy wirowały mu przed oczyma,

o ile miał oczy.

Wyrównaliśmy rachunki, pomyślał. Zabrałeś mi żonę i córkę, mnie oślepiłeś, a ja ciebie zabiłem. Trzy do jednego, ale był gotów na to przystać jak na dodatkowe koszty związane z roszczeniami. Jego ego i próżność, pociecha, jaką daje nazwisko i tytuł, muszą trochę kosztować: w tym wypadku nawet sporo. Obecnie nic nie znaczą, ale później bez wątpienia nabiorą wagi.

A kiedy nabiorą wagi, będzie mógł snuć plany na przyszłość, którą przywróci mu ślepotą, gdyż przez ostatni mroczny rok nie miał żadnej przyszłości. Zrobi sobie przerwę na przygotowania i naukę. Uniwersytet przyzna mu urlop, żeby mógł się przystosować do nowych warunków życia. Nowego sposobu życia: jak się uczyć, jak przygotowywać zajęcia, jak nauczać. Gdzie mieszkać. Jak zadbać o jedzenie, ubranie, higienę, wszystkie inne szczegóły, które teraz jawiły mu się niczym płatanina drzew na górskim zboczu. Ujrzy każde drzewo wyraźnie, kiedy podejdzie bliżej. Widział siebie w kampusie, na ulicach miasta, w czarnych okularach, z laską, może z psem. Wszyscy będą znali jego historię: to Tony Hastings, którego oślepił bandyta. Ten sam wcześniej zamordował jego żonę i córkę. Czarne okulary przesłaniające oczy, których nie ma, staną się legendą.

Nie bał się policji. Ślepotą, myślał, oczyści go w ich oczach. Nie będzie uciekał się do kłamstwa o samoobronie, jak proponował Bobby. Jak mógłby twierdzić, że działał w samoobronie, skoro miał strzelbę? Powie im, co się naprawdę wydarzyło. Poczuje się po tym lepiej. Znalazłem Raya Marcusa w przyczepie. Spał. Odbiliśmy rozmowę. O czym ty mówisz? A jeśli spytają, co robiłeś z tą strzelbą w samochodzie? A jeśli powiedzą, że sprowokowałeś Raya do napaści?

Co przypomniało mu o Bobbym Andesie. Czy nadal obowiązuje go wersja, że to Ray zabił Lou Batesa? Robiło mu się od tego niedobrze, ale ślepotą uwalniała go od myślenia o tym w tej chwili, więc przestał o tym myśleć.

Była już pełnia dnia, czuł słońce nad głową, robiło się coraz cieplej, gorąco. Poranne śpiewy ptaków umilkły. W lesie było teraz południe. Mogę zaczekać, pomyślał.

Siedząc pod kopułą ślepoty, Tony Hastings czuł światło przez skórę. Rekonstruował bez pomocy oczu miejsce, w którym się znalazł: polana z żółtą od słońca trawą, ziemia opada łagodnie ku drzewkom, za którymi stoi przyczepa, a niżej rozciąga się łuk drogi, przy którym stoi jego auto. Po drugiej stronie zasadził grube drzewa, najbliżej rośnie dąb, za którym stok wspina się ku lasom. Widział to tak wyraźnie, jakby na to patrzył, nie

wiadomo jakim sposobem.

Trochę brawury? Sprawdźmy... Podniósł strzelbę. Dąb rośnie po lewej stronie, strzeli i trafi w gałąź. Zawody strzeleckie niewidomych. Zachciało mu się śmiać. Przeładował, wycelował. Ognia. Straszliwie głośny wystrzał szarpnął jego dłońmi. Najpierw echo, a potem cisza zgwałconych wystrzałem lasów. Południe ciągnęło się w nieskończoność.

Obrót ziemi wystawił jego ślepe, przesłonięte szmatami oczy wprost na słoneczną lampę. Robi się popołudnie. Prześladowała go myśl, że jego własne ciało ma identyczny kształt i formę jak ciało Raya Marcusa. Lecz kiedy chciał się przeciągnąć, ciało stawiało mu opór, jakby je przywiązano do ziemi. Własne, unikatowe rany Tony'ego Hastingsa stawały się dobrze znane, trwałe jak możliwy do zniesienia ból. Był ślepy przez całe życie. Przynajmniej przez większą jego część. Nigdy nie musiał jeść. Nigdy nie musiał sikać. Przekonał się, że ma chłodne i mokre spodnie, jakby się zsikał, w ogóle o tym nie wiedząc. Kolejny skutek uboczny wstrząsu, pomyślał. Powodem, dla którego nie schodził ku drodze, była łagodna stromizna, którą widział oczyma wyobraźni. Zaczeka na policję, policjanci sprowadzą go na dół. Policja przyjedzie, kiedy Bobby Andes zamelduje o jego zniknięciu. Jeśli nikomu nie przyjdzie do głowy, by szukać go w przyczepie, George Remington zauważy jego samochód, wracając do domu. Nie ma powodu, żeby się niepokoić, że dzień tak się ślimaczy. Dzień nie trwa wiecznie.

Może zasnął. Usłyszał głosy, kroki na żwirze. Słowa – niezbyt głośne, nie mógł ich rozróżnić. A potem:

- Co to tu robi?
- Jesteś pewien, że to tutaj?
- Dokąd on poszedł?

Usłyszał głośniejszy, schrypnięty męski głos, zawodzący jakieś numery, a potem trzaski: policyjne radio. W końcu przyjechali. Uniósł głowę, znieruchomiał, słuchał.

Policyjne radio trzeszczało raz po raz, seriami. Głosy obok ustały.

Nagle:

- Jezu Chryste, Mike!
- Tupot stóp po drobnym żwirze.
- Ja cię kręcę!

Znaleźli Raya Marcusa.

Nie słyszał, co mówili.

- Patrz, krwawe ślady.
- Zobacz, dokąd prowadzą.

– Zostań tu.

Usłyszał trzask łamanych poniżej gałęzi. Ślepy Tony Hastings jak kamień leżący na ziemi nie wie, czy jest widzialny, czy ktoś go zauważy. Na wszelki wypadek podniósł strzelbę i przeładował. Policjanci są twoimi przyjaciółmi, powiedział.

– Prowadzą na dół. Widzę je! – ktoś krzyczał.

– Zamelduj o tym. Powiedz Andesowi.

A Tony wciąż nie wiedział, co Andes zameldował w sprawie śmierci Lou Batesa.

– Pewnie wykrwawia się gdzieś w lesie – zawołał głos.

Tony Hastings przewrócił się na bok i oparł głowę na rękę, żeby lepiej słyszeć. Nie wiedział, czy go zobaczą, kiedy spojrzą w górę. Policyjne radio wypływało komunikaty. Nie rozumiał, co mówi, ale domyślał się, że komunikaty dotyczą nowego odkrycia. A potem usłyszał wyraźnie:

– Tu Andes. Melduj.

– Marcus, a nie Hastings?

– Jesteś, kurwa mać, pewien?

Pomyślał, że sprowadzą psy, żeby go wytropiły. Jak zbiega. Wycelują do mnie z rewolwerów, a jeśli nie złożę szybko broni, zastrzelą mnie jak psa. Zabiłem Raya Marcusa, który był bezbronny.

Przypomniał sobie reflektory zbliżające się pośród drzew, przypomniał sobie, jak się chował, żeby go nie zauważono, i przypomniał sobie głos, który wołał: Koleś! Nie chcę, żeby mnie zobaczyli, skoro sam ich nie mogę zobaczyć, powiedział.

Kiedyś będziesz musiał się pokazać, powiedzieli. Zaczekam na Bobby'ego Andesa, odpowiedział.

Słyszał ich kroki poniżej, ale nie słyszał głosów. A potem martwa cisza. Nie martwa, ale prawie, przez długi czas. Wiedział, że tam są, bo czekało radio, które ktoś przyciszył, więc nie dało się już zrozumieć, co mówi. Wsiedli do samochodu albo weszli do przyczepy, gdzie leży trup. Na ich miejscu czekałby na dworze. A może czekali na dworze, przysiedli nad rowem, żeby zapalić. Znów usłyszał ptaki: dwie czyste nuty – pio, pio. Czuł, że słońce zachodzi, zawiął chłodny wiatr. Dzieciół obstukuje drzewo. Odległy, nieustanny szum samochodów, autostrada międzystanowa gdzieś w okolicy niesie rodziny, towary oraz bandytów. Niesie przez okolicę, zwożąc ich ze wszystkich innych okolic.

Smycz, którą jest związany w pasie i przypięty do drzew, napina się coraz bardziej. Ukrywa się jak zbieg – to idiotyczne. Wiedział o tym. Nie miał

zamiaru być ścigany. Jeśli zawinił, pogodzi się z tym. Nie zapomniał o swoich planach, o rozmowie, którą odbył ze sobą przed kilkoma godzinami. Już czas, powiedział. Obudź się, nie możesz tu zostać na zawsze.

Mimo to czekał. Wolał, żeby znaleźli go inni, najlepiej Bobby Andes. Gdyby Bobby Andes znalazł go pierwszy, mógłby przekazać mu najświeższą wersję śmierci Lou Batesa, zanim ktoś go o to zapyta. Zaraz go znajdą. Słyszał nadjeżdżające samochody, słyszał kroki, odbiorniki radiowe, głosy, okrzyki. Usłyszał Bobby'ego Andesa:

– Dokąd on, kurwa, poszedł?

Oto, co się stało: chciał wstać i zawołać: – Hej, poruczniku, hej, Bobby, tu na górze! Znow przewrócił się na bok i poczuł pod sobą broń, którą wcześniej przeładował. Szukał jej rękoma, znalazł i przełożył ją do lewej dłoni, żeby się podeprzeć i wstać. Podniósł się na jedno kolano i podnosił dalej, kiedy strzelba wystrzeliła. Uderzenie prosto w bebechy, eksplozja, której nienawidził, dopiero później. Cholera, zaklął. Jak to się stało? Przez chwilę wydawało mu się, że się postrzelił.

Co za odrzut! Zapomniał już, jak to kopie. Upadł na ziemię. Gdyby kula trafiła go w brzuch, już by nie żył. Leżał na plecach, wystawiając twarz ku czemuś, co powinno być niebem. Uderzenie zacieśniło smycz w pasie – mocniej niż przedtem. Próbował ją poluzować. Próbował się poruszyć, ale sznurek nie puszczał, przytrzymał go przy ziemi. Jeśli wszakże trafiła go kula, ominęła żywotne organy, bo nie czuł, że umiera, ale coś go w środku ciągnęło i przyciągało do ziemi. Mój Boże, pomyślał. Jeśli to prawda. Dlaczego musiało mi się przydarzyć coś tak głupiego? – pomyślał. Jeśli wykrwawiam się na śmierć. Sznur wwiercał mu się w pas, konie wciąż były w zagrodzie, nie przeskoczyły przez ogrodzenie, nie rozlały się po prerii, ale mocno stawały dęba. Polne myszki przemykały pod drewnianym płotem.

Jeśli to najważniejsza wiadomość, dlaczego nie wydaje mu się aż tak ważna? – myślał. Czy kula w brzuchu sprawia wrażenie sznura zaciskającego się w pasie, smyczy? – myślał. Kula w brzuchu to kula w brzuchu. Jęknął, poznawszy to. Zatem, powiedział, Tony Hastings zaczyna życie pośmiertne. A raczej życie przedśmiertne, bo umieranie trwa. Będzie się ciągnęło od przeszłości ku przyszłości, którą zdominowało jedno wydarzenie: kula, która trafiła go w brzuch. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale nic innego specjalnie go nie interesowało.

Długo, długo później uświadomił sobie, że dawno, dawno temu usłyszał jakiś głos: – Chryste, co to było? – Można by się spodziewać, że policja zagoni

bydło do zagrody – bydło spłoszone przez złodziei bydła – i że zrobi to całkiem sprawnie i szybko, prawda? Ale nie zrobiła. Nie pojawiła się. Minęło dużo, dużo czasu i wciąż się nie pojawiała.

A jeśli się nie pojawiła: ta część mózgu, która mu pozostała, powinna myśleć o śmierci, powinna poświęcać jej całą uwagę. Tony Hastings umiera – pomyśl o tym. Powinien być bardziej zaskoczony. Niejasno przypominał sobie rzeczy i sprawy, o których chciał pomyśleć w ostatniej godzinie, ale nic ważnego nie przychodziło mu do głowy. Powinien przynajmniej wiedzieć, dlaczego umiera. Inni będą o to pytać i jeszcze o to, czy nie dało się tego uniknąć i co można było zrobić, żeby do tego nie doszło. Wygląda na to, że pomyliły mu się ręce, lewa strona z prawą. Pewnie chciał podnieść się na prawej ręce, oprzeć ją o ziemię, a zamiast tego podparł się lewą, która trzymała strzelbę z lufą wycelowaną prosto w brzuch. Musiał zawadzić palcem o spust, szukając po omacku oparcia dla kolby. Pomyłka neurologiczna wywołana wstrząsem po utracie wzroku, choć powinien już z niego wyjść, bo bardzo długo był ślepy.

Przyszło mu do głowy, że gdyby policjanci przybiegli na czas, mógłby przeżyć. Gdyby, usłyszawszy wystrzał, przedarli się przez krzaki, zdążyliby wezwać przez radio karetkę. Choć to mało prawdopodobne. Nie słyszał ich jeszcze.

Przyszło mu do głowy, że kiedy znajdą jego ciało, pomyślą, że to samobójstwo. Wydawało się to całkiem logiczne, nie będą zaskoczeni. Zastanawiał się, jakie motywy mu przypiszą. Zapewne (powiedzą) zabił się, gdyż nie był w stanie znieść ślepoty oprócz tego wszystkiego, co już utracił. (Nie będą wiedzieć, że już się z tym pogodził). A może (powiedzą) zbrodnia i potrzeba zemsty prześladowały go tak bardzo, że kiedy zabił Raya, nie miał już po co żyć. (Nie wiedzą o Louise Germane, która na niego czeka, o ile jest w stanie zaakceptować czyjąś ślepotę). A może (nie doceniając jego cynizmu i tchórzostwa – tych fundamentalnych cech charakteru Tony'ego) dojdą do wniosku, że zabił się z idealistycznych pobudek, gdyż nie był w stanie przełknąć samowiedzy, jaką zrzucili na jego barki Ray i Bobby Andes; samowiedzy, która ukazała Tony'emu Tony'ego, nie dając mu w zamian moralnej przewagi nad wrogami, jeśli nie liczyć wiedzy, że to oni, a nie on, wszystko zaczęli. Co bardziej prawdopodobne, przypiszą to po prostu (nie wiedząc, jaką radość sprawiało mu czekanie) zniecierpliwieniu wywołanemu bólem i umieraniem: odkrywszy, że nie tylko oślepl, ale jeszcze był ranny po postrzeleniu przez Raya, wykrwawiał się na śmierć i nie był w stanie znieść tego dłużej. Miarka się przebrała i pękł. Mało prawdopodobne, że policja

uzna jego śmierć za nieszczęśliwy wypadek.

Naprawdę nie chciał umrzeć i wolałby, żeby się pospieszyli. Tymczasem smycz – sznur zaciśnięty w pasie – wrzynała się coraz głębiej, odkrywając i nanosząc na mapę nowe terytoria Tony’ego. Terytoria te obejmowały organy znajdujące się w pasie, choć nie wiedział za dobrze, jakie to organy, i nie znał ich dokładnego położenia. Mógł przypuszczać, że chodzi o wątrobę, nerki, śledzionę, wyrostek, trzustkę, pęcherz moczowy i wiele mil flaków, dużych i małych, grubych i cienkich. Zastanawiał się, co tam jeszcze ma, i żałował, że nie poznał lepiej tych okolic, kiedy jeszcze żył.

Jedyne, co wiedział na pewno, to że mógł kontynuować podróż do Maine. Po upływie roku. Powiedziała mu to policja, kiedy w końcu przybyła i stanęła obok drzwi auta, składając mu gratulacje, gdy przypinał się pasem do fotela. Pas był ciasny i wrzynał mu się w ciało. Ściskali mu rękę. Życzyli szerokiej drogi. Mówili, jak ma jechać i ile mu to zajmie.

Więc w końcu ruszył i jechał bardzo szybko, bo wciąż miał w sobie trochę z kowboja i trochę z baseballisty. Niemal śpiewał z radości, a sama podróż trwała bardzo krótko. Ujrzał letni dom na końcu podjazdu, nad zboczem. Był to stary dwupiętrowy dom z narożnymi oknami i werandą. We wszystkich oknach były siatki, na werandzie też. Przejechał podjazd i stanął na trawie, i zobaczył je w wodzie. Czekały na niego. Przeszedł po trawie na brzeg.

– Chodź – zawołała Laura. – Czekaliśmy na ciebie.

– Co cię zatrzymało? – spytała Helen. – Tak długo?

– Zimna? – zapytał.

– Dostyc – odpowiedziała Laura. – Ale dasz radę.

– Wystarczy do niej wejść – dodała Helen.

Stały zanurzone w wodzie po szyję, więc widział tylko ich głowy. Woda iskrzyła się szmaragdowo jak śmietanka w popołudniowym świetle, a mechate sosnowe wysepki w zatoczce migotały pełnią lata.

Wszedł do wody, poczuł chłód wokół kostek. Laura i Helen roześmiały się głośno.

– Za długo cię nie było – stwierdziła Laura. – Wyszedłeś z formy.

Podniósł głowę ku klifowi, na którym w trawie stał dom – wysoki, przestronny i piękny. Dwoje przesłoniętych siatkami drzwi na przesłoniętej siatką werandzie stało otworem, podobnie jak dwa przesłonięte siatkami okna na pierwszym piętrze. Nie wiedział dlaczego. Pomyślał, że fajnie będzie wrócić do domu po kąpieli, iść w górę po trawie, wejść do środka i zasiąść w dużym, pustym, pachnącym sosną pokoju, i cieszyć się ciepłem po chłodzie. Potem porozmawiają. Przypomni sobie wszystko, co chciał im

powiedzieć. Chciał powiedzieć jej o tym, jak wymachuje ramionami, wspinając się po zboczu w drodze do domu. Chciał ją zapytać, czy kiedykolwiek się kłócili. Nie pamiętał tego i miał nadzieję, że nie. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek był o nią zazdrosny, i pomyślał, że nie, i czy ona była zazdrosna o niego; miał nadzieję, że nie, bo nigdy – z tego, co wiedział – nie dał jej powodu. Chciał jej powiedzieć, że pamięta jagodową łąkę i coś, co było potem, o czym zapomniał.

Ale jeszcze nie teraz, bo najpierw to. Z wody wystawały tylko ich głowy, roześmiane twarze, zachęcające go do wejścia głębiej. Szedł ostrożnie przez dojmujący chłód, z każdym krokiem był coraz bliżej. Niełatwo maszeruje się w wodzie, a one wciąż czekały – tak wspaniałomyślnie, tak łaskawie, że nie mógł wprost uwierzyć w swoje szczęście. Wymachiwał nogami z całej siły, a lód był coraz wyżej. Objął go od kostek do kolan, od kolan do krocza i od krocza do bioder. Chwycił go mroźnym uściskiem w pasie. Podpełzł do piersi, pokrył jego serce i ścisnął szyję. Potem – wciąż się unosząc i wciąż zamierzając – wypełnił mu usta i nos, i zamknął płonące oczy.

Dziewięć

Koniec. Susan widziała, jak książka kurczy się w oczach, aż do ostatniego rozdziału, ostatniej strony, akapitu, słowa. Nic nie zostało, umarła. Może teraz przeczytać ją po raz drugi albo przejrzeć jej fragmenty, ale książka jest martwa i już nigdy nie będzie taka sama. Zamiast niej podmuch wiatru świszczący w szczelinie, którą otworzyła i zostawiła po sobie. To wolność? Nie. To prawdziwe życie, powracające do niej.

Potrzebuje chwili ciszy, żeby dojść do siebie. Absolutnej ciszy, bezmyślnej, wolnej od interpretacji, bezkrytycznej – ciszy upamiętniającej czytelnicze życie, które dobiegło końca. Później pomyśli o książce. Zbierze wszystko razem, nada sens lekturze i postanowi, co powie Edwardowi. Ale jeszcze nie teraz.

Powrót do rzeczywistości jest wstrząsem. Życie ukryło się w lekturze, a teraz tylko czeka, żeby rzucić się jej do gardła jak drapieżnik przyczajony w koronie drzewa. Ucieka mu, uchyla się – i na to jeszcze nie czas. Dzieciaki są na górze, wróciły w połowie ostatniego rozdziału. To ich pora. Słyszy, jak się śmieją i piszczą. Zamyka karton z maszynopisem, odkłada pudło na półkę, sprawdza wszystkie pokoje, drzwi od frontu i od tyłu, wyłącza światło, rusza na górę.

Siedzą we troje na podłodze w pokoju Rosie. Rosie jest już w piżamie. Twarze Dorothy i Henry'ego są nienaturalnie czerwone.

– Cześć, mamó – wita ją Dorothy. – Wiesz, co się stało?

– Henry się zakochał – mówi Rosie.

Henry szczyrzy zęby, triumf dominujący nad wstydem.

– Cóż to za nowina! – mówi. – A w kim, jeśli wolno wiedzieć?

– W Elaine Fowler – odpowiada Dorothy.

– Wielkie rzeczy! Henry jest zakochany w Elaine Fowler od roku.

Rosie wygląda na rozczarowaną. Henry mamrocze pod nosem:

– Ale teraz jest inaczej.

– Rozpoczęła się kolejna faza – tłumaczy Dorothy.

– Kolejna faza... To cudownie.

– Co robiłaś wieczorem, mamó? – pyta Dorothy.

Susan Morrow jest zaskoczona.

– Ja? Nic takiego. Kończyłam książkę.

– I jaka jest? Dobra?

Nie jest przygotowana na tak postawione pytanie. Ale wróciła do rzeczywistości, w której coś jest dobre albo złe, i trzeba brać odpowiedzialność za słowa.

– Niezła – mówi. – Całkiem dobra.

Później pękają jej w głowie jakieś tamy i książka się rozplywa. Nie wiadomo kiedy. Może kiedy znalazła się w łóżku, a w całym domu zrobiło się ciemno. Choć zapewne wcześniej, podświadomie, kiedy zamykała dom lub kiedy rozmawiała z dziećmi. Trudno przyszpilić tę myśl do jakiejś konkretnej pory czy sekwencji wydarzeń.

Świadoma tego, że w jej głowie zagnieździła się jakaś przerażająca rzeczywistość, nie dopuszcza jej do siebie, każe jej wracać do książki. Pamięta ból i współczucie dla Tony'ego w ostatnich zdaniach. Czuła prawdziwy żal. Ból znika, kiedy o nim myśli, jak to zazwyczaj bywa. Ostatnia scena w wodzie coś jej przypomina. Ale czy rozumie, dlaczego Tony musiał umrzeć? Cofa się pamięcią, widzi drogę prowadzącą ku śmierci, jej wijący się w lesie bieg. Jechał do Maine, gdzie w końcu trafił. Zakończenie podoba się jej bardziej, niż się spodziewała, ale nie ma pojęcia, czy jest właściwe albo czy rozwiązuje poruszone w powieści kwestie. To wymaga umysłowego wysiłku, przypominania sobie wątków, a na to nie jest jeszcze gotowa, jeśli w ogóle będzie. Teraz nie wie nawet, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Lecz jeśli zapyta o to Edwarda, gotów pomyśleć, że jest głupia.

Tropem lektury podąża zapomnienie jak stado kawek dziobiących okruszki zgubione przez Jasia i Małgosię. Dukt od początku zarastają chwasty. Ukryły ciała żony i córki Tony'ego Hastingsa, ukryją i Tony'ego. Usiłuje przypomnieć sobie pewne fakty. Helen na poboczu autostrady, daleko od samochodu, biedne dziecko. Helen jako Dorothy i Henry w jednym. Ray to łasica. Skąd to porównanie? Pamiętasz, jak Tony rzucał rozpaczliwe spojrzenia na wzgórze, na którym stał dom Husserla? Dlaczego dałeś sąsiadowi akurat takie nazwisko? Tony – pozer. Susan wstydzi się własnej wyższości, przypatrując się, jak Tony rzuca się z jednej skrajności w drugą. Chciał odziać płonące ciało, choć potrzebował lodowatej wody. Susan jako Tony.

Zna tę leśną drogę wśród wzgórz, jakby po niej jeździła. Widzi ją z taką samą przejrzystością, z jaką ślepy Tony widział dąb, do którego strzelił. Polana, manekiny, przyczepa nad łukiem. I Tony potykający się o trupa Raya. Ale wokół takich miejsc kwas wyżera strony, które czeszna.

Ma wrażenie, że jakieś wątki nie znalazły rozwiązania, ale nie pamięta jakie. Zastanawia się, co się wydarzyło poza narracją. Na kempingu. Jaka

wersją wydarzeń posłużył się Bobby wobec policji? Czy policja w nią uwierzyła? Czy to ma znaczenie? A Louise Germane? Zostawiona i zapomniana. Krzyżyk na drogę.

Dom w Maine z werandą i siatkami przypomina jej dom, który Edward odwiedził, mając piętnaście lat i później po ślubie. Same siatki. Widzi Tony'ego wpatrującego się w nie w mroku, w archetypowej ślepcie, i odnajduje wokół siebie znaczenia, których nie pojmuje. Zastanawia się, czy są rzeczywiste, czy to tylko twory jej wyobraźni, i ile czasu upłynie, zanim się dowie, jeśli w ogóle się dowie.

Chce porozmawiać i nie chce porozmawiać. Co miałyby powiedzieć? Wstydzi się powiedzieć Edwardowi, jak bardzo czuje się ślepa. Gdyby czytelnicy mogli tylko klaskać, a pisarze tylko się kłaniali... Mogłaby to zrobić. Mogłaby klaskać, może całkiem szczerze powiedzieć Edwardowi, że podoba się jej ta książka. To wielka ulga. Odłóż krytykę. Dobrze się przy niej bawiła i żałowała, że musiała skończyć lekturę. To go zadowoli. Czy poleciłabyś ją znajomym? Zależy jakim. Czy poleciłabyś ją Arnoldowi? Oczywiście. Bardzo by na tym skorzystał.

Potajemny lęk, przed którym bez przerwy robi jakieś uniki w głowie. To jej osobisty problem. Nie ma nic wspólnego z książką.

Potem

Jeden

Nadjeżdża Arnold, a potem Edward. Susan Morrow jest tak spięta, że aż zapiera jej dech w piersiach. Wie, że każdy z nich gardzi tym drugim prawdopodobnie z jej powodu. Arnold uważa Edwarda za nieudacznika, zawsze tak uważał. Kiedy spotkali się po raz ostatni – przed laty, przypadkiem, na przedstawieniu w Chicago – Arnold postawił Edwardowi drinka. Poklepywał go po plecach, rozmawiał z nim o wartościach kulturowych i uznał go za zniewieściałego. Edward nie zwracał uwagi na obiekcje Arnolda wobec niezrozumiałych dzieł sztuki, unikał teraźniejszości, zmienił temat na baseball i uznał go za prostaka.

Wykonuje codzienne prace, dzieci do dentysty, zakupy, zamierza pojechać wieczorem po Arnolda na lotnisko O'Hare. Boi się tego, z czym może wracać Arnold, co pewnie ją przerazi, więc myśli o Edwardzie, który przyjeżdża jutro. Krytyka, jakiej się po niej spodziewa, pytania, które – według niego – zada, a które odłożyła na później.

Wolałaby zostawić tę książkę tam, gdzie położyła ją wczoraj, wolałaby pozwolić jej pracować samoistnie w piwnicach własnej głowy, ale dla Edwarda musi sformułować jakąś opinię, co jej się podobało, a co nie. Przymiotniki. Pytania, wokół których zorganizuje lekturę, zapewniające orientacyjne odpowiedzi. Na pytanie Edwarda: – Czego brakuje w tej książce? – ma podstępny odpowiedź.

Wieczorem odbiera Arnolda z lotniska, udaje, że się cieszy. Całuje go, bierze pod rękę. Arnold Miś, który zawsze wygląda na zdezorientowanego w miejscach publicznych. Z siwiejącą brodą, krzaczastymi brwiami. Martwi się o swój bagaż, jest zajęty własnymi myślami. Bardzo zajęty. Jakimi? Susan tego nie wie. A on jej nie mówi. Czeką na jego niechciany prezent. Powstrzymuje się przed zadawaniem pytań, które cisną się jej na usta i doprowadzają do szaleństwa.

Wiezie go do domu zatłoczoną drogą ekspresową. Jakby nic się nie stało. Opowiada jej o spotkaniach, ludziach, wykładach, których wysłuchał. Opisuje rozmowę w Cedar Hall Institute. W Chickwash. To dla niego zaszczyt, szkoda, że matka tego nie dożyła. Spodziewa się, że przyślą ofertę w ciągu tygodnia. Susan pamięta, że obiecywał jej, że o wszystkim porozmawiają, zanim podejmie decyzję. Wygląda na to, że doszedł do wniosku, iż już rozmawiali. Jeśli mu o tym przypomni, odpowie, że jego zdaniem sprawa

jest załatwiona. Boi się innych wiadomości, które może usłyszeć po takim przypomnieniu.

Zamiast tego wspomina o zbliżającym się przyjeździe Edwarda. Opowiada o jego książce, prowadząc, ale nie wie, czy Arnold słucha. Mówi w podmuchach wiatru uderzającego w szyby samochodu, on nic nie mówi. Wspomina, że chce zaprosić Edwarda na obiad. Jutro. Ponieważ Arnold tego nie słyszy, powtarza. Och, wybac mi, mówi. Będziecie musieli zjeść obiad beze mnie. Jutro pracuję do późna.

Tej nocy Susan Morrow uprawia seks. Z własnym Arnoldem, w ich własny sposób przećwiczony przez dwadzieścia pięć lat. Nie spodziewała się tego, był zmęczony, ona była poirytowana, bez względu na to, co ją irytuje. Poczucie żalu, żalu nad sobą, nad tymi wszystkimi poświęceniami, na które się zdobyła. Jego brak zainteresowania dla jej przygód jak ta ostatnia, z książką Edwarda, która jest dla niej tak samo ważna jak nowojorskie przygody dla Arnolda. Jego całkowita obojętność. Więc nie spodziewa się tego i jest już w połowie drogi do klapy w podłodze, prowadzącej do snu, kiedy Arnold kładzie na niej swoje niedźwiedziowate łapsko w najintymniejszy i uprzywilejowany sposób, przywracając ją gwałtownie jawie.

Z powrotem do starego świata ciał późną nocą: w rolach głównych jej sutki, szyja, biodra, brzuch, którym partnerują spocone zebra, owłosione nogi, pachy i broda. W pozostałych rolach dwa języki. Gościnnie występuje prawdziwa gwiazda: jego podatna na aplauz, gruba, wpychająca się wszędzie parowa, która pojawia się w ciemności pod wilgotnymi, delikatnymi arkadami łuku miednicy. Zapomina o swych żalach, wydając z siebie przynoszący ulgę skowyt aprobaty dla polityki wierności i szczerości, zarówno w Chicago, jak i w Waszyngtonie, a wszystko inne znika, w tym Edward i Marilyn Linwood. Albo nie znika. Myśli o nich, gdy Arnold się kołysze, i zastanawia się, czy przypadliby sobie do gustu. Po wszystkim kładzie (kto? Arnold oczywiście) głowę na jej ramieniu i jęczy: Wybac mi, och, przepraszam. Spokojnie, spokojnie, mówi jak matka i poklepuje go po głowie, nie wając się dociekać, co ma mu wybaczyć i za co ją przeprasza.

Następnego dnia czeka na Edwarda. Napisał, że zatrzyma się w Marriocie, ale nie ustalili konkretnie, jak mają się spotkać. Spodziewa się, że zadzwoni, a ona zaprosi go wówczas na obiad. Zdenerwowana i podekscytowana czeka przez cały ranek i część popołudnia. Tymczasem światło dnia przesłania aureolę, która zawisała nocą nad głową Arnolda. Jak to zwykle bywa. Irytuje ją jego obojętność wobec Edwarda. Obowiązujący przez dwadzieścia pięć lat

dogmat brzmi, że Edward się nie liczy. Chciałaby, żeby Arnold przeczytał tę książkę. Zależy jej na tym tak bardzo, jakby sama ją napisała. Pojawia się taki oto pomysł: pojmać Arnolda książkowo, posłać go przez las z Tonym, kazać mu przeżyć wstrząsającą zbrodnię, stratę i niewygodne odkrycia, zaprzac go do wyobraźni Edwarda na trzy dni czy ile mu będzie trzeba.

Ale Arnold powiedziałyby: Ten twój Tony Hastings z tej książki Edwarda, ten twój Tony Hastings to mięczak. To język Arnolda, tak wypowiada się jej mąż. Dodałyby: Wiem, przez co Tony przeszedł, ale coś z nim jest nie tak, bo co to za facet, który nie umie obronić swojej rodziny ani dać rady Rayowi, nawet jak ma broń? To taki sam bohater jak ten twój Edward.

Irytuje ją wszakże to, że wymyśla recenzję Arnolda i wkłada mu ją w usta. Nie ufa jego motywom, choć sama je wymyśla, i pyta: Ty nigdy byś nie pozwolił, żeby Ray i ta banda skrzywdzili mnie, prawda, Arnoldzie? Nic takiego nie mogłoby ci się przydarzyć, bo nie pozwoliłbyś na to – czy chcesz, żebym w to uwierzyła, mój bohaterze? Wie, że wzgarda dla męskości Tony’ego ma na celu potwierdzenie i wzmocnienie jego własnej męskości, która – sądząc po ostatniej nocy – jest mocno nadwątlona i gubi się we wspomnieniu poklepywania po głowie: spokojnie, spokojnie.

Jest złośliwa. Ta myśl. Susan chce się poprawić. Szczerze: ją także zaniepokoił w Tonym brak kręgosłupa, co tłumaczy, dlaczego wkłada tego rodzaju krytykę w usta Arnolda. Nie rób tego, Tony, ty głupcze, miałyby ochotę powiedzieć. Ale nie przyszłoby jej do głowy, że mogłaby poskarżyć się na to Edwardowi, bo znała jego odpowiedź: Tony ma być właśnie taki. Jeśli ona to rozumie, Arnold także powinien. Powinien zrozumieć dylemat Tony’ego z bronią. Mieć broń i nie móc jej użyć: dla Susan tak wygląda życie, najprawdziwsze, nie takie jak w kinie, gdzie wystarczy wyciągnąć spłuwę, żeby stać się Bogiem. Gdyby znalazła się na kempingu w takiej sytuacji jak Tony, też nie zdołałaby wystrzelić. Powinna pochwalić za to Edwarda, ale się waha, jakby ta myśl zawierała więcej, niż jest w stanie przyznać: w tym powidoku Tony’ego Mięczaka odbija się jej własne oblicze.

Cóż, Arnold by się z tym nie zgodził. Uspokajałyby ją – najpewniej protekcyjnie: Ty i Tony, Susan? Nie widzę żadnych podobieństw, najmniejszych! Przecież znam moją Susan. Gdyby Ray i jego banda napadli na nasze dzieci, walczyłabyś jak lwica, walczyłabyś w taki sposób, w jaki twój grzeczny Tony nigdy by się nie poważył. Skoczyłabyś im do gardeł, gryzłabyś i kopała, wyłupiłabyś im oczy gołymi rękoma. Nigdy w życiu nie pozwoliłabyś, żeby jakiś bandyta skrzywdził twoich najbliższych, na co pozwolił Tony, o czym dobrze wiesz.

Owszem, wie. Przecież zna swoją Susan.

DWA

I czeka. Chce posadzić Edwarda przy swoim stole, podać mu obiad, zaprosić dzieci, bez Arnolda. Chce porozmawiać o jego książce. A także powiedzieć dwa lub trzy pojednawcze słowa – choć bez przesady, bo nie czuje się winna – na przykład coś o tym, jak daleko zostawiła za sobą stare spory. Albo o tym, jak się wyswobodziła, jak uwolniła umysł, jak wreszcie potrafi być życzliwa i z jaką radością powitałaby go w gronie przyjaciół, bo jest przecież jej najstarszym przyjacielem, z którym może rozmawiać o sprawach, o jakich nie ma pojęcia jej mąż. Nie zrozum mnie źle. Nie zastanawia się nad zdradą. To nie jest zemsta za Linwood, do czego potajemnie popycha ją mąż. To swoboda mówienia o wszystkim, co tylko przyjdzie jej do głowy, bez tajemnic.

I wszystko to po lekturze książki Edwarda, choć może nie tyle po samej lekturze, ile po powrocie autora. Wyznać Edwardowi to, czego nie może wyznać Arnoldowi. Nowemu Edwardowi, który dorósł i jest tak mądry, że napisał książkę. Ten Edward zrozumie, dlaczego to, co Arnold uznaje za jej największą zaletę, wcale zaletą nie jest. Będzie wiedział, jak to jest, kiedy ma się broń i nie można jej użyć.

Zrobiło się późne popołudnie i przychodzi jej do głowy taka myśl: Może wcale nie zadzwoni. Wstrząśnięta, sama dzwoni do hotelu. Jest już po wpół do czwartej i jeśli chce go zaprosić na obiad, musi zaproponować to szybko. Zostawia wiadomość w recepcji: Susan prosi o telefon. Pyta recepcjonistę, kiedy Edward przyjechał. Wczoraj po południu, proszę pani, odpowiada recepcjonista. Wczoraj? Jest tu od wczoraj?

Rozważa wyjazd do miasta (dzieciaki mogą zjeść pizzę): wpadnie do Marriotta i złapie go, kiedy wróci. To szaleństwo. Lepiej ugotuje obiad zgodnie z planem i zostawi coś dla Edwarda, jeśli zadzwoni. Obwinia się – głupia. Później, podczas gotowania, nie ma nic do roboty oprócz siedzenia i wpatrywania się w piec przez dwadzieścia minut, więc siada przy kuchennym stole i myśli. Czas zmienić kurs, wrzucić wsteczny, przerzucić bieg z „czuję się winna” na „jestem zła”. Czas skwierczeć jak to, co stoi na piecu. Dlaczego masz czuć się winna, Susan? Jak będzie chciał, zadzwoni. Brak telefonu to afront. Powiedzmy, że nawet zniewaga: na jego prośbę poświęciła trzy noce na czytanie powieści, w dobrej wierze. Włożyła wiele wysiłku w to, żeby się odpowiednio przygotować do rozmowy. I co? Ma to

gdzieś i nawet nie zadzwonił.

Takie myśli doprowadzają Susan do wściekłości i zmieniają wszystko, nawet samą powieść. Palące pytanie: Po co ją przysyłałeś, jeśli nie chcesz o niej rozmawiać? Nie przyszło jej do głowy, że mógłby to zrobić na złość.

Je z dziećmi, próbuje włączyć się do ich rozmów, jakby nic się nie stało. Kiedy kończą obiad, jest już całkiem jasne, że to nie jej niedbalstwo doprowadziło do nieobecności Edwarda. Narazając ją na taką zniewagę, dał się poznać z całkiem nowej, zaskakująco nieprzyjemnej strony.

Z głębin niepamięci wydobywa wspomnienie, jak bardzo bolało go to, że nie potrafiła docenić jego pisarskiego kunsztu. Czuł się jak oślepiiony. Powiedział: Twoje słowa mnie oślepiają. Bez wątpienia nadal się na nią gniewa. Po dwudziestu pięciu latach nie potrafi jej wybaczyć urazy, którą porównał do oślepienia. Ta powieść jest jego zemstą.

Powieść jako zemsta to absurd, ale ta myśl nie daje jej spokoju. W jakim sensie powieść może być zemstą, jak niby ma wyglądać kara? Zastanów się. Alegoria? Wypiera się zarzutów. Nie oślepiła go, nie skrzywdziła, nie zrujnowała mu życia, nie wyrządziła mu żadnej szkody – czego dowodzi choćby sama książka i to, że ją napisał. Susan też umie się obrażać, szczególnie przy kuchennym zlewie pełnym brudnych naczyń, uraza każe jej zagryźć wargi, domaga się gestu – zerwania; wymaga od niej największego wysiłku, żeby się opanować.

Jej gniew zależy od tego, jak go odda; czy będzie się karmił językiem, w jakim zdefiniuje wyrządzony przez Edwarda despekt, na przykład tak: jego powieść jako nienawiść. Jego rozgrzeszenie jako pułapka. Ocenzował jej prawo do lektury. Już nie pamięta, dlaczego się złości, co dowodzi, że złości się z innego powodu, niż myślała. Wszystko sprowadza się do jednego: napięcie, zwykłe napięcie. Napięcie związane z pragnieniem zachowania bezstronności sądu mimo upokorzenia, jakim jest przyznanie się do własnego błędu. Napięcie związane z ignorowaniem miłości i nienawiści, żeby czytać w sposób obiektywny przez trzy sesje z rzędu. Napięcie związane z zagłębianiem się w jego wyobraźnię, z byciem Tonym – i to tylko po to, by wykopano ją jako bezczelnego intruza. Napięcie związane z ignorowaniem napięcia, a potem afront.

Rozdrażniona. Rzecz jasna mógł nie odebrać wiadomości. Mogli jej nie przekazać. O wpół do dziesiątej dzwoni do hotelu po raz drugi. Edwarda ciągle nie ma. Zostawia kolejną wiadomość. Po jedenastej słyszy samochód skręcający do garażu: wraca spóźniony Arnold. Myśl o tym, co ze sobą przywozi, jest zbyt potworna, by dała się pomyśleć, więc Susan ucieka szybko

na górę, przygotowuje się do snu, a on je w kuchni płatki śniadaniowe. Musi być w łóżku i usnąć, zanim nadejdzie, żeby nie musiała z nim rozmawiać. Konieczność podejmowania tego rodzaju zachowań sprawia, że wpada w złość. Kiedy kładzie się do łóżka (eliminując w ten sposób na zawsze szansę na spotkanie z Edwardem), jej umysł trawi pożoga wstydu. Obraz poruszającego się świata, nakładających się na siebie płyt tektonicznych – panorama samotności.

Susan jako idiotka, na przykład niedojda. Leży w łóżku, *nie* mogąc zasnąć – tej nocy nie otworzy się żadna kłapa *na dół*, jest zamknięta na cztery spusty, podłoga solidna i mocna, rozczarowująco wytrzymała, myśli jedna za drugą, wściekle myśli. Złości się na siebie za to, co sobie wyobrażała przed kilkoma godzinami. Widzi siebie jako nedorzecznie łatwowierną Susan – zdrową, rumianą łyżwiarkę Arnolda, naiwną i wzruszającą jak szczenię, zostawiającą wiadomości Edwardowi jak porzucona kochanka, jak zawiedziona fanka błagająca o chwilę rozmowy, ale o czym? O jego książce czy raczej o Arnoldzie, na którego chciała się poskarżyć? Jak mogła być aż tak głupia? Jak mogła wyobrażać sobie, że zdoła poskarżyć się na Arnolda komuś tak obcemu jak Edward po upływie dwudziestu pięciu lat, skoro boi się poskarżyć na Arnolda sama przed sobą? Od czego niby miałyby zacząć? Co miałyby mu powiedzieć? Czy to obchodzi Edwarda? Jak miałyby to zrozumieć? A co w tym jest do rozumienia?

Słyszy Arnolda w sypialni, po ciemku. Szura, obija się o meble, chrząka, pociąga nosem. Łóżko zapada się pod jego ciężarem. Czuje jego zapach. Rzuca się, pochrapuje, przewraca się ciężko na bok, wali ją w plecy, obracając się na drugą stronę – żadnych ustępstw. Leży nieruchomo, nie zgadza się obudzić, wstrzymuje oddech, żeby mu powiedzieć: Nawet jeśli nie śpię, to wcale mnie tu nie ma – przepadłam.

Był z Marilyn Linwood. Dochodzi do wniosku, że to prawda, chce tak myśleć, chce skupić na tym umysł, dołączyć wyobraźnię oraz wizualizację każdego miejsca: Nowy Jork, Chicago, jej mieszkanie, leżanka dla pacjentów w jego gabinecie, Waszyngton, Chickwash. Czy to bezpośrednio narusza umysłową dyscyplinę, jaką sobie narzuciła przed trzema laty, aby zaakceptować status quo? Dostyc tego. Jeśli nie jest w stanie znieść wizualizacji, nie ma prawa do status quo.

Nasuwa się niewyobrażalnie przerażające pytanie i znów nie potrafi go zadać. Zastanawia się, dlaczego Arnold tak się rzuca na łóżku, pocąc się przy tym straszliwie, czyżby miał nieczyste sumienie, czyżby coś go trapiło? Nie potrafi o tym myśleć. Myśli o nich obu, pociągających razem nosami.

Rozmawiają o niej. Chcą ją chronić. Biedna Susan. Niech Susan zadba o siebie sama. Myśli o emeryturze Arnolda i lokatach, które zaczną przynosić zyski za jakieś piętnaście lat. Jest ich jedyną beneficjentką, a zaraz po niej dzieci. Ma zamiar pozostać jedyną beneficjentką. Tak zamierza zrobić i będzie się przy tym upierać.

Obraca się w ciemności twarzą do Arnolda, otwiera oczy, spogląda na wielki pusty cień w miejscu, w którym leżał jeszcze przed chwilą, i obmyśla, czym go zabić: strzałą, kolcem do lodu? Arnolda bigamistę. Każe im się przeprowadzić do Waszyngtonu albo będzie wracał do domu na weekendy, albo coś gorszego. Czy muszę się na to zgodzić? – Susan pyta Susan. Nie masz, jak to się mówi, wyboru. Minął czas buntu i sprzeciwu. Twój mąż, jak to się mówi, robi karierę.

A jeśli się nie zgodzi? A jeśli powie: Nie zrobię tego? Nie przeprowadzę się do Waszyngtonu ani nie zostanę tu sama. Nie pozwolę ci od nas uciec. Takie mam prawo jako twoja żona. Takie mam prawo jako samolubna jędzowata Susan.

Widzi, jak Marilyn Linwood radzi Arnoldowi, jak powinien postąpić – tak jak ona radziła mu przed ćwierćwieczem, jak postąpić z Seleną. Wykorzystując do tego swój moralny autorytet, moralną wyższość, którą nad nim miała, a także jego wrodzoną skłonność do ulegania jej we wszystkim. Wie, że obecnie nie ma prawie żadnego autorytetu. Co się z nim stało, gdzie się podział? Zaprzepaściła go na rzecz Linwood? Jakaż to ironia! Widzi siebie w długiej, ciągnącej się przez lata perspektywie: powoli wyrzeka się wszystkiego na rzecz projektu noszącego nazwę „usatysfakcjonowanie Arnolda”, jakby konieczność sprawiania mu przyjemności była jej obowiązkiem i pełnoetatową pracą. Jej przyjaciółki feministki byłyby zaskoczone tym, jak daleko odeszła od ich wspólnych przekonań – ona, obrończyni praw wszystkich kobiet oprócz swoich własnych. Jaki autorytet mogłaby mieć, gdyby się ośmieliła go wyegzekwować? Płaci rachunki za dom: czy Linwood się tym zajmie? Czeka żałośnie na wiadomość od Linwood: prezent od Arnolda, ukryty, póki siedzi cicho i nie wykonuje gwałtownych ruchów. Ocenzurowana, szantażowana, zamknięta i uwięziona groźbą złego słowa, które może wypowiedzieć – cichej skargi, która da Linwood pretekst i prawo do przejęcia sterów.

Chce usłyszeć, jak brzmi to słowo na jej milczących wargach: nienawiść. Boi się je wypowiedzieć, bo musiałaby zdecydować się na dramatyczne, pełne drastycznych scen życie rewolucjonistki. Czy ma na to dość siły? Po rozstaniu z Edwardem poprzysięgła sobie, że nigdy już się z nikim nie rozstanie.

Idiotyczny ślub. Ale to nie śluby ją powstrzymują. To instytucja: wydziały i fabryka. Instytucja tak realna jak Chickwash: Mama, Tata & Dzieci, Spółka Akcyjna. Jeśli Susan podpali fabrykę, gdzie się podzieje? Jak zdoła wytłumaczyć zabawę z zapalnikami w tak późnym wieku?

Arnold wreszcie usnął. Głęboko, nieprzytomnie, idiotycznie. Choć boi się myśleć o nienawiści, nie lęka się mieć go za idiotę. Ta myśl pozwala jej odetchnąć, łagodzi gniew, przywołuje lekką senność. Jaka ja jestem zepsuta, myśli. Zaskakuje ją ta konstatacja, wcale nie chciała tak o sobie pomyśleć. Dziwne, że to, czego zawsze oczekiwał od niej Arnold, można uznać za zepsucie. Ale musiała wiedzieć o tym wcześniej, zważywszy, że katalog dowodów przychodzi jej do głowy niemal automatycznie. Rozmowa z panią Givens: symbol pamięci, emblemat, oznaka dyskomfortu. Pani Givens przy kawie ośmiela się powtórzyć Susan plotkę rozsiewaną przez panią Macomber: to nie była вина pielęgniarki, ale вина lekarza, który pracował za szybko, był zbyt z siebie zadowolony, zbyt pewny i tak dalej. Pogrążona w myślach Susan napomina ją: zrzuca winę na szpital, potępia chciwych prawników, opierając się na wersji wydarzeń przedstawionej przez Arnolda. Jak to możliwe, że jej bezstronność i uczciwość zostały aż tak wypaczone przez szlachetną cechę lojalności czy cokolwiek nią wtedy kierowało.

Otwiera się kłapa snu, zaczyna się przez nią wymykać i właśnie wtedy zdaje sobie niejasno sprawę z obecności Tony'ego gdzieś w pobliżu. Gniew ostygł. Znów zapomniała o pytaniu, które ją przeraziło. Zapada w płytki, potem głęboki sen, a rano jej złość jest pustą skorupą, formą odlewniczą jak te, które zostawiły po sobie przykryte popiołem ciała w Pompejach. Nie uważa już, że Edward celowo dopuścił się afrontu, jest zaskoczona tym, jak bardzo rozgniewał ją Arnold. W chłodnym świetle dnia z łatwością przekonuje samą siebie, że jeśli zachowa spokój, Arnold przy niej zostanie. Zbыва ból i cierpienie, uznając je za przejaw egoizmu. Łatwo, zbyt łatwo. Wie, że postępuje lekkomyślnie, wie, że w tym, czego doświadczyła, kryje się coś, czego nie da się zbyć, ale odkłada to na inną porę, na porę cichej zadumy i głębokiej refleksji, które mogą poczekać. A jeśli chodzi o Edwarda: powinna była zawiadomić go wcześniej. Nie знаła celu jego wizyty, jego zobowiązań ani rozkładu dnia. O dziewiątej dzwoni raz jeszcze do hotelu. Recepcjonista mówi, że Edward Sheffield wymeldował się o siódmej. Może jest rozczarowana, a może czuje ulgę. Nie chce się obrażać. Zakłada, że nie zadzwonił, bo wrócił zbyt późno i nie chciał zakłócać jej życia rodzinnego o nieprzyzwoitej porze.

Ale wygląda na to, że coś się jednak wydarzyło – coś, co może zmienić

wszystko, jeśli nie będzie ostrożna. Dzięki Tony'emu, dzięki Edwardowi doświadczyła wglądu. Nieważne, że dopiero teraz. Chce zachować się kulturalnie, więc napisze do Edwarda list. Zbierze krytyczne uwagi wobec książki, przytnie je, umieści w czytelnym i zrozumiałym dla wszystkich zdaniach i wyśle. Pisz w ciągu dnia. Biurko stoi pod oknem niedaleko od karmnika dewastowanego przez stado angielskich wróbli. Śnieg na trawniku, tak wczoraj czysty i biały, zaczyna się topić, a w dziurach ukazują się łaty brunatnej ziemi. Na chodniczku do garażu leży błoto. Chodniki przed domem lśnią od śliskiej mazi. Nie zwraca na to uwagi, bo jej umysł jest zajęty prostowaniem drogi do Edwarda.

Pisz to wszystko, co umyśliła napisać. Chwali mocne strony powieści i krytykuje jej braki. Wspomina, że lektura kazała jej się zastanowić nad zagrożeniami dla jej własnego wygodnego życia. Wyznaje, że widzi podobieństwo między sobą i Tonym, i pisze o tym w taki sposób, jakby rozwiązała przedstawiony jej problem. Rozpływa się w zachwytach: gdzieś daleko rozlega się szum cywilizacji, która nie ma pojęcia o Tonym, a Tony umiera, ukrywając się przed policją, która powinna mu pomóc – ukrywa się przed nią tak jak wcześniej przed wrogami. Umiera radośnie, wierząc w opowieść, która nie jest prawdziwa. Znajduje pociechę, choć nie odnajduje prawdy, a śmierć i zło nadal się ją spustoszenie.

Edward pyta: Więc powiedz mi w końcu, czego brakuje tej książce? Odpowiada: Nie wiesz, Edwardzie? Nie rozumiesz? Ta myśl sprowadza ją na manowce. Czego brakuje w jej życiu? Zastanawia się, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze Arnolda w dawnym świetle – nawet jeśli nie będzie to snop nienawiści. Potęga przyzwyczajenia wstrzymuje ją i cofa jak przez te wszystkie lata. Wyglądając przez okno na brunatny zimowy trawnik, wierząc, że nadal się zastanawia nad pisanym przez siebie listem prześlagałych pochwał i życzliwej krytyki albo też nad tym, jak umocnić swoją pozycję przy Arnoldzie, nie tracąc przy tym szacunku dla samej siebie, Susan Morrow zaczyna marzyć. Łódź na przystani, ona trzyma wiosła, Edward leży na rufie, unosząc dłoń nad wodą. Dom z siatkową werandą wznosi się za jego plecami, nad jego głową. Za jej plecami i wszędzie wokół widać sosnowe wysepki i letnie domki.

– Znosi nas odpływ – mówi Edward.

Susan o tym wie. Widzi, że brzeg za jego plecami odpływa w lewo.

– Jeśli podryfujemy dalej, trudno będzie wrócić – dodaje.

Susan o tym wie. Wie, jak daleko podryfują, i wie, jak trudno będzie im wrócić.

– Myślisz, że się utopimy, jeśli łódź się przewróci? – pyta Edward.

Zaskakujące pytanie. Brzeg nie jest aż tak daleko. Ale w Maine woda jest zimna i oboje pływają jak kłody.

– Nie wiem, czy zdołałabym dopłynąć do brzegu o własnych siłach – odpowiada.

– Ja wiem, że nie dałbym rady. Pływasz lepiej ode mnie.

– Bo trzeba to robić spokojnie. Musisz się nauczyć spokojnie oddychać. Musisz się nauczyć zanurzać głowę. Kiedy panikujesz, wystawiasz głowę wysoko nad powierzchnię wody i szybko się męczysz.

– Gdybym wpadł teraz do wody, uratowałabyś mnie? – pyta.

– Aż tak dobrze nie pływam.

– Musielibyśmy wołać o pomoc.

– A jak niby mieliby nam pomóc? Zabraliśmy łódź.

– Więc staliby na brzegu i patrzyli, jak się topimy?

– To straszne! Wyobrażasz sobie, że stoją na brzegu i patrzą, jak się topimy?

Rozmarzona wsunęła list do koperty. A potem, przypomniawszy sobie, że nie zadzwonił po przyjeździe do miasta, przypomniawszy sobie o tych wszystkich rzeczach, o które nie mogła go zapytać, takich jak: dlaczego przysłał jej powieść, dlaczego napisał akurat taką książkę i jaki był prawdziwy powód ich rozvodu – wyrwała się z odrętwienia i podarła list na strzępy. Nie zastanawiając się, chwyciła za pióro i napisała krótką wiadomość, którą później wysłała pocztą – również bez zastanowienia.

Drogi Edwardzie,

*w końcu przeczytałam Twoją powieść. Przepraszam, że trwało to tak długo.
Napisz do mnie, jeśli chcesz poznać moją opinię.*

*Całuję,
Susan*

Chciała też ukarać Arnolda, ale jedyne, co przyszło jej do głowy, to zmuszenie go do przeczytania książki. Arnold to zrobi, jeśli będzie nalegała. Ale na pewno niczego nie zrozumie.

¹ Wiersz angielskiego poety metafizycznego Andrew Marvella (przyp. tłum.).

Przekład: Jędrzej Polak
Korekta: Anna Sidorek, Magdalena Matuszewska

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4228-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo